

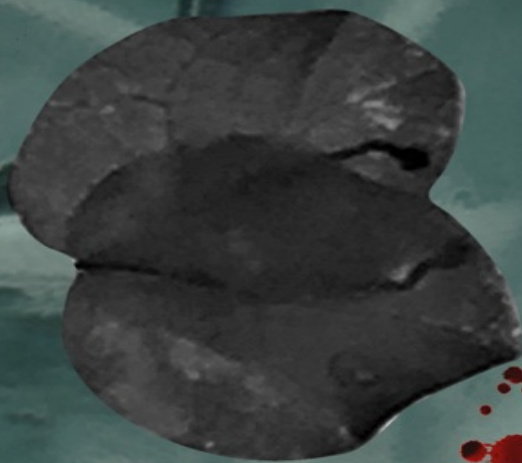
Przed nim zmarli niczego nie ukryją...

# MICHAEL TSOKOS

To, co Simon Beckett znał ze stażu dziennikarskiego na Trupiej Farmie, profesor Tsokos zna z praktyki.

Jest światowym autorytetem - ekspertem medycyny sądowej. A na listach bestsellerów czuje się równie dobrze, jak przy stole sekcyjnym.

# SMAK



# ŚMIERCI

**MICHAEL TSOKOS**

współpraca  
**ANDREAS GÖBLING**

**SMAK  
ŚMIERCI**

Przekład  
**BARBARA TARNAS**



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Ryszard Turczyn

Korekta  
Renata Kuk  
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie autora  
© Andreas Franke

Tytuł oryginału  
Zerschunden

Copyright © 2015 by Verlagsgruppe Droemer Knaur GmbH & Co. KG, Munich, Germany  
The book has been negotiated through AVA international GmbH,  
Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana  
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu  
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6125-6

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA

juras@evbox.pl



# Prolog

*Dokładnie we właściwym momencie pchnął mocno drzwi od strony kierowcy peugeot, furgonetki koloru ochry. Metal uderzył o metal, a młoda kobieta po prostu wywróciła się razem z rowerem. Żwir i kurz rozprysły się na boki, kiedy jej ciało upadło na wąską, nieutwardzoną drogę. Dokładnie tak, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Setki razy, w dzień i w nocy.*

*Wysiadł powoli, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który nawet w jego odczuciu musiał wyglądać jak wyszczerzone kły. Bicie serca miał mocno przyśpieszone, odczuwał lekkie zawroty głowy. Wróciła adrenalina. Nareszcie.*

*Powoli, upomniał sam siebie, bo inaczej wszystko zaraz z powrotem zniknie. Wielki kop, jak po narkotyku, o czym już od dawna marzył.*

*Mierzył wzrokiem płataninę gołych nóg i ramion, szprych i dwóch kół, które obracały się w pustce. W myślach już rozcinał na niej ubranie.*

*Będzie po niej pisał, starannie i powoli, będzie pokrywał każdy najmniejszy fragment jej ciała. Udało mu się skompletować spory zestaw noży, co nie było łatwe. Wszyscy bez przerwy się wściekali, że znowu zginął gdzieś kolejny nóż. A to nóż do siekania warzyw, a to wielki przypominający topór nóż rzeźnicki, którym w razie potrzeby dałoby się z pewnością rozrąbać kości.*

*W razie potrzeby, pomyślał. A taka potrzeba zawsze może się pojawić.*

*Wąska droga prowadziła przez środek lasu, z dala od miasta. O tej porannej godzinie nikt tędy nie jeździł. Pochylił się nad młodą kobietą i chwycił rower za kierownicę i ramę. Pod wygiętymi szprychami jej twarz, młoda, o jasnej cerze, ubrudzona. Coś jęczała, ale tego nie słuchał. Przyszła pora, aby ją stąd zabrać.*

*Rower wrzucił do zarośniętego przydrożnego rowu. Leżało tam mnóstwo śmieci, nikt nie będzie go tu szukał. A jeśli nawet, to co, pomyślał.*

*Kiedy znów odwrócił się do dziewczyny, właśnie próbowała się odczołgać.*

*– Chciałabyś, skarbie! – zawołał.*

*W trzech susach był przy niej. Odwróciła głowę, patrząc przez ramię w jego stronę. Czoło i policzki czarno-czerwono-szare, miała ubrudzone smarem, krwią i kurzem. Szeroko otwarte oczy pełne strachu. Panicznego strachu przed tym, co miało nastąpić.*

*Nie musiał brać specjalnie dużego zamachu, kiedy chciał mocno uderzyć. Ludzie często się temu dziwili. Nie był wprawdzie zbyt wysoki, ale rekompensował to z powodzeniem siłą pięści. Trafił ją z boku w szyję. Jej ciało w jednej chwili stało się bezwładne.*

*Wrzucił kobietę do furgonetki, potem sam wspiął się do środka i przykucnął obok niej. Kobieta zaczęła znów się ruszać i jęczeć z bólu, tak że na moment prawie wpadł w panikę. Do diabła, nie pomyślał o tym, że musi ją w jakiś sposób unieszkodliwić. Nie zabić, ale unieszkodliwić. W końcu nie może podczas jazdy co chwila przechodzić na tył i na nowo walić ją pięścią.*

*Przeszukiwał wzrokiem wnętrze furgonetki. W podłodze zauważył klapę, kiedy ją otworzył, ujrzał pomarańczową linę. Lina holownicza, trochę za sztywna jak na to, do czego chciał jej użyć, ale w końcu udało mu się zawiązać pętlę na rękach i nogach dziewczyny.*

Broniła się, jęczała jeszcze głośniej i przewracała oczami. Ale kiedy wymierzył jej jeszcze jeden cios pięścią, tym razem w skroń, znów zwiotczała. Kawałkiem plastra opatrunkowego, który wyjął z apteczki pierwszej pomocy, zakleił jej jeszcze na koniec usta.

Gotowa do drogi, pomyślał i wygramolił się na zewnątrz. Dopiero kiedy otwierał drzwi do szoferki, zauważył wgniecenie pod zamkiem. Cholera jasna, jego brat da mu popalić. Lakier był całkowicie zdrapany, a wgniecenie było tak głębokie, że mógł w nie wsadzić pół kciuka.

Aż się zagotował z wściekłości. Wszystkiemu winna ta przeklęta mała zdzira! Zaczął sobie wyobrazać, jak dusi ją gołymi rękami. Jak ona leży pod nim, wije się i jęczy niczym w miłosnym akcie. Przez dobrą chwilę walczył z pokusą, żeby ją z miejsca uśmiercić.

Tylko żebyś znów tego nie spieprzył, upominał sam siebie. Przygotowałeś wszystko perfekcyjnie, a więc trzymaj się planu.

Odetchnął jeszcze kilka razy głęboko, po czym znów wziął się w garść.

Opowie bratu po prostu jakąś gównianą historyjkę. Że zaparkował gdzieś furgonetkę, a kiedy wrócił, zobaczył to cholerne wgniecenie. W końcu kogo obchodzi jakieś wgniecenie czy ślady zadrapania na aucie?

Jego samego z pewnością nie. Jego interesowały najwyżej szramy na ciałach kobiet, poza tym żadne inne. Słowa, które teraz wreszcie wytnie na jej skórze, jak to już od dawna sobie wyobrażał.

Nie, tym razem niczego nie spieprzy. Znalazł nawet kryjówkę, gdzie w spokoju będzie mógł pokryć napisami jej ciało i gdzie nikt nie będzie jej szukał. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że w tej dziurze mogłoby się znajdować coś innego prócz szczurów.

Wśliznął się za kierownicę, zatrzęsnął drzwi i ruszył z buksującymi kołami.

# 1

**Berlin-Tegel**  
**Czwartek 2 lipca godz. 19.45**

Mały supermarket był równie posunięty w latach jak całe osiedle bloków na północno-zachodnim skraju miasta.

Irina Pietrowa stała w kolejce do kasy i zmagła się z bólem każdej kości swojego siedemdziesięciosześcioletniego ciała. Chociaż całe miasto od ośmiu dni prażyło się pod kopułą gorąca, stara kobieta dygotała z zimna w letnim płaszczu. Z powodu postępującej zaćmy miała zamglony wzrok, na dodatek nieustannie dzwoniło jej w uszach. Dlatego z całej siły wyęźłała wzrok i słuch, aby docierało do niej jak najwięcej z tego, co się wokół dzieje.

Co prawda w tej chwili nie było to nic szczególnego. Wszyscy czekający w kolejce sprawiali wrażenie zmęczonych i wyczerpanych. Niektórzy wyraźnie mieli za sobą długi dzień pracy i na krótko przed zamknięciem sklepu kupowali jeszcze góry jedzenia. Ale wyglądało na to, że większość klientów prowadziła samotne życie, ponieważ w ich koszykach znajdowało się zaledwie po kilka produktów. Tak jak w przypadku Iriny Pietrowej.

Jedną ręką centymetr po centymetrze popychała wózek, drugą obejmowała uchwyt staromodnej laski, pamiątkę rodzinną po Saszy, jej młodszym bracie, który zmarł zeszłego lata w wieku zaledwie siedemdziesięciu jeden lat. *Wódka przekleństwem Rosji*, pomyślała. Lot na pogrzeb do Sankt Petersburga przypłaciła utratą resztek sił.

Podróż, miasto jej młodości, wspomnienia, które od tamtej pory jej nie opuszczały.

Irina Pietrowa przyjechała do Niemiec jeszcze w czasach zimnej wojny, oczywiście z powodu miłości, która jednak szybko zwiędła w szarej codzienności życia w NRD. Prawie całe dorosłe życie spędziła w stolicy Niemiec – najpierw we wschodnim Berlinie, a po upadku muru w zachodniej części miasta. Od ponad dziesięciu lat była wdową.

Na grobie Saszy po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że życie uciekło jej sprzed nosa jak pociąg na stacji kolejowej. Od tamtej pory czuła, jak bardzo kipi w niej chęć życia. Większość współmieszkańców bloku dla seniorów mniej lub bardziej wycofała się i zamknęła w sobie. Ale Irina Pietrowa chciała żyć, nawet jeśli każdego dnia ruch sprawiał jej coraz większy ból.

Nigdy wcześniej nie widziała tej młodej kobiety za kasą. Albo co kilka dni wymieniali tu wszystkie kasjerki, albo postradała pamięć krótkotrwałą tak nagle jak wzrok. Irina Pietrowa poprosiła pracownicę, żeby pomogła jej zapakować zakupy, i trzymając w jednej ręce laskę, a w drugiej plastikową torbę, ruszyła w drogę do domu.

Przy wyjściu były półki z promocyjną ofertą dla miłośników ogrodu. Krępego mężczyznę, który oglądał kolekcję leżaków i grille na węgiel drzewny, widziała tylko jako rozmyty cień. Krok za krokiem powlokła się przez parking, a czarny cień podążał za nią.

Po lewej ręce znajdował się niewielki teren zielony z parkowymi ławkami, na których jak zawsze siedzieli pijacy. Irina Pietrowa uważała, aby zbytnio nie zbliżać się do starych mężczyzn o chrapliwych

głosach. Ale to nic nie pomagało. Oni są jak Sasza. Przedsiębiorca pogrzebowy zrobił, co w jego mocy, mimo to jej biedny młodszy brat wyglądał w trumnie jak mumia. Taki zmarnowany i pomarszczony, jakby alkohol spalił go od wewnątrz.

Kiedy przeszła przez parking, od drzwi jej domu dzieliło ją już tylko około stu metrów. Ale dla Iriny Pietrowej było to jak forsowny marsz przez pustynię. Wciąż jeszcze jaskrawe wieczorne słońce raziło ją w oczy, tak że widziała wszystko wokół siebie jak przez mieniącą się mgłę. Po plecach spływały jej strumienie potu, a jednocześnie było jej potwornie zimno. Zawzięcie dziobała drogę przed sobą końcem laski z posrebrzaną rączką w kształcie głowy sokoła. Oczywiście mogła zlecić dostarczenie zakupów do mieszkania, ale to nie wchodziło w rachubę. Wieczorny spacer do supermarketu był dla niej główną atrakcją dnia.

Codziennie o dziewiątej przychodziła do jej mieszkania opiekunka, karaibska piękność, Mercedes Camejo, aby pomóc w pracach domowych i utrzymaniu porządku. Ale Irina Pietrowa zawsze cieszyła się, kiedy ta jędrna osóbką już sobie poszła. Ledwo mogły się porozumieć, ponieważ opiekunka posługiwała się tylko łamanym niemieckim, a do jej podopiecznej docierały tylko pozbawione sensu dźwięki.

W końcu Irina Pietrowa dotarła do sześciopiętrowego budynku, z którego prawie było widać lotnisko Tegel i który zapewniał schronienie sześćdziesięciorgu seniorom w przystosowanych do ich wieku mieszkaniach. Pochyliła się do przodu, oparła laskę o ścianę obok drzwi wejściowych i zaczęła szukać klucza w kieszeniach płaszcza. Po przeciwnej stronie ulicy mężczyzna z włosami w kolorze sadzy studiował plakat na słupie ogłoszeniowym. Irina Pietrowa niewyraźnie czuła, że cień cały czas trzyma się w jej pobliżu, ale w jej umyśle przybrał on zupełnie inny charakter. Po dziesiątkach lat życia z dala od siebie przed śmiercią Saszy ponownie zbliżyła się z bratem. Pisali do siebie listy i telefonowali kilka razy w miesiącu. Dawniej Sasza zawsze wydawał się jej nieokrzesanym zawadiaką, który uważa, że szkoda tracić czas na głębsze rozważania. Ale na krótko przed śmiercią doznał cudownej przemiany i stał się niemal mistykiem.

*Albo dawniej ciągle udawał, albo wódka uczyniła go mędrcom*, pomyślała Irina Pietrowa. Ostatecznie obie możliwości wydały się jej równie nieprawdopodobne. Walczyła z kluczem, który zaplątał się w podszewkę kieszeni płaszcza, i zrobiło się jej potwornie gorąco.

„Otaczające nas cienie to nic innego, jak nasze grzeszne myśli”, wyjaśnił jej Sasza na kilka tygodni przed zapadnięciem w śpiączkę. „Rozumiesz, Irino?”

W zasadzie nie rozumiała. Brakowało w tym logiki, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale jeśli potraktować te słowa jako mistyczną mądrość, wydawało się, że nabierają sensu.

Drżącą ręką wsunęła klucz do zamka. Kiedy już otworzyła drzwi i znów wzięła do ręki laskę, weszła z trudem do holu wejściowego. Kabina windy wabiła otwartymi drzwiami i blyszczącym światłem jarzeniówki, ale Irina zdecydowanie skierowała się do schodów. „Windy wymyślili przedsiębiorcy pogrzebowi”, już przed laty stwierdził surowo Grigorij, pop z jej prawosławnej parafii.

I bez mistyki trafiło to do przekonania Iriny Pietrowej. W gruncie rzeczy jej lekarz mówił to samo, tylko bez dogryzania przedsiębiorcom pogrzebowym. W każdym razie dzień po dniu z wysiłkiem wdrapywała się po schodach na pierwsze piętro. Przez moment zdziwiła się, że tym razem nie usłyszała, jak zatraskują się za nią drzwi wejściowe. Ale w uszach miała hałas jak w ruszającym z przystanku tramwaju.

Mimo to na pierwszym piętrze odwróciła się i uważnie spojrzała w dół. Ale nic tam nie było, może jedynie jakiś cień w połowie wysokości schodów, i jej myśli znów wróciły do Saszy. „Nie ma żadnych cieni, rozumiesz, Irino?”

*Tak, braciszku, rozumiem, co masz na myśli*. Przed drzwiami do mieszkania musiała ponownie odprawić uciążliwy rytuał. Oparła laskę o ścianę, wyjęła klucz z kieszeni płaszcza i otworzyła drzwi. Potem znów sięgnęła po laskę i popchnęła drzwi jej gumowym końcem, aż rozwarły się na oścież.

W tej samej chwili otrzymała silny cios w plecy. *Co to było? Rany boskie!* Potknęła się w małym



przedpokoju i odruchowo wyciągnęła ręce przed siebie. Laska i torba z zakupami upadły na wykładzinę podłogową. Chciała się odwrócić, ale wtedy otrzymała drugie, jeszcze silniejsze uderzenie w plecy, które ostatecznie ją powaliło. Irina Pietrowa padła jak długa. Czuła potworny ból w rękach i nadgarstkach, którymi próbowała zamortyzować upadek. Chciała krzyczeć, ale nie mogła. Dwie silne ręce trzymały jej głowę i kark i przyciskały twarz do cuchnącej stęchlizną wykładziny. Bezsilnie leżała na brzuchu i walczyła, aby nie stracić przytomności.

*Cienie*, pomyślała i nagle wszystko wokół pociemniało.

Kiedy znów przyszła do siebie, wciąż leżała w przedpokoju, ale dziwnym trafem już na plecach. Drzwi do mieszkania były zamknięte, a obok niej siedział w kucki mężczyzna i uważnie się jej przyglądał. Jego białka oczu i zęby niewiarygodnie jasno odróżniały się od czarnej twarzy. Chociaż Irina Pietrowa była wciąż zamroczonej, wiedziała, że krępy mężczyzna musiał być tym człowiekiem z parkingu przy supermarkecie.

*Cień, myliłeś się, Sasza*, pomyślała. *On jest zwykłym złodziejem, który upatrzył sobie moją biżuterię.*

Poruszał ustami, najwyraźniej coś do niej mówił. Ale Irina Pietrowa nie rozumiała ani jednego słowa. Dzwoniło jej w uszach. Serce podeszło do gardła.

– Może pan wziąć wszystko! – wyrzuciła z siebie.

Wyszczerzył zęby, chwycił jej spódnicę i podciągnął do bioder. Potem zerwał rajstopy.

Irina Pietrowa zmartwiała.

*Zboczeniec*, pomyślała. *O mój Boże. On mnie zgwałci!*

Chciała wołać o pomoc, wtedy położył dłonie na jej szyi i zacisnął je. *Gdybym tak miała laskę!* Irina Pietrowa panicznie szurała dłońmi po podłodze, ale za nic nie mogła jej znaleźć. Walila rękami i kopiała na oślep. Kiedy to nic nie pomogło, wbiła paznokcie w jego dłonie, które ścisnęły jej gardło jak żelazna obręcz.

Ale nie miała szans. Przez jej ciało raz jeszcze przeszedł skurcz, a potem ręce opadły bezwładnie i wzrok stał się pusty na zawsze.

## 2

### **Berlin, Treptowers Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” Piątek 3 lipca godz. 7.25**

Już w czasie śniadania doktor Fred Abel otrzymał telefon z sekretariatu: na małym lotnisku w Uckermark podczas podejścia do lądowania rozbiła się cessa. Ośmiu skoczków spadochronowych plus załoga. Nikt nie przeżył.

Na miejsce wypadku wysłano wszystkich dostępnych lekarzy sądowych z berlińskiego Landesinstitut oraz Instytutu Medycyny Sądowej szpitala Charité, aby zidentyfikować ciała jeszcze na miejscu w prowizorycznie urządzonej kostnicy. Więc Abel i jego koledzy z wydziału medycyny sądowej jednostki Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” musieli kolejny raz wesprzeć zwykłych lekarzy dyżurnych. W ciągu najbliższych dni na ich stoły będzie trafiał każdy, choćby tylko odrobinę zagadkowy przypadek śmierci, póki koledzy z obu berlińskich instytutów nie uporają się ze skoczkami spadochronowymi, którzy zginęli w wypadku.

Zamiast w miarę spokojnie zjeść śniadanie ze swoją towarzyszką życia Lisą, Abel jednym haustem dopił kawę i wypadł z domu. Żeby z jego kamienicy w Berlin-Grünau dostać się samochodem do kompleksu Berlin Treptowers, potrzeba było o tej porze co najmniej pół godziny.

*Jakbyśmy nie mieli w piwnicy dość trupów*, pomyślał Abel, parkując swoje czarne audi A5 na parkingu Berlin Treptowers. Sąsiedni boks, w którym zazwyczaj stał range rover Herzfelda, był pusty. *Akurat dzisiaj.*

W ostatni czwartek profesor Paul Herzfeld, kierownik ich wydziału specjalnego, rozpoczął krótki pięciodniowy urlop. Ablowi, jego zastępcy, przypadł wątpliwy honor koordynowania zarzewia chaosu.

*No, dobra, bierzmy się do roboty.*

Wziął głęboki oddech, kiedy zbliżył się do wejścia imponującego biurowca w Treptow, dzielnicy Berlina. O tej porze temperatura była jeszcze znośna, ale najpóźniej w południe termometry znów pokażą tropikalne wartości. Co prawda nie wewnątrz rozległego kompleksu biurowego, w którym niedawno zamontowano bezlitośnie wydajną, nową klimatyzację.

Szklana wieża na brzegu Szprewy, której kompleks Treptowers zawdzięczał swoją nazwę, miała sto dwadzieścia pięć metrów wysokości i była najwyższym biurowcem w Berlinie. Ale Abel w ciągu pięciu lat, które przepracował tu, w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, rzadko miewał okazję podziwiania legendarnego widoku z tarasu, znajdującego się na dachu budynku. Wydział specjalny medycyny sądowej razem z chłodnią do przechowywania zwłok, laboratorium i salą, w której dokonywano obdukcji, mieścił się dobre dziesięć metrów pod powierzchnią ziemi.

Wszedł do holu, skinął portierowi i zjechał windą na drugi poziom podziemi.

Podczas porannej narady, która odbywała się codziennie o 7.30 w umeblowanym na szaro pomieszczeniu konferencyjnym, na szczęście nie brakowało nikogo spośród mających tego dnia dyżur kolegów. Austriacki lekarz asystent doktor Alfons Murau znów opowiadał ojczystym dialektem złośliwe anegdoty. Jednocześnie gładził się po wystającym brzuchu, jakby jego wiedeński żart był smaczną potrawą. Doktor Sabine Yao, filigranowa, urodzona w Niemczech Chinka, słuchała go z pobłażliwym uśmiechem, nalewając sobie herbaty do małej porcelanowej filiżanki.

Tylko doktor Martin Scherz, ordynator i mający najdłuższy staż lekarz na wydziale medycyny sądowej, jak zwykle wydawał się ignorować żywych bliźnich. Głośno siorbiąc, popijał kawę z kubka i znudzony patrzył przed siebie. Z powodu rzadkiej, siwej, zakrywającej pół twarzy brody, która raczej uwydatniała, niż ukrywała podwójny podbródek, i posępnego wyrazu twarzy nie sprawiał przyjemnego wrażenia. Dziesiątki lat spędzonych przy stole sekcyjnym znieczuliły go emocjonalnie. Ale jeśli nawet Scherz nie był sympatycznym typem, Abel bardzo go cenił jako lekarza sądowego. Mocno zbudowany mężczyzna miał ogromne doświadczenie. W swojej nieprawdopodobnej pamięci jak w cyfrowym archiwum przechowywał setki raportów z sekcji zwłok, które w każdej chwili potrafił przywołać łącznie z nazwiskami, datami sekcji i orzeczeniami.

– Nie chciałbym popsuć dobrego humoru... – powiedział Abel, kiedy już przywitał się ze wszystkimi – ...ale przez następne dni kolejny raz będziemy zajmować się wszystkimi niewyjaśnionymi śmiertelnymi przypadkami w Berlinie, nie tylko przypadkami nadzwyczajnymi. – Stuknął palcem w stertę skoroszytów, która leżała przed nim na stole. – Pomoc z urzędu dla kolegów z Landesinstitut i Charité.

Yao uniosła swoje jakby namalowane tuszem brwi. Scherz wydał z siebie długie parsknięcie. Zabrzmiało to, jakby ostatnia odrobina powietrza uszła z nieszczelnego pontonu.

– Jasny gwint, jeszcze tego nam brakowało – burknął.

Tylko Murau wydawał się nic sobie nie robić z grożącego im nawału pracy, wręcz przeciwnie. Jego okrągła twarz wyrażała radość. Poglaskał się po brzuchu i zaczął półgłosem recytować starodawną piosenkę ludową:

*Jest taki żniwiarz, zwany śmierć,  
Co zwykł od Boga władzę mieć,  
Nóż ostrzy na brusie.  
Dobrze ścina mu się  
I choć tnie okrutnie  
To ścierpisz, jak utnie.  
Strzeż się, kwiatuszku śliczny, strzeż!<sup>[4]</sup>...*

Abel miał wielki szacunek dla repertuaru czarnej poezji Muraua, ale dzisiaj definitywnie brakowało mu nastroju do lirycznych wybryków i dygresji. Był już wystarczająco przygnębiony.

– Prawdopodobnie słyszeliście już po drodze w radiu. – W zwięzłych słowach streścił, co zdarzyło się na lotnisku w Uckermark. – Oczywiście przypadki szczególne nadal mają pierwszeństwo. – Ponownie stuknął w stertę dokumentów. – Ale w każdej chwili musimy liczyć się z tym, że Krajowy Urząd Kryminalny będzie nas prosił o pomoc w przypadku jakiegoś morderstwa lub nieumyślnego zabójstwa.

Otwierał po kolei leżące na stercie segregatory i krótko referował poszczególne przypadki. W Charlottenburgu wyleciał w powietrze bankomat nafaszerowany materiałem wybuchowym – prawdopodobnie rozerwaną na strzępy ofiarą był sam rabuś; do tej pory nie udało się potwierdzić jego tożsamości. W lesie w północno-wschodnim Berlinie znaleziono ciało kobiety w stanie głębokiego rozkładu – dziury po kilku strzałach w czaszce, czas śmierci nieznaną. W Kreuzbergu mąż zwyczajnie zarznął bułatem swoją turecką żonę. Na ukoronowanie swojego czynu mężczyzna wyrzucił z czwartego piętra głowę żony na podwórko – na oczach ich czworga dzieci i licznych sąsiadów, zwabionych do okien krzykami walczącej o życie kobiety.

Najbardziej osobliwym przypadkiem dnia było oczywiście ludożerstwo z pobudek seksualnych. Albo obłądu, który wymknął się spod kontroli. A być może z obu powodów. W każdym razie w mieszkaniu na obrzeżach Berlina policja znalazła poćwiartowane i pośmiertnie zgwałcone ciało trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Nazywał się Maximilian Kowalske i był odnoszącym sukcesy menedżerem funduszy inwestycyjnych. Poza parkietem giełdowym i rodziną miał drugie, dość dziwaczne życie. Jego homoseksualna schadzka z o dziesięć lat starszym nauczycielem plastyki Markusem Bossongiem, z którym nawiązał kontakt na portalu randkowym, najwidoczniej wymknęła się spod kontroli. W każdym razie na koniec Bossong ugotował jego uciętą głowę w garnku na swojej kuchence indukcyjnej. A tułów Kowalskiego i kończyny, przepiłowane na dwanaście części, leżały starannie zapakowane w mieszkaniu nauczyciela.

Bossong sam powiadomił policję i twierdził, że Kowalske poprosił, aby związać mu ręce i nogi, skleić usta klejem szybkoschnącym, a na to jeszcze nałożyć taśmę klejącą. „Liczył na to, że dzięki temu dostanie fantastycznego seksualnego kopa” – zeznał do protokołu Bossong. Ale przykleił taśmę w taki sposób, że co prawda Kowalske miał trochę powietrza, ale niestety za mało, jak się potem okazało. Na koniec, zgodnie z życzeniem mężczyzny, wstrzyknął dużo powszechnie dostępnej w handlu pianki montażowej w odbyt menedżera, co go dodatkowo silnie podnieciło. Zauważył, że Kowalske się udusił, dopiero wtedy, kiedy przestał dawać oznaki życia.

– Pan Kowalske chciał tego – zapewniał cały czas podczas przesłuchania Bossong. Dlaczego poćwiartował ciało zmarłego i ugotował jego głowę, pozostało jednak tajemnicą również po przesłuchaniu. A prokuratura zarządziła teraz, aby przyczynę śmierci i faktyczne jej okoliczności wyjaśniła obdukcja.

– Nie ulega wątpliwości, że ktoś tu stracił głowę podczas uprawiania ekstremalnego seksu – zauważył Murau z właściwą sobie złośliwością.

Scherz głośno pociągnął nosem. Klimatyzacja w suficie wydmuchiwała lodowate powietrze.

– Proszę wziąć ten przypadek z Kreuzbergu – powiedział Abel do Sabine Yao, która skinieniem głowy zasygnalizowała zgodę. Jej drobna blada twarz przypominała mu artystycznie wykonaną porcelanową maskę.

– Pan zajmie się ofiarą wybuchu, a pan ofiarą z lasu – zwrócił się do Muraua i Scherza. On sam przeprowadzi sekcję Maximiliana Kowalskiego.

Zakończył poranną odprawę i wszyscy podnieśli się z krzeseł. Drobniutka Sabine Yao, która przy stole sekcyjnym musiała stawać na taborecie, aby mogła wykonywać swoją pracę, sięgała mu zaledwie do mostka. Ale Abel ze wzrostem stu osiemdziesięciu dziewięciu centymetrów przewyższał jeszcze o kilka centymetrów nawet wysokiego Alfonsa Muraua. Był szczupły i jak na mężczyznę w wieku czterdziestu paru lat dość muskularny, przy czym wydawał się wyraźnie w lepszej kondycji, niż naprawdę się czuł. Praca nie zostawiała mu dużo czasu na sport i wypoczynek. Poza tym w ostatnich miesiącach zdrowie jego matki gwałtownie się pogorszyło i Abel każdą wolną godzinę spędzał u niej w szpitalu.

– Nie straszny mi twój nóż, kostucho, ścinaj, ale już!<sup>[2]</sup> – recytował Murau, kiedy opuszczali pokój narad.

Scherz strzelił szelkami od spodni.

– Czy to oklaski, kolego? – zapytał go Murau.

Siwobrody ordynator chrząknął.

– Czyli nie – westchnął Murau.

Wbrew swym normalnym zwyczajom Abel nie włączał się ani jednym słowem do przekomarzań swoich współpracowników. Nie miał w sobie nic z zachowań charakterystycznych dla szefów. Co prawda był przełożonym i kierownikiem wydziału specjalnego na czas nieobecności profesora Herzfelda, ale jako zespół mogli funkcjonować tylko wtedy, kiedy wszyscy czuli, że do niego przynależą i robią coś wspólnie. Jego koledzy nie byli gorszymi lekarzami sądowymi od niego, nawet jeśli założyć, że górował



nad nimi swoim ogólnie wychwalanym instynktem kryminalistycznym.

Ale dzisiaj nie miał dobrego nastroju. W ubiegłym tygodniu jego dziewięćdziesięciosześcioletnia matka zmarła na stwardnienie rozsiane. Żałoba po jej stracie położyła się cieniem na jego duszy. Na domiar wszystkiego wczoraj zadzwoniła jego siostra Marlene i zarzuciła mu, że w pewnym sensie jest odpowiedzialny za śmierć matki.

Ale najgorszy był jego wewnętrzny głos, który szeptał mu: *Być może Marlene ma rację!*

# 3

## **Berlin, Treptowers Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” Piątek 3 lipca godz. 7.45**

Abel i jego koledzy przez całe przedpołudnie pracowali równolegle w sali sekcyjnej przy czterech stołach. Najpierw zeskanowano tomografem komputerowym wszystkie części ciała Maximiliana Kowalskiego, a potem Abel sporządził obraz śladów piły i miejsc rozdzielenia tułowia oraz kończyn. Następnie ułożył na lśniącym stole sekcyjnym groteskowe puzzle z dwunastu pojedynczych części ciała i ugotowanej głowy.

Wkrótce ustalili, że Kowalski faktycznie się udusił. Szeroki pas taśmy klejącej, którą Bossong zalepił mu usta, ześliznął się w górę, najprawdopodobniej dlatego, że niewystarczająco przywarła do warg posmarowanych klejem szybkoschnącym. W każdym razie taśma klejąca dodatkowo zakryła dziurki w nosie, co bezpośrednio przyczyniło się do śmierci Kowalskiego.

Na koniec Abel nożyczkami do rozcinania jelit przeciął odbytnicę menedżera i wydobyl na światło dzienne dwuipółkilogramową bryłę stężałej pianki montażowej. Murau wygłaszał właśnie aluzyjny monolog o homoseksualnych rytuałach i przedmiotach penetracyjnych od starożytnej Grecji po teraźniejszość, gdy do sali sekcyjnej wpadła jak burza sekretarka Renate Hübner. W ręce trzymała staroświecki telefon komórkowy, którego maksymalnie wyciągnięta antena bujała się we wszystkie strony.

– Prawdopodobnie to też by się nadawało – skomentował Murau, co nawet u Scherza wywołało cień uśmiechu.

Pani Hübner, wysoka i chuda kobieta po pięćdziesiątce, z tragicznym brakiem poczucia humoru, zmierzyła Austriaka surowym wzrokiem.

– Telefon do pana, panie dyrektorze – powiedziała do Abła z żywiołowością urządzenia do nawigacji.  
– Nadkomisarz Markwitz z Krajowego Urzędu Kryminalnego 1. To pilne.

Abel powstrzymał westchnienie. *Krajowy Urząd Kryminalny*, pomyślał. Z pewnością jakaś banalna sprawa, do której oni jako specjaliści Federalnego Urzędu Kryminalnego mieli zbyt wysokie kwalifikacje. *Ale pomoc to pomoc*. Dopóki pozostali koledzy byli zajęci identyfikacją skoczków spadochronowych, im nie pozostawało nic innego niż marnowanie czasu na przypadki śmierci, które nawet nie były spowodowane użyciem przemocy.

Wziął telefon, przywitał się z nadkomisarzem i bez komentarza wysłuchał zwięzłego raportu.

– Już ponad dwadzieścia lat jestem w policji kryminalnej, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego – dodał na koniec Markwitz. – Kiedy może pan przyjechać na miejsce zbrodni, doktorze?

## 4

### **Berlin-Tegel** **Blok z mieszkaniami dla seniorów** **Piątek 3 lipca godz. 13.20**

Mieszkania dla seniorów mieściły się w bloku z lat siedemdziesiątych, a jego fasada wprost błagała, aby ją odnowić. Pomiędzy piątym a szóstym piętrem widniał napis „Słoneczna Rezydencja”, ale poszarzały ze starości budynek wyglądał raczej jak zmieniona w bryłę betonu burzowa chmura.

Abel zaparkował za białym mercedesem sprinterem ekipy od zabezpieczania śladów. Przed szklanymi drzwiami wejściowymi stało dwóch policjantów ze służby patrolowej, aby nie dopuszczać w pobliże ciekawskich. Ale w to upalne południe działaniami policji w bloku dla rencistów interesowała się zaledwie garstka małych dzieci.

– Zaczęli się tam nawzajem zabijać, czy jak? – zapytał właśnie wytatuowany wyrostek, kiedy Abel z walizką śledczą torował sobie drogę między nimi.

– To nie miałyby sensu, stary – odpowiedział ubrany w podkoszulek typ o byczym karku. – Pomyśl, praktycznie i tak są już martwi.

Wzniesli toast puszkami z piwem i Abel zaraz wyobraził sobie swoją matkę na łożu śmierci. Pod koniec została z niej tylko skóra i kości, wychudła miniaturowa kopia jej samej. Jednak kurczowo trzymała się życia. Mimo że wiedziała, że tej ostatniej bitwy nie może wygrać, walczyła o życie dosłownie do ostatniego tchu.

Abel znał z widzenia młodszego z policjantów, chociaż w tej chwili nie pamiętał jego nazwiska. Skinął głową funkcjonariuszom i lekko się uśmiechnął. Mundurowy przyłożył palce do czapki i odsunął się na bok, aby go przepuścić.

Hol wejściowy był w tak samo opłakanym stanie jak fasada Słonecznej Rezydencji. Ściany ze szkła i nieotynkowanego betonu. Pomarańczowo-żółte fotele z lat siedemdziesiątych raczej skłaniały do ucieczki, niż zapraszały, żeby na nich usiąść. Również kręcone schody składały się z nagiego betonu, który wyglądał na popękany i wydeptany. W dusznym powietrzu unosił się zapach starości i samotności.

Kiedy Abel wchodził po schodach na pierwsze piętro, walizka śledcza wydała mu się cięższa niż zazwyczaj. Wcześniej nadkomisarz Markwitz przekazał mu przez telefon tylko kilka podstawowych informacji: stara kobieta nazywała się Irina Pietrowa i mieszkała sama w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Jej opiekunka znalazła ją martwą dzisiaj około dziewiątej. Miejsce znalezienia ciała było również miejscem zbrodni i na pierwszy rzut oka wszystko wskazywało na morderstwo na tle rabunkowym.

– Ale jest kilka dziwnych szczegółów, na których temat chciałbym usłyszeć pańską opinię – dodał Markwitz. – Całe szczęście, że to akurat pan ma dzisiaj dyżur.

W ostatnich latach Abel już kilka razy współpracował z Markwitzem. Doświadczony kryminalistyk miał czterdzieści siedem lat i był o rok starszy od niego. Abel cenił Markwita za spokojne i rozsądne metody pracy. Z kolei nadkomisarz odczuwał głęboki respekt dla intuicji Abela, który jednak ukrywał pod

dobrodusznymi drwinami.

Przed drzwiami mieszkania Iriny Pietrowej stało dwóch techników kryminalistyki w dżinsach i T-shirtach obok srebrnego kufra wielkości szafy. Kontener używany przez sekcję zabezpieczania śladów wyglądał jak hybryda monstrualnej skrzyni z narzędziami i staromodnej lodówki. Niestety nie zawierał schłodzonych soft drinków, lecz wszelkie możliwe narzędzia i pomoce do zabezpieczania istotnych w śledztwie śladów – od proszków kontrastowych i probówek do pobierania próbek DNA przez taśmy klejące i pojemniki na dowody rzeczowe aż do poziomnic, kluczy francuskich i reflektorów.

Abel znał obu funkcjonariuszy Wydziału Techniki Kryminalnej z rozmaitych wspólnych operacji, nieuniknionych imprez bożonarodzeniowych i letnich pikników urządzanych przez policję kryminalną. Starszy z łysiną do połowy głowy nazywał się Karl Mierschmann, miał za sobą trwający wiele miesięcy dramat związany z rozwodem i wciąż sprawiał wrażenie wykończonego. Joe Morow, jego o dobre dziesięć lat młodszy kolega, strzygł blond bokobrody w kształt paluszków rybnych. Niedawno po raz drugi został ojcem i sprawiał wrażenie odpowiednio niewyspanego.

– To potrwa jeszcze chwilę – odezwał się Morow do Abła. – Wie pan, jak to jest.

Abel skinął głową i postawił swoją walizkę obok srebrnego pudła. Przez szparę nie do końca zamkniętych drzwi mógł zobaczyć, jak technicy od zabezpieczania śladów wykonują w środku swoje czynności. Niektórzy funkcjonariusze fotografowali ofiarę i leżące w pobliżu przedmioty. Inni rozsypywali czarny kontrast, służący do znajdowania odcisków palców, następnie oklejali posypane powierzchnie specjalną folią.

Przyglądając się im, Abel wypytywał Joego Morowa o zdrowie najmłodszego członka rodziny i matki dziecka. Przy okazji Karl Mierschmann oznajmił, że po trwającej miesiące wojnie róż ze swoją byłą on też jest „teraz emocjonalnie wykończony”, cokolwiek miało to znaczyć. Abel wolał nie pytać. Miał naprawdę dość własnych problemów emocjonalnych.

– Moje szczerze kondolencje z powodu śmierci pana matki – powiedział Mierschmann.

*A więc to też już się rozeszło.* Abel podziękował. Morow też wymruczał coś, co brzmiało jak wyrazy współczucia, i Abel również jemu podał rękę.

Co prawda Berlin był ogromnym miastem z trzema i pół milionami mieszkańców, a w samym Krajowym Urzędzie Kryminalnym przy Keithstraße pracowało kilkuset funkcjonariuszy, ale mimo wszystko był to mały świat. W tym kręgu wszystko rozchodziło się błyskawicznie jak na wiejskim targowisku.

Po dwudziestu minutach zabijania czasu przyszła wreszcie pora na Abła. Włożył niebieskie plastikowe ochraniacze na buty, biały kombinezon charakterystyczny dla ekipy zabezpieczania śladów oraz rękawiczki, wziął walizkę i wszedł do mieszkania Iriny Pietrowej.



## 5

### **Berlin-Tegel** **Mieszkanie Iriny Pietrowej** **Piątek 3 lipca godz. 13.44**

Wewnątrz przywitało go stęchłe powietrze, typowe dla mieszkań starych ludzi, którzy rzadko je wietrzą. Było bardzo gorąco i duszno. W nieprzepuszczającym powietrza kombinezonie Wydziału Techniki Kryminalnej Abel natychmiast oblał się potem, ale ogromna liczba zadań w terenie przyzwyczała go do tego. A w powietrzu było jeszcze coś, coś, co znał aż nadto dobrze. Zapach śmierci. Przenikliwa, co prawda słodkawa, ale mimo to nieprzyjemna trupia woń.

Martwa kobieta leżała w przedpokoju na dywanie, w pozycji na plecach, wciąż miała na sobie płaszcz i buty. Coś się nie zgadzało z jej nogami, ale Abel nie mógł się jeszcze zorientować co. Małe pomieszczenie rozświetlało tylko mętne światło stojącej lampy. Poza tym fotograf i technik zabezpieczania śladów pochylali się nad ciałem, zasłaniając mu widok.

Futrynę drzwi naprzeciwko wypełniła mocno zbudowana, wąsata postać.

– Za chwilę kończymy, doktorze! – zawołał Markwitz. – Zabezpieczanie śladów skończy się dosłownie za minutę.

Utorował sobie drogę przez wąski przedpokój do Abła.

– Jak się pan trzyma? – zapytał i spojrzał na niego pełen współczucia. – Mam na myśli po śmierci matki.

Zrobił ruch, jakby chciał dotknąć ramienia Abła, ale szybko cofnął dłoń w białej plastikowej rękawiczce. Abel nie był przygotowany na taki zalew kondolencji. Musiał odchrząknąć, zanim krótko i rzeczowo odpowiedział:

– Jakoś leci. Dziękuję, że pan pyta.

Nie uszło uwagi Markwita, że Abel poczuł się nieprzyjemnie dotknięty. Uniósł obie ręce w przeproszającym geście, a potem przywołał młodego mężczyznę, który, jak się wydawało, zawadzał wszystkim i każdemu z osobna.

– Tekin Okyar, nasz nowy praktykant – przedstawił go i zaraz dodał: – Tekin, to jest doktor Abel. Otwórz szeroko oczy i uszy, drugi raz taka okazja szybko ci się nie trafi.

Młody mężczyzna wyglądał jak młodsza wersja tureckiego reżysera Fatiha Akina: krzaczaste brwi, ogromny nochal i wyrazisty podbródek.

– Doktor Abel? – powtórzył młodzieniec i uśmiechnął się promiennie do Abła. – Czyżby ten Abel? Supernos z Federalnego Urzędu Kryminalnego?

– Niech pan nie wierzy we wszystko, co mówią ludzie – poradził mu Abel. – Większość z tego to albo pochlebstwa, albo pomówienia. A czasami z trudem da się odróżnić jedno od drugiego.

Tekin przytaknął z wahaniem i spojrzał na Abła z wyrazem zmieszania na twarzy.

– Ale dlaczego jest pan tu dzisiaj? Do wczorajszego morderstwa przysłali nam lekarza sądowego z Charité. A dzisiaj Federalny Urząd Kryminalny! Czyżby ta kobieta tutaj była uśpioną sowiecką agentką

albo coś w tym rodzaju?

*Byłoby fajnie.* Abel stłumił uśmiech.

Markowitz przewrócił oczami i w krótkich słowach wyjaśnił praktykantowi, że na lotnisku w Brandenburgii wydarzył się wypadek z licznymi śmiertelnymi ofiarami.

– Wszyscy dostępni lekarze sądowi z obu instytutów przy Turmstraße są teraz w terenie.

– Super – powiedział praktykant. Jego okrągła twarz wykrzywiła się w uśmiechu. – Jeszcze jedna nieudana próba Berlina i Brandenburgii uruchomienia lotniska – zażartował. – Ale przynajmniej dzięki temu mamy honor ogrzać się w blasku doktora Abła.

Markowitz, rozbawiony, dał mu kuksańca w ramię.

– Wystarczy już, chłopcze.

Ponownie zwrócił się do Abła.

– Ale wracając do rzeczy, na moje oko po dokonaniu przestępstwa nikt tu nic nie zmienił. Ani sprawca, ani opiekunka, która dzisiaj rano znalazła tu starszą panią. Zadzwoiła do drzwi Iriny Pietrowej. Kiedy ta jej nie otworzyła, próbowała skontaktować się z nią przez telefon, również bezskutecznie. Potem przyniosła z administracji klucz centralny i po konsultacji ze swoją przełożoną weszła do środka. Wszystko zgodnie z przepisami. Po otwarciu drzwi rzuciła tylko okiem na leżącą w przedpokoju starszą panią. – Wskazał na nieruchomą twarz martwej staruszki. – Potem pobiegła z krzykiem do swojej szefowej, która od razu do nas zadzwoniła.

– Mercedes Camejo z Santo Domingo! – wtrącił się Tekin. Jego głos stał się nagle o pół oktawy wyższy. – Piękność jak z *Baśni tysiąca i jednej nocy!*

Abel i Markwitz popatrzyli na niego zdziwieni. Praktykant położył obie ręce na głowie, jakby bardzo chciał stać się niewidzialny.

– A więc krótko mówiąc – kontynuował nadkomisarz – moim zdaniem jest to morderstwo na tle rabunkowym, dokonane przez kogoś, kto wszedł do środka za nią. Sprawca przeszukał całe mieszkanie i w szafie w sypialni znalazł biżuterię starszej pani. Ułożył na łóżku jeden obok drugiego wszystkie łańcuszki, pierścionki i broszki i prawdopodobnie wybrał najcenniejsze okazy. W szkatułce na biżuterię, według zeznania opiekunki, pani Pietrowa zawsze trzymała od dwustu do pięciuset euro, po których też nie ma śladu. To bardzo typowe dla tego rodzaju przestępstw.

Abel od razu ujrzał przed sobą charakterystyczny model przestępstwa. Ten typ sprawcy wybierał przeważnie samotnie mieszkających starych ludzi. Szedł za swoją ofiarą od supermarketu albo kościoła do domu i niezauważony wślizgiwał się za nią przez drzwi do budynku. Kiedy ofiara otwierała drzwi do mieszkania i wchodziła do środka, wymierzał jej silny cios, wdzierał się do wnętrza i zamykał za sobą drzwi. Potem wiązał albo zabijał ofiarę, przeszukiwał pomieszczenia i ulatniał się ze swoją zdobyczą.

– Ale w tym przypadku chodzi o sprawcę z poczuciem misji – mówił dalej nadkomisarz. Odsunął się na bok, tak że Abel po raz pierwszy mógł bez przeszkód zobaczyć zwłoki.

Markowitz wskazał na pokryte niezgrabnymi literami nogi ofiary. Sprawca na prawej nodze Iriny Pietrowej, poczynając od kostki w górę, napisał jaskrawoczerwoną szminką słowo „Respectez”. A na lewej nodze: „Asia”.

Abel uklęknął obok zwłok. Końcami palców ubranej w rękawiczkę prawej ręki ostrożnie przejechał po napisach na nogach Iriny Pietrowej. Mimo letniego upału stara kobieta miała na sobie rajstopy. Ale sprawca nie napisał swoich haseł na nich, lecz uwiecznił je na gołej skórze ofiary. Ablowi wydało się to jeszcze dziwniejsze niż samo przesłanie.

– Po wszystkim podciągnął jej z powrotem rajstopy – zauważył zdziwiony. – I po co to zrobił?

– Niech pan mi to powie. – Markwitz stał pochylony nad Ablem, opierając się dłońmi o uda. – Zainscenizował to, żeby naprowadzić nas na fałszywy trop? Żebyśmy myśleli, że nie był to zwykły mord rabunkowy, lecz miał podłoże osobiste.

Oddychał głośno, co nie dziwiło Abła. Mocno zbudowany funkcjonariusz policji kryminalnej miał

bardzo okazały obwód brzucha i dlatego w pochylonej pozycji brakowało mu powietrza.

– Nie czuję się odpowiednim partnerem do rozmowy na ten temat – odpowiedział Abel. – Ale skoro już pan pyta, to gdyby chciał upozorować morderstwo na podłożu osobistym, prawdopodobnie nie zadawałby sobie tyle trudu, aby ściągnąć jej rajstopy, zrobić napisy na nogach i potem znów ją starannie ubrać. Ten sposób postępowania na mój gust ma zabarwienie jednoznacznie seksualne, niezależnie od tego, czy ofiara w tym momencie jeszcze żyła, czy już nie.

Markwitz, głośno sapiąc, wrócił do pionowej pozycji.

– Nieźle, doktorze Holmes – powiedział. – Czy ma pan jeszcze jakieś genialne pomysły?

– Na jedną rzecz od razu zwróciłem uwagę – odparł Abel. – Studiowałem w Lozannie i dość dobrze znam francuski. Sprawca przekazał nam nie tylko wiadomość, lecz również problem gramatyczny. Gdyby domagał się po francusku, abyśmy szanowali Azję, poprawnie musiałyby napisać „Respectez l’Asie”.

– No tak, ale kto dzisiaj potrafi jeszcze poprawnie pisać? – wtrącił Markwitz.

– Tutaj chodzi o coś więcej niż poprawna pisownia – zastanawiał się Abel. – Nikt, kogo ojczystym językiem jest francuski, nie zrobiłby takiego błędu. Odwracając sytuację, pan w swoim języku też nigdy by nie powiedział: „Respektuję Azji”.

Obudził się w nim zapał śledczy. *Być może faktycznie nie jest to taki znów banalny przypadek, pomyślał.*

## 6

### Autostrada w pobliżu Marsylii Pięć lat wcześniej

Właśnie zjechał na lewy pas, aby wyprzedzić nadające się do muzeum renault R4, które dostawało zadyszki nawet na najmniejszym wzniesieniu. I właśnie w tym samym momencie młoda kobieta za nim zaczęła krzyczeć.

Zagotował się z wściekłości.

– Stul dziób, wstrętna cipo! – wrzasnął i tak gwałtownie szarpnął kierownicą, że samochód na moment wpadł w poślizg. Nadające się na złom R4 dało astmatyczny sygnał klaksonem, a kierowca wściekle gestykulował w jego stronę.

– Pieprz się, tłusty pierdzielu. – Zjechał w prawo niemal przed samym zderzakiem R4. Jednocześnie niemal wykręcił sobie szyję, aby zobaczyć we wstecznym lusterku, co robi ta mała zdzira z tyłu. Na szczęście samochód jego brata nie miał bocznych okien w przestrzeni ładunkowej. Gruby kierowca renaulta z pewnością wszcząłby jeszcze większą awanturę, gdyby zobaczył związaną kobietę.

W jakiś sposób udało się jej ściągnąć taśmę, którą miała zaklejone usta. Trzymała się już tylko z jednej strony. Ta głupia lafirynda rzucała głową we wszystkie strony i darła się, jakby ją przypiekali na rożnie.

– Stul pysk, ty pieprzona dziwko! – wrzasnął.

Od razu przestała krzyczeć. *No, nareszcie*, pomyślał. W lusterku wstecznym widział jej wpatrujące się w niego szeroko otwarte z przerażenia oczy. Gdy tylko znów skoncentrował wzrok na drodze, zaczęła na nowo krzyczeć.

– Na pomoc! – piszczała. – Zostałam porwana. Policja!

Niespokojnie zamrugał oczami. *Tylko bez paniki*, upominał sam siebie.

Na poboczu pojawiła się tablica informująca, że za pięćset metrów będzie parking. Drżały mu ręce. Z napięcia ledwo mógł utrzymać w rękach kierownicę. A ta mała zdzira wrzeszczała jak opętana.

– Nie możesz poczekać?! – krzyknął. – I wiesz co? Ja też nie mogę!

Prawie nie zmniejszając prędkości, skręcił w prawo i zjechał na parking.

*Czas na kilka ćwiczeń kaligraficznych nożem do obierania warzyw*, pomyślał.



**Berlin-Tegel**  
**Mieszkanie Iriny Pietrowej**  
**Piątek 3 lipca godz. 13.50**

Kłęcząc przy zwłokach Iriny Pietrowej, Abel przyciągnął swoją walizkę.

– Czy zna pan już dokładny czas zgonu, czy też musimy wykonać jeszcze kilka staroświeckich wyliczeń? – zapytał go Markwitz.

– Wyliczenia tak, staroświeckie nie. – Abel wyjął z walizki cyfrowy termometr, aby najpierw zmierzyć dokładną temperaturę pomieszczenia. Temperatura odczuwalna wynosiła z pewnością co najmniej trzydzieści siedem stopni.

Potem rozpiął guziki płaszcza Iriny Pietrowej, jej bawełnianej kurtki i bluzki. Pot wystąpił mu na twarzy i uważał, aby ani jedna jego kropla nie spadła na skórę albo ubranie ofiary.

– Może panu pomóc? – powiedział Tekin Okyar i już kucnął po drugiej stronie zmarłej. – Zdejmujemy jej płaszcz?

Abel pokręcił przecząco głową.

– Zostawiamy wszystko tak jak jest, dopóki nie przewieziemy ciała do nas do instytutu. Potrzebujemy sensownego oświetlenia, żeby to wszystko dokładnie zbadać. Weźmie pan ze mną?

Pokazał praktykantowi, jak musi chwycić, aby ostrożnie odwrócić ciało. Kiedy Irina Pietrowa leżała już na brzuchu, Abel podciągnął jej płaszcz, kurtkę z dzianiny i bluzkę tak wysoko, że odsłonił plecy aż po łopatki.

Plamy opadowe na plecach były bardzo wyraźne. Silne naciśnięcie pęsetą prawie nie powodowało odbarwienia. Także stężenie pośmiertne było już bardzo duże – ręce i nogi starej kobiety były całkowicie sztywne, nie dawały się zginać w łokciach i kolanach.

Temperatura w mieszkaniu Iriny Pietrowej wynosiła dwadzieścia osiem i osiem dziesiątych stopnia Celsjusza. Abel zapisał wynik w swoim notesie. Następnie podciągnął do góry spódnicę zmarłej, zsunął jej rajstopy i majtki i włożył termometr w odbyt, aby zmierzyć temperaturę rektalną.

Zanim z pomocą Tekina Okyara znów odwrócił zmarłą na plecy, starannie doprowadził jej ubranie do porządku. Praktykant przyglądał mu się ze zmieszonym wyrazem twarzy, ale nie zadawał pytań, które najwyraźniej miał na końcu języka.

*Jeszcze to zrozumiesz, chłopcze, pomyślał Abel. Gdybyśmy nie szanowali godności zmarłych, nie różnilibyśmy się od tych, którzy odbierają im życie.*

Wyjął z walizki generator prądu pobudzającego. Najpierw wbił w skórę obu zewnętrznych kątów oczu Iriny Pietrowej dwa cienkie jak igła końce diod połączonych z aparatem cienkimi kablami. Kiedy już włączył i ponownie wyłączył generator, powtórzył procedurę, umieszczając cieniutkie diody w skórze nad wewnętrznymi kątami oczu, bezpośrednio obok nasady nosa zmarłej. W ten sam sposób sprawdził na koniec izoelektryczną pobudliwość mięśni twarzy na czole i policzkach. Podczas żadnej z tych prób nie wystąpiła zauważalna kontrakcja mięśni mimicznych. Twarz Iriny Pietrowej była sztywna jak maska.

– Nie da się już wywołać – powiedział Abel bardziej do siebie niż do innych. Wstał z trudem i rozejrzał się za Markwitzem. – Można otworzyć okna. Świeże powietrze wszystkim dobrze zrobi – dodał, a obecni odetchnęli z ulgą. Ktoś otworzył na oścież drzwi balkonowe. Powietrze, które wtargnęło do środka, było co prawda gorące jak na Saharze, ale za to zawierało przyzwoitą ilość tlenu. I przede wszystkim nie pachniało śmiercią.

Abel rozpiął zamek błyskawiczny kombinezonu i wyłowił z kieszeni spodni smartfon BlackBerry. Wprowadził wyniki pomiarów do aplikacji Appen, którą stworzył dla jego wydziału Ingolf von Appen, geniusz komputerowy, a wcześniej praktykant w jednostce Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”. W ciągu ułamka sekundy kryminalistyczna aplikacja wyliczyła przypuszczalny czas zgonu Iriny Pietrowej.

– Wczoraj wieczorem pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą – powiedział do Markwitza. – Plus minus dwie godziny.

Nadkomisarz pogładził się po brodzie.

– To tyle na temat staroświeckich obliczeń. Jeszcze niedawno trwało to całą wieczność. – Widać było, że jest pod wrażeniem.

Abel zapisał wartość ustaloną przez aplikację, zamknął ją i otworzył książkę telefoniczną w smartfonie. Zadzwoił do sekcji transportu zwłok Federalnego Urzędu Kryminalnego i kazał przewieźć zmarłą do jego wydziału w Treptowers.

– Kiedy może pan przeprowadzić sekcję? – zapytał Markwitz, gdy Abel zakończył rozmowę. – Nie muszę panu mówić, że znów wszystko jest bardzo pilne. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie wpadniemy na ślad sprawcy...

Abel ruchem ręki przerwał mu w pół słowa.

– Dzisiaj o osiemnastej – rzucił.

– Świetnie – odparł nadkomisarz. – Więc będę u pana o szóstej. Z fotografem.

– I jednym praktykaniem – dodał Tekin.

Markwitz położył rękę na ramieniu chłopaka.

– Proszę bardzo. Szkoda byłoby studzić tak wielki zapał – stwierdził z ojcowskim uśmiechem. – A jeśli do tego czasu uda ci się ustalić, dlaczego sprawca koniecznie chce, żebyśmy szanowali Azję, osobiście mianuję cię starszym praktykaniem.

Wierzchem dłoni przetarł czoło i oczy. W jednej chwili nadkomisarz wydał się tak wykończony, jak wykończony czuł się Abel.

*Kiedy wróci Herzfeld, powinienem zrobić sobie urlop*, pomyślał Abel. Po prostu wyjechać na tydzień do Francji albo do Włoch...

Mimo osławionej intuicji za grosz nawet nie przeczuwał, jak szybko spełni się jego życzenie. I jak ten urlop będzie miał jednak niewiele wspólnego z wypoczynkiem. Raczej będzie przypominał szkołę przetrwania dla żołnierzy Legii Cudzoziemskiej.

## 8

### **Berlin, Treptowers Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” Piątek 3 lipca godz. 18.15**

Na drugim podziemnym poziomie Treptowers Abel stał za stołem sekcyjnym i wykonywał obdukcję Iriny Pietrowej. Asystował mu siwobrody doktor Scherz, który sprawiał wrażenie tak samo skoncentrowanego i ponurego jak rano. A właściwie jak zawsze.

Klimatyzacja wypluwała przez szczeliny w suficie lodowate powietrze. Chociaż tu, w środku, temperatura odczuwalna wynosiła piętnaście stopni Celsjusza, fartuch chirurgiczny kleił się Ablowi do ciała. Czuł się wykończony. Ale w sytuacji takiej jak ta oczywiście nie mógł i nie chciał odejść od stołu.

Obecni byli nadkomisarz Markwitz oraz doświadczony fotograf policyjny Marwig Schachner, który od wielu lat był stałym gościem berlińskiej sali sekcyjnej. Abel przywitał się z nimi koleżeńskim uściskiem dłoni. Zgodnie z zapowiedzią Markwitz przyprowadził ze sobą praktykanta Tekina Okyara, otoczonego taką samą aurą żądzy wiedzy i zuchwałości, jaką dało się zauważyć już wcześniej tego dnia.

Kolega z Wydziału Analiz Kryminalistyczno-Technicznych właśnie przekazał przez telefon Markwitzowi najnowsze wyniki laboratoryjne. W laboratoriach WAKT w Berlin-Tempelhof puszczono w ruch całą maszynę kryminalno-techniczną, aby rozszyfrować tożsamość sprawcy.

Tak jak się Abel tego obawiał, po powrocie z miejsca przestępstwa zastał w swoim wydziale chaos. Z powodu niespodziewanego dyżuru napłynęła do nich cała flota trumien z ciałami zmarłych. I każdy przypadek był oczywiście jednakowo pilny.

W Berlin-Lichtenrade znaleziono w mieszkaniu martwego emeryta. Najwyraźniej były urzędnik skarbowy leżał tam już od tygodni. Resztkę trującego koktajlu, którą zabezpieczono w szklance stojącej na stoliku obok jego fotela, mówiła sama za siebie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa siedemdziesięciosiedmiolatek, który miał raka jelita w końcowym stadium, sam świadomie pożegnał się z życiem. Ale na tym etapie była to tylko robocza hipoteza, ponieważ w jego domu policja znalazła cały segregator listów z pogróżkami, które były kontroler podatkowy otrzymywał przez długie lata pracy zawodowej.

Tak więc badaniami medycznymi trzeba było sprawdzić, czy jakiś przyłapany grzesznik podatkowy nie zemścił się po latach i nie upozorował samobójstwa swojego dawnego prześladowcy. Prokuratura zażądała zatem niezwłocznej obdukcji. A to był dopiero początek.

W ubiegły weekend w Spandau pięcioosobowa rodzina przeniosła się z grillem do garażu, ponieważ nagłe oberwanie chmury wypłoszyło ich z ogrodu. Najwidoczniej rodzice razem z trójką dzieci parę godzin piekli w zamkniętym pomieszczeniu steki i kiełbaski na grillu opalonym węglem drzewnym. Dzisiaj przed południem zwabiona nieprawdopodobnym smrodem zgnilizny sąsiadka znalazła całą piątkę martwą w garażu.

Musieli więc teraz sprawdzić, czy był to tylko tragiczny przypadek. A być może któreś z obojga rodziców popełniło „rozszerzone samobójstwo”. I chociaż na koniec najprawdopodobniej okaże się, że rodzina zginęła w powodu niezamierzonego zatrucia tlenkiem węgla, prokuratura zarządziła, aby jeszcze dzisiaj przeprowadzić sekcję zwłok wszystkich pięciu ofiar.

Zawsze tak się to kończyło. Jeśli zmarli nie zostawiali pożegnalnych listów, a sprawcy oświadczenia o przyznaniu się do winy, Abel i jego koledzy musieli sprawdzić, czy w albo na zmarłych nie znajdowały się mniej lub bardziej czytelne informacje. Przy czym wiadomości nader rzadko były dosłownie nabazgranymi słowami na ciele ofiary jak u Iriny Pietrowej.

W każdym razie Abel i jego zespół cały dzień stali za stołami sekcyjnymi. Sabine Yao i Alfonsa Muraua godzinę temu wysłał do domu, ponieważ oboje byli u kresu sił. Porcelanowa twarz Yao zrobiła się wręcz przezroczyta, a Murau o wpół do czwartej nie był już w stanie wyrecytować ani jednego wersu Baudelaire’a czy Gottfrieda Benn’a. W jego przypadku stanowiło to stuprocentową oznakę skrajnego wyczerpania.

Tylko po Scherzu, wydawało się, trudy maratonu sekcyjnego spływają jak mżawka po kurtce sztormowej. Chociaż przeważnie to on wszczynał największy lament z powodu niespodziewanego nawału pracy, mocno zbudowanemu ordynatorowi ani trochę nie przeszkadzało, aby jednym ciągiem pracować dwanaście albo czternaście godzin ze skalpelem lub piłą do kości w rękę. Najwidoczniej był nie tylko nieczuły jak skała, ale też równie odporny. Poza tym wydawało się, że nie ma żadnego prywatnego życia – przez wszystkie wspólnie spędzone lata Abel nigdy słyszał, aby wspominał o jakichś swoich przyjaciółkach albo członkach rodziny.

Wskutek brutalnego użycia siły krtani oraz kości gnykowa Iriny Pietrowej zostały w kilku miejscach złamane. Punktowe krwiaki w spojówkach gałki ocznej i błonie śluzowej w ustach wskazywały, że przyczyną śmierci było uduszenie, kombinacja zadzierzgnięcia i zadławienia.

Stara kobieta miała otarcia naskórka oraz świeże krwiaki na dłoniach i ramionach. Te uszkodzenia ciała powstałe podczas obrony wskazywały, że podczas duszenia była w pełni przytomna i musiała bronić się ze wszystkich sił.

Abel próbował zabezpieczyć ślady tkanki pod paznokciami zmarłej. Co prawda paznokcie nie ułamały się podczas walki, ale były bardzo krótko przycięte. Dlatego Abel nie pałał zbytnim optymizmem, że uzyska wystarczająco dużo materiału, aby laboratorium zdołało określić na tej podstawie DNA sprawcy.

– Nie wygląda to dobrze – powiedział do Markwita. – Ilość nabłonka skóry zostawiona przez naszego sprawcę jest minimalna, przynajmniej w aspekcie makroskopowym. W każdym razie warto spróbować.

– W WAKT też nie wygląda to dobrze – odpowiedział Markwitz. – Na razie nic nie mają. Ani jednego nadającego się do wykorzystania odcisku palca, za to zdumiewająca gmatwanina włókien, z których niewiele da się wywnioskować. – W jego głosie słyszało się zdenerwowanie. – Ostatnią deską ratunku, której się w tej chwili uczepiłem, jest wyodrębnienie DNA. Nie mamy świadków, którzy by coś widzieli albo słyszeli. Nie było też monitoringu, na którym nagrałoby się coś, co mogłoby nam pomóc, ani na ulicy, ani przed supermarketem, w którym według tamtejszych pracowników Pietrowa codziennie robiła zakupy.

– W poniedziałek będziemy wiedzieć więcej – odparł Abel. – Po tym, co najwidoczniej rozegrało się na miejscu zbrodni, na pewno znajdziemy DNA sprawcy. – Wskazał na baterię próbek z wacikami, rezultat swojej pracy nad paznokciami Iriny Pietrowej. – Przy dużej dozie szczęścia ta ilość DNA powinna wystarczyć na pełny profil – dodał. – Jak już tu skończymy, zaniosę to na górę do laboratorium genetycznego. Kolega Fuchs również w weekendy z reguły pracuje do dwudziestej. Będzie mógł od razu rozpocząć analizy.

Podczas gdy Abel i Scherz kontynuowali pracę, wszyscy obecni prowadzili ożywione spekulacje na temat tego, co mogło znaczyć hasło „Respectez Asia”. Co sprawca chciał im tymi słowami przekazać? Właściwie do kogo je kierował? Do policji, mieszkańców Berlina czy po prostu do całego świata?



Oczywiście Markwitz po południu sprawdził tę tajemniczą wiadomość w rozmaitych bankach danych i wyszukiwarkach, ale wynik był negatywny.

Doktor Scherz parsknął charakterystycznie.

– A co tu jest do myślenia? – burknął. – Sprawca pochodzi z Chin, Wietnamu albo innej Korei. W każdym razie jako Azjata czuje się u nas dyskryminowany.

Szczęście, że Scherz nie pracuje w kryminalnym, skonstatował Abel w duchu, ale powstrzymał się od komentarza. Przy stole sekcyjnym ordynator był asem, ale w prawdziwym życiu ten gruboskórny mężczyzna zawsze widział tylko to, co miał przed samym nosem. Myśl, że sprawy bardzo rzadko bywają takie, na jakie wyglądają, po prostu uważał za całkowicie absurdalną.

– A byłem pewny, że już kiedyś widziałem tę wiadomość – pożalił się Tekin Okyar – jako tatuaż u jakiegoś sportowca czy coś...

– W takim razie napisz ją sobie na nodze i będzie okej – przygadał mu Markwitz.

– Dla mnie wygląda to tak, jakby sprawca chciał sprowadzić nas na fałszywy trop – powiedział Schachner.

Pięćdziesięcioletni fotograf o ostrych rysach twarzy był znany z tego, że bez skrępowania wdawał się w dyskusje śledczych i patologów. Inni fotografowie policyjni po prostu milczeli podczas pracy i cieszyli się, kiedy mogli jak najszybciej opuścić miejsce przestępstwa albo salę sekcyjną z ich przygnębiającą atmosferą i smrodem. Ale Marwig Schachner wtrącał się i podrzucał różne kreatywne pomysły, które jednak rzadko okazywały się trafne.

– Prawdopodobnie chce, abyśmy myśleli, że jest francuskojęzycznym Azjata – kontynuował. – Ale fakt, że napisał „Azja” po angielsku, wskazuje jednak, że francuski nie jest jego mocną stroną.

Na twarzy Markwita pojawił się niezbyt przyjazny grymas.

– Jeszcze jakieś propozycje? – zapytał, szarpiąc końce bujnych wąsów.

Jak Abel wiedział z doświadczenia, ten gest świadczył o tym, że nadkomisarz jest mocno nabuzowany.

– Dopóki nie znajdziemy innego punktu zaczepienia, nie ma sensu spekulować na temat znaczenia hasła i tożsamości sprawcy – ciągnął Markwitz. – Oczywiście mógł zrobić błąd celowo, żebyśmy myśleli, że nie jest francuskojęzyczny.

Na kilka minut zapadło milczenie. Tylko Abel w zawrotnym tempie cichym głosem nagrywał raport z sekcji na dyktafon, który wisiał na przewodzie nad stołem sekcyjnym.

„...wypreparowanie okolicy grzbietowej ciała za pomocą biegnącego środkiem rozcięcia od karku do kości krzyżowej. Podskórna tkanka tłuszczowa na obydwu łopatkach barwy silnie ciemnoczerwonej, lśniąca wilgocią, w obu przypadkach o promieniu siedmiu centymetrów, podbiegnięta krwią. Ten sam uraz w okolicy nad piątym trzonem kręgu lędźwiowego i nad kością krzyżową, pośrodku ciała, na przestrzeni cztery na osiem centymetrów. W przypadku wymienionych powyżej urazów chodzi o uszkodzenia tkanki w następstwie silnego przyciskania do ziemi grzbietu ofiary podczas czynności duszenia i zadławienia...”

Nikt oprócz Renate Hübner, znanej z braku poczucia humoru sekretarki w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, nie potrafił niemal bezbłędnie i jednocześnie w rekordowym tempie dokonać transkrypcji tego przypominającego staccato mamrotania.

– Mam! – wybuchnął nagle praktykant. – Ta dobra kobieta sama pomazała się szminką, żeby znów oglądali się za nią mężczyźni. I teraz ma za swoje. – Wskazał na mózg Iriny Pietrowej, który Scherz ze zręcznością, jakiej nie powstydziliby się żaden telewizyjny kucharz, ciął na cienkie paski.

Tylko Okyar zaśmiał się ze swojego żartu, ale zaraz śmiech utknął mu w gardle.

– W tym pomieszczeniu traktujemy zmarłych z szacunkiem – oznajmił Abel i spojrzał na niego surowo. – Czy to jasne, młody człowieku?

Tekin Okyar wciągnął głowę w ramiona i przytaknął po kolei pięć razy tak pośpiesznie, że wyglądało to nieomal, jakby dostał drgawek.

– Następnym razem już nie ujdzie to panu na sucho i wywalę pana na zbity pysk. Zakaz wstępu na zawsze. Czy to jasne? – zakończył Abel.

Praktykant zrobił się na twarzy najpierw szary, potem purpurowoczerwony.

– Bar...bardzo prze...przepraszam – wyjąkał. – Nie będzie następnego razu, przysięgam!

– W takim razie nie ma problemu – powiedział Abel i uśmiechnął się. – Poza tym jest pan całkiem zabawnym i bystrym młodzieńcem.

Wyglądało na to, że praktykant jest bliski łez.

– Dziękuję, jeszcze raz przepraszam – wymamrotał i najchętniej stałby się niewidzialny.

– Dziwna jest nie tylko sygnatura, jaką sprawca pozostawił na swojej ofierze – wrócił Abel do problemu. – Rzadkością jest również to, że na koniec znów starannie włożył ofierze rajstopy. Rodzaj naprawienia szkody?

Abel i Markwitz spojrzeli na siebie w zamyśleniu ponad stołem sekcyjnym, na którym leżały szczątki Iriny Pietrowej.

– Dobre pytanie – zauważył Markwitz.

*Pytanie dla dobrego profiler, dokończył w duchu Abel.*

Przyszedł mu na myśl jego przyjaciel Timo Jankowski, pierwszej klasy profiler z Federalnego Urzędu Kryminalnego. Ale jeśli nawet to morderstwo zawierało kilka niecodziennych aspektów, to jednak dużo bardziej wyglądało na zwykły mord rabunkowy niż na nadzwyczajną zbrodnię. *Dlatego najpierw powinni połamać sobie na tym zęby profilerzy z Krajowego Urzędu Kryminalnego. Jeśli do niczego nie dojdą albo sprawa okaże się poważniejsza, niż na to wygląda, i tak wcześniej czy później wszystko wyląduje w wydziale Jankowskiego.*

Markwitz najwyraźniej uznał, że nieszczęsny praktykant odpokutował już swój brak szacunku.

– Przez sygnaturę sprawcy rozumiemy własnoręcznie wykonany napis – wyjaśnił Tekinowi. – Tym napisem poniekąd oznajmia światu: Popatrzcie, to byłem ja.

Praktykant słuchał go z szeroko otwartymi oczami i wyrazem wręcz dziecięcej wdzięczności.

– Natomiast przez „naprawienie szkody” – mówił Markwitz – sprawca symbolicznie unieważnia swój postępek albo przynajmniej tę jego część, która jest nie do pogodzenia z jego postrzeganiem siebie lub z jego wyobrażeniem moralności.

Tekin Okyar przytakiwał jak w transie. Z ufnyim zapałem nowicjusza wręcz wchłaniał każdą informację, którą przekazywał mu Markwitz.

Abel obserwował go z nostalgicznym wzruszeniem. Chłopak przypominał mu własne początki pracy zawodowej. Kilka lat raczej bez większej ochoty studiował medycynę, chodząc na praktyki, to na neurochirurgię, to znów na internę. Przy okazji projektu badawczego dotyczącego *Indukowania neuronalnych procesów gojenia poprzez włączenie czynników wzrostu za pomocą wirusowych nośników białkowych* udało mu się nawet dokonać na tyle istotnego, chociaż niewielkiego odkrycia, że otrzymał za nie nagrodę. Profesor Helmrich, który kierował projektem, w swojej laudacji nazwał Abła „wschodzącą gwiazdą badań podstawowych w medycynie”, ale Abel nigdy siebie tak nie postrzegał. Pedantyczna praca w laboratorium z niekończącymi się seriami badań, które o wiele częściej prowadziły w ślepą uliczkę niż do przełomu, nigdy nie mogłyby go zainteresować.

Pewnego dnia nieomal przypadkowo znalazł się na zajęciach z medycyny sądowej. Profesor Moritz Faßbender, będący już za życia legendą, referował temat *Punkty styczne archeologii i medycyny sądowej – analiza porównawcza XIX i XX wieku*, okraszając swój wykład fascynującymi materiałami zdjęciowymi, niekonwencjonalnymi eksponatami i barwną anegdotą. Ale przede wszystkim doświadczony lekarz sądowy opowiadał o swoim zawodzie z takim entuzjazmem, że dwudziestotrzyletni wtedy Fred Abel natychmiast połknął bakcyła.

Po raz pierwszy w czasie swoich studiów, a prawdopodobnie nawet po raz pierwszy w życiu jakiś przedmiot bez reszty pochłoniął Abła. I ten zachwyt medycyną sądową nie wygasł do dzisiaj, wręcz

przeciwnie: z każdym rokiem płonął coraz silniej i stale gnał go od przypadku do przypadku, od kongresu do kongresu, nawet do odległych krajów jak Egipt czy leżące między Mołdawią i Ukrainą pseudopaństwo Naddniestrze, do którego także dotarła już jego sława jako lekarza sądowego.

– Kiedy możemy liczyć na wynik pańskiej analizy DNA, doktorze Abel? – Markwitz wyrwał go z rozmyślań.

Abel udawał, że zastanawia się, co odpowiedzieć, ale tak naprawdę wciąż jeszcze rozmyślał o sobie.

*A może moja siostra rzeczywiście ma rację?* – pomyślał. Może zbyt pochopnie porzucił badania naukowe, dzięki którym być może mógłby uratować życie matce i tysiącom innych pacjentów, tylko dlatego, że pasjonujący zawód i pełne niezwykłych doświadczeń życie lekarza sądowego w Federalnym Urzędzie Kryminalnym stanowiły obietnicę większego spełnienia? Kiedy się nad tym zastanawiał, nagle cała sprawa nabrała innego sensu.

*Czy Marlene miała prawo tak powiedzieć? Czy ktokolwiek na świecie miał prawo zmuszać innego człowieka, aby zrezygnował z tego, co jest dla niego ważniejsze niż wszystko inne?*

– Do poniedziałku do południa będzie pan miał wszystko na biurku – powiedział Abel.

## 9

### Col du Sauvage, w pobliżu Marsylii Dawny zbiornik retencyjny Pięć lat wcześniej

Na w pół rozpadającą się ruinę odkrył zupełnie przypadkowo podczas jednego ze swoich niekończących się pozbawionych celu marszów po lesie. Jak zwykle wyobraził sobie, że jego przeciwnicy urządzili na niego polowanie z nagonką. Musiał znaleźć kryjówkę, gdzie nie mogliby go wytropić. Nagle znów do tego stopnia zatopił się w fantazjach, że na początku nie połapał się, że ma przed sobą realne ruiny. Stanowiły jednak idealną kryjówkę. Czarne od wilgoci mury, ale tak solidne, jak tylko można było sobie życzyć. Większa część kompleksu leżała pod ziemią, a kondygnacja wystająca nad powierzchnię ziemi była częściowo zapadnięta i zarośnięta kolczastymi krzewami.

*Podziemny zamek Śpiącej Królowej.* Z tą tylko różnicą, że mieszkańcy nie byli pogrążeni w głębokim śnie, lecz popiskując i drapiąc pazurkami, przemykali po mrocznych komnatach. Setki, tysiące szcurków, niektóre wielkie jak wyrosnięte teriery. We wszystkich ścianach i pod posadzką bulgotała woda i śmierdziało szlamem i zgnilizną.

Furgonetką brata podjechał pod mur najbliżej, jak się dało. Kiedy leśna droga skończyła się przed hałdą żwiru, zaparkował peugeota tak, że samochód prawie schował się w leśnym podszyciu.

Zarzucił sobie małą zdzirę na ramię i resztę drogi przebył pieszo. Nie sprawiło mu to najmniejszej trudności. Był tak silny, że aż samego go to dziwiło, a miał wytrzymałość dziesięciu koni. Przy każdym kroku dzwoniły o siebie ostrza noży, które rozmieścił w bocznych kieszeniach dżinsowych bojówek. Trzy w lewej, w prawej dwa i kieszonkowa latarka.

Gdy dotarł do ruin, nawet się nie zasapał. Oczywiście już od dawna wyczuwał, że odzyskała przytomność. Ale nadal zachowywał się tak, jakby niósł na ramieniu martwy ciężar. Worek wypchany szmatami albo ciałem.

W końcu nie przyszedł tu, aby porozmawiać. *Tylko mi tu nie gadaj głupot, bo nie ręczę za siebie.* Rzucił ją na trawę obok zardzewiałych stalowych drzwi, które zamknął na kłódkę. Zanim wyciągnął klucz i otworzył kłódkę, przeczornie postawił stopę na jej szyi.

Bo faktycznie znowu zaczęła skomleć, a on ponownie zagotował się z wściekłości. *Jeśli nie zamknie ryja, to jednak najpierw ją zabiję, a dopiero potem obrobię nożami.* Ale plan był taki, żeby tym razem załatwić to odwrotnie.

Przydepnął ją mocniej, ale tylko trochę, żeby się zamknęła. Od razu przestała skomleć. *No, proszę, jednak się da.* Dopiero kiedy chciał ją postawić, zorientował się, że znów straciła przytomność. *Nieważne, mogę znieść ją również na dół.*

Ukląkł, ponownie zarzucił sobie ciężar na ramię i znikł z nim we wnętrzu ruiny. W środku zapalił latarkę i silne światło przemknęło po zapleśniałych ścianach i pełnej kałuż i szcurzych kości posadzce. Ze wszystkich stron dochodziły piski i mlaskania. Pożądliwie wciągnął do płuc przesycone stęchlizną powietrze.

Zaraz rozbierze tę szmatę i popracuje nożem do warzyw nad jej plecami albo jednym z mniej ciekawych miejsc. Był to rodzaj rozgrzewki, podczas której oboje mogli się do tego przyzwycząić.

Dopiero teraz zaczął się naprawdę cieszyć. *Hej, udało mi się!* – pomyślał. *Który idiota twierdził, że niczego nie dokonam?*

# 10

**Berlin-Grünau**  
**Dom doktora Freda Abła**  
**Sobota 4 lipca godz. 19.30**

Abel właśnie szykował stół w jadalni, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. *Cała Marlene, pół godziny za wcześnie.*

Z powrotem położył na stole stertę protokołów sekcyjnych i poszedł do drzwi. Razem z Lisą przemarudzili cały dzień w domu. Co prawda Abel miał przez cały weekend dyżur telefoniczny, ale jakimś cudem jego blackberry milczał jak zaklęty. W którymś momencie nawet sprawdził, czy bateria się nie wyczerpała albo czy nie stracił zasięgu. Ale po prostu wyglądało na to, że dzisiaj nawet maniakalni psychopaci nie mają energii do morderstw. Termometr już o jedenastej rano podskoczył do trzydziestu trzech stopni. Poza tym na dworze panowała niemożliwa do zniesienia duchota.

Przy takiej pogodzie ludzie robili tylko to, co konieczne. Oczywiście tylko jego siostra chodziła na najwyższych obrotach.

I faktycznie, Marlene udało się zadzwonić jeszcze dwa razy, zanim doszedł do drzwi. Kiedy wczoraj wieczorem zapowiedziała się z wizytą, chciał odmówić pod jakimś pretekstem, ale żaden wiarygodny powód nie przyszedł mu naprędce do głowy. Zazwyczaj nie miał zwyczaju odraczać sporów, ale w tym wypadku z chęcią przesunąłby to na później. Aż dojdzie do ładu sam ze sobą.

Ale Marlene nie była kobietą, która dałaby sobie zamydlić oczy albo pozwoliła wodzić się za nos, a już na pewno nie jemu. W końcu była jego starszą siostrą, starszą o trzy lata. Kilka miesięcy po dziewiątych urodzinach Abła rozpoczęła się długa walka ich matki Elisabeth z chorobą, która najpierw posadziła ją na wózku inwalidzkim, a później stopniowo coraz bardziej przykuwała do łóżka. Ich ojciec Gustav Abel zginął w wypadku samochodowym pięć lat przed zdiagnozowaniem choroby matki. I tak Marlene, chcąc nie chcąc, przejęła część rodzicielskiej kontroli nad młodszym bratem, chociaż tak naprawdę sama była jeszcze dzieckiem.

Otworzył drzwi z uśmiechem, który według niego miał wyrażać poczucie winy.

– Marlene, miło cię widzieć!

Miała na sobie czarną workowatą sukienkę, która sięgała jej do kolan. Jeszcze bardziej zeszczuplała i nieładne zmarszczki, które ciągnęły się pionowo od kącików ust, zrobiły się jeszcze głębsze. Ale być może tylko to sobie wmawiał. Chociaż była od niego o pół głowy niższa, przez moment przeszyło go niemiłe uczucie, że musi podnieść wzrok w górę, żeby spojrzeć jej w oczy.

Otworzył ramiona, ale Marlene nie zareagowała i stała sztywno przed progiem.

– Całkiem już zapomniałam, w jakim luksusie mieszkasz – powiedziała z wyraźnym wyrzutem w głosie.

Abel zmusił się, aby uśmiech nie zszedł z jego twarzy.

– Nie ma mowy o żadnym luksusie. Wejdz do środka, zapraszam.

Spojrzała na niego z taką przyganą jak w dzieciństwie, gdy jej zdaniem zaniedbywał się w szkolnych

obowiązkach.

„Interesuje cię wszystko oprócz nauki!”, wytykała mu niejednokrotnie. Była to gruba przesada, nawet jeśli rzeczywiście nie pałał nadmierną namiętnością do szkolnych podręczników. Tak samo jak później podczas studiów medycznych. Szczególnie się nie wysilając, uzyskiwał ze wszystkich przedmiotów ponadprzeciętne oceny. Ale Marlene i jego nauczyciele od pierwszego do ostatniego dnia nauki byli zgodni co do tego, że trwoni swoje zdolności, ponieważ o wiele bardziej interesowały go przygody związane z prawdziwym życiem niż ekspedycje umysłowe.

Zaprowadził siostrę przez przedpokój do połączonego z jadalnią salonu, który ledwie parę miesięcy wcześniej umeblowali na nowo. Marlene z ostrym świstem wciągnęła powietrze przez zęby i znów stanęła w bezruchu. Przestronne dwupoziomowe pomieszczenie było centralnym punktem domu. Dzięki purystycznemu umeblowaniu sprawiało wrażenie jeszcze większego, niż było w rzeczywistości, w czym pomagały nowe weneckie okna, przez które roztaczał się widok na ogród.

Właściwie był to tylko wąski pas trawy, ale ciągnął się aż do brzegu rzeki Dahme. Przy pomocy cumowała motorówka, którą Abel i Lisa przejęli po poprzednich właścicielach domu. Prawie nigdy z niej nie korzystali, ponieważ oboje całkowicie realizowali się w pracy. Lisa Suttner była prawniczką i miała doskonałą posadę w prokuraturze federalnej.

– Nie ma mowy o luksusie – powtórzyła Marlene oskarżycielskim tonem. – Dobrze zrozumiałam?

Abel przytaknął i próbował reanimować swój uspokajający uśmiech, ale mięśnie twarzy miał już zupełnie sztywne. Inne pary na porównywalnych posadach mieszkały w willach w bogatym południowo-zachodnim Berlinie. Ich szeregowiec na południowo-wschodnim krańcu miasta był w porównaniu z tym raczej skromną siedzibą. Ale powstrzymał się od komentarza, który Marlene i tak przyjęłaby jako oczywistą próbę szukania usprawiedliwienia.

– Usiądź, proszę – powiedział i wskazał na fotel przed kominkiem.

Ale Marlene nieomylnym spojrzeniem wypatrzyła już inne rzeczy, którymi mogła się oburzać. Szybkim krokiem podeszła do stołu przed drzwiami prowadzącymi na taras i wzięła do ręki jedną z teczek z aktami sprawy, które Abel miał właśnie uprzątnąć.

– Ale na to, to masz czas! – wyrzuciła z siebie.

– O co ci chodzi? – spytał uspokajającym tonem. – Za każdym razem, kiedy przez ostatnie trzy miesiące do mnie dzwoniłaś, natychmiast jechałem do ciebie albo do matki. Nie było tak?

*W każdym razie prawie zawsze, dodał w myślach.*

Marlene przycisnęła bladoróżowy segregator do piersi. Abel gorączkowo zastanawiał się, jak ją powstrzymać przed otwarciem tych akt. Albo któregoś z dziesięciu innych skoroszytów, które leżały rozrzucone na stole. Znajdujące się w nich zdjęcia – zastrzelonych, uduszonych, przepiłowanych albo rozkładających się ofiar morderstw – na pewno nie poprawiłyby nerwów i humoru Marlene.

– Daj mi to – poprosił i wyciągnął rękę po segregator.

Marlene, rozgniewana na Abła, patrzyła to na niego, to na segregator przy swojej piersi.

– Na to, to masz czas! – powtórzyła. – Na swoje trupy! Ale nie masz go dla swojej rodziny, gdy ta cię potrzebuje! – Rzuciła segregator z powrotem na stół. Nieszczęśliwym trafem akta się otworzyły i wypadły z nich liczne wielkoformatowe zdjęcia. Pokazywały Irinę Pietrową – jeszcze w mieszkaniu, w płaszczu i ze śladami duszenia; ubraną na stole sekcyjnym, dobrze widoczny jaskrawoczerwony napis „Respectez Asia” na nogach; rozebraną i z plamami opadowymi bezpośrednio przed sekcją; w końcu z rozciętym tułowiem i odpiłowanym wierzchem czaszki.

– Co za okropieństwo – wymamrotała Marlene. Wpatrywała się w fotografie, mrużąc powieki. – Byłeś na najlepszej drodze do zostania liczącym się naukowcem. Mógłbyś ratować ludziom życie. A co robisz zamiast tego? Pastwisz się nad zwłokami!

Mniej lub bardziej dosłownie to samo zarzuciła mu całkiem niedawno w rozmowie telefonicznej.

– Może byśmy najpierw się czegoś napili – zaproponował. – Masz ochotę na szklanek zielonego



veltlinera? Mamy też świeżą mrożoną herbatę albo...

Przerwał, gdy uświadomił sobie, że Marlene go nie słucha. Jej oczy zaszyły łzami. Szybko zebrał fotografie, włożył je z powrotem do segregatora i ułożył akta jedne na drugich. Zanim zdążył odnieść je do gabinetu, Marlene dosłownie wpadła mu w ramiona. Przycisnęła twarz do jego piersi i wybuchnęła płaczem.

Abel delikatnie objął ją ramionami i przytulił. W dotyku Marlene była koścista, jakby z wewnętrznego przywiązania schudła razem z umierającą matką. Nagle jemu też zachciało się płakać, ale był zdecydowany wziąć się w garść. Nigdy nie miał zwyczaju dawać ujścia swoim uczuciom i na pewno nie zacznie tego robić akurat dzisiaj.

Później usiedli w trójkę na tarasie i Marlene nerwowo zasypywała Abła niekończącymi się zarzutami. Na jej zazwyczaj bardzo bladej twarzy wystąpiły czerwone plamy, czoło błyszczało od potu, chociaż powietrze po oberwaniu chmury bardzo się ochłodziło.

Po raz kolejny zaczęła mu wytykać, że przysiągł jej, że zajmie się medycznymi badaniami i opracuje lekarstwo, które uratuje matkę przed przedwczesną śmiercią w męczarniach. Ona ze swojej strony dotrzymała umowy. Po skończeniu dziesiątej klasy przerwała naukę, aby opiekować się matką. Poświęciła wszystko, swoje zawodowe marzenia, osobiste szczęście, całe życie. A on co zrobił?

– Zapomniałeś o naszej umowie. Podeptałeś swoje ideały, zdradziłeś matkę i mnie! Zamiast jako naukowiec ratować ludzkie życie, zostałeś lekarzem sądowym i męczysz się ze zmarłymi! A na dodatek wygląda na to, że świetnie się przy tym bawisz. I niespecjalnie zbiedniałeś na babraniu się w trupach! – krzyknęła i oskarżycielsko pokazała w kierunku pomostu.

Szukając pomocy, Abel spojrzał na swoją partnerkę. Z rudymi jak u lisa włosami i w cienkiej letniej sukience w kolorze pasującym do jej oczu Lisa wyglądała czarująco.

Lekko uniosła ramiona, jakby chciała powiedzieć: „Ja też nie wiem, jak można ją uspokoić”. Ale nie zostawiła go bez pomocy.

W oczach Abła Lisa Suttner była nie tylko najbardziej inteligentną, kulturalną, uroczą i namiętą kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, lecz oprócz tego zawsze mógł na nią liczyć. Byli parą od około jedenastu lat i jedynym pragnieniem Abła było, aby razem się zestarzelili.

Uśmiechnęła się teraz ciepło do Marlene.

– Oczywiście doskonale rozumiem, że wszystkie nadzieje pokładałaś wtedy we Fredzie. Ale iluż to młodych ludzi zmienia kierunek studiów, kiedy nagle stwierdzą, że ich rzekomo wymarzony zawód jednak im się nie podoba? – Lisa odgarnęła z twarzy krnąbrny kosmyk włosów. – Naukowcy z całego świata od dziesiątek lat szukają leku na stwardnienie rozsiane. Bez rezultatu – kontynuowała. – Nawet jeśli Fred poświęciłby życie na te poszukiwania, jego szanse na osiągnięcie przełomu byłyby minimalne.

– Byłyby równe zero – potwierdził Abel. – Mógłbym mieć wiele talentów, ale na naukowca, który spędza życie w laboratorium, po prostu się nie nadaję. Nie byłbym w stanie opracować nawet innowacyjnego spreju na katar, nie mówiąc już o czymś tak złożonym jak środek na choroby neurodegeneracyjne.

Abła ponownie ogarnęło poczucie winy, jak to często zdarzało się w ostatnich dniach. *Ona ma rację, w każdym razie z jej punktu widzenia*, pomyślał. *Nie potrafi spojrzeć na to z innej strony.*

Marlene poświęciła wszystko. Nawet jej małżeństwo z architektem Thomasem Jakobem przetrwało zaledwie niecały rok. Całe życie podporządkowała dobru matki, a jej mąż nie potrafił się z tym pogodzić. Chociaż ich małżeństwo wciąż trwało na papierze, Marlene od dwudziestu lat żyła sama. Właściwie nie sama, lecz w domu rodzinnym w Lenthe, wsi pod Hanowerem, gdzie poświęcała się opiece nad matką. Dzień i noc, tydzień po tygodniu, prawie przez całe dorosłe życie.

– Lekarze sądowi męczą się nie tylko ze zmarłymi – powiedział Abel. – A już na pewno nie wówczas, kiedy tak jak ja pracują w Federalnym Urzędzie Kryminalnym. Pomagamy wykryć sprawców przestępstw, żeby nie mogli popełnić kolejnych zbrodni. Moja praca polega dokładnie na tym, co zawsze

chciałem robić: Pomagam ratować życie!

Potarł twarz dłonią tak gwałtownie, że aż zaszeleścił jednodniowy zarost. W niektórych miejscach jego czarne włosy były już siwe. A Marlene próbowała rozliczać go z obietnicy, którą praktycznie złożył jeszcze jako dziecko! Było to przykre i absurdalne. Jakaś część jej osoby wciąż żyła w dawno minionych czasach ich wspólnego dzieciństwa. W dodatku samotność i zgorzknienie sprawiły, że przedwcześnie się postarzała i w wieku niespełna czterdziestu dziewięciu lat wyglądała jak staruszka.

– Nie wmawiaj mi, proszę, że ta praca to takie poświęcenie! – wyrzuciła z siebie. – Czy ostatnio nie opowiadałeś mi, jak świetnie bawiłeś się u jakiegoś kirgiskiego oligarchy? Zabrał cię range roverem z lotniska i „zafundował najwspanialszą przygodę w twoim dotychczasowym życiu zawodowym”. Czy to nie były twoje słowa?

Abel powstrzymał chęć ukrycia głowy w ramionach. Najchętniej stałby się niewidzialny, aby Marlene przestała wreszcie mu wymyślać.

– Po pierwsze naddniestrzański, a nie kirgiski. Po drugie „bawić się” nie jest tu najważniejszym słowem, cała sytuacja była dość przerażająca – powiedział. – Ale reszta mniej więcej się zgadza. Zidentyfikowałem ciała jego dwóch bratanków. Dzięki temu mogłem wpaść na ślad człowieka, który ich zamordował. Jeśli sprawca zostanie skazany, spędzi resztę życia w więzieniu. Dobrze dla mieszkańców Naddniestrza, dobrze dla nas wszystkich, nie tylko dla bogatego człowieka, który zlecił mi sporządzenie opinii. Masz rację, to była dziwna przygoda, czegoś takiego nie doświadcza się zbyt często. Ale co w tym jest, twoim zdaniem, niegodziwego, Marlene?

Jednak dał się ponieść emocjom, chociaż mocno postanowił, że będzie spokojny. Pochylił się do przodu.

– A właściwie kto powiedział – kontynuował – że człowiek nie może odczuwać zadowolenia ze swojej pracy? Cieszę się przywilejem, wolno mi wykonywać zawód, który nie tylko sprawia mi przyjemność, lecz na dodatek jest pożyteczny dla ogółu. Dzięki mojej pracy udało mi się uchronić wielu ludzi przed śmiercią i nie muszę się tego wstydzić.

Marlene przytaknęła. Przez chwilę Abel myślał, że zmieniła zdanie.

– Wielu ludzi – powtórzyła cicho. – Tylko niestety nie było wśród nich naszej matki.

Znowu zaczęła płakać. Tym razem również Abel nie mógł nic poradzić, że łzy zakręciły mu się w oczach.

# 11

## Berlin-Wedding Szpital Dziecięcy Charité Niedziela 5 lipca godz. 10.45

Lilly Lindweg przysunęła maskę tlenową do twarzy i kilkakrotnie zaczerpnęła cudownie świeżego powietrza. Na brzegu łóżka siedziała jej matka, Marie, w zasadzie jak zawsze, gdy Lilly otwierała oczy.

– Idź do domu, mamó – powiedziała do niej Lilly całkiem niedawno. – Ty też musisz przecież kiedyś odpocząć.

Ale matka tylko posłała jej nieopisanie zmęczony uśmiech i została. W głębi duszy Lilly cieszyła się z tego, chociaż żal jej było matki, która siedziała przy niej poszarzała i zmęczona. A od rozmowy z lekarką na korytarzu łzy bez przerwy płynęły jej po twarzy.

*Niedługo będę miała już wszystko za sobą*, pomyślała Lilly. Wkrótce matka nie będzie musiała dzień i noc trwać przy łóżku swojej dwunastoletniej córki na oddziale intensywnej terapii, ponieważ Lilly nie dożyje następnych urodzin. Wiedziała to. Nawet jeśli matka wciąż zachowywała się tak, jakby jej córka mogła jeszcze wyzdrowieć.

Ściągnęła maskę do oddychania i macała ręką, szukając matczynej dłoni.

– Powiedziała, że muszę umrzeć, tak? – wyszeptała z trudem.

Matka pokręciła głową tak energicznie, że jej blond włosy zafalowały.

*Złotowłosa Marie i pechowa Lilly*, pomyślała Lilly, ponownie przyciskając maskę do ust. Złotowłosa Marie o jasnej karnacji i pechowa Lilly z kakaowobrazową skórą i czarnymi kręconymi włosami, które zdążyły jej całkiem wypaść po chemioterapii.

Mało brakowało, aby zaczęła teraz ryczeć, ale wzięła się w garść. Miała białaczkę i umrze na nią. Wiedziała o tym dopiero od dwóch miesięcy. Istniały rodzaje białaczki, które można wyleczyć, ale jej choroba do nich nie należała.

Ponownie zdjęła maskę z ust.

– Wiedziałam o tym już wcześniej – wyszeptała. – Czułam to. I wiesz co, mamó, to wcale nie jest takie straszne!

Po tylu słowach nie miała siły oddychać. Dysząc, wciągała powietrze przez maskę tlenową, którą w zasadzie powinna przymocować do głowy gumową opaską. Ale z maską na ustach i nosie w ogóle nie mogłaby mówić. A gdyby tylko po prostu leżała w milczeniu, zaczęłaby się bać. Śmierci, bycia samą na zawsze.

W ostatnich dniach stawała się coraz słabsza. Ledwo oddychała. Ciągle przysypiała i miała przejmujące grozą sny. Ale najgorsze było to, że jej matka tak potwornie cierpiała.

*Albo nie*, pomyślała Lilly. *Byłoby jeszcze gorzej, gdybym umarła, zanim jeszcze raz zobaczę tatę. Zanim go obejmę i się z nim pożegnám.*

– Czy naprawdę niedługo umrę? – zapytała, kiedy poczuła się na tyle silna, aby na kilka sekund zdjąć maskę. – Powiedz mi prawdę, mamó.

Marie Lindweg wytarła oczy całkiem moką od łez chusteczką.

*Lilly nie jest już dzieckiem, przemknęło jej przez głowę. Choroba sprawiła, że w ciągu kilku tygodni stała się dorosła. Życie jak na przyśpieszonym filmie i już po wszystkim.*

Wydawało się, że ciemne oczy Lilly płoną w półmroku szpitalnej sali. Szukały spojrzenia Marie i się go uczepliły. Każdego dnia Lilly coraz bardziej zapadała się w siebie. Marie wydawało się, że łóżko stało się za duże dla jej córki. Za wezglowiem piętrzyła się aparatura medyczna. Wydawało się, że poza szumem i pikaniem urządzeń oraz świszczącym oddechem Lilly na całym świecie panuje całkowita cisza.

*Jest taka śliczna, pomyślała Marie. To takie niesprawiedliwe! Gdybym miała wybór, natychmiast oddałabym życie, żeby tylko Lilly mogła żyć dalej!*

Ale nie było okrutnego smoka, któremu mogłaby się ofiarować, aby oszczędził jej córkę. A jeśli był, to siedział w ciele jej ukochanej małej Lilly i pożerał ją od wewnątrz.

– Lekarze mówią, że masz przed sobą około dwóch tygodni – odpowiedziała i znów zaczęła płakać.

Lilly pogłaskała ją po dłoni. *Co za absurd, pomyślała Marie, przecież to ja powinnam ją pocieszać!* Ale nie było w niej pociechy. Tylko ból, wściekłość i smutek.

– To nic – wyszeptała Lilly. – Nie boję się, mamo. Nie śmierci. Tylko nie chcę być sama, gdy będę umierać. – Przycisnęła maskę do ust i nosa i mówiła dalej. Marie słyszała tylko dyszenie i mamrotanie, ale Lilly wydała się nagle tak pobudzona, że Marie energicznie przytaknęła.

– Lilly, uspokój się, proszę – nakazała. – Przecież wiesz, że twoja krew potrzebuje tlenu.

Lekarka powiedziała, że jeśli zawartość tlenu we krwi spadnie poniżej krytycznego poziomu, Lilly może zapaść w śpiączkę. System odpornościowy Lilly zaczął już odrzucać własne płuca, a dziewczynka tak osłabła, że nie miała szansy przeżyć operacji przeszczepienia płuc. Nie mówiąc już o tym, że na odpowiednie narządy czekało się miesiące, a nawet lata.

– Obiecujesz mi? – szepnęła Lilly, kiedy znów zdjęła maskę.

Marie wahała się. Nie rozumiała, co Lilly wyrzuciła z siebie pod maską. Co powinna jej odpowiedzieć?

– Że przyprowadzisz tu tatę – wykrztusiła, dysząc, Lilly. – Obiecuj mi! Chcę, żebyście byli ze mną oboje, kiedy będę umierać.

Marie wyjęła maskę z jej dłoni i delikatnie przycisnęła ją do jej ust i nosa.

– Tak, Lilly, obiecuję ci to – przyrzekła uroczyście. – Zaraz zadzwonię do taty. Na pewno przyjdzie.

Miała wielką nadzieję, że jej słowa zabrzmiały bardziej przekonująco, niż to czuła.

Lars Moewig, ojciec Lilly, był odludkiem i awanturnikiem, który często wyjeżdżał do egzotycznych krajów i zniknął na wiele miesięcy. Szczególnie upodobał sobie tereny objęte wojną, ponieważ Lars był ciałem i duszą żołnierzem. Służył w Legii Cudzoziemskiej w południowej Francji i północnej Afryce, jako żołnierz Bundeswehry w Somalii i Afganistanie. W jego rodzinie byli afroamerykańscy przodkowie, dlatego miał czarną skórę, chociaż urodził się w Berlinie i oboje jego rodzice mieli jasne włosy i cerę. Związek Marie z Larsem trwał tylko kilka miesięcy i rozpadł się jeszcze przed narodzinami Lilly. W gruncie rzeczy Lars był dobrym, ale nieprzewidywalnym człowiekiem. A zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy wrócił z Afganistanu.

Przez lata utrzymywali tylko sporadyczny kontakt, ale odkąd dowiedział się o śmiertelnej chorobie Lilly, wszyscy troje bardziej zbliżyli się do siebie. Lars ubóstwiał swoją małą córeczkę i w ostatnich tygodniach często odwiedzał ją w klinice. Ale od kilku dni nic o nim nie słyszały. Marie nie wiedziała nawet, gdzie teraz przebywa.

Tymczasem Lilly znów usnęła. Jej powieki zamknęły się, oddech stał się regularny i nawet przestała z takim wysiłkiem dyszeć. Marie ostrożnie przymocowała maskę tlenową córki, aby dokładnie obejmowała jej usta i nos. Potem wymknęła się z pokoju, aby ponownie spróbować zadzwonić do Larsa.

Od jakiegoś czasu używał tylko komórek na kartę, tak że numer jego telefonu ciągle się zmieniał. Jego aktualny numer był wyłączony – jak to ostatnio często bywało.

– Po prostu czasem nie mogę rozmawiać – wyjaśnił jej całkiem niedawno Lars. – Wtedy godzinami siedzę nieruchomo jak głaz. Albo biegam po okolicy, aż padam ze zmęczenia. Ale cały czas będę w kontakcie z tobą i Lilly, obiecuję!

Marie zachowała cztery starsze numery Larsa i próbowała dzwonić na wszystkie z nich.

– Wybrany numer jest nieaktualny – odpowiadał jej za każdym razem syntetyczny kobiecy głos. Dwa razy po niemiecku i dwa razy po angielsku.

# 12

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 11.05**

Nadkomisarz Markwitz zapukał w otwarte drzwi i Abel, który siedział za biurkiem, wzdrygnął się ze strachu. Znowu myślał o Marlene i jej zarzutach. Prześladowały go nawet w snach. Ostatniej nocy znowu spał niespokojnie i czuł się rozbity i przygnębiony.

– Przyszedłem za wcześnie? – zapytał Markwitz.

Abel pokręcił przecząco głową i wykonał zapraszający gest. Dziś rano wysłał Markwitzowi raport z sekcji zwłok Iriny Pietrowej razem z analizą śladów DNA. Na pewno można było wykluczyć motyw seksualny. Teraz chcieli wspólnie zrekapitulować sprawę Pietrowej.

Za mocno zbudowanym śledczym do biura Abła wśliznęła się niemal tak samo potężna postać. Tekin Okyar uklonił się i stanął skromnie za Markwitzem. Najwidoczniej praktykant postanowił, że dzisiaj powściągnie swoją zuchwałość.

W przestronnym narożnym biurze Abła stał stół i cztery krzesła, przy którym odbywały się narady, jednak stół, podobnie jak sprzęty do siedzenia, był zavalony aktami, encyklopediami oraz fachowymi czasopismami poświęconymi medycynie sądowej. Markwitzowi i Okyarowi nie pozostało nic innego niż usiąść na dwóch prostych drewnianych krzeselkach, które stały przed biurkiem Abła.

Jego biuro znajdowało się, podobnie jak cały wydział medycyny sądowej, dwa piętra pod ziemią. Ponieważ, co logiczne, nie było tam okna, Abel kazał zamontować na ścianie naprzeciw biurka monitor w rozmiarze XXL, zaprojektowany jak okno z barwionym szkłem i srebrną ramką. Niejeden z gości był zaskoczony wywołującym zawrót głowy widokiem na cały południowo-wschodni Berlin, transmitowany z kamery na tarasie trzydziestego drugiego piętra. Ale teraz taka zabawa nie miała sensu, monitor był czarny.

– No tak, wygląda na to, że nic nie mamy – zaczął Horst Markwitz, kiedy już usiadł i wymienił z Abłem kilka uprzejmych frazesów. – Jeśli dobrze zrozumiałem pański raport z sekcji i analizę DNA. My w sekcji zabójstw też nie możemy w tym momencie niczym się wykazać. Przepytaliśmy mieszkańców domu, poza tym wszystkich pracowników, którzy mieli dyżur w czwartek, okolicznych sąsiadów oraz pracowników supermarketu. Nikt nie zauważył niczego niezwykłego. Oczywiście wzięliśmy pod lupę standardowych podejrzanych z odpowiednich kręgów, również bez rezultatu. U pana najwidoczniej nie wygląda to lepiej, doktorze.

Postukał nienaturalnie grubym palcem wskazującym w bladoczerwony segregator, który przysłał mu Abel.

– A może przeoczyłem coś, co mogłoby dać nam nadzieję?

– To zależy – odparł Abel. – Ma pan całkowitą rację, pod paznokciami zmarłej znaleźliśmy bardzo

małą ilość obcego DNA, które na dodatek jest zmieszane z DNA ofiary. Jak obawiałem się już w sali sekcyjnej, jest go o wiele za mało na genetyczny odcisk palca, który dałoby się porównać z bankiem danych.

Markwitz jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

– A więc nic się nie da zrobić... Nie wyobraża pan sobie, jaka cholerna wściekłość mnie ogarnia, kiedy pomyślę, że ten tchórzliwy morderca może uniknąć kary. – Szarpnął wąsy tak gwałtownie, że Abel poczuł ból od samego patrzenia.

Tymczasem praktykant coraz bardziej się wiercił.

– Doktorze Abel, powiedział pan: „To zależy”. To znaczy od czego, jeśli wolno zapytać? – wyrwało mu się.

Markwitz rzucił mu strofujące spojrzenie.

– Co uzgodniliśmy, chłopcze? Dzisiaj się nie odzywasz, chyba że ktoś udzieli ci głosu.

Okyar skruszony skinął głową.

– Ale pytanie jest uzasadnione – ciągnął Abel. – Być może mamy jeszcze asa w rękawie. Trudno jednak przewidzieć, czy okaże się przydatny.

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

– Proszę nie trzymać mnie w napięciu! – powiedział Markwitz. – Miewałem nerwy w znacznie lepszym stanie, sam pan rozumie.

Akurat to Abel rozumiał lepiej, niżby sobie życzył. Kiedy jednak właśnie zamierzał wyjaśnić możliwości i ograniczenia tak zwanej analizy haplotypowej, znów ktoś zapukał do drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie dyrektorze – odezwała się Renate Hübner swoim wypranym z jakichkolwiek emocji tonem, kiedy Abel poprosił ją do środka. – Dzwonił nadkomisarz Hindrich z Krajowego Urzędu Kryminalnego 123. Prosi, żeby pan niezwłocznie pojechał do Alt-Reinickendorf. Do włamania z...

– Do włamania? – wpadł jej w słowo Abel. – Na miły Bóg, jeszcze i to. Czy teraz mam łapać również złodziei?

– ...połączonego z zabójstwem zakładnika – dokończyła ze spokojem Hübner. – Sprawca przetrzymuje jeszcze drugą zakładniczkę, sześćdziesięciosiedmioletnią kobietę. Pół godziny temu zabił jej męża i wyrzucił z okna na pierwszym piętrze. Wnioskując z tych zdarzeń, nadkomisarz Hindrich sądzi, że wie, kim może być sprawca, ale nie jest tego stuprocentowo pewny, dlatego prosi pana o pomoc. Porywacz wyrwał ofierze serce i na jego miejscu umieścił kamień.

– O Boże – wymruczał Tekin Okyar, łapiąc się za lewą stronę klatki piersiowej. – Jak to wyrwał? – Nagle zrobił się całkiem zielony na twarzy.

Abel i Markwitz nie zwracali na niego uwagi.

– „Wyrwacz serc” – powiedział Abel. – Takie przezwisko nadała mu wtedy prasa bulwarowa. – Jeśli przypuszczenie Hindricha miałoby się okazać słuszne... Dobry Boże!

Zerwał się z krzesła. Do jego żył trysnęła dodatkowa porcja adrenaliny i wypchnęła zmęczenie i wszystkie ponure myśli.

– Niech pani mu powie, że już jadę. I proszę wysłać na moją komórkę wszystkie dostępne fotografie obrażeń ofiar „wyrwacza serc” – polecił sekretarce, chwycił marynarkę i włożył do kieszeni komórkę, portfel oraz klucze. – Nie zechciałby pan zawieźć mnie do Reinickendorf? – zwrócił się do Markwita. – Po drodze opowiedziałbym panu, w jaki sposób może nam się udać złapać mordercę Iriny Pietrowej na podstawie analizy haplotypowej.

Markwitz skinął głową potwierdzająco i już był przy drzwiach. Praktykant chciał pójść za nim, ale stanął jak wmurowany. Z otwartymi ustami gapił się na „okno” obok drzwi, które ukazywało obezwładniający widok. Abel całkiem niechcący kliknięciem myszy włączył ścienny monitor. Po nierealnie błękitnym letnim niebie płynęły małe obłoczki. Gdzieś w dole widać było płynące po



Szprewie miniaturowe stateczki wycieczkowe, wyglądające z tej oszałamiającej wysokości jak narysowane przez przedszkolaka.

– Mam nadzieję, że nie ma pan lęku wysokości – powiedział Abel do Tekina Okyara i wyszedł z gabinetu przed jeszcze osłupiałym praktykantem.

# 13

## **Berlin** **Samochód nadkomisarza Markwita** **Poniedziałek 6 lipca godz. 12.05**

Z włączonym kogutem i syreną pędzili służbowym bmw Markwita przez City w stronę północnej części Berlina.

– Czy „wrywacz serc” to nie ten szaleniec, który napada na śpiące małżeństwa i wrywa mężom serce? – spytał Markwitz.

– Właśnie tak – potwierdził Abel. – Klasyczny psychopata. Nigdy go nie złapano. Ale być może jego dobra passa akurat się kończy.

Abel siedział na fotelu pasażera i mówił podniesionym głosem, przekrzykując wycie syreny. Aby niczego nie uronić, praktykant pochylił się do przodu tak daleko, że nosem niemal dotykał dźwigni zmiany biegów.

Abel podsumował krótko całą historię. Trzy lata temu „wrywacz serc” postawił na nogi niemal całą jednostkę Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadków nadzwyczajnych”. W odstępie trzech miesięcy napadł w Berlinie łącznie na cztery małżeństwa w wieku od czterdziestu do siedemdziesięciu lat. Dlatego niektóre media nadały mu przezwisko „kwartalny morderca”.

Według zeznań świadków chodziło o drobnego mężczyznę w nieokreślonym wieku, który zawsze występował w czarnej masce i płaszczu z kapturem. I z latarką umocowaną na czole.

Również wzorzec postępowania był za każdym razem taki sam: włamywał się do mieszkania między trzecią a czwartą w nocy i wyłączał elektryczność, tak że poza jego lampą czołową nie było innego źródła światła. Potem szedł do sypialni i zabijał męża. Motyką z krótką rączką przebijał klatkę piersiową i dosłownie wrywał ofierze serce. Na jego miejsce wkładał kamień rzeczny wielkości piłki do tenisa.

Wystraszona śmiertelnie żona ofiary musiała przyglądać się wszystkiemu w upiornym świetle górniczej lampy. „Wrywacz serc” zostawał zawsze do świtu i jedyne, co mówił do żon, brzmiało jak nieporadna dziecięca rymowanka: „Przyjrzyj mu się, raz, dwa, trzy, bo następna będziesz ty!” Miał wysoki, niemal skrzekliwy głos i szczupłą drobną sylwetkę; to było wszystko, co żony potrafiły powiedzieć o mordercy swoich mężów. O świcie otwierał okno i wyrzucał ciało na ulicę, a potem znikał jak duch.

– Timo Jankowski, jeden z najlepszych profilerów w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, sporządził wtedy profil sprawcy – ciągnął Abel. – Nie mieliśmy żadnych odcisków palców, żadnego DNA sprawcy ani przydatnego rysopisu. Mimo to w końcu do tego stopnia zaczęliśmy deptać mu po piętach, że musiał poczuć się zapędzony w kozi róg. Udało nam się nawet odnaleźć jego siostrę i dzięki temu poznaliśmy jego nazwisko: Fritz Löwitsch. Ostatnio pracował jako niewykwalifikowany robotnik w przedsiębiorstwie rozbiórkowym. Teraz może mieć jakieś trzydzieści kilka lat.

Po trzech latach nie pamiętał już tak dokładnie wszystkich faktów. Po prostu w ciągu roku na jego stół trafiało zbyt wiele spraw. A mówiąc dokładnie, na oba stoły: w biurze i w sali sekcyjnej.

Renate Hübner przesłała na jego smartfon nie tylko fotografie ofiar Löwitscha, lecz wyszukała również

akta sprawy „wrywacza serc”. Abel poprosił ją, żeby położyła wypełniony po brzegi segregator na jego biurku. Akta były już ciężkie jak cegła. Zawierały sporządzony przez Jankowskiego profil sprawcy oraz cztery raporty z obdukcji zwłok. I najprawdopodobniej już niedługo dojdzie do nich kolejny protokół z sekcji.

– W dzieciństwie Löwitscha zdarzyły się jakieś mroczne przeżycia – kontynuował. – Z przybranym ojcem albo osobą, która go wychowywała, która nieludzko surowo go traktowała. Muszę to jeszcze sprawdzić. W każdym razie Jankowski jasno wyjaśnił tę symboliczną zamianę: kamień zamiast serca. Prawdopodobnie Löwitsch widział zawsze tylko zniechęconą, pozbawioną serca postać ojca. I praktycznie w momencie, kiedy go zidentyfikowaliśmy, gdzieś się zamelinował. Być może znów nasiliła się w nim wewnętrzna presja. Jego fantazje nie dają mu spokoju, więc zaatakował kolejny raz. W każdym razie tak to wygląda na pierwszy rzut oka.

Markwitz przejechał płynnie na czerwonym świetle przez sześciopasmowe skrzyżowanie.

– A kolega Hindrich chce się teraz od pana dowiedzieć, czy to rzeczywiście znowu Löwitsch, czy może jakiś naśladowca, tak?

Abel przytaknął.

– Media szeroko rozpisywały się swego czasu o „wrywaczu serc”, ale oczywiście jak zwykle ważne szczegóły wzorca postępowania sprawcy były trzymane w tajemnicy. Na przykład, że za każdym razem ulatniał się o świcie. Tymczasem dzisiejszy porywacz wciąż przebywa z żoną zamordowanego w mieszkaniu, chociaż już dawno na dworze zrobiło się jasno. Ta różnica mogłaby wskazywać na kogoś, kto się podszywa, i zapewne dlatego Hindrich chce, żebym obejrzał ciało na miejscu. Dzięki porównaniu śladów obrażeń powinno dać się szybko wyjaśnić, czy rzeczywiście jest to prawdziwy wrywacz serc. Ale wróćmy jeszcze raz do naszego morderstwa. – Na chwilę zamknął oczy, aby przypomnieć sobie szczegóły sprawy Iriny Pietrowej. – Istnieje nowatorska metoda analizy genów – zaczął mówić, ale przerwał mu Tekin Okyar.

– Sorry, wiem, że powinienem siedzieć cicho – powiedział praktykant. – Ale umieram z ciekawości. Niech pan się na mnie nie gniewa. Doktorze, proszę mieć serce dla praktykanta: co da komisarzowi, jeśli będzie wiedział, że napaści na małżeństwo dokonał „wybijacz serc”.

Abel skinął z uznaniem w jego stronę.

– „Wrywacz serc” – poprawił. – Ale pytanie trafia w ważny punkt. Jeśli rzeczywiście potwierdzi się, że sprawcą jest Löwitsch, to mamy pewien atut, który prawdopodobnie pozwoli nakłonić go do poddania się. Gdyby jednak sprawca był tylko naśladowcą, nasz atut na nic nam się nie przyda, a nawet może okazać się groźny dla zakładniczki, którą sprawca wciąż przetrzymuje.

Okyar przytaknął gwałtownie i szeroko otworzył oczy.

– Super, dziękuję. Nie rozumiem ani słowa. Już tak mam i nic na to nie poradzę. Jaki atut?

– Jego siostra. Jest od niego o kilka lat starsza. I wydaje się jedynym człowiekiem, przed którym on czuje respekt. – Abel przerwał na krótko, kiedy przyszło mu na myśl pewne podobieństwo. Co prawda Marlene na pewno nie była jedynym człowiekiem, przed którym on sam czuł respekt, ale starsza siostra, która mogła przemówić każdemu z nich do sumienia, to było coś wspólnego, co miał z Löwitschem. Pokręcił głową, aby pozbyć się nieprzyjemnych myśli. – Ona ma silne poczucie moralności i należy do ultraortodoksyjnej wspólnoty religijnej. Podczas przesłuchania nie pozostawiła cienia wątpliwości, że potępia zbrodnie dokonane przez brata. Twierdziła, że byłaby w stanie przekonać go, żeby się opamiętał. Jeśli tylko miałyby okazję przemówić mu do sumienia. I wygląda na to, że dzisiaj może nadejść jej wielki dzień.

Okyar ponownie przytaknął i tym razem wyraz jego twarzy pasował do ruchu głowy.

– Oczywiście jeśli uda się panu potwierdzić, że porywacz jest tym samym „wybijaczem serc”.

– „Wrywaczem serc” – prychnął poirytowany Abel. – Poza tym wszystko się zgadza.

Podczas gdy Markwitz przepłoszył grupę rozbawionych turystów na tandemach ze swojego pasa ruchu,

Abel mógł wreszcie powrócić do Iriny Pietrowej.

– A więc, jak już mówiłem, istnieje nowatorska metoda analizy genów – powtórzył – która mogłaby naprowadzić pana na ślad sprawcy, chociaż DNA obcej osoby to za mało, aby sporządzić klasyczny profil DNA.

Abel zrelacjonował następnie, że pod paznokciami Iriny Pietrowej znaleziono mieszane ślady, czyli DNA, które w części pochodzi od ofiary, ale częściowo od obcego męskiego osobnika. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ten mężczyzna jest sprawcą, przed którym stara kobieta daremnie się broniła. Ponieważ tylko DNA mężczyzn zawiera chromosomy Y, można jednoznacznie oddzielić DNA sprawcy od DNA ofiary. Takie DNA sprawcy próbuje się ostatnio użyć do analizy chromosomów Y tak zwanych haplotypów.

– Wspaniała sprawa – skomentował Markwitz. Sceptycyzm w jego głosie mieszał się z kiełkującą nadzieją.

– Wykorzystuje się przy tym fakt – mówił Abel dalej profesorskim tonem, przekrzykując syrenę – że niewielka grupa markerów DNA zawsze przenosi się w całości na męskich potomków. Co prawda w ten sposób nie możemy zidentyfikować konkretnego sprawcy, ale możemy wytypować ograniczoną grupę męskich osobników, którzy są ze sobą spokrewnieni w linii prostej. Poza tym analiza chromosomu Y zdradza, do jakiej populacji należy człowiek, którym się interesujemy, a więc na przykład, czy jego przodkowie pochodzili z Afryki, Azji, czy też z północnej Europy.

Markwitz skręcił z piskiem opon w boczną ulicę, prawie nie dotykając hamulca. Kiedy znów przyspieszył, obrzucił Abła szybkim spojrzeniem. W wyrazie jego twarzy znów przeważał sceptycyzm.

– Czyli oznacza to, że w najlepszym razie możemy ustalić, skąd pochodzi rodzina, do której należy sprawca – podsumował. – A dokładniej mówiąc, mężczy członkowie rodziny, czyli ojcowie, synowie, bracia, kuzyni. Dobrze zrozumiałem?

– Nie do końca – powiedział Abel. – Identyczny haplotyp męskich członków rodziny może być przekazywany przez wiele pokoleń. Dlatego osobnicy mężczy, którzy żyją daleko od siebie i nigdy o sobie nie słyszeli, wykazują identyczny wzór. Ich bezpośredni wspólny przodek, który przekazał im wzór DNA, równie dobrze mógł żyć w XIX wieku, a nawet jeszcze wcześniej.

– Wspaniale. – Markwitz sapnął jak stara lokomotywa parowa. – Jest to mniej więcej tak samo pomocne, jak byśmy usłyszeli od świadka, że sprawca miał na ręku zegarek.

– Nie do końca. Zeznanie brzmiałoby raczej: sprawca miał zegarek z wieloma znakami szczególnymi. Zegarków z taką kombinacją jest najwyżej kilkaset, jednak rozrzuconych w czasie i przestrzeni.

Po tym zawężeniu Markwitz nie wyglądał na bardziej zadowolonego. Przygryzł wąsa, gdy przejeżdżali obok wypełnionego po brzegi odkrytego basenu. Na kilka sekund śmiechy i dziecięce krzyki zmieszały się z wyciem policyjnej syreny, ale zaraz zostały z tyłu.

– Okej, doktorze – zaczął Markwitz. – Być może nasze szanse nie do końca są takie marne. Sprawcy podążający za swoją ofiarą często popełniają przestępstwo po raz pierwszy albo niejako przy okazji. Ich genetyczne odciski palców nie widnieją jeszcze w naszych bazach danych. Ale tego rodzaju sprawcy przeważnie mieszkają w dzielnicach, gdzie dochodzi do wielu przestępstw, w bliskiej okolicy miejsca popełnienia zbrodni. A więc jeśli wezwiemy na przesłuchanie wszystkich podejrzanych i porównamy ich próbki śliny z wynikiem badania haplotypu, możemy mieć trafienie. Jednak będzie to trwało całe tygodnie i właściwie zwiąże wszystkie siły, które możemy zmobilizować.

– Czy to znaczy, że spróbujemy z testem haplotypowym? – upewnił się Abel.

Markwitz przytaknął.

– W takim razie daję zielone światło naszemu laboratorium, a pan niech przyciśnie prokuraturę. Inaczej znowu będziemy mieli mnóstwo stresu wskutek zarzutów o prowadzenie samowolnych śledztw i tak dalej.

Markwitz skrzywił się, jakby użądliła go osa.

– Ochrona danych, kontrola kosztów, cały program, znam to dobrze. Ale wciąż jest nadzieja: do sprawy Iriny Pietrowej przydzielono prokuratora Siebenera, a to całkiem rozsądny człowiek.

Krótko potem pojawiła się przed nimi blokada z niebiesko-białych policyjnych transporterów. *Oddział specjalny też już ściągnęli*, pomyślał Abel.

**Berlin-Reinickendorf**  
**Miejsce przetrzymywania zakładniczki**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 12.25**

Młoda ubrana po cywilnemu pani komisarz z Krajowego Urzędu Kryminalnego czekała na nich za czerwono-białą taśmą odgradzającą teren. Nazywała się Linda Morten i wyglądała bardzo służbowo w szarym kostiumie. Kiedy Abel szedł za nią przez labirynt policyjnych samochodów, jeszcze szybko zadzwonił do swojego wydziału i przekazał zlecenie do laboratorium DNA.

– Proszę niezwłocznie przeprowadzić analizę chromosomu Y – zarządził. – Morderstwo Pietrowej ma najwyższy priorytet. Wyniki mają być jeszcze dzisiaj na moim biurku.

Linda Morten zaprowadziła go do szarego mikrobusa marki Mercedes, który z zewnątrz nie wyglądał na pojazd policyjny. Abel rozejrzał się uważnie. Lubił te przeważnie nagłe przejścia od odosobnienia w sali sekcyjnej do szukania kryminalistycznych śladów i pościgu za sprawcą w naturalnym otoczeniu. Ale to wcale nie oznaczało, że miał ochotę bez powodu ryzykować zdrowie i życie.

W oknach, na balkonach i dachach okolicznych domów czaili się strzelcy wyborowi. Na zamkniętej części ulicy nie było ludzi, pomijając licznych policjantów, którzy czekali na rozkazy w radiowozach i transporterach albo obok nich.

– Porywacz zabarykadował się po drugiej stronie na pierwszym piętrze. – Pani komisarz pokazała na smutnoszary dom czynszowy z lat pięćdziesiątych kawałek dalej.

Na każdym z czterech pięter było sześć okien, po trzy z lewej i trzy z prawej strony pasa z niebieskawych luksferów, który dzielił budynek pionowo. Zasłony w trzech prawych oknach na pierwszym piętrze były szczelnie zasunięte, zostawiono tylko wąską szparę w środkowym oknie, za którym można się było domyślać niewyraźnych postaci. Na chodniku pod środkowym oknem stał jasnoszary prostokątny namiot, w którym wykonywali swoje czynności pracownicy sekcji zabezpieczania śladów.

Abel bez trudu potrafił sobie wyobrazić, co go czeka w dusznym wnętrzu namiotu. Widok ofiar Löwitscha, ze zgruchotanymi klatkami piersiowymi i jasnymi kamieniami zamiast serc, wywarł wtedy na nim większe wrażenie, niż mógłby się spodziewać.

W mercedesie busie naprzeciwko dowódcy oddziału specjalnego Karstena Holzberga siedzieli nadkomisarz Jürgen Hindrich i profiler Timo Jankowski. Wąski stół pomiędzy nimi był zastawiony aktami, laptopami i tabletami, kubkami z kawą i butelkami napojów. Klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, mimo to w samochodzie było parno i gorąco.

Abel przywitał się skinieniem głowy z Hindrichem i Holzbergiem, a z Jankowskim dodatkowo przyjaznym uśmiechem. Wszyscy znali się z różnych akcji. Jankowski przesunął się kawałek i Abel usiadł obok niego, Linda Morten zajęła miejsce obok Holzberga.

Abla wiązało z Timo Jankowskim coś więcej niż tylko koleżeński szacunek. Był tu jedyną osobą, z którą Abel był po imieniu. Mimo swoich trzydziestu dziewięciu lat nieporadny jasnowłosy profiler wciąż

miał chłopięcy wygląd. Dawniej, kiedy „wirywacz serc” trzymał ich przez okrągły rok w napięciu, Abel i Jankowski nieraz spotykali się przy kieliszku czerwonego wina. Przeważnie spotkania nie kończyły się na jednym kieliszku i wraz z upływem wieczoru przechodzili od szczegółów sprawy „wirywacza serc” do bardziej fundamentalnych pytań związanych z ich pracą i życiem.

Dzięki rozmowom z o siedem lat młodszym Jankowskim Abel dobrze poznał sztukę profilowania sprawców przestępstw. Wyrafinowana technika i wyuczona umiejętność wczuwania się w innych ludzi pozwalały takim zawodowcom jak Jankowski z garści niepozornych poszlak sporządzić kompleksowy profil osobowości, często zaskakująco zgodny z rzeczywistymi cechami konkretnych sprawców.

Jankowski z kolei wypytywał go o metody pracy lekarza sądowego. Dla obu było jasne, że bez ich ścisłej współpracy Löwitsch nigdy nie zostałby zidentyfikowany. I oczywiście tak samo jak Abła dręczyło Jankowskiego, że „wirywacz serc” wymknął im się, gdy byli już tak blisko celu.

– Nie ma zmartwienia, jeszcze dostaniemy szansę – przepowiedział wtedy profiler. Być może szansa pojawiła się właśnie dzisiaj.

– Skoro jesteście już w komplecie, kilka informacji na temat aktualnej sytuacji – zaczął Hindrich, kiedy już przywitał się z Ablem. – Zakładniczka nazywa się Heide Pausewang. Wszyscy pozostali mieszkańcy budynku zostali ewakuowani. Porywacz żąda trzech milionów euro i samochodu. Jeśli jego żądania nie zostaną spełnione najpóźniej do szesnastej, grozi, że zabije również żonę. Poza tym grozi, że będzie strzelał do każdego, kto zbliży się do budynku na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów. Na skutek tego sekcja zabezpieczania śladów wycofała się z miejsca zbrodni. Zwłoki wciąż leżą w namiocie, poza tym nie ma tam w tej chwili nikogo.

Obwódki pod oczami Hindricha były czarne jak opony pirelli. Miał już niewiele włosów na ogromnej okrągłej głowie, za to z nosa i uszu wystawały mu siwe pęki. Miał pięćdziesiąt kilka lat, a wyglądał na niemal siedemdziesiąt. Ale wrażenie myliło, Abel wiedział to z własnego doświadczenia. Hindrich nigdy nie tracił głowy i nawet po trwającej całą noc wojnie nerwów z porywaczem był energiczny i spokojny.

– Co z siostrą Löwitscha? – zapytał Jankowski. – Czy już pan z nią rozmawiał?

– Charlotte Löwitsch już tu jedzie – odparł Hindrich. – Twierdzi, że już od lat nie widziała brata. Jej postawa wobec zbrodni brata się nie zmieniła: uważa morderstwo za ciężki grzech. Pali się, żeby przemówić mu do sumienia, żeby ratować jego duszę przed karą wiecznego piekła.

– Grzech, piekło, co jeszcze? – Dowódca oddziału specjalnego Karsten Holzberg bębnił palcami w stół. – Zanim puścimy kobietę na drugą stronę ulicy do tego szaleńca, musimy mieć stuprocentową pewność, że faktycznie chodzi o Löwitscha – powiedział ostrym głosem.

Abel znał go z innej akcji sprzed kilku laty. Holzberg uchodził za najwyższej klasy specjalistę od uwalniania zakładników. Ale Abel nie darzył szczególną sympatią tego czterdziestokilkulatka, z wytatuowanym na szyi łańcuchem z drapieżnych ptaków. Uważał go za zwolennika metod siłowych, dla którego ważniejsze było unieszkodliwienie porywacza niż ratowanie życia zakładnikom.

– Czy w takim razie możemy zaczynać? – rzucił Abel. – Czy technicy zrobili zdjęcia ofiary, zanim porywacz ich przepędził?

– Kilka, ale nie będzie pan zachwycony. – Hindrich skinął na Lindę Morten. Młoda pani komisarz otworzyła laptop, który stał przed nią na stole, wystukała coś na klawiaturze, a potem przysunęła komputer do Abła.

Widoczny na ekranie starszy pan był bez wątpienia martwy. Leżał na plecach na chodniku, szyja i kończyny były nienaturalnie wykrzywione. Miał wybałuszone oczy, góra niebieskiej pidżamy była zakrwawiona i porwana. Pomiedzy pogruhotanymi żebrami i krwawymi strzępami ciała przy dużej dozie dobrej woli można było dostrzec w klatce piersiowej coś na kształt szarego kamienia wielkości pięści. Ale bez dokładniejszego badania nie można było nawet spekulować, czy wzorzec przestępstwa i kamień pasowały charakterem do „wirywacza serc”.

*Kamienne serce. Symbol, który praktycznie w każdym człowieku budzi rodzaj pierwotnego strachu,*



wyjaśnił mu Jankowski. *Strach przed bestią w ludzkiej postaci, która nie zna empatii i współczucia.*

– Jest jeszcze kilka zdjęć – powiedziała Linda Morten. Abel klikał w folder, ale na innych zdjęciach też nie było widać nic więcej.

– Muszę go obejrzeć – oznajmił.

– Nie musi pan tego robić, doktorze Abel – odpowiedział szybko Hindrich. – W każdym razie dopóki zmarły leży w namiocie. Nikt tutaj nie będzie miał do pana pretensji, jeśli nie zechce pan narażać się na niebezpieczeństwo – dodał i spojrzał na Abła wyczekująco.

– To moja praca – odparł Abel.

# 15

## Berlin-Reinickendorf Miejsce przetrzymywania zakładniczki Poniedziałek 6 lipca godz. 12.38

Abel nie był niespokojny ani zdenerwowany, ale czuł, że zdarzy się coś niezwykłego. Intuicja rzadko go myliła, jednak czasem wyrazistość przeczucia pozostawiała nieco do życzenia.

*Coś niezwykłego, pomyślał. To może znaczyć dosłownie wszystko.*

– Jaki jest scenariusz? – zapytał Hindricha.

– Bardzo prosty – wtrącił się znów Holzberg. – Idzie pan do namiotu i grzebie pan w zwłokach. Moi ludzie dbają o to, żeby nie spadł panu włos z głowy. Gdy tylko porywacz wyjrzy zza zasłony, natychmiast zarobi kulę między oczy.

Abel wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie wystarczy, że wytrącicie mu strzałem pistolet z ręki – powiedział. – Zakładając, że w ogóle ma jakąś inną broń poza swoją słynną motyką.

Timo Jankowski położył dłoń na ramieniu Abła.

– Jeśli to jest Löwitsch, to nie ma broni palnej – rzucił. – Chodźmy, Fred. Idę z tobą.

Abel pokręcił głową.

– Doceniam twoją propozycję, ale odmawiam. Masz dwoje małych dzieci, Timo. A sprawca stanie się tylko bardziej nerwowy, gdy pójdziemy tam we dwóch.

Przechylił się w bok i rozsunął drzwi mercedesa. Chwył ręki Jankowskiego na jego nadgarstku rozluźnił się i Abel wysiadł.

*Jankowski to prawdziwy przyjaciel, pomyślał. Nie zdarzało się zbyt często, żeby proponował koledze przejście na ty, ale do Jankowskiego od razu poczuł sympatię.*

Na zewnątrz przywitał go potworny upał. Było wpół do pierwszej, słońce stało w zenicie na bezchmurnym niebie. W tej temperaturze proces gnicia zaczynał się po zaledwie kilku godzinach. A porywaczowi i zakładniczce też nie było łatwo utrzymać nerwów na wodzy, kiedy w niemożliwym do zniesienia upale siedzieli zamknięci w powojennym betonowym budynku.

Młody antyterrorysta przyniósł mu kuloodporną kamizelkę. Spokojnie przyglądał się, jak Abel mocuje się ze stawiającymi opór częściami ubioru i zapina rzepy. Potem ubrany w czarny mundur mężczyzna odprowadził go za ścianę utworzoną przez policyjne transportery na odległość dwudziestu metrów od budynku, w którym zabarykadował się porywacz.

W końcu osłaniający go policjant zatrzymał się i pokazał na szary namiot służby zabezpieczania śladów.

– Proszę iść dalej, możliwie jak najciszej – nakazał. – I proszę nie wyłączać telefonu.

– Wielkie dzięki – powiedział lakonicznie Abel.

Ludzie z oddziałów specjalnych, jak ten policjant czy jego szef Holzberg, uważali wszystkich pozostałych za nieporadnych głupków, którzy bez ich pomocy nie potrafiliby przejść na drugą stronę

ulicy. A Abel w młodości odsłużył dwa lata w Bundeswehrze jako zwiadowca. Ich mały oddział specjalny ćwiczył wtedy walki w mieście na wypadek całkiem prawdopodobnego zagrożenia atakiem wojsk bloku wschodniego. Co prawda Abel swój wojskowy mundur powiesił na kołku już jakieś dwadzieścia pięć lat temu, ale chłopak z jednostki specjalnej nie musiał mu tłumaczyć, jak poruszać się na terenie zajęтым przez wroga. W końcu nie minął nawet rok, odkąd musiał samotnie przemaszerować prawie bezkresny obszar leśny w południowo-zachodniej części Naddniestrza, żeby przebić się do granicy z Mołdawią. W rzeczywistości jego naddniestrzańska „przygoda” całkowicie wymknęła się spod kontroli i pod koniec była dużo bardziej niebezpieczna, niż do tej pory przedstawiał ją w swoich relacjach.

Wydawało mu się, że okno z wąską szparą pomiędzy zasuniętymi zasłonami obserwuje go jak monstrualne oko, kiedy szybkim krokiem szedł do namiotu ze służbową walizką w rękę.

*Jeśli mężczyzna tam na górze to Löwitsch, przeszło mu przez myśl, być może nawet mnie pozna.*

W żadnym wypadku nie zależało mu na oglądaniu swojego wizerunku w mediach, ale nie zawsze można było tego uniknąć. Trzy lata temu Jankowski i on udzielali wywiadów na temat „wrywacza serc” praktycznie wszystkim dużym gazetom.

Hanowerska gazeta zamieściła nawet jego półstronicowy portret za stołem sekcyjnym i nazwała Abła „wielkim synem naszego miasta”. A przecież tak naprawdę Abel nie urodził się i nawet nie dorastał w Hanowerze, lecz w pobliskiej wsi Lenthe.

Wydało mu się, że widzi za zasłoną szczupłą, ubraną na czarno postać, ale nie był tego stuprocentowo pewny. Oczywiście Jankowski i on nigdy nie zdradzili publicznie, ile naprawdę dowiedzieli się o „wrywaczu serc”. Jego nazwiska, motywów działania, ostatniego miejsca pracy i adresu zamieszkania, zanim zniknął jak kamfora. Tak więc Löwitsch właściwie nie miał powodu, aby chcieć się zemścić akurat na nim. *Ale to wcale nie znaczy, że ten facet tutaj uważa tak samo.*

Ablowi lekko przyśpieszyło tętno, kiedy dotarł do namiotu i odrzucił na bok plandekę zasłaniającą wejście. We wnętrzu przywitał go spodziewany skwar i gryzący trupi odór. Z rozszarpanej klatki piersiowej zmarłego wzbily się muchy, by zaraz potem wrócić do wcześniejszego zajęcia.

W namiocie nie było oświetlenia, ale przez odsłoniętą plandekę wpadało wystarczająco dużo światła słonecznego. Namiot miał powierzchnię dwa na dwa metry i był na tyle wysoki, że mógł się w nim wyprostować mający metr dziewięćdziesiąt człowiek. Ale w tej pracy Abel i tak przeważnie kucał na ziemi w pozycji, w której kuloodporna kamizelka maksymalnie utrudniała mu ruchy.

Ukląkł obok zmarłego i otworzył swoją walizkę. Nożyczkami i pęsetą ostrożnie usuwał porwaną górę od pizamy, aż niemal całkowicie odsłonił górną część ciała, a przynajmniej to, co jeszcze zostało z tułowia Georga Pausewanga. W lewej stronie klatki piersiowej wśród potrzaskanych kości i strzępów ciała widniał krater. W ten krater sprawca wcisnął rzeczny kamień wielkości piłki tenisowej.

*To podpis „wrywacza serc”, powiedział do siebie Abel. Bezspornie.*

Również w przypadku czterech pozostałych zabójstw uderzał motyką w tak samo brutalny i jednocześnie kontrolowany sposób, że prawa jama płucna i cała tylna ściana klatki piersiowej pozostawały nienaruszone. „Kamienne serce” leżało jak w okratowanej muszli, z której oderwano pokrywę i usunięto pierwotną zawartość.

*Ale coś tu nie pasuje.*

Z kieszeni na piersi Abel wyłuskał smartfon, który był połączony bezprzewodowo z zestawem słuchawkowym. Otworzył zdjęcia z wcześniejszych zabójstw „wrywacza serc”, które przysłała mu Renate Hübner, i porównał charakterystyczne szczegóły. Jego zdaniem brzegi ran przy wcześniejszych morderstwach były podobne do rany, którą miał przed oczami, jak dwie krople wody. Sprawca również z identyczną precyzją wyciął w klatce piersiowej dziurę, która miała nie więcej niż dziesięć centymetrów średnicy i ponadto była w przybliżeniu okrągła.

*Jeden i ten sam sprawca, ponad wszelką wątpliwość, powiedział znów do siebie Abel.*

Ale dlaczego tym razem miał złe przeczucie? Jakby gdzieś głęboko w nim włączył się alarm – dokładnie jak wtedy, kiedy wraz ze swoim oddziałem w ciemnych piwnicach koszarów Bundeswehry ćwiczyli uzbrajanie min pułapek. *Oby tylko nie zrobić fałszywego ruchu. Najmniejsze drzenie palców może okazać się śmiertelne.*

Dotknął przycisk nawiązywania połączenia i z powrotem schował telefon w kieszeni.

– Hindrich? – odezwał się tak cicho, że nadkomisarz ledwo go zrozumiał. – Dwie sprawy. Po pierwsze, to jest podpis Löwitscha. Po drugie, coś tutaj nie... O cholera, niech pan zaczeka.

Kiedy rozmawiał z Hindrichem, końcem nożyczek obskrobał kamień w piersi zmarłego, aby odsłonić jego powierzchnię. Bardziej kierowała nim intuicja niż racjonalny plan, a to, co teraz zobaczył, odebrało mu mowę.

Przechucie go nie myliło. To, co zobaczył, było w najwyższej mierze inne niż dotąd.

– Doktorze? – zapytał Hindrich. – Wszystko w porządku? Jest pan tam?

– Wyjmuję mu serce – wyszeptał Abel. – Wydaje się, że jest w środku puste i...

– Puste? – powtórzył Hindrich. – Co pan ma na myśli, mówiąc, że „jest w środku puste”?

– Kamień. Jego serce to wydrążony kamień. Rozumie pan?

Hindrich sapnął głośno. Najwidoczniej w dalszym ciągu nic nie rozumiał. Abel nie mógł mieć mu tego za złe.

Dookoła okrągłego kamienia biegła poziomo, ledwo widoczna gołym okiem, cienka linia. *Jak wytatuowany wokół szyi Holzberga łańcuch przedstawiający drapieżne ptaki*, pomyślał Abel.

Całkiem niedawno byli z Lisą na przyjęciu u bogatego kolekcjonera sztuki w willi w Dahlem. W gablocie w holu wejściowym były wystawione jajka Fabergé, przebogato zdobione złotem i klejnotami dzieła sztuki w formie wydrążonych jaj, które dawały się otworzyć i zawierały wewnątrz kolejne miniaturowe dzieła sztuki.

*To jajo z pewnością zawiera zupełnie wyjątkowe dzieło sztuki*, pomyślał Abel. *Idę o każdy zakład.*

Ze zręcznością mistrza gry w bierki włożył prawą dłoń do klatki piersiowej Georga Pausewanga i wyjął kamienne serce. Teraz widział dokładnie. Cienka jak włos linia, która biegła jak pasek wokół środka kamiennej kuli, była wąską szczeliną.

Jak w złotych cackach Fabergé. Albo jak, bardziej banalnie, w czekoladowych jajkach niespodziankach, tak uwielbianych przez małe dzieci. O tym Abel wiedział bardziej ze słyszenia, ponieważ Lisa i on od początku zgadzali się co do jednego: w ich życiu nie ma miejsca na dzieci. Oboje bardziej chcieli robić kariery i cieszyć się życiem. Czasem Abel zastanawiał się, czy podjęli właściwą decyzję. Kiedy te myśli przelatywały mu przez głowę, trzymał kamień w rękach tak ostrożnie, jakby faktycznie było to kosztowne dzieło sztuki, które można zgruchotać przy trochę silniejszym dotyku.

– Doktorze, niech pan mówi! – Głos Hindricha zabrzmiał w słuchawce Abła. – Co pan tam robi? Co pan znalazł?

– Jeszcze chwilę – szepnął Abel.

Nabrał głęboko powietrza i wstrzymał oddech. Jedną ręką unieruchomił dolną połówkę kuli, a drugą próbował zdjąć górną połowę.

Jedno uderzenie serca wcześniej nie potrafiłby jeszcze powiedzieć, co spodziewa się ujrzeć we wnętrzu kuli. Oczywiście w pierwszej kolejności pomyślał o minach pułapek, w których rozbrajaniu ćwiczył się w jednostce specjalnej Bundeswehry. Ale w gruncie rzeczy liczył raczej na kolejną – pisemną albo symboliczną – wiadomość, co psychopaci często preferowali. Przestępca w sprawie Markwita nabazgrał na ofierze „Respectez Asia”. Być może Löwitsch zdeponował w wydrążonym kamieniu kartkę z napisem „Zemsta za dzieci wychowywane w rodzinach zastępczych”?

Ale kiedy górna połowa niespodziewanie łatwo oddzieliła się od dolnej i zawartość kamiennej kuli wyszła na jaw, Abel nie był specjalnie zaskoczony.

Mimo to zeszywniał i na krótką chwilę znieruchomiał przy zwłokach, jakby sam od stóp do głów

zmienił się w kamień.

Dopiero kiedy nie mógł już dłużej wstrzymać oddechu, ocknął się z bezruchu. Niezwykle ostrożnie położył dolną połówkę kamiennej kuli obok siebie na ulicznym bruku.

Zawierała elektroniczny zdalny zapalnik, który na jego oko wyglądał na jak najbardziej profesjonalny. 00:02:58. Cyfrowy timer z oszałamiającą szybkością odliczał wstecz.

**Berlin-Reinickendorf**  
**Miejsce przetrzymywania zakładniczki**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 12.52**

**M**amy bombę – powiedział Abel do mikrofonu swojego zestawu słuchawkowego. – Serce, czyli kamień, jest zapalnikiem ładunku wybuchowego. Zrozumiał pan, Hindrich?

– Zrozumiałem – odparł Hindrich. Jego głos był równie spokojny jak wcześniej, ale teraz nabrał metalicznego brzmienia. – Jest pan pewny?

– Na sto procent – rzekł Abel. – Mamy dwie minuty i siedemnaście sekund, aby ją rozbroić.

– Dobry Boże! A bomba, gdzie ona jest? Może umieścił ją w zwłokach?

Abel nawet nie wpadł na ten pomysł. Szybko ściągnął zmarłemu piżamę, zbadał tylną powierzchnię ciała i czaszkę. Ale nie znalazł nic, co wskazywałoby na to, że Löwitsch w ciele zmarłego zdeponował również bombę.

– Nie potwierdzam – rzucił.

00:01:53.

– W takim razie niech pan wraca – odpowiedział Hindrich. – Natychmiast!

Potem Abel słyszał w słuchawce już tylko strzępy zdań i nakładające się na siebie odgłosy.

– Holzberg... natychmiastowa interwencja!... wyprowadzić kobietę... niecałe dwie minuty... wszystko... w powietrze!

*To się nie uda. Nie ma dwóch minut!* – Abel myślał intensywnie. *Ale gdzie jest bomba?*

Wyrzał na zewnątrz. Oczywiście zapalnik mógł nie być prawdziwy, mógł być zwykłym timerem, który odliczy do 00:00:00 i nic się nie wydarzy. Ale Abel był pewny, że Löwitsch nie blefował. W końcu pracował w przedsiębiorstwie zajmującym się wyburzaniem fabrycznych budynków i używanie materiałów wybuchowych było tam na porządku dziennym.

Był świadomy, że plandeka namiotu nie stanowi żadnej ochrony, mimo to wahał się, czy opuścić to iluzoryczne schronienie. Kiedy właśnie zbierał się do wyjścia, prawie jednocześnie rozległo się kilka wystrzałów.

Ktoś krzyczał. *Kobieta*, pomyślał Abel. Potem nad sobą usłyszał brzęk pękającego szkła. Rozbite kawałki szyby posypały się na namiot, padły kolejne strzały. W następnej chwili przez sufit namiotu przebił się ciężki przedmiot.

*Bomba*, pomyślał w pierwszym odruchu Abel. *Löwitsch zrzucił na mnie bombę!*

Ale był to sam „wirywacz serc”. Przeleciał przez otwór wentylacyjny, który rozdarł się pod jego ciężarem, uderzył w ziemię obok zwłok i natychmiast znów stanął na nogach. Faktycznie miał na sobie czarny płaszcz z kapturem, który zgodnie opisywały żony ofiar, do tego czarną maskę z wyciętymi otworami na oczy, nos i wydatne wargi. Wyglądał jak żalosna karykatura Supermana. Żaden z tych szczegółów nie wydostał się swego czasu poza ich wydział, a tym bardziej do prasy.

*Bez dwóch zdań Löwitsch*, pomyślał Abel. *To musi być on!*

Timer w kamiennej kuli wskazywał 00:01:22, gdy zamaskowany mężczyzna z prychnięciem wściekłego kota rzucił się na Abła.



**Berlin-Reinickendorf**  
**Miejsce przetrzymywania zakładniczki**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 12.53**

Abel oplótł rękami wąty tułów napastnika. Löwitsch był od niego o głowę niższy i z pewnością o dwadzieścia kilogramów lżejszy. W młodości i na studiach Abel ponad dziesięć lat trenował dżiu-dzitsu i taekwondo. Choć jego najlepszy czas w sportach walki minął już kilka lat temu, w zasadzie nie powinien mieć większego problemu, aby unieruchomić „wrywacza serc” jednym chwytem.

Ale w tym momencie Abel po raz drugi tego dnia całkowicie zastygł, jakby sam zmienił się w kamień. „Wrywacz serc” miał na biodrach pas z ładunkiem wybuchowym.

*To on jest bombą! Jeszcze dwanaście sekund i wyleci w powietrze!*

Abel z całej siły odepchnął go od siebie. Löwitsch potknął się o zwłoki i walnął twarzą o ziemię. Była to ostatnia rzecz, jaką Abel zobaczył, bo w tym momencie wypadł z namiotu i pognął w stronę szarego mercedesa busa.

– Uciekać! Uciekać! – krzyczał. – Wszyscy uciekać! To on jest bombą!

Ostatnią część ostrzeżenia zagłuszył już potworny huk. Podmuch spowodowany przez detonację rzucił Abła na ziemię. Przeczłogał się jeszcze kilka metrów dalej za jeden z transporterów, gdzie latające dookoła odłamki nie mogły go zranić.

Dzwoniło mu w uszach jak w centrali telefonicznej.

*Dziś zdarzy się coś niezwykłego, pomyślał. Znow miałem dobre przeczucie. Ale mogłoby bardziej konkretnie pokazywać to, co ma nastąpić.*

Kiedy niedługo potem przyjechało kilka karetek pogotowia, ratownicy zajęli się dwiema kobietami, które były na skraju załamania nerwowego. Heide Pausewang i Charlotte Löwitsch. Obie zalewały się łzami.

Starsza kobieta płakała z rozpacz po swoim brutalnie zamordowanym mężu i chyba również z ulgi, ponieważ wyszła z tego zaledwie z kilkoma zadraśnięciami spowodowanymi przez latające dookoła odłamki szkła.

Młodsza kobieta płakała, ponieważ jej brat już zawsze będzie smażył się w piekle.

– Dobra robota, doktorze – powiedział Hindrich.

Abel chwiał się lekko na nogach. Ale kiedy lekarz pogotowia chciał zbadać mu puls, tylko machnął ręką. Dzwonienie w uszach również powoli ustępowało.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował Jankowski. – Tylko nie waż się znow dać mi kosza.

Abel oparł się ręką na ramieniu przyjaciela.

– Jeśli zawiesz mnie do pracy, Timo – odparł – przyjmę twoją propozycję z wdzięcznością.

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 14.03**

Następna bomba wybuchła w *Wiadomościach o czternastej* lokalnego radia RTL 104.6. Na szczęście składała się tylko z wybuchowych informacji, ale one też były mocne. Ktoś drobiazgowo opowiedział redakcji, co mniej więcej przed godziną wydarzyło się na miejscu zbrodni w Reinickendorf. Fred Abel siedział o tej porze na siedemnastym piętrze Treptowers i nieobecny duchem konsumował danie dnia. Myślami był tak daleko, że nie docierał do niego ani nowusieńki, prosto z Ikei, wystrój świeżo wyremontowanej stołówki Federalnego Urzędu Kryminalnego, ani ożywione rozmowy przy sąsiednim stoliku.

– Hej, słyszeliście, co przed chwilą mówili w radiu?

– W której stacji?

– RTL, tak mi się wydaje.

– RTL? Świetne źródło informacji. Ostatnio podali, że jeszcze przed 2020 rokiem otworzą lotnisko widmo w Berlinie, które się buduje od dziesięciu lat.

– I że metro od zaraz będzie kursować punktualnie.

Głośny rechot. W tym czasie Abel grzebał w talerzu z takim roztargnieniem, że już po kwadransie nie potrafiłby powiedzieć, co właściwie jadł. Z pewnością miało to również związek z marną jakością firmowej kuchni Federalnego Urzędu Kryminalnego. Ale dzisiaj nawet dwugwiazdkowemu kucharzowi byłoby trudno skierować uwagę Abła na kulinarne kreacje. Przed jego oczami nieustannie wyświetlała się scena w namiocie. „Wyrwacz serc” wpadł przez rozerwany otwór wentylacyjny w dachu namiotu, zerwał się na nogi i rzucił na Abła, który z całej siły popchnął go na zwłoki. Potem już tylko eksplozja, a kiedy Abel uciekał, fala uderzeniowa, która go przewróciła, ulga, gdy w ostatniej chwili wczuł się za transporter.

*Cholera jasna, niewiele brakowało. O mało co i Marlene mogłaby pochować mnie razem z matką. Również ta myśl cały czas wracała jak głos na filmie nadawany z offu. Cholera jasna, tak niewiele brakowało...*

O wpół do trzeciej Abel siedział w swoim biurze za biurkiem. Dzwonienie w uszach zmieniło się w przytłumione gwizdanie, ale oczyma duszy wciąż widział dramatyczną końcówkę, powtarzającą się w niekończącej się pętli. Na szczęście bez głosu.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, Abel z trudem oderwał się od przewijającego się non stop w jego głowie trailera.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie dyrektorze.

Renate Hübner zbliżyła się do jego biurka z niezachwianą pewnością sprawnego robota. Miała ze sobą

kartonowy skoroszyt w kolorze zielonego groszku, bez wątplenia raport z laboratorium w sprawie Iriny Pietrowej. Abel prosił ją, żeby dostarczyła mu go możliwie jak najszybciej.

Odebrał akta, podziękował i chciał natychmiast zagłębić się w obszerne zestawienia liczb, ale sekretarka wciąż stała przed biurkiem. Wyglądała na zaniepokojoną, co Abel mógł wywnioskować tylko z jej kanciastych ruchów, ponieważ sama twarz przez cały czas była tak samo nieruchoma jak gipsowa maska.

– W radiu mówili, że „wrywacz serc” został zabity podczas policyjnej akcji. – Jak zawsze wysławiła się tak monotennie jak przestarzała nawigacja samochodowa.

– Kto znowu puścił parę z ust? Ta werbalna biegunka funkcjonariuszy coraz bardziej upodabnia się do epidemii – skomentował Abel.

Ostatnie trzy słowa tylko wymruczał półgłosem przed siebie, patrząc na sekretarkę jak na fatamorganę.

*Dlaczego dopiero dzisiaj zauważyłem, jak pani Hübner jest podobna do tej naprawdę śmiesznej, no jakże się ona nazywa... no ta, telewizyjna partnerka od skeczy Loriota... Evelyn... O, właśnie.*

– Evelyn Hamann – powiedział głośno, a w każdym razie na tyle głośno, że Renate Hübner to usłyszała.

– Słucham, panie dyrektorze...?

*Taka sama fryzura, rodzaj trwałej ondulacji, pomyślał, taki sam ton głosu pracownicy zakładu pogrzebowego, końska twarz i nawet kostium w romby, wszystko pasuje jak ulał. Dlaczego przez pięć lat ani razu na to nie wpadłem?*

Pokręcił głową. Prawdopodobnie doznał halucynacji spowodowanej szokiem.

– Doktorze Abel? – Hübner zdecydowanym krokiem obeszła biurko i pochyliła się nad nim. – Czy wszystko z panem w porządku?

Kąciki ust Abła zaczęły drżeć.

„Ach, Hildegardo”, powiedziała by najchętniej, jak Lorient do Evelyn Hamann w nieśmiertelnym skeczu z makaronem. Ale oczywiście tak nie powiedział, a w następnej chwili przeszła mu ochota na żarty.

– Radio podało, że dowódca jednostki specjalnej Holzberg i pan, panie dyrektorze, schwytaliście seryjnego mordercę – ciągnęła sekretarka.

Przerwała i jeszcze bardziej wybałuszyła oczy.

– W holu wejściowym na górze czeka trzydziestu dziennikarzy – kontynuowała. – Przed głównym wejściem stoją cztery wozy transmisyjne. Tendencja wzrostowa. Na szesnastą prokurator generalny doktor Rubin zwołał konferencję prasową. Polecił panu przekazać, że będzie mu bardzo miło, jeśli pan poinformuje opinię publiczną o całym zdarzeniu.

Abel podniósł się raptownie i Renate Hübner pośpiesznie wróciła za drugą stronę biurka.

– Wyjaśnianie tego opinii publicznej chętnie zostawię doktorowi Rubinowi – oznajmił. – W zupełności wystarcza mi wyjaśnianie przestępstw. Proszę mu przekazać, że mam pilne spotkanie na mieście i będę w biurze dopiero jutro rano.

Wziął skoroszyt z napisem „Sprawa morderstwa Iriny Pietrowej – analiza DNA”, zdjął z wieszaka marynarkę i wyszedł z biura, nie czekając na odpowiedź sekretarki.

W tyle głowy bez przerwy leciała w kółko finalna scena. Skok, walka, ucieczka, wybuch. I za każdym razem, kiedy znów zajmowała jego uwagę, taniec czarownic zaczynał się od nowa... noradrenalina, adrenalina, kortyzol... Ale teraz miał antidotum, aby oderwać się od szokującej sceny, mianowicie kultowe zdanie ze skeczy Lorienta z makaronem: *Hildegardo, niech pani teraz nic nie mówi...*

Pięć minut później przejechał swoim audi A5 obok zgrai reporterów, którzy tłoczyli się przed głównym wejściem do Treptowers.

*Założę się o każde pieniądze, że źródłem przecieku jest Holzberg, pomyślał. Jak było powszechnie wiadomo, dowódca jednostki specjalnej miał manię na punkcie pokazywania się w mediach. Już wielokrotnie rozsyłał mejle z linkami do filmików na YouTube, na których udzielał wywiadów*

trzeciorzędnemu berlińskiemu radiu albo występował jako gadająca głowa w regionalnych programach publicystycznych.

Abel nie miał nic przeciwko temu, aby informować opinię publiczną na konferencji prasowej. Ale jego zdaniem lepiej najpierw mieć wyniki śledztwa, które warto podać do wiadomości.

Przy obecnym stanie wiedzy na temat porwania zakładniczki nie było prawie nic więcej poza zwykłymi spekulacjami. Sprawca i ofiara wylecieli w powietrze na skutek eksplozji pół kilograma plastiku. Ich ciała rozerwały się na setki małych i jeszcze mniejszych części, które zostały rozrzucone w promieniu wielu metrów, znalazły się na ścianie domu, chodniku i ulicy przed nim. Ponadto „wrywacz serc” leżał na zwłokach, kiedy razem eksplodowali. Zatem tekstylia – a tym samym ślady włókien oraz tkanki i DNA sprawcy oraz ofiary się zmieszały i najpierw trzeba je wyodrębnić w laboratorium, jeśli było to w ogóle możliwe.

Na razie prokurator naczelny nie mógł nawet odpowiedzieć na pytanie, czy porywaczem był Fritz Löwitsch, prawdziwy „wrywacz serc”, czy tylko jego naśladowca.

W końcu nikt nie widział twarzy ukrytej pod czarną maską, nie można więc było na sto procent zidentyfikować zabitego. A zdalny zapalnik we wnętrzu kamienia oznaczał poważne odstępstwo od dotychczasowego wzorca postępowania.

Jednak według Jankowskiego idealnie pasowało to do psychopatycznej osobowości „wrywacza serc”. Kiedy jechali jego samochodem, profiler zdążył mu przedstawić swoją ocenę całego zdarzenia:

– Zdaniem Löwitscha jego przybrany ojciec, mający „kamienne serce”, roztrzaskał mu życie i dzisiaj on zrealizował dokładnie taki sam scenariusz. Posługując się zdalnie sterowanym zapalnikiem w „kamiennym sercu” mężczyzny, który w jego dotkniętym obłędzie umyśle reprezentował przybranego ojca, rozerwał go na tysiąc kawałków.

Ale dopóki Löwitsch nie zostanie zidentyfikowany na podstawie DNA, to też było wyłącznie spekulacją.

W tłumie dziennikarzy przed głównym wejściem odwrócił się za Ablem siwowłosy reporter. We wstecznym lusterku zobaczył, jak mężczyzna wymachuje rękami i zaczyna krzyczeć, zwracając uwagę kolegów na czarne audi, które zatrzymało się przed szlabanem blokującym wyjazd z parkingu.

Najwidoczniej zrobił to przekonująco, bo około dziesięciu reporterów z kamerami i mikrofonami pobiegło w kierunku Abła. Ale w tej samej chwili szlaban się podniósł, Abel dodał gazu i zobaczył jeszcze, jak jego prześladowcy znów zawracają w stronę wejścia do biurowca.

Jako nagrodę pocieszenia mieli przed sobą konferencję prasową prokuratora generalnego Olivera Rubina, który służył z daru generowania w dowolnej liczbie gotowych do druku tasiemcowatych zdań pozbawionych jakiegokolwiek treści.

**Berlin, Keithstraße**  
**Wydział Zabójstw Krajowego Urzędu Kryminalnego**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 15.45**

Biuro Horsta Markwita w Krajowym Urzędzie Kryminalnym 1 – „Zbrodnie przeciwko życiu” – było mroczne i pełne zakamarków. Żaluzje w oknach chroniły przed upałem, lecz w dużej mierze pozbawiały też pomieszczenia dostępu do światła dziennego, a energooszczędne lampy na suficie były tylko jego marnym odpowiednikiem.

Nadkomisarz siedział pomiędzy wypchanymi dokumentacją spraw regałami za biurkiem, które wydawało się zbyt małe jak dla jego mocno zbudowanej postaci. Przy stole po jego lewej stronie siedział przed przestarzałym laptopem Tekin Okyar.

– Pogromca „wyrywacza serc”! – Markwitz podniósł się z krzesła i wyszedł zza biurka. – Moje gratulacje, doktorze!

Abel pozwolił uścisnąć sobie dłoń, drugą jednak wykonał niechętny gest.

– Lepiej od razu przejdźmy do rzeczy – poprosił. Markwitz spojrzał na niego badawczo i skinął głową. Sam ryzykował życie w kilku akcjach i rozumiał, co Abel czuje.

– Szczęście, że w tym przypadku jest już po sprawie – powiedział tylko. – W przeciwnym razie musielibyśmy odesłać na koniec kolejki poszukiwanie mordercy Pietrowej.

Ruchem ręki zaprosił Abła, aby zajął miejsce w kąciku narad. Gdy Abel usiadł na jednym z wysłużonych drewnianych krzeseł, znów odezwał się jego blackberry. W czasie jazdy przez miasto smartfon dzwonił praktycznie bez przerwy, a dzwoniącym była za każdym razem ta sama osoba: prokurator generalny Rubin. W którymś momencie Abel wyciszył zestaw głośnomówiący w swoim audi.

Tym razem również dzwonił z sekretariatu prokuratora generalnego. Po krótkim namyśle Abel wyłączył smartfon i schował go w kieszeni na piersi.

Markowitz wykrzywił twarz w grymasie.

– Jeszcze trochę, a te dziennikarskie hieny zaczną relacjonować zbrodnie, zanim się one wydarzą.

Widocznie potrafił czytać w myślach, chociaż w tym wypadku nie było to zbyt trudne.

Abel wzruszył ramionami. Szokujący zwiastun filmu wciąż wyświetlał się w jego głowie, a uśmierzające działanie środka zaradczego w postaci Renate Hübner alias Evelyn Hamann gwałtownie malało. Właściwie chciał już tylko wrócić do domu, założyć na głowę nowe słuchawki Bose i nastawić CD *Who's Next* zespołu The Who tak głośno, żeby wymiotło mu to z głowy wszystkie złe myśli i prześladowające go uporczywie sceny z południowej konfrontacji.

Tym razem jego intuicja milczała jak grób. Być może nakładał się na nią powtarzający się nieprzerwanie głos z offu: *Cholera jasna, niewiele brakowało*. W każdym razie Abel nie miał nawet cienia przeczucia, kiedy wyjaśniał Markwitzowi wyniki badań laboratoryjnych.

– Sprawca jest mężczyzną i ma afrykańskie korzenie. Jego przodkowie pochodzili z terenu Czarnej Afryki. A więc prawdopodobnie ma ciemną skórę albo przynajmniej skórę o ciemniejszej pigmentacji niż

przeciętny Europejczyk. Niestety tą metodą nie potrafimy bardziej zawęzić kręgu sprawców, a tym samym grupy potencjalnie podejrzanych osób. Czy w sprawie Pietrowej w rachubę wchodzi ktoś z lokalnego środowiska, można ustalić, tylko stosując badania przesiewowe.

Podsunał Markwitzowi skoroszyt. Nadkomisarz otworzył go i przesunął ogromnym palcem wskazującym wzdłuż rzędów liter.

– Może wyjątkowo się nam poszczęści – powiedział. – Tekin? Przynieś mi protezę mózgu.

Praktykant wyłonił się zza jego pleców, postawił przed Markwitzem masywny laptop i podłączył go do sieci. Bez słowa i wręcz błagalnie patrzył na Abła, jakby chciał mu dać jakiś tajny znak.

– No to zobaczymy – mruknął nadkomisarz. Przez serwer Krajowego Urzędu Kryminalnego połączył się z bazą danych Federalnego Urzędu Kryminalnego, wpisał nazwę użytkownika oraz hasło i kliknął w pozycję menu: „Szukanie profilu DNA”.

– Jednym słowem – zaczął Markwitz – to, co mamy, to nie jest indywidualny profil DNA sprawcy, lecz swego rodzaju genetyczny rodzinny herb męskiej linii krewnych. Czy dobrze zrozumiałem?

– Jak najbardziej – przytaknął Abel.

– Ale gdyby się okazało, że jeden z naszych potencjalnych podejrzanych z dokładnie takim samym haplotypem uwiecznił się w banku danych... – Markwitz otworzył skoroszyt na jednej ze stron i wpisał długi ciąg znaków w pole wyszukiwania.

Abel przyglądał mu się nieobecny duchem. *Gdy tylko wróci Herzfeld, wezmę tydzień wolnego. Być może również Lisie uda się wziąć krótki urlop, wtedy po prostu wyjedziemy na kilka dni.*

Po kilku minutach nerwowego czekania Markwitz krzyknął:

– Jest! No po prostu szok! Mamy trafienie w naszej bazie danych DNA!

Z całej siły walnął pięścią w stół, a laptop aż podskoczył.

– To niebawem! – kontynuował nadkomisarz entuzjastycznym tonem. – Ciemnoskóry mężczyzna, po czterdziestce, nieżonaty. Mieszka sam w mieszkaniu przy Heckerdamm, to kilka kroków od mieszkania ofiary! Jak pan sądzi, doktorze, czy to może być nasz człowiek?

Abel wciąż miał problem ze skoncentrowaniem się na otoczeniu. Parę godzin temu lekarz pogotowia na miejscu przestępstwa poradził mu, aby skorzystać z opieki psychologa.

– Właśnie uciekł pan śmierci spod kosa – powiedział napominającym tonem. – Przeżył pan szok i jeśli teraz go pan po prostu wyprze, kiedyś wróci ze wzmożoną siłą.

Ale Abel nie miał zbytniej ochoty, żeby jacyś lekarze grzebali w jego życiu wewnętrznym. Wystarczy długi sen i zmiana otoczenia na kilka dni – jeszcze nigdy nie potrzebował nic więcej, aby otrząsnąć się z nieprzyjemnych przeżyć.

– Były zawodowy żołnierz – referował dalej Markwitz. – Były żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Weteran z Afganistanu. Zdegradowany i zwolniony z Bundeswehry. Karany za ciężkie uszkodzenie ciała. No, i jak to brzmi?

– Super – przyznał Tekin Okyar. – A jak pan to widzi, doktorze Abel? – Spojrzał na Abła z troską. – Czy wszystko z panem w porządku? Może napije się pan ka...

– Jak się nazywa ten mężczyzna? – wpadł mu w słowo Abel.

– Lars Moewig – powiedział nadkomisarz.

– O cholera – zaklął Abel. – Moewiga znam od, nie przymierzając, wieków.

**Berlin, Keithstraße**  
**Wydział Zabójstw Krajowego Urzędu Kryminalnego**  
**Poniedziałek 6 lipca godz. 16.10**

Mógł zapomnieć o The Who, a o krótkim wypadzie z Lisą najprawdopodobniej też. Abel uświadomił to sobie natychmiast, gdy Markwitz wymienił nazwisko jego starego kumpla, Larsa Moewiga. A w zasadzie już kilka chwil wcześniej, kiedy nadkomisarz przeczytał notkę biograficzną podejrzanego.

Ciemnoskóry. Po czterdziestce. Były żołnierz Legii Cudzoziemskiej. Zawodowy żołnierz Bundeswehry. Afganistan. Degradacja i zwolnienie ze służby. Karany i dlatego od dwóch lat jego profil DNA zarejestrowano w banku danych.

*Ale zabójstwo? Czy był zdolny, aby perfidnie zamordować staruszkę? Na pewno nie mój stary przyjaciel, Lars. Ale Moewig się zmienił.*

Gdy praktykant ponownie zaproponował kawę, Abel poprosił o nią, dziękując. Okyar gorliwie przysunął mu cukierniczkę oraz dzbanek, ale Abel jak zawsze pił kawę czarną. Wziął solidny łyk i poczuł, jak kofeina mobilizuje w nim resztę energii.

– Moewig i ja służyliśmy razem w Bundeswehrze – zaczął – w zwiadzie.

Pokręcił głową, zdziwiony wspomnieniami, jakie to słowo zawsze w nim wywoływało. Czuł się tak, jakby w jego wnętrzu przełożono dźwignię.

– Jeszcze w czasach zimnej wojny – dodał. – Zwiadowcy byli tajną elitarną jednostką Bundeswehry, ale to wszystko działo się ponad dwadzieścia pięć lat temu. Nasza jednostka dawno już nie istnieje.

Gdyby nie Bundeswehra, Fred Abel i Lars Moewig z pewnością nigdy by się nie spotkali. Abel dorastał w bogatym mieszczańskim domu rodziców w pobliżu Hanoweru, Moewig w biednej dzielnicy ówczesnego Belina Zachodniego. Wspólny czas spędzony w wojsku sprawiał, że młodzi mężczyźni, tak różni jak oni dwaj, mogli wspólnie doświadczać przeżyć, których nigdy potem nie zapomnieli. Na krótko przed wstąpieniem do wojska Abel zdał maturę i po wyjściu do cywila chciał studiować medycynę. Natomiast Moewig skończył edukację na dziewiątej klasie. Najpierw uczył się na ślusarza, potem służył dwa lata w Legii Cudzoziemskiej i chciał spróbować kariery zawodowego żołnierza w Bundeswehrze. Ze swoją ciemną skórą, przeszłością i ukończoną szkołą podstawową nie wierzył w połowie 1980 roku, że wolnorynkowa gospodarka Zachodnich Niemiec stwarza mu jakieś możliwości. Ale był wysportowany i żądny przygód i miał nadzieję, że uda mu się wspiąć po szczeblach kariery w hierarchii służbowej Bundeswehry.

Jako zwiadowcy ćwiczyli wtedy działania partyzanckie w okupowanych przez ZSRR Niemczech. W czteroosobowych grupach ukrywali się głęboko pod ziemią na wewnętrznej granicy niemiecko-niemieckiej, aby potem, kiedy wróg ze Wschodu się nad nimi przetoczy, działać na tyłach frontu. Oficjalnie wykonywali tylko działania zwiadowcze, ale w rzeczywistości ich zadania były dużo bardziej rozległe: należał do nich również sabotaż oraz planowe zabijanie oficerów i szerzenie chaosu w szeregach wroga.

Dzięki ryzykownym przeżyciom, częściowo nielegalnym, Moewig i Abel bardzo się wtedy zaprzyjaźnili. Podczas czterodniowych ćwiczeń przebijania się przez linię wroga na kursie działań indywidualnych w Allgäu obydwaj wykiwali dwie pełne kompanie spadochroniarzy i jako jedyni zwiadowcy nie zostali wzięci do niewoli. Za każdym razem, kiedy „wróg” już-już miał ich zamknąć w okrążeniu, stawali się „niewidzialni” i zakończyli te ćwiczenia jako zwycięzcy.

Jednak nie zawsze przestrzegali reguł manewrów Bundeswehry. Na przykład pomysłowo przekroczyli wojskowe blokady dróg w bagażniku nieznanego cywilnego samochodu i w ten sposób zaoszczędzili sobie wielokilometrowego czołgania się i szukania kryjówek w lesie.

Jednak w ostatni wieczór ćwiczeń w działaniach indywidualnych ich triumf przerodził się w katastrofę. Moewig i Abel na koszarowym dziedzińcu wysadzili w powietrze samochód dowódcy kompanii spadochroniarzy.

Dowódca kompanii był starszym wiekiem majorem, który już w czasie drugiej wojny światowej jako żołnierz Wehrmachtu uczestniczył w inwazji spadochronowej na Kretę. Jak wielu oficerów Bundeswehry w tamtych czasach nie pozbył się swoich wielkoniemieckich dziwactw i rasistowskich resentymentów z epoki nazizmu. Major wielokrotnie ordynarnie wymyślał Moewigowi z powodu koloru skóry i szykanował go wielogodzinnymi karnymi stójkami.

Za jego typowe dla rasy panów zachowanie dwójka przyjaciół postanowiła go ukarać wysadzeniem nowego, kupionego dopiero kilka tygodni wcześniej, samochodu. Tak się złożyło, że na tylnym siedzeniu pojazdu spał wtedy, niezauważony przez Moewiga i Abła, wilczur majora, który również wyleciał w powietrze, czego obaj bardzo żałowali. Na szczęście nie udowodniono im zamachu, ponieważ w tamtych czasach w Bundeswehrze praktycznie nie było służb zabezpieczających ślady. Tego rodzaju incydentów wtedy nie upubliczniano ani nie zgłaszano cywilnym władzom ścigającym przestępstwa.

Przeżycia takie jak to mocno związały Moewiga i Abła. I chociaż po służbie w Bundeswehrze ich drogi życiowe się rozeszły, nigdy całkowicie nie zerwali znajomości.

– Od dwudziestu lat nie jesteśmy już bliskimi przyjaciółmi, ale wciąż dobrymi kumplami – powiedział Abel. – Odkąd pięć lat temu przeprowadziłem się do Berlina, spotkaliśmy się trzy albo cztery razy. Lars ma małą córeczkę, Lilly, która jest dla niego wszystkim. Ale nie widziałem go już jakiś czas.

– Kiedy to dokładnie było? – chciał wiedzieć Markwitz.

Abel próbował sobie przypomnieć. W Berlinie czas płynął szybciej niż w każdym innym miejscu w tym kraju. Człowiek sądził, że zdarzenie nastąpiło całkiem niedawno, ale kiedy policzył dokładniej, okazywało się, że to już miesiące albo nawet lata temu.

– To było jesienią, dwa lata temu – odparł. – Byliśmy razem na Teufelsbergu. Lars i Lilly puszczała latawca własnej roboty. Teraz byłaby na to pewnie za duża, musi mieć dwanaście albo trzynaście lat. W każdym razie zawsze, gdy widzę ich oboje, jestem zdziwiony Larsem. On jest gburowatym typem wojownika i zamkniętym w sobie odludkiem, a przeżycia w Afganistanie nie uczyniły go bardziej przystępnym. Ale kiedy jest razem z Lilly, staje się najczulszym, najbardziej troskliwym ojcem, jakiego można sobie tylko wyobrazić.

Abel spotkał Moewiga i jego żywą jak rtec małą córeczkę tylko dwa razy, ale potem za każdym razem nachodziła go myśl, czy aby na pewno sam nie chciałby zostać ojcem. Lisa nie wyglądała na taką, która żałowałaby niezrealizowanych uroków macierzyństwa. Natomiast Abel odczuwał lekkie ukłucie, gdy widział ogromną zażyłość Larsa i Lilly. Czuł się wtedy jak drzewo, które dźwiga mocne, pokryte zielonymi liśćmi konary; tylko jeden konar zmarniał.

Ale teraz były ważniejsze rzeczy do wyjaśnienia.

– Czują ojciec, ale żyje samotnie. – Markwitz spojrzał na Abła w zamyśleniu. – Zakładam, że związek z matką dziecka jest już przeszłością?

Abel przytaknął.

– Rozeszli się, zanim jeszcze urodziła się Lilly. Lars jest absolutnym indywidualistą. Samotne



poruszanie się miesiącami po terytorium wroga nie stanowi dla niego najmniejszego problemu. Za to nigdy nie wytrzymał z jedną kobietą dłużej niż kilka tygodni.

Nadkomisarz szarpał koniec wąsa.

– Mimo to w czasie służby w Bundeswehrze Moewig wyglądał na społecznie przystosowanego – powiedział. – Ale potem był Afganistan, prawdopodobnie jakieś traumatyczne wydarzenia, a po powrocie równia pochyła. – Zamknął laptop energicznym ruchem ręki i pochylił się do przodu. – Jak pan sądzi, doktorze, czy pana stary kumpel mógłby popełnić morderstwo?

Abel zwlekał z odpowiedzią. W określonych okolicznościach prawie każdy człowiek może stać się mordercą, tego nauczył się podczas wieloletniej działalności biegłego w procesach o zabójstwo.

Jednak tej myśli również nie powiedział na głos.

– Moewig się zmienił – odparł. – Zauważyłem to podczas naszego ostatniego spotkania. Wtedy właśnie wrócił z Kunduzu w północnym Afganistanie. Nie chciał o tym mówić, ale wyczułem, że spotkało go tam parę nieprzyjemnych przeżyć. W każdym razie od tamtej pory nie potrafił już trzymać nerwów na wodzy. Pięści zresztą też. Konsekwencje sam pan przed chwilą przytoczył: ciężkie uszkodzenie ciała, karany, degradacja i zwolnienie z wojska.

Markowitz wreszcie przestał znęcać się nad wąsami. Oparł się plecami o krzesło i skrzyżował ręce na piersi.

– A ta sprawa tutaj, zabójstwo na tle rabunkowym Iriny Pietrowej? – drążył. – Czy to podobne do pańskiego starego kumpla?

Tym razem Abel nie wahał się ani sekundy.

– Podstępnie napaść i udusić starą kobietę, żeby zwędzić jej biżuterię i gotówkę? Nie, to absolutnie do niego nie pasuje. Nigdy nie podnosił ręki na słabszych, przeciwnie: ma coś w rodzaju instynktu opiekuńczego wobec wszystkich, którzy nie potrafią się sami bronić.

Naszły go kolejne wspomnienia z czasów ich wspólnej służby w Bundeswehrze. Ale nie był gotów głębiej zanurzyć się w przeszłości. Na dziś już wystarczyło.

– A więc krótko mówiąc, twierdzę, że to wykluczone, aby Moewig miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem Iriny Pietrowej.

Miał nadzieję, że jego słowa zabrzmiały bardziej przekonująco, niż to czuł. Lars zaczął się zmieniać już dwa lata temu. Dokąd go to zaprowadziło, prawdopodobnie wiedział tylko on sam.

Wszystko wskazywało na to, że Moewig ma jakieś zaburzenia osobowości. A w swojej trwającej prawie dwadzieścia lat karierze lekarza sądowego Abel nauczył się, że w pewnych okolicznościach nawet pozornie najspokojniejsi ludzie są w stanie popełnić potworne zbrodnie.

Ale tę uwagę również zatrzymał dla siebie.

– Jutro, z samego rana, wysondujemy Moewiga – oznajmił Markwitz. – Albo ma alibi, albo ogromny problem. I mam do pana prośbę. Dopóki z nim nie porozmawiamy, proszę się z nim nie kontaktować.

Abel skinął głową. Pożegnał się z Markwitzem i Okyarem, który ponownie rzucał mu błagalne spojrzenia. Abel zmarszczył czoło. Kiedy szedł krętym korytarzem do windy, myślami był jeszcze przy Larsie Moewigu.

Ktoś biegł za nim i wykrzykiwał jego nazwisko. Abel odwrócił się – znowu praktykant.

– Coś jeszcze? – zapytał opryskliwie. Chłopak zaczynał działać mu na nerwy.

Okyar zatrzymał się przed nim bez tchu.

– Przepraszam... To wszystko przez to, że... mam dla pana taki wielki szacunek – wykrztusił, zacinając się. – I chciałem pana zapytać... czy może mógłbym u pana... jako praktykant...

Reszta była niezrozumiałym mamrotaniem. W końcu Okyar całkiem zamilkł i tylko patrzył na Abła wielkimi oczami.

Abel uśmiechnął się mimowolnie, kręcąc jednocześnie głową.

– Najpierw niech się pan postara jak najwięcej nauczyć tutaj, młody przyjacielu. Nadkomisarz

Markwitz jest jednym z najlepszych funkcjonariuszy Krajowego Urzędu Kryminalnego. Jeśli na koniec wystawi panu celującą opinię, wtedy będziemy mogli porozmawiać o praktyce w wydziale „Przypadków nadzwyczajnych”.

Okyar wydał okrzyk radości. Abel nie dziwiłby się, gdyby praktykant padł przed nim teraz na kolana. Ale na szczęście w tym momencie przyjechała winda.

Pojechał prosto do domu. Przez głowę przelatywały mu teraz dwa niekończące się trailery.

„Wyrywacz serc”, jak się na niego rzuca, jak Abel go odpycha, biegnie, aż fala uderzeniowa powala go na ziemię...

I Lars Moewig, jak klęczy obok Iriny Pietrowej w jej mieszkaniu, jak kładzie dłonie na jej szyi i ją dusi, jak ściąga jej rajstopy i...

*Nie, pomyślał Abel, to po prostu do niego nie pasuje. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił!*

Ale czy dałby sobie uciąć głowę za Larsa? A jeśli obecnie wzięła w nim górę mroczna strona jego osobowości? W końcu wszystko jest przecież możliwe.

# 21

## West Drayton, w pobliżu lotniska Heathrow Poniedziałek 6 lipca godz. 17.15

Niecałe szesnaście kilometrów na północ od lotniska Heathrow wokół niedużego terenu zielonego zgrupowały się ładne domy szeregowe i czteropiętrowe bloki z lat dziewięćdziesiątych XX wieku. West Drayton właściwie nie było willowym przedmieściem Londynu, ale mieszkający tu ludzie nie zaliczali się również do społecznych szumowin. Ostatnio wybudowano tu nawet centrum handlowe.

Również pole golfowe na wschód od centrum miejscowości było jasną wskazówką na temat wysokości dochodów mieszkańców West Drayton. I średniej wieku.

W małych sklepikach w centrum dominowały oferty dla seniorów. Mobilni opiekunowie starszych osób i pozbawione barier gabinety fizykoterapeutyczne rywalizowały o względy *silver ager*. W jednym z czteropiętrowych bloków na skraju parku mieszkało czterdzieścioro seniorek i seniorów, którzy w zależności od potrzeb mieli w swoich mieszkaniach zapewnioną pomoc domową i opiekę pielęgniarską.

Do tego osiedla z pomalowanymi na jasnożółty kolor fasadami późnym popołudniem zmierzały dwie bardzo różne osoby.

Siedemdziesięciodziewięcioletnia Emily Goldsmith mieszkała na czwartym piętrze w komfortowym penthousie, z którego tarasu można było podziwiać samoloty podchodzące do lądowania.

Natomiast ciemnoskóry, mocno zbudowany mężczyzna nigdy wcześniej nie był w West Drayton. Nie był zbyt wysoki i miał na sobie dzinsy oraz niezwracający uwagi T-shirt. Czarna bejsbolówka, której daszek nasunął głęboko na czoło, ukrywała część jego twarzy. Spacerował po parku, jakby nie miał określonego celu i robił to tylko dla zabicia czasu. Ale nie spuszczał z oczu starej kobiety, która powoli zmierzała do wyjścia z parku.

Emily Goldsmith wyszła do parku już dobrą godzinę temu, aby trochę pooddychać świeżym powietrzem. Ale ten poniedziałek na początku lipca był tak duszny i upalny, że dosłownie chwiała się na nogach. Ludziom w całej Europie doskwierały od kilku tygodni najsilniejsze w ostatnich dziesięcioleciach fale upałów. Teraz Emily Goldsmith podążała do domu. Kremowa jedwabna bluzka przykleiła się do jej mokrych od potu pleców. Wydawało się jej, że torebka waży dzisiaj kilka kilogramów. Była wściekła na siebie, że przy tej temperaturze opuściła klimatyzowany apartament.

Kiedy Emily Goldsmith przechodziła przez ulicę, o mało co nie przejechał jej ford pick-up. Blaszyany kolos zatrzymał się z piskiem opon jakiś metr przed nią. Kierowca wystawił przez boczne okno czerwoną ze zdenerwowania twarz i obrzucił ją stekiem przekleństw, ale one też ledwo docierały do Emily Goldsmith. Była skoncentrowana na tym, żeby nie potknąć się o własne nogi. Posuwała się krok za krokiem ze wzrokiem utkwionym w drzwiach swojego domu po drugiej stronie ulicy.

*Idealna zdobycz, pomyślał mężczyzna w czarnej bejsbolówce. Stara, trzęsąca się i całkowicie pochłonięta tym, aby nie paść trupem na miejscu. Nawet gdyby szło za nią stu mężczyzn z bębniami i wuwuzelami, to ta stara pudernica nawet by się nie odwróciła.*

Pół dnia rozglądał się za kimś takim jak ona, przemierzając osiedla na północ od lotniska Heathrow.

*Bogata i nieporadna, pomyślał. Czego chceć więcej?*

Jej torebka świadczyła o tym, że miała pieniądze, tak samo jak szara spódnica i bluzka, które oczywiście były z drogiego materiału. Plamy potu na jej plecach mu nie przeszkadzały. Wręcz przeciwnie. Uwielbiał wdychanie zapachu swojej ofiary. Wąchanie jej skóry, rozbieranie, żeby móc jeszcze lepiej czuć zapach. I, oczywiście, na niej pisać.

Już nie mógł się doczekać, żeby wreszcie poczuć ją pod sobą. Położyć się na niej, ścisnąć szyję i widzieć strach w jej oczach. Dusić, obserwować na jej twarzy walkę na śmierć i życie i czuć, jak jej ciało pręży się pod nim.

Ale musiał jeszcze wykazać się cierpliwością. W zwolnionym tempie otworzyła drzwi i weszła do holu. Cekał po drugiej stronie ulicy, aż drzwi domknęły się do połowy, potem przebiegł przez jezdnię i włożył nogę między drzwi a framugę.

Tymczasem stara kobieta weszła już do windy i wcisnęła najwyższy guzik. Nie musiał wiedzieć nic więcej. Pognał schodami na górę, za każdym razem przeskakując po dwa stopnie, i stał już na czwartym piętrze wciśnięty we wnękę w ścianie, kiedy drzwi windy rozsunęły się z sykiem i z kabiny chwiejnie wyszła jego ofiara.

Szedł tuż za nią, tak blisko, że prawie deptał jej po piętach. Było niemal śmieszne, jak łatwo ustrzelić tego rodzaju zdobycz. Z młodymi kobietami było dużo trudniej. Miały lepszy słuch, krzyczały i szarpały się, kiedy brał je w obroty. Natomiast starszuszki praktycznie same umierały na jego rękach i potem mógł robić z nimi, co chciał. *Po prostu perfekcyjnie.*

Stał za nią, gdy otworzyła drzwi do swojego mieszkania i powłócząc nogami, przeszła przez próg. Wtedy mocno ją popchnął, naciskając otwartymi dłońmi jej mokre od potu plecy.

*Przyjemna w dotyku, pomyślał. Stopniowo wpadał w nastrój. Szybko wszedł do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.*

Leżała brzuchem na podłodze. Odwróciła głowę i patrzyła na niego przerażona. W następnym momencie klęknął obok niej i odwrócił na plecy. Musiał patrzeć jej w twarz, inaczej to wszystko nie miałoby sensu.

Czuł jej strach, gdy kładł dłonie na jej szyi. Próbowwała krzyczeć, ale oczywiście nie mogła. Nic nie przechodziło jej przez gardło, ani powietrze, ani krzyk. Jeszcze trochę walczyła o życie, ale nawet nie warto o tym mówić.

Kiedy się na niej położył, zdołała się jeszcze tylko raz wyprężyć. Potem zwiotczała, jej głowa przechyliła się na bok, dłonie, którymi drapała jego ręce, opadły na parkiet i leżały na nim nieruchomo.

Parkiet był dobrym znakiem, tak samo jak torebka z zatrzaskiem w złotym kolorze. Na początek przeszukał torebkę, jeszcze gdy leżał na zabitej. *Sto dwadzieścia funtów w banknotach, nieźle.* Wyjął też szminkę i położył na podłodze obok jej nóg. Najchętniej od razu umieściłby na niej napis, ale to nie wchodziło w grę. Musiał zachować kolejność.

Ściągnął bransoletkę wysadzaną perłami oraz pierścionek z okruchami brylantów, który niemal sam zsunął się z jej kościstego palca. Ale stara wiedźma oczywiście miała więcej biżuterii i musiał znaleźć ją w następnej kolejności.

Wstał i zaczął przeszukiwać mieszkanie. Jak za każdym razem, zamierzał działać systematycznie i jak to często bywało, już po kilku chwilach zapomniał o tym planie. Pozwalał kierować sobą impulsom, zapachom, ciekawości i inspiracji. Tu odsunął drzwi szafy, tam wysypał na dywan zawartość szuflady, tak że bardzo szybko zrobił totalny bałagan.

W końcu zawsze znajdował schowek, w którym stare sroki gromadziły biżuterię. Starannie ułożył w rzędzie na łóżku łańcuszki, broszki, pierścionki i bransoletki i przyjrzał się błyszczącym skarbowi. Wyglądające na wartościowe przedmioty upchnął razem z gotówką w kieszeni spodni, rupiecie zostawił na łóżku.

Potem nadeszła najpiękniejsza część. Wrócił do przedpokoju i kucnął obok starej kobiety, która

wyglądała teraz na całkiem spokojną. Jej bluzka nie miała guzików, lecz małe pętelki zawieszane na srebrnych haczykach. Starannie rozpiął je jedna po drugiej i zdjął jej bluzkę. Nie było to łatwe, ponieważ kobieta leżała jak worek, ale nie stanowiło to dla niego problemu. Miał zręczne dłonie.

Zdjął jej również stanik i przez chwilę obwąchiwał gołą skórę. Dzięki temu jeszcze bardziej się nakręcał.

W końcu nadszedł właściwy moment. *Moment wykonywania napisu.*

Ponownie odwrócił ją na brzuch, wziął szminkę i zaczął pisać swoją wiadomość na plecach.

Zaczął pomiędzy ramionami i pisał wzdłuż kręgosłupa. Jak za każdym razem, złościł się, ponieważ litery wyglądały na rozchwiane. Ale szminką mógł przynajmniej pisać bardziej czytelnie niż nożem. Mimo to ręka zawsze drżała mu jak szalona podczas pisania. Nie potrafił tego zmienić. Drżał od stóp do głów, serce waliło mu tak silnie, że o mało nie pękło, i było tak za każdym razem.

„Respectez Asia”.

Ponownie ją ubrał, starannie wszystko pozapinał i ruszył w drogę na lotnisko.

**Berlin**  
**Lotnisko Tegel**  
**Wtorek 7 lipca godz. 8.35**

Marina Klöckner i Julian Engelhardt stali w tłumie tłoczącym się przed barierką jak zupełnie zwyczajna para, która czeka w hali przylotów na kogoś z rodziny. Oboje mieli po trzydzieści kilka lat i byli ubrani po cywilnemu. Nadkomisarz Markwitz wybrał ich do tej akcji, ponieważ zaliczali się do najlepszych członków jego ekipy. I ponieważ on sam tego przedpołudnia musiał zeznawać przed sądem w innej sprawie o morderstwo.

Mógł w stu procentach polegać na komisarzach Julianie Engelhardcie i Marinie Klöckner. A poza tym chodziło tu przecież tylko o tymczasowe zatrzymanie podejrzanego w poszlakowej sprawie mało spektakularnego morderstwa.

Mimo to Markwitz zarządził, aby akcję zabezpieczało jeszcze czterech funkcjonariuszy policji kryminalnej. Bądź co bądź Moewig był byłym żołnierzem elitarniej jednostki notorycznie stosującym przemoc. Przy tego rodzaju scenariuszu lepiej być przygotowanym na wszystkie możliwe komplikacje – próbę ucieczki, bójkę, wzięcie zakładnika, cały zestaw. Markwitz odpowiednio streścił sprawę obojgu komisarzom.

– Nie ryzykujcie. Zachowajcie spokój i bądźcie uprzejmi. Wygląda na to, że nasz człowiek ma psychiczny problem.

*Poza tym jest kumplem doktora Abła.* Co prawda Markwitz nie powiedział tego wprost, ale oboje komisarze i tak go zrozumieli. Ich szef nie chciał narazić się na zarzuty lekarza sądowego, że zbyt ostro wzięli Moewiga w obroty.

Gdy wczoraj nie zastali Moewiga w jego mieszkaniu, Markwitz z komisarz Klöckner pojechali do Marie Lindweg. Na pytanie, czy wie, gdzie obecnie przebywa ojciec jej córki, zareagowała uderzająco lakonicznie.

– Sądzę, że gdzieś za granicą – powiedziała.

Gdy Markwitz chciał się od niej dowiedzieć, kiedy Moewig znów będzie w Berlinie, wzruszyła tylko ramionami i wymamrotała:

– Nie mam pojęcia.

Markwitz i Klöckner nie pytali specjalnie natarczywie, ponieważ nie chcieli ryzykować, że kobieta ostrzeże Moewiga. Poza tym dowiedzieli się wystarczająco dużo. W epoce Big Data znalezienie Larsa Moewiga na liście pasażerów samolotu, który w następnych dniach miał wylądować w Berlinie, było dzieciinną zabawą.

Samolot z Londynu wylądował punktualnie o 8.25. Ponieważ Moewig miał ze sobą tylko wojskowy worek, już dziesięć minut później przeszedł przez automatyczne drzwi jako jeden z pierwszych pasażerów lotu Lufthansy z Londynu.

Julian Engelhardt szturchnął koleżankę w ramię.

– Jest – powiedział cicho.

Marina Klöckner rzuciła okiem na ekran iPhone'a i skinęła potwierdzająco. Zdjęcie widoczne na ekranie zostało zrobione trzy lata temu, przy ostatnim aresztowaniu Moewiga. Podobnie jak teraz miał czarne, kręcone, ostrzyżone po wojskowemu włosy, oliwkowe wojskowe spodnie i sportową bluzę w kamuflażowe wzory. Jednak trzy lata temu wyglądał wyraźnie młodziej, i to nie tylko dlatego, że twarz na policyjnej fotografii była gładko ogolona. Krępy, ciemnoskóry mężczyzna z pięciodniowym zarostem, który szybkim krokiem szedł w ich stronę, wciąż miał muskularną sylwetkę wytrenowanego zawodnika sportów walki, ale ostre zmarszczki, biegnące od nosa w dół, nadawały mu wygląd człowieka, który był chory lub przedwcześnie się zestarzał.

– Lars Moewig? – Julian Engelhardt zastąpił mu drogę. – Jestem komisarz Engelhardt z policji kryminalnej, to moja koleżanka Klöckner. – Pokazali mu swoje legitymacje. – W związku z prowadzonym śledztwem mamy do pana kilka pilnych pytań – dodał. – Pojedzie pan z nami do Krajowego Urzędu Kryminalnego.

Moewig zmrużył oczy i rozejrzał się dookoła. Najwidoczniej błyskawicznie sprawdzał sytuację i ważył swoje szanse.

– Jakie śledztwo? – zapytał. W jego głosie zabrzmiało zmęczenie, ale oczy pozostały czujne. Niekontrolowane drżenie prawego kącika ust zdradzało, w jakim złym stanie są jego nerwy.

– Proszę iść z nami i nie robić sensacji – zaproponowała Marina Klöckner z najbardziej pokojowym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć. – Śledztwo prowadzi nadkomisarz Markwitz. Wszystkiego dowie się pan od niego.

– Jak się raz do kogoś przyczepicie, to już nigdy nie dacie mu spokoju. – Moewig zaczął szybciej oddychać, kąciki ust drżały mu jeszcze bardziej.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała Marina Klöckner. – To zwykłe rutynowe przesłuchanie.

– A teraz pojedzie pan z nami do Krajowego Urzędu Kryminalnego – powtórzył bardziej stanowczo Engelhardt.

– A jeśli nie zechcę? – Nagle głos Moewiga zrobił się o pół oktawy wyższy. Znów rozejrzał się błyskawicznie na wszystkie strony.

Marina Klöckner demonstracyjnie sięgnęła do wewnętrznej kieszeni wyblakłej dżinsowej kurtki. Był to znak, który uzgodnili z pozostałymi funkcjonariuszami przydzielonymi do tego zadania. Dwóch z nich stało obok okienka wypożyczalni samochodów Hertza, zaraz przy wyjściu. Dwóch innych ustawiło się kilka kroków na lewo i prawo od Moewiga.

– Ależ zechce pan – odezwał się zdecydowanym głosem Engelhardt.

Mężczyzna z czarną skórą i bicipsem sztangisty sprężył się jak do skoku.

W tym momencie podeszło czterech funkcjonariuszy jednostki specjalnej i utworzyło krąg wokół niego. Jeden z nich, prawie tak samo umięśniony jak Moewig i o głowę wyższy, wyjął zza paska kajdanki.

– Proszę wyciągnąć obie ręce – nakazał głosem, który nie znosił sprzeciwu.

Moewig przez chwilę wpatrywał się w kajdanki, potem zwiotczał, jakby uszło z niego powietrze. Posłusznie wyciągnął ręce do funkcjonariusza i stalowe obrączki zamknęły się z kliknięciem na jego nadgarstkach.

– Panie Moewig, jest pan tymczasowo zatrzymany – oznajmiła Marina Klöckner. – Ma pan prawo milczeć i wezwać adwokata. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu przed sądem.

Moewig patrzył na nią przez zmrużone powieki.

– Dlaczego po prostu się nie zamkniesz, ty głupia cipo! – zaklął. – Dlaczego wszyscy nie zostawicie mnie wreszcie w spokoju?

**Berlin-Moabit**  
**Areszt śledczy**  
**Wtorek 7 lipca godz. 16.30**

Zakład penitencjarny Moabit leżał w środku jednej z najbardziej ruchliwych dzielnic w centrum Berlina. Monumentalna ceglana budowla pochodziła z XIX wieku i wyglądała na skrzyżowanie warownego zamku i fabryki z okresu wczesnego kapitalizmu. Składała się z czterech części, w których przetrzymywano tysiąc trzystu więźniów aresztu śledczego i skazańców, samych mężczyzn.

Odkąd Abel pracował w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, często tu bywał, aby przebadać aresztantów na okoliczność istotnych dla dochodzenia śladów albo zeznawać jako biegły przed mającym tu swoją siedzibę sądem karnym. Jednak ponure zamczysko z czasów kajzerowskich za każdym razem budziło w nim szacunek. Pozornie nieskazitelny obywatel mógł w mgnieniu oka znaleźć się za kratami, czego już nieraz był świadkiem.

Przy bramie pokazał swoją legitymację służbową.

– Do Larsa Moewiga. Dzisiaj odstawiony do aresztu śledczego.

Brodaty funkcjonariusz zakładu karnego zaprowadził go do pawilonu 1 w tylnej części kompleksu, gdzie znajdowała się recepcja dla nowo przyjmowanych więźniów. Abel podążał za umundurowanym funkcjonariuszem przez labirynt korytarzy, drzwi i dziedzińców. Przy okazji uświadomił sobie, że po raz pierwszy jest tutaj z powodów nie tylko czysto zawodowych.

Przed godziną zadzwonił do niego nadkomisarz Markwitz: Moewig został ujęty na lotnisku i przez kilka godzin był przesłuchiwany w komendzie Krajowego Urzędu Kryminalnego.

– Zapewnia o swojej niewinności, ale nie ma alibi na wieczór drugiego lipca. Rzekomo cały czwartek spędził w swoim mieszkaniu przy Heckerdamm, aby przygotować się do wyjazdu do Londynu. Moim zdaniem kłamie.

Abel był wstrząśnięty, jakkolwiek nie do końca zaskoczony. Oczywiście miał nadzieję, że Moewig zdoła przedstawić niezbite alibi. Ale instynkt mówił mu coś innego: jego stary kumpel wpadł w poważne tarapaty.

Brodaty strażnik otworzył pokój widzeń na drugim piętrze.

– Proszę tu poczekać. Powiem kolegom.

Abel wszedł do wąskiego pomieszczenia ze ścianami pomalowanymi żółtobrunatną farbą olejną. Dookoła małego stołu stały trzy drewniane krzesła. Jedyne okno znajdowało się pod sufitem i było zakratowane.

Usiadł i bębnił palcami w pokryty grubymi bruzdami odrapany blat. Przez głowę znów przelatywała mu finałowa scena spotkania z „wrywaczem serc” w namiocie, ale ostre jeszcze wczoraj obrazy zaczynały się zacierać. Rano z ulgą przyjął do wiadomości, że Renate Hübner znów jest sobą. Żadnego podobieństwa do Evelyn Hamann. Uznał to za znak, że przetrwał wczorajszy szok. Ostatniej nocy spał jak zabity i już od dawna nie czuł się tak wypoczęty.



Natomiast Lars Moewig wyglądał na totalnie wykończonego. Wysoki i barczysty strażnik z łysiną wprowadził go do pokoju widzeń. Moewig opadł na krzesło, nie patrząc na Abła.

– Będę za drzwiami – powiedział funkcjonariusz ostrzegawczym tonem głosu, który bez wątpienia był skierowany do aresztanta.

Wydawało się, jakby do Moewiga niewiele docierało. Kiedy funkcjonariusz zamknął za sobą drzwi, tylko krótko spojrzął na Abła i zaraz znów odwrócił wzrok. Sprawiał wrażenie przygnębionego i apatycznego.

*Przygnębiony, ponieważ czuje się winny?* – zastanawiał się Abel.

– Lars, człowieku – zaczął – co się dzieje? Czy masz coś wspólnego ze sprawą w Tegel?

Wydawało się, że to postawione bez ogródek pytanie wstrząsnęło Moewigiem. Znów rzucił Ablowi szybkie spojrzenie.

– Oczywiście, że nie. Chyba nie myślisz poważnie, że zrobiłbym coś takiego!

Abel przyglądał mu się z namysłem. *Stary Lars Moewig, jakiego znałem, na pewno nie zamordowałby bezbronnej emerytki.*

Ale człowiek, który dzisiaj siedział przed nim w niebieskim stroju więziennym, niewątpliwie był na skraju wyczerpania nerwowego. Jego twarz miała ciemnoszary kolor z żółtawym odcieniem. Od nasady nosa do brody ciągnęły się głębokie bruzdy. Lewe oko i prawy kącik ust drgały asymetrycznie i w niekontrolowany sposób.

Abel pokręcił głową z wahaniem.

– Nie, nie myślę – przyznał. – Wszystko się wyjaśni, Lars. Za parę dni cię wypuszczą.

Moewig sięgnął przez stół i chwycił dłonie Abła.

– Wierzysz mi, Fred? Naprawdę? Kamień spadł mi z serca!

Abel drgnął, w tej chwili wolałby nie słuchać o kamieniu i sercu. Ale odwzajemnił uścisk dłoni Larsa, uspokojony, ponieważ wydawało się, że Moewig obudził się z odrętwienia.

– Przez cały czwartek byłem w swoim mieszkaniu – oznajmił Moewig. – Sto razy tłumaczyłem to policjantom, ale mi nie wierzą. Brak alibi, za to kilka razy karany, *voilà*, i oto mamy naszego mordercę. Następny, proszę.

Wykonał ruch, jakby zmiął kartkę papieru i rzucił przez ramię.

– Dla tego tłustego komisarza z wąsami sprawa była jasna od początku – ciągnął. – Powiedział mi to bez ogródek: „Wszystkie dowody przemawiają przeciwko panu, panie Moewig. Pozostaje się tylko przyznać”. Ale do czego mam się przyznać, skoro nic przecież nie zrobiłem? – emocjonował się Moewig.

– Jestem żołnierzem, a nie złodziejem i mordercą, psiakrew! Zgoda, podczas akcji w Somalii i w Kunduzie zabijałem ludzi, ale to byli uzbrojeni wrogowie! Terrorysty. Zabili by mnie i moich towarzyszy, gdybyśmy ich nie ubiegli! Mam swój kodeks honorowy, którego trzymam się w życiu!

Mówił z coraz większym zacięciem i do tego walił pięścią w stół. Dudniło to jak uderzenia młota i po trzecim uderzeniu w drzwiach ukazał się potężnie zbudowany funkcjonariusz.

– Czy wszystko w porządku, panie dyrektorze? – zapytał.

Moewig nagłym ruchem odwrócił się do niego.

– Wszystko będzie w porządku, jak mnie stąd wypuscicie! – wrzasnął. – Nie wcześniej, czy to jasne?

Abel skinął uspokajająco w kierunku funkcjonariusza.

– Jasne jak słońce – powiedział łysy olbrzym i zamknął drzwi.

Kiedy Abel spojrzął ponownie na Moewiga, ten ukrywał twarz w dłoniach.

– Nic nie jest w porządku, zupełnie nic – wydusił z siebie. Jego ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki. – Wiesz, dlaczego poleciałem do Londynu?

Opuścił dłonie. Abel zobaczył, że Moewig ma łzy w oczach.

– Nie. Dlaczego?

Moewig wytarł oczy rękawem.

– Nabór rekrutów do Intersec, prywatnej firmy ochroniarskiej. Najmują ochroniarzy do zabezpieczania obiektów przemysłowych i osiedli dla bogaczy na Bliskim Wschodzie. Odsiewają dziewięćdziesiąt procent kandydatów, ale dostałem tę robotę! Teraz mogę wreszcie zarabiać prawdziwą kasę: tysiąc pięćset dolarów dziennie!

Pokręcił głową i znów zapadł się w siebie.

– Kiedy starałem się o pracę w Intersec – ciągnął – wtedy jeszcze wydawało się, że można uratować Lilly. Pobyt w prywatnej klinice w Kalifornii kosztuje siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Mój brat Arne twierdzi, że to szarlatani, którzy tylko chcą wyciągnąć od ludzi pieniądze, ale to była ostatnia szansa dla Lilly! Musiałem zarobić te pieniądze, nawet gdybym do końca życia miał pilnować osiedli milionerów na pustyni!

Ponownie wściekle walnął pięścią w stół.

– Na Boga, co jest twojej córce? – zapytał Abel. Położył dłoń na ręce Moewiga.

Moewig wyrwał rękę i odchylił się do tyłu tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił się razem krzesłem.

– Co jej jest?! – krzyknął. – Powiem ci, co jej jest, Fred! Ma białaczkę!

Głos mu się załamał.

– Wiemy o tym dopiero od dwóch miesięcy – kontynuował trochę spokojniej. – Najpierw lekarze mówili, że przy najlepszej opiece mogłaby mieć jeszcze szansę. Ale teraz zostawili moją Lilly samą sobie. „Stadium końcowe”, tak to nazywają. Dają jej jeszcze najwyżej dwa tygodnie! Rozumiesz teraz, Fred?

Znów zaczął krzyczeć.

– Moja mała dziewczynka, mój skarb umiera! Czuję się, jakby ktoś wrywał mi serce, a równocześnie siedzę w tym pieprzonym kiciu i nie mogę być razem z nią w najtrudniejszych godzinach!

Abel patrzył na niego głęboko wstrząśnięty. Znał Lilly jako wesołą dziewczynkę, tryskającą życiem. Myśl, że leży umierająca na szpitalnym łóżku, była dla niego przerażająca, chociaż ze śmiercią we wszystkich wariantach stykał się codziennie.

– Posłuchaj mnie, Lars – powiedział. – Poruszę niebo i ziemię, żebyś jak najszybciej wyszedł na wolność. Masz moje słowo.

– To nie wystarczy, Fred. – Moewig spojrzał na niego błagalnie. Kącik jego ust drżał. – Musisz mi obiecać, że mnie stąd wyciągniesz, póki Lilly jeszcze żyje! – mówił dalej. – Chcę być razem z nią, gdy będzie umierać, przynajmniej tyle! – Patrzył na Abła nabiegłymi krwią oczami. – Przysięgasz?

Abel nie miał dobrego przecucia, ale błagalny wyraz twarzy starego kumpla nie dawał mu wyboru.

Skinął głową.

– Załatwię to jakoś, obiecuję.

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Środa 8 lipca godz. 6.55**

Następnego dnia wrócił z urlopu profesor Paul Herzfeld.

Abel przyjechał do pracy pół godziny wcześniej niż zwykle, żeby zdać swojemu szefowi raport jeszcze przed naradą zespołu. Ale przede wszystkim chciał porozmawiać z Herzfeldem o sprawie zamordowania Iriny Pietrowej.

– Wejdz, Fred, i zamknij, proszę, drzwi. Jeśli diabeł zechce, zaraz zza rogu wyjdzie Rubin i rozpęta się tu piekło.

Paul Herzfeld był mocno opalony i najwidoczniej w znakomitym humorze. Poprosił Abła, żeby zajął miejsce w fotelu dla gości w jego przestronnym narożnym biurze i wmusił w niego filiżankę arabskiej kawy.

– Dopiero co przyleciała z Kairu – powiedział. – Przywiozła ją egipska lekarka sądowa, która przyleciała tu wczoraj w nocy. I pięć innych młodych talentów, które aż palą się do tego, żebyśmy ich wykształcili. Ale jeszcze raz moje gratulacje, Fred, za brawurowe załatwienie „wrywacza serc”.

Podniósł się z fotela i Abel poszedł za jego przykładem.

Jak za każdym razem, zdziwił się, że Herzfeld jest o kilka centymetrów wyższy od niego. Dzięki świeżej urlopowej opaleniznie był jeszcze bardziej niż zazwyczaj podobny do pewnego hollywoodzkiego gwiazdora, z którym często go mylono.

Herzfeld uroczyście uścisnął mu dłoń i poklepał po ramieniu.

– Obaj jesteśmy z tej samej gliny, Fred. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że mam cię na pokładzie.

– Prokurator generalny prawdopodobnie widzi to inaczej – rzucił Abel.

– Rubin jest wściekły na ciebie, ale mu przejdzie. – Herzfeld nonszalancko machnął ręką. – Zadzwoń do mnie wczoraj późnym wieczorem i strasznie zmył mi głowę, ponieważ zignorowałeś jego polecenie i nie pojawiłeś się na konferencji prasowej. Ale obaj wiemy, że tak naprawdę nie to jest przyczyną...

Abel skinął przytakująco głową. Trzy lata temu Oliver Rubin kierował prowadzoną na terenie całych Niemiec obławą na „wrywacza serc” i przy okazji nie tylko pośrednio utrudniał pracę Jankowskiemu i Ablowi, lecz całkowicie pomijał ich ustalenia dotyczące osobowości sprawcy. Uważał profilowanie za „mocno przecenianą pseudonaukę”, a poza tym wyrażał pogląd, że lekarze sądowi, jak Abel, nie mają czego szukać poza prosektorium. Ale kiedy Jankowski i Abel zidentyfikowali Löwitscha jako „wrywacza serc”, prokurator generalny gładko ustawił się w pierwszej linii i przed każdą kamerą i mikrofonem ogłaszał, że powołany przez niego specjalny zespół składający się z Abła i Jankowskiego „kongenialnie wcielił w życie” jego wytyczne.

– Szkoda gadać – powiedział Abel, gdy ponownie usiadł w fotelu. – Dziś po południu dostaniemy wyniki badań laboratoryjnych DNA z miejsca zbrodni. Idę o każdy zakład, że tkanka mózgowa, którą zdrapali ze ściany obok namiotu, pochodzi od Fritza Löwitscha.

Herzfeld wydał z siebie charakterystyczny śmiech, który w uszach Abła zawsze brzmiał jak zwycięska fanfara.

– Wyświadczyć mi i sobie samemu przysługę i nie kompromituj Rubina, przynajmniej publicznie. Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas będziemy musieli się z nim męczyć.

– Też się tego obawiam – przyznał Abel, sącząc ze swojej filiżanki ciec, która miała kolor i konsystencję atramentu. – Jest jeszcze coś, Paul.

Herzfeld uniósł brwi i spojrzał na niego uważnie.

– Od razu tak pomyślałem. Za dobrze cię znam. No, mów, gdzie się pali?

Abel masował kciukami i palcami wskazującymi skronie. Jeszcze przed chwilą zamierzał poprosić szefa o kilka dni urlopu, żeby po trwającym wiele tygodni rodzinnym stresie mógł znów nabrać energii. Ale w tej sytuacji mógł tylko pomarzyć o kilkudniowym wypadzie z Lisą.

– Muszę znaleźć mordercę – zaczął – i to niezwłocznie, żeby człowiek, na którym ciąży podejrzenie i który siedzi w areszcie śledczym, na czas wyszedł na wolność.

Herzfeld zmrużył oczy.

– Na czas? Co to znaczy?

– To znaczy, żeby zdążył pożegnać się ze swoją córką Lilly, która umiera – powiedział Abel. – Jej ojciec nazywa się Lars Moewig. Byliśmy kiedyś bardzo zaprzyjaźnieni.

W krótkich słowach przedstawił Herzfeldowi sprawę zabójstwa Iriny Pietrowej i jak wpakował się w nią Moewig.

– Jestem przekonany, że jest niewinny – dorzucił na zakończenie. – Dlatego mam prośbę: daj mi wolną rękę, żebym mógł znaleźć prawdziwego mordercę, póki Lilly jeszcze żyje. Lekarze dają jej jeszcze jakiś tydzień.

Herzfeld, który właśnie podniósł filiżankę, spojrzał badawczo na Abła nad jej brzegiem.

– Rozumiem. Wiesz, że ufam twojemu instynktowi i zdolnościom oceny. Do tej pory nigdy się nie myliłeś w naprawdę poważnych sprawach. – Opróżnił filiżankę i postawił ją z powrotem na stole. – Ale proszę, pomyśl o mnie i renomie naszego wydziału i nie podejmuj nazbyt niekonwencjonalnych kroków – dodał. – Znasz moje zdanie i wiesz również, że mówię to z własnego, zdecydowanie bolesnego doświadczenia.

Abel znów przytaknął. Jego przełożony nieraz już dowiódł, że nie zawsze postępuje zgodnie z literą prawa i służbowym regulaminem, kiedy chodzi o wyjaśnienie aktu przemocy, w którego rozwiązanie sam jest w jakiś sposób zaangażowany. I Herzfeld wiedział równie dobrze jak on, że pod tym względem obaj byli ulepieni z tej samej gliny.

– Zrozumiałem. Żadnych niekonwencjonalnych kroków – powiedział Abel. – W każdym razie, jeśli da się tego uniknąć – dodał.

Ale to było, już kiedy wyszedł z biura Herzfelda.

**Col du Sauvage, w pobliżu Marsylii**  
**Dawny zbiornik retencyjny**  
**Pięć lat wcześniej**

Zaczął bardzo spokojnie, tak jak sobie obiecywał. Ale potem jakoś wymknęło mu się to spod kontroli. W każdym razie leżała teraz nieruchoma jak befsztyk tatarski, krwista i posiekana.

Przypomniał sobie, jak rozcinał na niej ubranie. I tak już go nie potrzebowała, a poza tym nie musiał pracowicie rozsypywać jej więzów tylko po to, aby znów ją związać, kiedy będzie już naga. Potem odwrócił ją na brzuch i nożem do jarzyn spróbował na plecach. Kiedy już w pewnym sensie się rozkręcił, wyciął na jej skórze „Respectez Asia”, był tego pewny. Jego osobisty autograf.

Ale teraz nie mógł znaleźć tych słów nigdzie na jej plecach. Co gorsza, nie widział żadnej litery, tylko okropne bazyliki i krwawą jatkę.

Znów zagotował się z gniewu. *Przeklęta mała dziwko! To wszystko twoja wina!*

Musiała się tak prężyć, wierzgać nogami i jęczeć jak jakiś duch, mimo że była zakneblowana. W tych warunkach nikt nie potrafiłby czytelnie nic napisać. Skóra na niej popękała jak na przejrzałej brzoskwini. Parę razy umyślnie naciął głęboko, żeby ukarać ją za wierzganie, ale nic to nie dało. Tym bardziej dziko się miotła i kopała jak chore na wściekliznę źrebię.

*Zmarnowałem całe plecy, pomyślał. Ale nic straconego, mam przecież jeszcze przód.*

Chwycił ją za ramiona i odwrócił na plecy. Jęknęła, ale nie otworzyła oczu.

*Mam nadzieję, że się nie ocknie i będę mógł spokojnie wykonać napis.*

Ale ledwo przyłożył nóż, znów zaczęły się problemy. Otworzyła szeroko oczy i wpatrywała się w niego. Rzuciła głową na wszystkie strony i wyprężyła tułów. Omal nie wbił jej noża w serce.

– Hej, zrobiłaś to specjalnie! – krzyknął na nią. – Pewnie byś tego chciała!

Na szczęście czubek noża zagłębił się między jej żebrami, bezpośrednio pod lewą piersią, tylko na kilka milimetrów. Końcami palców rozszerzył ranę. Jęknęła głośniejsze i wyprężyła piersi w jego stronę.

– Podoba ci się, ty parszywa cipo, co?! – wrzasnął. – To cię podnieca, ty brudna zdziro, mam rację?

Nóż wyslizgnął mu się z dłoni. Wszystko układało się zupełnie inaczej, niż zaplanował. *Nie szkodzi, pomyślał, powycinać jej litery na skórze zawsze jeszcze zdążę.*

Rozpiął pasek i zsunął dżinsy razem z bokserkami aż do kolan.

**Berlin, Keithstraße**  
**Wydział Zabójstw Krajowego Urzędu Kryminalnego**  
**Środa 8 lipca godz. 8.45**

Jeszcze będąc na korytarzu przed biurem Herzfelda, Abel zadzwonił do Krajowego Urzędu Kryminalnego. Nadkomisarz Markwitz siedział już za swoim biurkiem.

– Chodzi o sprawę Pietrowej – powiedział. – Mogę do pana wpaść?

– Ma pan coś nowego, doktorze? – zapytał.

– Będę u pana za pół godziny – odparł wymijająco Abel. Nie wiedział jeszcze, jak powinien postąpić.

W pierwszej kolejności musiał postarać się przekonać Markwita, że w przypadku Larsa Moewiga złapali nie tego człowieka. Ale Abel nie robił sobie złudzeń. Dopóki nie udowodni nadkomisarzowi Markwitzowi niewinności Moewiga albo przynajmniej nie będzie mógł wskazać mu lepszego podejrzanego, więzienna brama nie otworzy się przed Moewigiem.

Oczywiście Moewig mógł złożyć wniosek o przewiezienie z aresztu śledczego do szpitala dziecięcego, żeby mógł pożegnać się z córką. Jednak zgodnie z regulaminem aresztu śledczego taki wniosek podlegał ocenie sądu i prokuratury, które decydowały, czy udzielić lub odmówić takiego przywileju, a więzień osadzony pod zarzutem morderstwa, który notorycznie używał przemocy i wobec którego można było żywić poważne podejrzenia, że spróbuje ucieczki, generalnie miał małą szansę, aby wypuszczono go poza więzienne mury ze względów humanitarnych. I gdyby nawet wniosek Moewiga został zatwierdzony, oznaczało to tylko tyle, że byłoby mu wolno spędzić pod strażą kilka godzin w sali chorych u córki, a potem znów odstawiono by go do więzienia – i w końcu Lilly i tak byłaby sama przez ostatnie dni i godziny swojego życia.

*To nie jest rozwiązanie*, pomyślał Abel. *Lars musi zostać zwolniony bez żadnego ale, żeby być przy Lilly do samego końca*. Przecież nikt nie potrafi przewidzieć, kiedy dokładnie nadejdzie ostatnia godzina Lilly. Nawet gdyby Moewig złożył wniosek o przewiezienie do dziecięcego szpitala poprzedzony stosownym telefonem, Lilly i tak byłaby już dawno martwa i pochowana, zanim sędzia rozpatrzyłby jego wniosek.

W takim razie, co robić? Co Abel mógł przedsięwziąć, żeby na czas doprowadzić do uwolnienia Moewiga? W porannych godzinach szczytu miał czas zastanowić się nad następnymi krokami.

W każdym razie na pewno musi porozmawiać z Marie Lindweg, matką Lilly. Musiał wiedzieć, jak ona postrzega zmianę osobowości Larsa. On sam mniej więcej dwa lata temu po raz pierwszy zauważył, że Moewig przestał kontrolować swoją agresję, nad którą wcześniej z trudem, bo z trudem, ale jednak panował. Poza tym wydawało się, że rozwija się u niego coś w rodzaju paranoidalnych fantazji związanych z przemocą. Ale taka zmiana osobowości nie zaczęła się w ciągu jednej nocy, lecz musiała dawać o sobie znać już od dłuższego czasu. Zupełnie jak nadwerężony budynek, który przecież nie rozpada się w gruzy ni stąd, ni zowąd, lecz od miesięcy w jego murach pojawiają się rysy i pęknięcia i cały powoli chyli się ku upadkowi.

Musi spytać Marie Lindweg, kiedy po raz pierwszy zauważyła pęknięcia i rysy w zachowaniu, świecie myśli i uczuć swego byłego życiowego partnera. W gruncie rzeczy miał nadzieję, że Marie rozwieje jego podświadome powątpiewanie w niewinność Moewiga.

Nadkomisarz Markwitz przywitał go w drzwiach swojego biura. Sprawiał wrażenie uważnego i odrobinę zdystansowanego.

– Dla mnie sprawa jest zamknięta – stwierdził. – Ale niech pan na chwilę spokojnie usiądzie, doktorze. Ma pan ochotę na kawę? Tekin, gdzie cię znowu poniosło?

Z mrocznej głębi biura przybiegł praktykant. Abel trzykrotnie zapewniał, że nie chce nic do picia, i wreszcie Markwitz przeszedł do rzeczy.

– Rozumiem, że chciałby pan pomóc przyjacielowi z dawnych czasów, ale fakty przemawiają jednoznacznym językiem. Sprawcą jest Moewig. Mieszka o rzut beretem od miejsca zbrodni, ma pasujący haplotyp i nie ma alibi na czas popełnienia morderstwa. Od teraz mamy również naocznego świadka. Jeden z mieszkańców bloku dla seniorów widział w czwartkowy wczesny wieczór ciemnoskórego mężczyznę, który kręcił się po drugiej stronie ulicy i wyraźnie obserwował wejście jego domu.

– Czy pański świadek potrafi opisać tego mężczyznę? – zapytał Abel.

– Nawet dość dokładnie.

Nadkomisarz dał znak Okyarowi. Praktykant oddalił się i po chwili wrócił ze skoroszytem w ręku.

– Między trzydzieści kilka a czterdzieści kilka lat, ciemna skóra, czarna bejsbolówka, džinsy i ciemny T-shirt, sylwetka kulturysty – odczytał pośpiesznie opis. – Wszystko doskonale pasuje do Moewiga!

Abel wzruszył ramionami.

– I do kilkuset innych mężczyzn tylko w samym Berlinie. Nie wolno nam zapominać – kontynuował, zwracając się z powrotem w stronę Markwita – że dzięki analizie haplotypowej nie da się zidentyfikować konkretnej osoby. Lars ma starszego brata, Arnego. Teoretycznie w grę wchodzi również jego ojciec lub ewentualny stryj ze strony ojca, ponieważ wszyscy mają taki sam haplotyp.

Markwitz oparł się łokciami na stole, a swój podwójny podbródek na skrzyżowanych dłoniach.

– Z całym szacunkiem, doktorze Abel – powiedział – ale chyba nie zamierza mnie pan pouczać w kwestii kryminalistycznego ABC?

– Sorry, oczywiście, że nie. – Abel uniósł rękę w przeproszającym geście.

*Chyba się troszkę zagalopowałem, pomyślał.*

– Nie ma o czym mówić – mruknął Markwitz. – To dla mnie jasne, że jest pan tu zaangażowany emocjonalnie. Ale oczywiście wzięliśmy pod lupę pokrewieństwo Moewiga w linii męskiej.

Ponownie skinął w stronę Okyara. Praktykant gorączkowo przewracał kartki i zaczął referować w rytmie staccato:

– Profesor doktor Arne Moewig, wykładowca Wydziału Socjologii na Uniwersytecie Humboldta.

Markwitz ruchem ręki powstrzymał potok jego słów.

– Profesorowie uniwersyteccy posiadający wille w Dahlem wyjątkowo rzadko pojawiają się jako mordercy staruszek. Mimo to dyskretnie sprawdziliśmy również jego alibi. Obecnie profesor Moewig mieszka i uczy na Harvardzie.

– Okej, to jego brat – powiedział Abel. – A co z innymi? Z ojcem Larsa, stryjem, kuzynami?

Przed wielu laty poznał przelotnie Arnego Moewiga. Wyglądał prawie tak samo jak Lars, tylko nie był tak umięśniony. Salonowy rewolucjonista z platynową kartą i brodą Che Guevary, którego pseudomarksistowskie brednie strasznie działały mu na nerwy. Ale Arne był jedyną osobą w rodzinie, z którą Lars Moewig w miarę znośnie się dogadywał.

Markwitz oparł się w swoim fotelu i pokręcił głową.

– Niech pan da spokój, doktorze. Wszystko sprawdziliśmy. Ojciec Moewiga ma ponad siedemdziesiąt lat i po udarze mózgu porusza się o lasce. Z dwóch stryjów ze strony ojca jeden jest agentem ubezpieczeniowym, ma jednoosobową agencję w Charlottenburgu. W czwartek od czternastej do wpół do

dziesiątej wieczorem bez przerwy miał w biurze klientów.

– A drugi stryj?

– Nałogowy pijak i drobny kryminalista – odparł Markwitz. – W zasadzie idealny kandydat do popełnienia takiego czynu, ale człowiek od pięciu lat nie żyje. Roztrzaskał się o filar mostu, mając dwa przecinek osiem promila we krwi. Był kawalerem i nie miał dzieci, a stryj od ubezpieczeń ma tylko córkę. Czyli nie ma innych krewnych, którzy mogliby mieć ten sam haplotyp.

Markwitz umilkł i spojrzał na Abła. Najwidoczniej spodziewał się, że jego oponent skapituluje. Ale dla Abła nie wchodziło to w grę.

– Jak już zostało powiedziane, analiza haplotypowa dostarcza tylko prosty schemat – zaczął od nowa. – Boczna linia Moewigów pochodzi z Afryki, dlatego do dziś są u nich ciemnoskórzy potomkowie, chociaż rodzina od wielu pokoleń mieszka w Niemczech. – Rozmasował sobie pięściami skronie. – Teoretycznie nasz sprawca może być jakimś mężczyzną z Czarnej Afryki, który w czasie popełnienia morderstwa przebywał w Berlinie.

– Teoretycznie jest to na pewno możliwe – odbił piłkę Markwitz. – Ale jak wysokie jest prawdopodobieństwo w praktyce?

Znów chwycił wąż, zaczął go szarpać i wyraźnie zdenerwowanym głosem powiedział:

– Po pierwsze, prawie zawsze tego typu przestępstwa popełniają osoby mieszkające w otoczeniu ofiary. Po drugie, znacząca większość z nich wywodzi się z rodzin z problemami albo wręcz z kręgu osób dopuszczających się przemocy. Pierwsza i druga możliwość odnoszą się do Larsa Moewiga. Po trzecie, mamy opis naocznego świadka, a po czwarte, pański stary kumpel nie ma alibi.

Markwitz wyprostował się w fotelu.

– Proszę przyprowadzić mi innego podejrzanego, do którego to wszystko pasuje – ciągnął nadkomisarz – wtedy oczywiście też wezmę go pod lupę.

– Właśnie tak zrobię. – Abel podniósł się. – Będę pana informował na bieżąco. I pana też o to proszę.

Ledwo wyszedł za drzwi, usłyszał, jak ktoś woła jego nazwisko. Odwrócił się – oczywiście znowu praktykant.

– Właśnie mam przerwę na śniadanie – powiedział Okyar i spojrzał prosząco na Abła. – Pomyślałem sobie, że zjadę razem z panem.

Jego nadgorliwość działała Ablowi na nerwy. *Tak samo jak ja działam na nerwy Markwitzowi*, pomyślał i wziął się w garść.

– Jak tam praktyka? – zapytał, kiedy winda jechała na dół.

– Jakoś jest. – Tekin Okyar przewrócił oczami. – A pan, panie doktorze Abel, co pan teraz zamierza, jeśli wolno zapytać? Będzie pan prowadził własne śledztwo, żeby dowieść, że pana przyjaciel jest niewinny?

– Nie do końca – odparł Abel. – Chcę znaleźć prawdziwego mordercę. Kimkolwiek on jest.

– Super – rzucił Okyar. – Ale jest pan sam, panie doktorze. Potrzebuje pan asystenta, kogoś takiego jak ja! – Wyprężył się na baczność. – Potrafię prowadzić samochód jak Nico Rosberg i obchodzić się z bronią jak James Bond.

*Najbardziej brakuje mi teraz nadgorliwego asystenta z bronią*, pomyślał Abel.

Co prawda sam miał pozwolenie na broń, ale nigdy nie nosił jej przy sobie. Zbyt wiele miał już na stole sekcyjnym ofiar, które nigdy nie wychodziły nieuzbrojone z domu, ponieważ pistolet w kaburze pod pachą rzekomo „zwiększał poczucie bezpieczeństwa”. Zgodnie z doświadczeniem zwiększał przede wszystkim poziom eskalacji roztrząsanych sporów, a kryminaliści używali broni bardziej efektywnie niż przestraszone ofiary. Stąd różnica pomiędzy uzbrojonymi i nieuzbrojonymi ofiarami napadów rabunkowych z reguły polegała na tym, że obie ofiary traciły swoją własność, ale uzbrojone traciły dodatkowo życie.

Drzwi windy rozsunęły się.



– Dobrze wiedzieć – powiedział Abel.  
Poklepał Okyara po ramieniu i po chwili wyszedł na berliński pustynny żar.

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Środa 8 lipca godz. 10.25**

Po powrocie do swojego biura Abel w pierwszej kolejności polecił sekretarce, żeby z nikim go nie łączyła.

– Nawet z pańską siostrą? – zapytała Renate Hübner. – Już kilka razy próbowała się z panem skontaktować.

– Jak mówię z nikim, to z nikim. – Abel grzebał w stercie pism na stoliku dla gości, aż znalazł magazyn, którego szukał. W najnowszym wydaniu fachowego czasopisma „Kryminalistyka” doktor Jörg Holster, doświadczony funkcjonariusz policji kryminalnej i docent szkoły wyższej, pod nagłówkiem *Przestępcy, którzy podążają za swoją ofiarą – mordercy z sąsiedztwa* podsumowuje aktualny stan badań dotyczący tego rodzaju sprawców.

Okopany za swoim biurkiem Abel zagłębił się w lekturze. Holster zbadał w sumie siedemdziesiąt siedem takich przypadków, do których doszło na przestrzeni ostatnich pięciu lat w Niemczech. Jego studium w każdym punkcie potwierdzało wywody Markwita. Sprawcy prawie bez wyjątku mieszkali w bliskim sąsiedztwie swoich ofiar. Niepostrzeżenie śledzili starych lub niepełnosprawnych ludzi do drzwi ich domów i bezpośrednio za nimi wdzierali się do mieszkań, gdzie powalali ich na ziemię, wiązali i knebłowali, a często również zabijali. Potem przeszukiwali mieszkanie i ulatniali się ze skromnym przeważnie łupem.

Jak dotąd wszystko zgadzało się z wzorcem przestępstwa w sprawie Iriny Pietrowej. Jednak w ani jednym z siedemdziesięciu siedmiu przypadków, które uwzględnił i przeanalizował Holster, przestępca nie napisał na ciele ofiary żadnego hasła albo wiadomości. Ani po niemiecku, ani po francusku, ani w jakimkolwiek innym języku.

W swoim badaniu Holster uwzględnił wszystkie pasujące sprawy do końca ubiegłego roku. Abel uruchomił laptop i włączył sieć Intranet Federalnego Urzędu Kryminalnego. Przejrzał raporty i dotychczasowe wyniki śledztw dotyczące wszystkich zabójstw na tle rabunkowym, które wydarzyły się w Niemczech od początku roku. Sprawcy przeszukiwali mieszkania, zabierali biżuterię oraz gotówkę i uciekali najszybszą drogą. Ale żaden z nich nie uwiecznił się swoim logo – ani na ofierze, ani na ścianach mieszkania, ani na lustrze w łazience.

Abel cofnął się jeszcze dalej i przeszukał podobne przypadki w trzech ubiegłych latach. I znów wynik był negatywny. Jedynie morderca Iriny Pietrowej zadał sobie trud napisania na ciele swojej ofiary dziwnego przesłania. W tym celu częściowo rozebrał zmarłą i po skończeniu rytuału ponownie ją ubrał, co w przypadku martwego ciała było dość uciążliwe.

– Dlaczego to zrobił? – mruknął do siebie Abel. – Zrobiłbyś coś takiego, Lars?

Wpatrywał się w ekran laptopa, nie dostrzegając szczegółów. Popadł w zadumę, a potem zamknął bazę Federalnego Urzędu Kryminalnego i włączył Intranet Europolu.

Dopiero co powiedział Markwitzowi, że Irinę Pietrową mógł zamordować na przykład ubiegający się o azyl Afrykanin. Oczywiście dotyczyło to tak samo każdego Europejczyka, który spełniał kryteria: czarny, mężczyzna i pasujący haplotyp. Zakładając, że w ubiegły czwartek przebywał w Berlinie i nie miał alibi na czas przestępstwa.

Nie tryskając zbytnio optymizmem, Abel wpisał w pole wyszukiwarki Europolu: „Zabójstwo na tle rabunkowym; ofiara w wieku emerytalnym; napis na zwłokach”.

Wyszukiwarka potrzebowała zaledwie kilku sekund, aby przewertować ogromne zbiory danych Europolu. Potem rozległ się dzwonek i na ekranie rozbrzmiała napis: „Matched!”

Abel nie wierzył własnym oczom. Przezornie natychmiast wydrukował całość akt sprawy, ponieważ obawiał się, że mogłyby zniknąć jak widmo w cyfrowej nirwanie.

Drukarka wypluwała kartki z dręczącą powolnością, ale w końcu Abel miał przed sobą czarno na białym kopię akt. W pozycji „rodzaj sprawy” było napisane po angielsku „Zabójstwo na tle rabunkowym Ms. Emily Goldsmith”. Abel wciąż ledwo wierzył swoim oczom.

Okoliczności przestępstwa były praktycznie identyczne z okolicznościami w sprawie Iriny Pietrowej. Przed morderstwem stara kobieta była śledzona aż do swojego mieszkania i tam została zabita i obrabowana. Sprawca napisał wiadomość na ciele zabitej. W protokole wyraźnie odnotowano, że rozebrał ofiarę, żeby wykonać napis na gołej skórze.

Abel gorączkowo przeleciał wzrokiem protokół sformułowany w urzędniczym żargonie.

Do zabójstwa Emily Goldsmith doszło w West Drayton pod Londynem, w bezpośrednim pobliżu lotniska Heathrow. Jako czas zabójstwa podano późne popołudnie szóstego lipca.

*Przedwczoraj, w poniedziałek, pomyślał Abel i westchnął. Moewig był wtedy jeszcze w Londynie. Przyleciał z Heathrow na Tegel we wtorek wcześniej rano. Miał mnóstwo czasu, żeby zamordować starą Ms. Goldsmith.*

*I wykonać na jej ciele napis.*

Jednak raport nie wspominał, jak brzmiało hasło, które tamtejszy sprawca uwiecznił na swojej ofierze.

*Być może zatem oba przypadki nie mają ze sobą nic wspólnego. Ale czy jest to prawdopodobne?*

Abel pokręcił głową. Od niepamiętnych czasów żaden z napadających na starszki przestępców nie wpadł na pomysł sygnowania napisem zwłok swojej ofiary, a teraz w ciągu zaledwie dwóch dni dwóch sprawców niezależnie od siebie zdecydowałoby się na to samo?

Sprawdził w aktach londyńskiej sprawy, który lekarz sądowy zajmował się nią. Był to Charles Milroy, zastępca kierownika London Institute of Forensic Sciences, który ściśle współpracował ze Scotland Yardem.

– Mamy do ciebie kilka pytań, kolego – mruknął Abel.

Znał się z Milroyem od wielu lat. Byli mniej więcej w tym samym wieku i mieli bardzo podobne naukowe priorytety. Nieuchronnie wciąż natykali się na siebie przy okazji specjalistycznych konferencji, często uczestniczyli w tych samych naukowych ciałach doradczych i siadywali obok siebie w prezydiach kongresów. Chociaż obaj byli natchnieni zdrowym duchem konkurencji, wzajemnie się szanowali jako naukowcy i podczas licznych wieczorów spędzanych w hotelowych barach zbliżyli się do siebie również na gruncie osobistym.

Abel wyjął swój smartfon i przez zaszyfrowane łącze zadzwonił do instytutu. Już po pierwszym tonie telefon odebrał asystent, ale nie miał dla niego dobrych wiadomości.

– Doktor Milroy jest obecnie poza biurem.

– Kiedy powinien wrócić?

Asystent zawahał się.

– To poważniejsza sprawa – odparł. – Pewnie będzie z powrotem w City dopiero jutro po południu.

– Ale na pewno ma ze sobą telefon komórkowy?

– Może pan spróbować – zasugerował asystent. – Jest w górach w Walii. Czasem jest tam zasięg, ale przeważnie nie.

**Berlin-Moabit**  
**Sąd karny**  
**Środa 8 lipca godz. 11.45**

Sąd karny Berlin-Moabit znajdował się w tym samym olbrzymim kompleksie budynków co zakład penitencjarny, w którym Lars Moewig przebywał jako więzień w areszcie śledczym. Z powodu niezliczonych dziedzińców, schodów, korytarzy i sal rozpraw jawił się Ablowi jako symbol niejednokrotnie krętych ścieżek, jakimi podążało sądownictwo. Ale był przekonany, że na końcu drogi prawie zawsze uzyskiwało się sprawiedliwość. Również Abel regularnie przyczyniał się do tego, wypowiadając się jako biegły w procesach karnych.

Postępowanie z udziałem ławy przysięgłych przeciwko Christianowi Lauerowi odbywało się w sali 488. Na korytarzu przed monumentalnymi dwuskrzydłowymi drzwiami Abel jeszcze raz spróbował dodzwonić się do Charlesa Milroya w walijskich górach. I znów syntetyczny kobiecy głos powiadomił go, że połączenie jest chwilowo niemożliwe.

Więc Abel rad nierad musiał uzbroić się w cierpliwość. Oprócz Milroya w Londynie nie było nikogo, kogo krótką drogą służbową od ręki mógł poprosić o informacje na temat toczącego się śledztwa, w które jego wydział „Przypadki nadzwyczajne” oficjalnie nie był zaangażowany. W każdym razie jak do tej pory. A tym bardziej nie mógł zwrócić się do Markwita. Krajowy Urząd Kryminalny też nie był właściwą jednostką w przypadku zabójstw popełnianych za granicą – z wyjątkiem sytuacji, kiedy o popełnienie przestępstwa podejrzewano obywatela Niemiec. Jeśli Abel teraz poinformuje Markwita o zabójstwie Emily Goldsmith, ten bez cienia wątpliwości utwierdzi się w przekonaniu, że wsadził za kraty właściwego człowieka, czyli właśnie Moewiga. Z jego punktu widzenia wszystko przemawiało za tym, że stary kumpel Abła zamordował nie tylko Irinę Pietrową, lecz niedługo potem również Emily Goldsmith.

Abel wyciszył smartfon i na chwilę przestał myśleć o Larsie Moewigu i Charlesie Milroyu. Herzfeld zwolnił go z regularnej służby, żeby mógł wytropić mordercę Iriny Pietrowej. Ale teraz rad nierad musiał stawić się przed sądem, który wyznaczył termin rozprawy już wiele tygodni temu. I to w pełni skoncentrowany i kompetentny.

Bulwarowa gazeta nazwała Lauera „mordercą fetyszystą o twarzy dziecka”. Któryś tygodnik przedstawił go jako „niepozornego psychopatę z sąsiedztwa”, co Abel również uznał za trafne.

Mieszkańcy dziesięciopokojowego domu, w którym Lauer mieszkał od wielu lat, opisali go jako sympatycznego i uczynnego młodego mężczyznę. Również Claudia Siebert, czterdziestotrzyletnia lokatorka mieszkania na poddaszu, która mieszkała bezpośrednio nad nim, często prowadziła z nim krótkie pogaduszki na schodach. Kiedy później porwano ją z jej mieszkania, nikomu nie przyszło na myśl, żeby szukać jej w sypialni uprzejmego sąsiada. A dokładniej mówiąc, jej ciała, które zostało pośmiertnie zgwałcone.

Claudia Siebert zniknęła bez śladu na początku roku. Jej mąż Torsten po powrocie z dwudniowej

podróży służbowej zastał puste mieszkanie i zgłosił zaginięcie żony. Ślady krwi na klatce schodowej wskazywały na zbrodnię. W toku śledztwa okazało się, że krew rzeczywiście pochodziła od zaginionej. Najwidoczniej została uprowadzona.

Ale sprawa była zagadkowa. Porywacz nie zgłosił się, aby zażądać pieniędzy. Nikt nie widział, żeby ciągnięto Claudię Siebert od drzwi bloku do samochodu. Ponieważ do porwania doszło przy ruchliwej ulicy, wydawało się mało prawdopodobne, żeby nikt tego nie zauważył.

Mimo to prowadząca śledztwo nadkomisarz Heide Danisch i jej ekipa nie znaleźli naocznych świadków i śladów porywacza. Sześć miesięcy wcześniej do mieszkania Siebertów było włamanie, ale wydawało się, że nie ma to nic wspólnego z uprowadzeniem. Najwyraźniej złodziej wtargnął do mieszkania przez okno dachowe i ukradł dużo ubrań i butów Claudii Siebert. Jego też nikt nie widział, co prowadzący śledztwo wydział do walki z przestępczością przeciwko mieniu tłumaczył tym, że wyniósł łup przez okno w dachu. Policijni śledczy umorzyli sprawę, nie wykrywając sprawcy.

Chociaż okno dachowe zostało rzeczywiście wyłamane, nadkomisarz Danisch wciąż miała wątpliwości. Zarządziła wizję lokalną, aby na miejscu odtworzyć domniemany przebieg kradzieży z włamaniem.

Claudia Siebert podała wtedy do protokołu, że skradziono jej dwa płaszcze, pięć sukienek, szufladę bielizny oraz siedem par butów. Jak to było możliwe, aby niepostrzeżenie znieść z dachu tak duży łup na gęsto zamieszkaną ulicę?

Dwóch młodych komisarzy z ekipy Heide Danisch odtworzyło przypuszczalną drogę ucieczki włamywacza. Szybko okazało się, że pół roku temu koledzy z wydziału do walki z przestępczością przeciwko mieniu spartaczyli robotę. Co prawda drobny włamywacz mógł przez wąskie okno wtargnąć do mieszkania, ale na stromym dachu potrzebował obu rąk, aby nie spaść. W najlepszym razie sprawca mógł wynosić złodziejski łup porcjami w małym plecaku, jednak biorąc pod uwagę wielkość łupu, musiałyby co najmniej dziesięć razy wychodzić na dach i schodzić po drabinie przeciwpożarowej na drugim końcu domu pięć pięter w dół na podwórze.

Więc tak nie mogło to przebiegać. Najwidoczniej ślad został tylko zainscenizowany. Intuicja podpowiadała, że włamywacz mieszka w tym samym domu.

Dla nadkomisarz Danisch było jasne, co to oznacza. Na tle uprowadzenia rzekoma banalna kradzież z włamaniem nabierała zupełnie innego wymiaru. Nagle wszystko przemawiało za tym, że obu przestępstw dopuścił się jeden i ten sam sprawca. A to znaczyło, że prawdopodobnie Claudia Siebert była przetrzymywana przez fetyszystycznego psychopatę we własnym domu.

Heide Danisch nakazała jeszcze raz przepytać mieszkańców domu. Funkcjonariusze chodzili od drzwi do drzwi, wszędzie sąsiedzi chętnie udzielali im wszelkich informacji. Tylko jedne drzwi na czwartym piętrze również tym razem się nie otworzyły.

– Pana Lauera nie widziałem już od kilku dni – wyjaśnił sąsiad z mieszkania naprzeciwko. – Od czterech dni – sprecyzował, kiedy śledczy poprosili o dokładniejszą informację.

Przed czterema dniami zniknęła Claudia Siebert. Przypadek? *Raczej nie*, pomyślała nadkomisarz Danisch. Błyskawicznie załatwiła sądowy nakaz rewizji i kazała siłą sforsować drzwi do mieszkania.

Z odbezpieczonymi pistoletami funkcjonariusze przeszukali dwupokojowe mieszkanie Lauera. W kuchni nie było nikogo, tak samo w łazience i salonie. Ale leżało tam sporo sukienek, bluzek, damskiej bielizny i butów. W powietrzu wisiał typowy trupi zapach, który widocznie dostawał się tam przez drzwi naprzeciwko salonu.

Była to sypialnia i policjanci dokonali tam strasznego odkrycia. Na fotelu obok łóżka siedziała martwa Claudia Siebert. Miała na sobie krótką obcisłą spódnicę, jedwabną bluzkę i czarne nylonowe pończochy. Jej stopy tkwiły w czerwonych szpilkach, które podobnie jak części ubrania zostały skradzione podczas włamania.

Christian Lauer leżał na łóżku ubrany tylko w spodnie od piżamy. Lewą stronę klatki piersiowej miał

zalaną krwią. Trzymał w dłoni kuchenny nóż z dziesięciocentymetrowym ostrzem. Kiedy Heide Danisch podeszła do niego z odbezpieczonym pistoletem, ponownie wbił go sobie w pierś.

Miał szklisty wzrok, ale był przytomny, gdy natychmiast wezwany lekarz pogotowia udzielał mu pierwszej pomocy. Lauer zadał sobie w sumie sześć ciosów nożem w okolicy serca. Ale nie zrobił tego ze zbyt dużym zaangażowaniem, a poza tym miał bardzo obfitą podskórną tkankę tłuszczową. Dlatego żadna rana nie spowodowała perforacji klatki piersiowej i serce oraz płuca wyszły z tego bez szwanku. Został uratowany i po powrocie do zdrowia umieszczony w areszcie śledczym w Moabicie.

Podczas przeszukania jego mieszkania funkcjonariusze policji kryminalnej znaleźli dużo kobiecych ubrań i damskich butów na wysokich obcasach, które tylko w części należały do Claudii Siebert. Oprócz tego Lauer miał obszerną wideotekę. Niezliczoną ilość razy filmował się w damskich ciuchach i w butach na wysokich obcasach. Kamera była tak ustawiona, żeby na nagraniach nie było widać jego twarzy. Nożem zadawał fingowane ciosy swojemu przebranemu za kobietę ciału. Ale przede wszystkim filmował zawsze swoje stopy i wysokie obcasy, jak tupią o podłogę w udawanej śmiertelnej walce, aż buty ulegały całkowitemu zniszczeniu.

Lauer był agresywnym maniakiem seksualnym, który miał fioła na punkcie butów, zupełnie jak z podręcznika do psychopatologii. W którymś momencie takiemu typowi sprawcy przestawało wystarczać samo upajanie się swoimi fantazjami i przechodził do urzeczywistniania ich na prawdziwych ofiarach. W gruncie rzeczy psychopaci tego kalibru nie byli dla opinii publicznej niczym nowym. Jednak w powszechnym odczuciu wstrząsający był fakt, że Lauer miał „twarz niewinnego dziecka”, chociaż tak naprawdę miało to uzasadnienie w samej naturze sprawy. Sądowy psychiatra gruntownie przebadał Lauera i doszedł do wniosku, że oskarżony w emocjonalnym i psychoseksualnym rozwoju zatrzymał się na poziomie dziesięcio-, jedenastoletniego chłopca. Kiedy był w tym wieku, matka rozeszła się z jego brutalnym i uzależnionym od alkoholu ojcem.

Od tamtej pory mieszkała sama z małym synem i często wychodziła wieczorem z różnymi adoratorami. W małym chłopcu narastał strach przed opuszczeniem; obawa, że po ojcu straci jeszcze matkę, zdobywała nad nim coraz większą władzę. W swoich fantazjach zaczął niszczyć buty na wysokich obcasach, które jego matka wkładała, gdy wieczorami wychodziła ze stale zmieniającymi się absztyfikantami. Fantazje już go nie opuszczały i kiedy kilka lat później w tajemnicy włożył szpilki matki i przed lustrem udawał, jakby je niszczył, przeżył swoją pierwszą ejakulację.

Woźny sądowy odebrał od Abła pisemne wezwanie w roli biegłego, szybko przeleciał je wzrokiem i zaprowadził go do sali sądowej. Był to trzeci dzień rozprawy i widownia była wypełniona do ostatniego miejsca.

Siedzący w szklanej klatce oskarżony z nieobecny wyrazem twarzy patrzył, jak Abel siada na miejscu dla biegłych. Christian Lauer miał trzydzieści trzy lata, ale z powodu miękkich rysów twarzy sprawiał wrażenie dużo młodszego. Miał jasne włosy uczesane z przedziałką, a jego dość otyłe ciało było wciśnięte w niebieski kombinezon, w którym wyglądał jak karykatura chłopca przystępującego do confirmacji.

Zgodnie z procedurą sędzia przewodnicząca na początek poprosiła Abła o podanie personaliów, następnie o przedstawienie wyniku obdukcji.

Abel położył na stole przed sobą bladoczerwony skoroszyt z ekspertyzą, ale nawet nie musiał do niego zaglądać. Najważniejsze fakty wciąż miał w głowie.

– Claudia Siebert została uduszona – powiedział. – Zgon nastąpił co najmniej dziewięćdziesiąt sześć godzin przed znalezieniem ciała. To znaczy, że sprawca musiał ją zabić bezpośrednio po uprowadzeniu. Wszystkie manipulacje, jakich dokonał na jej ciele, odbyły się po jej śmierci.

Przewodnicząca zadawała kolejne pytania, a Abel odpowiadał spokojny i skoncentrowany. Miał świadomość, że oskarżony patrzy na niego, i czuł, że w Christianie Lauerze narasta podniecenie. Abel cały czas uważał, aby nie zwracać się do niego nawet pośrednio. W głowie Lauera bez wątplenia

wyświetlał się film z autentyczną ilustracją faktów, które obojętnie i rzeczowo referował Abel.

Kiedy Lauer zaciągnął Claudię Siebert do swojego mieszkania, rzucił się na nią i zabił gołymi rękami. Ślady duszenia na jej szyi i zgniecionym gardle wskazują na to jednoznacznie. Na koniec musiał zanieść ją do sypialni, gdzie ją całkiem rozebrał. Potem ubrał ją w obcisłe rzeczy, jakie jego matka wkładała na wieczorne spotkania z kochankami, i posadził w fotelu obok łóżka. Potem zaczął dźgać ją kuchennym nożem.

– Ofiara miała siedemnaście ran kłutych klatki piersiowej – referował Abel. – Jej stopy zostały dosłownie pozbawione ciała za pomocą noża. Większość kości była odsłonięta. W sypialni Lauera znaleziono w sumie trzystaście bluzek i topów oraz dwadzieścia dwie pary damskich butów, wszystko pocięte na strzępy nożem. Na ciele i praktycznie na wszystkich częściach ubrania oraz butach stwierdzono obecność spermy oskarżonego.

Głos otrzymał prokurator i zadawał następne pytania. Na koniec poprosił Abła, aby przedłożył sądowi zdjęcia zwłok.

Abel wstał i podszedł ze zdjęciami w ręku do stołu sędziowskiego. Fotografie ofiary morderstwa były jednym z najsilniejszych atutów prokuratora. Zdjęcia miały wezreć się jak kwas w umysły sędzi i pozostałych członków składu. Sprawca, który do tego stopnia zmasakrował ciało swojej ofiary, rzadko mógł liczyć na wyrozumiałość.

– Spuściłem się – powiedział Lauer, kiedy Abel właśnie przechodził obok jego szklanej klatki. – Dźgałem i spuściłem się. Wciąż dźgałem i się spuszczałem. Na jej twarz i stopy.

Wpatrywał się szklistym wzrokiem w fotografie, które Abel trzymał tak, żeby Lauer mógł je dobrze widzieć. W dodatku uśmiechał się zadumany jak dziecko, które przypomina sobie najpiękniejsze prezenty urodzinowe.

– To była najbardziej odjazdowa rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłem! – krzyknął Lauer. – Tak długo o tym marzyłem. Bezustannie to sobie wyobrażałem. Jak ubieram ją w ciuchy dziwki. Jak tnę, kroję, rozszarpuję nożem jej piersi i stopy.

Przerwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz jeszcze większego uniesienia.

– Wtedy usłyszałem, że jej mąż ma wyjechać na parę dni – kontynuował jak w transie – i przyniosłem ją do siebie! To była moja szansa! I wykorzystałem ją. Mój Boże, jak ja ją rznąłem i jak się na nią spuszczałem! Za każdym razem robiło mi się lżej. Ta presja, którą stale czułem, za każdym razem stawała się coraz mniejsza! Jaki odlot!

Po tym potoku słów Lauer zapadł się w sobie jak przekłuty balon. Ławnicy patrzyli na niego wstrząśnięci. Jego pozbawiona konturów dziecięca twarz pokryła się czerwonymi plamami i błyszczała od potu.

Dla wszystkich obecnych było jasne, że proces dobiegł końca. Abel założyłby się o swoją motorówkę, której i tak nigdy nie używał, że Lauer dostanie dożywocie ze wskazaniem na umieszczenie w zakładzie dla psychicznie chorych.

Ale chyba nikt nie zaryzykowałby nawet pięciu centów, że zapadnie inny wyrok.



**Berlin-Moabit**  
**Sąd karny**  
**Środa 8 lipca godz. 12.35**

Gdy tylko zamknęły się za nim monumentalne dwuskrzydłowe drzwi do sali sądu przysięgłych, Abel znów wyjął swój smartfon. Ponownie zadzwonił do Charlesa Milroya na jego telefon komórkowy i tym razem jego brytyjski kolega odebrał połączenie.

Przywitali się przyjaźnie. Abel cierpliwie słuchał, co wyraźnie rozbawiony antropolog sądowy miał do powiedzenia o swojej „przygodzie poza murami Cardiff”.

Na pewnym odległym, nawet jak na walijskie warunki, wzgórzu skauci znaleźli w jaskini dwie nieznane martwe osoby. Oba ciała były prawie całkowicie zmumifikowane. Wspólnie z miejscową funkcjonariuszką policji kryminalnej Milroy zabezpieczył szczątki, co wymagało mozolnej koronkowej roboty. Najprawdopodobniej chodziło o mężczyznę i kobietę, oboje mieli najwyżej po trzydzieści lat.

– Pięć lat temu w Cardiff zgłoszono zaginięcie pary ćpunów, całkiem możliwe, że są to właśnie nasze turkaweczki – mądrzył się Milroy. – Ale są również kandydaci z pobliskiej okolicy, pasterz z gór oraz oborowa z gospodarstwa rolnego w sąsiedniej dolinie, oboje zaginęli przed czterema laty. Razem z Esther uważamy za prawdopodobne, że ciała należą do owczarza i jego wybranki.

– Esther? – powtórzył Abel.

Powoli zaczynało mu świtać, dlaczego zazwyczaj rzeczowy Charles Milroy jest tak podekscytowany. Abel spędził z nim wiele godzin podczas kongresów oraz niejedną wieczór w hotelowych barach, ale do tej pory nie zauważył, aby ten wysoki i chudy zatwardziały kawaler ze stale potarganą fryzurą w stylu Paula McCartneya był kobieciarzem.

– Och, Esther Swansea, chief inspektor z Cardiff. – Milroy wydał bulgoczący odgłos, który miał być śmiechem. Walijska policjantka musiała rozbudzić jego romantyczną żyłkę. – Jak dotąd nikt nie wpadł na pomysł, aby poszukać związku pomiędzy obiema sprawami. Ale Esther i ja znaleźliśmy twarde poszlaki na to, że pasterz i jego dziewczyna mogli popełnić w jaskini podwójne samobójstwo. Coś jak Romeo i Julia, tylko na wsi.

Przerwał i raptownie zmienił temat oraz ton głosu.

– Czemu zawdzięczam ten honor, że do mnie dzwonisz, Fred?

– Dwie sprawy, które być może mają ze sobą związek – powiedział sucho Abel. – Oczywiście dotyczą twojej specjalności, o czym się właśnie dowiedziałem.

– Wal śmiało. – Milroy chrząknął.

– Robiłeś obdukcję zamordowanej Emily Goldsmith. – Abel przeszedł do rzeczy. – Morderstwo na tle rabunkowym w West Drayton.

Milroy odpowiedział twierdząco.

– Godna ubolewania stara lady. Niestety coś takiego jest już niemal codziennością w aglomeracji londyńskiej. Ale od kiedy interesują cię banalne morderstwa rabunkowe? Przecież czegoś takiego macie

na pęczki u siebie w Berlinie.

– Już ci mówię. – Abel poczuł nerwowe mrowienie w żołądku. Najchętniej odłożyłby jeszcze na trochę decydujące pytanie, ale oczywiście nie wchodziło to w grę. – Z zamieszczonych w Internecie akt Europolu wiem, że sprawca uwiecznił na ciele ofiary jakąś wiadomość – powiedział. – Co dokładnie napisał na plecach Ms. Goldsmith?

– Jakieś prostackie hasło – mruknął Milroy do słuchawki. – Daj mi pomyśleć. Pół po francusku, pół po angielsku... Już mam: „Respectez Asia”.

W żołądku Abła eksplodowały nerwy.

– A czas zgonu?

– Poniedziałek, po południu, między czwartą a szóstą. Jeszcze jakieś pytania? – dodał Milroy z wyraźnie słyszalnym zdziwieniem w głosie.

– Jeszcze tylko jedno. Macie już rysopis sprawcy?

– Czarnoskóry, w średnim wieku, silna budowa ciała. Czy zdradzisz mi teraz, dlaczego cię to wszystko tak bardzo interesuje?

*Ponieważ mój stary kumpel Moewig prawdopodobnie jest podróżującym seryjnym mordercą. Zwariowany weteran wojenny, który przestał kontrolować swoje fantazje na temat przemocy.*

– Pytanie za pytanie – skontrował Abel. – Czy twój pokój gościnny jest teraz wolny, Charles? Muszę jeszcze wyjaśnić tu kilka punktów, ale przygotuj się na to, że jutro zamelduję się na twojej wycieraczce. Wtedy ci wszystko wyjaśnię.

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Środa 8 lipca godz. 14.35**

**W** pierwszym odruchu Abel chciał wpaść do znajdującego się po sąsiedzku aresztu śledczego i wezwać Moewiga na rozmowę. *Do diabła, co z tobą, Lars?* W głębi duszy widział już, jak łapie Moewiga za kłapy jego więziennej kurtki i przyciska do ściany. *Ty pieprzony idioto, dlaczego zabijasz bezbronne stare kobiety?*

Ale potem rozsądek wziął górę nad wściekłością i Abel najszybszą drogą wrócił do swojego biura. Najpierw musiał jeszcze raz sprawdzić fakty.

Jego samochód stał kilka godzin na słońcu, i to w najbardziej upalne lato, odkąd przeprowadził się do Berlina. Skórzane siedzenie było niemal tak gorące jak włączona kuchenna płyta.

*W obu sprawach rysopis sprawcy pasuje do Moewiga, a Lars przebywał i tu, i tam w czasie, kiedy popełniono przestępstwa, rozważał Abel, skręcając w Turmstraße. Ale to jeszcze wcale nie znaczy, że to właśnie on zamordował Irinę Pietrową oraz Emily Goldsmith.*

Klimatyzacja A5 schładzała wnętrze samochodu z zadziwiającą skutecznością. Piesi człapali po chodnikach w upale niczym zombi.

*Jeśli Lars ma alibi na poniedziałkowe popołudnie między czwartą a szóstą, nie może być uwikłany nie tylko w sprawę londyńską, lecz również tutejszego morderstwa, Abel analizował dalej. W takim wypadku w oczywisty sposób jest to jeden i ten sam sprawca. Przemieszczający się w różne miejsca morderca na tle rabunkowym, który zostawia na ciałach swoich ofiar zagadkową wiadomość.*

Pokręcił głową. Na skrzyżowaniu przed nim najechały na siebie cztery samochody. Kierowcy wystawili głowy przez boczne okna, ich twarze przypominały zaciśnięte pięści i na całe gardło wydzierali się na siebie.

*Nie tylko ludzie z zaburzeniami osobowości mogą z pozornie błahego powodu przestać kontrolować agresję, pomyślał Abel.*

Awanturujący się uczestnicy ruchu przed jego przednią szybą dobitnie ilustrowali, jak mało potrzeba, żeby kierujący się rozsądkiem osobnicy nałożyli maski nienawiści i zmienili się w gotowe do walki koguty.

*Ale morderstwa w Tegel i West Drayton to coś zupełnie innego, myślał dalej. Jeśli Lars nie ma alibi na Londyn, muszą pilnie porozmawiać z Jankowskim.*

Trzy kwadranse później z westchnieniem ulgi usiadł przy swoim biurku i włączył laptopa. Ale ledwo zaczął szukać danych dotyczących wylotu Moewiga z Londynu, do jego drzwi zapukała Renate Hübner.

– Dzwoniła pańska siostra, trzy razy – zakomunikowała grobowym głosem. – I pięć razy prokurator naczelny Rubin.

Abel słuchał tylko jednym uchem. Na drugim ekranie, który był połączony kablem z jego laptopem, otworzył Internet Krajowego Urzędu Kryminalnego, aby przejrzeć protokół przesłuchania Moewiga przez nadkomisarza Markwita.

– Dziękuję, pani Hübner, zadzwonię do siostry później. I proszę powiadomić biuro prokuratora naczelnego, że jestem w kilkudniowej podróży służbowej. Po powrocie chętnie zdam raport doktorowi Rubinowi.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze.

Abel ledwo zauważył, że sekretarka odwróciła się charakterystycznym dla niej ruchem i zamknęła za sobą drzwi. Błagalnie wpatrywał się w ekran, jakby mógł zmusić fakty, żeby ułożyły się w coś, co umożliwi zwolnienie Moewiga.

Ale im więcej zbierał danych, tym gorzej wyglądało to dla jego starego przyjaciela z czasów Bundeswehry.

Moewig wylądował na Heathrow w Londynie w piątek dwadzieścia pięć minut po siódmej miejscowego czasu. Zameldował się w hotelu Ibis i trochę później pojechał autobusem do King's Cross centrum. Odbywała się tam pierwsza tura naboru do firmy ochroniarskiej Intersec, podczas której rekrutowano pracowników do ochrony obiektów przemysłowych oraz osiedli mieszkaniowych w Iraku.

Jakby przewidując, że na Londyn też będzie mu potrzebne alibi, Moewig podczas przesłuchania kilka razy wspominał o swoim pobycie w Anglii. Chociaż Markwitz pytał go o to tylko na marginesie. W każdym razie Moewig przebrnął przez pierwszą rundę w Intersec. Następnego dnia o dziesiątej stanął do „półfinału”, który trwał do czternastej i też zakończył się dla niego sukcesem.

Na dodatkowe pytanie Markwita o chętnie wyjaśnił, jakie zadania musieli rozwiązać kandydaci. Między innymi musieli w określonym czasie rozłożyć na części różne rodzaje ręcznej broni palnej, karabiny automatyczne i maszynowe, następnie złożyć je z powrotem i powtórzyć to ćwiczenie z workiem na głowie. Poza tym musieli pokonać tor przeszkód, zademonstrować znajomość samoobrony, obezwładniania przeciwników uzbrojonych w noże i pałki oraz przejść kilka testów psychologicznych. Potem w zainscenizowanej fazie przesłuchania musieli udowodnić, że nawet będąc pod ogromną presją i mimo groźby użycia przemocy, nie wyjawia żadnych informacji.

Abel potrafił sobie wyobrazić, że Moewig czuł się wtedy w swoim żywiole. Obu im wpojono te wszystkie umiejętności do perfekcji podczas szkolenia na zwiadowców.

Następnym dniem była niedziela, dlatego kandydaci i egzaminatorzy mieli wolne. Zgodnie z jego własnymi słowami Moewig cały dzień „chodził bez celu po okolicy”. Ponieważ nie miał ochoty na ponowną długą jazdę autobusem do centrum, maszerował „godzinami przez osiedla na przedmieściach na północ od Motorway 4”.

Znajdowało się tam również West Drayton, miejsce zamieszkania Emily Goldsmith, oddalone o niecałe trzy i pół kilometra od hotelu Moewiga. Ale podczas przesłuchania prowadzonego przez Markwita oczywiście nie było mowy o Emily Goldsmith.

W poniedziałek o dziesiątej Moewig wziął udział w finałowej rundzie naboru do Intersec i około czternastej podpisał kontrakt, którego tak pragnął. Za gażę w wysokości tysiąca pięciuset dolarów dziennie zobowiązał się jako dowódca oddziału ochrony pilnować od 1 września przez rok osiedli mieszkaniowych oraz obiektów przemysłowych w niewymienionym jeszcze z nazwy kraju na Bliskim Wschodzie.

Zachęcony przyszłym dobrobytem, pozwolił sobie na taksówkę, którą wrócił do hotelu. Niepytany, pokazał Markwitzowi elektroniczny wydruk rachunku, według którego przyjechał przed hotel Ibis o 15.43.

Potem z pokoju hotelowego próbował przebukować powrotny lot do Berlina. Jego bilet Lufthansy był wystawiony na następny dzień, wylot o 5.45, i Moewig dzwonił, aby zmienić lot na wcześniejszy. Ale wszystkie miejsca były wyprzedane, zeznał do protokołu. Dlatego resztę dnia spędził w hotelu,

następnego dnia wymeldował się z samego rana i około piątej udał się pieszo do swojego terminalu odlotów.

Tych informacji, dotyczących pobytu Moewiga w Londynie, Markwitz i jego ekipa nie sprawdzili, ponieważ pozornie nie odgrywały one roli w wyjaśnieniu morderstwa Iriny Pietrowej. Ale dzięki odpowiedniemu oprogramowaniu i dostępowi do sieci Europolu Abel potrzebował zaledwie kilku minut, aby sprawdzić, na ile wiarygodne było londyńskie alibi Moewiga. Oraz stwierdzić, że trwało to krócej niż pokruszenie angielskiego herbatnika.

Kilkoma kliknięciami myszy zalogował się w wizualnym systemie nadzoru przed wejściem do hotelu Ibis. Kamery zarejestrowały, jak o 15.43 Moewig podjechał taksówką i wszedł do holu. Ale wbrew jego zeznaniom już o 16.07 ponownie opuścił hotel. Najwidoczniej wszedł do pokoju tylko na chwilę, aby przebrać się w coś wygodniejszego. Niecałe pół godziny po powrocie znów wyszedł na ulicę i pomaszerował w kierunku na zachód.

Abel musiał przez jakiś czas przewijać do przodu, aż Moewig ponownie pojawił się w polu widzenia kamery. Wrócił pieszo do hotelu dopiero dokładnie o 19.23.

*Co tam robiłeś przez ten cały czas, Lars?* Abel zatrzymał obraz, potem przez kilka minut siedział w bezruchu i walczył z uczuciem odrętwienia. Nawet jeśli kamera dawała tylko lekko rozmyty czarno-biały obraz, Moewig wyglądał na totalnie zmęczonego. Spocony do suchej nitki, twarz dosłownie zapadnięta.

*Przez trzy i pół godziny włóczyłeś się w skwarze po okolicy czy może właśnie zamordowałeś starą kobietę?*

W każdym razie Emily Goldsmith została zamordowana gdzieś między czwartą a szóstą po południu. A alibi, jakie Moewig podał, chociaż nikt go o to nie pytał, było fałszywe.

# 31

**Berlin, Treptowers**  
**Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego**  
**„Przypadki nadzwyczajne”**  
**Środa 8 lipca godz. 15.10**

Nie zapowiadając się, Abel wjechał windą na siódme piętro, gdzie mieli swoje biura analitycy kryminalni Federalnego Urzędu Kryminalnego, nazywani teraz nowocześnie profilerami. Zapukał do Jankowskiego i odrobinę uchylił drzwi.

– Miałbyś dla mnie minutę, Timo?

Jankowski stał przed magnetyczną tablicą wielkości billboardu, na której układał i uzupełniał swoje profile sprawców jak skomplikowane puzzle tak długo, aż był zadowolony z rezultatu.

– Wejdz, Fred. Właśnie i tak chciałem zrobić sobie przerwę. – Machnął ręką w kierunku tablicy pokrytej zdjęciami płonącego gospodarstwa rolnego i zwęglonych zwierząt. – Znowu nasz wróg byków i kurczaków. No wiesz, szaleniec, który od pół roku podpala na zmianę obory i ферmy kurze w okolicach Berlina.

Abel przytaknął.

– Czy to możliwe, że w tym kraju jest coraz więcej wariatów? – zapytał, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. – Czy może jest to tylko nasze uwarunkowane zawodowo zaburzenie percepcji?

– W każdym razie potrzeba samorealizacji psychopatów staje się coraz bardziej bezlitosna – powiedział Jankowski. – Podpalacz spalił do tej pory kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkaset kurczaków. W płomieniach zginęły trzy osoby, a dwanaście doznało ciężkich poparzeń. A wygląda na to, że jego potrzeba zabijania jeszcze długo nie będzie zaspokojona.

– Dobrze powiedziane.

Abel przyniósł ze sobą akta zabójstwa Iriny Pietrowej. Położył je na stole Jankowskiego i wyjął ze skoroszytu kilka wielkoformatowych kolorowych fotografii.

– Co o tym myślisz? – zapytał profiler. – Sprawca wtargnął za starą kobietą do jej mieszkania, udusił ją i obrabował. Jak do tej pory wszystko wygląda na zwyczajne morderstwo.

Krótko przedstawił przebieg przestępstwa i ułożył zdjęcia w wachlarz na stole.

– Co możesz powiedzieć o sprawcy, Timo? – zapytał. – Co go napędza?

Jankowski pochylił się nad zdjęciami i uważnie się im przyglądał.

– Nie potrafię tak na szybko odpowiedzieć na to pytanie – odparł. – Ale bez dwóch zdań jest to niespotykany przypadek. Żeby morderca rozebrał swoją ofiarę, zrobił na niej napis i ponownie ją ubrał, jeszcze nigdy nie spotkałem się z czymś takim. W każdym razie jest to część jego fantazji. W przypadku seryjnych sprawców mówimy: to element jego sygnatury.

– Wszystko wskazuje na to, że uderzył jeszcze raz – oznajmił Abel. – Wzór jest mniej więcej taki sam.

Sprawca wszedł do mieszkania za ofiarą, zamordował ją i obrabował, ofiarą jest stara kobieta. Ale tym razem wykonał napis na jej nagich plecach.

Jankowski patrzył na niego zamyślony.

– I na koniec ponownie ubrał?

– Właśnie. Po co ktoś robi coś takiego? I co w ogóle może znaczyć to na pół francuskie, na pół angielskie „Respectez Asia”?

Jankowski wzruszył ramionami.

– Nie potrafię ci powiedzieć. Ale jedno jest pewne: każdy z nas jest produktem swojej przeszłości. Odnosi się to do ciebie, do mnie i do sprawcy, który zabił te stare kobiety. – Jankowski postukał palcem wskazującym w jedną z fotografii, która pokazywała opatrzone napisem nogi Iriny Pietrowej.

Miał wąskie dłonie z długimi cienkimi palcami, które nieustannie były w ruchu.

„Dłonie pianisty”, powiedziała Lisa, kiedy Jankowski pierwszy raz odwiedził ich w domu.

– Fred??? – Jankowski wyrwał go z rozmyślania. – Czy coś nie w porządku z moją dłonią?

Pomachał prawie surrealistycznie elastycznymi palcami przed twarzą Abła.

– Sorry, właśnie przyszła mi do głowy dziwna myśl – mruknął Abel. Przejechał ręką po twarzy. – Wiele kobiet ocenia mężczyzn po wyglądzie ich dłoni, prawdopodobnie wiesz o tym – kontynuował. – Ale czy kiedykolwiek słyszałaś o kobiecie fetyszystce, która byłaby zboczona na punkcie dłoni? Założę się, że ogromna większość psychopatów, którzy w chorobliwej przesadności fiksują się na ciele albo jakiejś jego części, to mężczyźni. Tak jak „wrywacz serc” Fritz Löwitsch, maniak stóp Christian Lauer albo nasz opisywacz trupów.

*Który, mam nadzieję, nie nazywa się Lars Moewig*, dodał w myślach. Aby nie wpłynąć na proces kształtowania opinii Jankowskiego, nie wspomniał, że był już oficjalny podejrzany o dokonanie tego morderstwa.

– Swobodnie wygrasz ten zakład – powiedział Jankowski. – Mężczyźni to urodzeni drapieżnicy, a kobiety mogą się nimi stać w określonych okolicznościach. I czasem taki drapieżnik totalnie traci głowę. Ale jeśli chcesz wiedzieć dokładniej, o jaki typ sprawcy chodzi w przypadku twojego opisywacza trupów, potrzebuję wyniku sekcji i dużo więcej informacji o miejscu popełnienia zbrodni. Im więcej szczegółów mi dostarczysz, tym szybciej dostaniesz moją ocenę.

Abel podziękował mu, zebrał fotografie i z powrotem wsunął je do skoroszytu.

– Skontaktuję się z tobą, Timo – zapewnił i uściśnął dłoń przyjaciela, która była tak kształtna, jakby osobiście wymodelował ją Michał Anioł.

Według Lisy dłonie Abła też „robiły wrażenie”, co według jego domysłów odpowiadało mniej więcej czwórce z minusem.

– Jedno mogę powiedzieć ci już teraz – dodał Jankowski, kiedy Abel położył już dłoń na kłame. – Jeśli porówna się to z aktami przemocy innych sprawców, te napisy wydają się na pierwszy rzut oka prawie niegroźnym bzikiem. Ale, jak wiadomo, zło ma wiele twarzy, i czuję pod skórą, że twojego opisywacza trupów napędza jakieś nadzwyczajne zło.

Abel popatrzył na niego zdziwiony. Zazwyczaj Jankowski powstrzymywał się od takich spekulacji, dopóki przynajmniej częściowo nie rozszyfrował struktury osobowości sprawcy.

– Jak na to wpadłeś? – zapytał.

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć – odparł profiler. – Ale nie zdziwiłbym się, gdyby napis odnosił się do czegoś innego, jakiegoś dużo bardziej okrutnego przestępstwa, które on tym dziwnym hasłem niejako przytacza. I być może przez to trzyma w szachu.

Abel uważnie słuchał; porównywał w myślach każde słowo Jankowskiego ze swoim obrazem Moewiga.

*Lars jest gburowatym samotnikiem, zastanawiał się, ale pod szorstką skorupą kryje się dobry człowiek i kochający ojciec. Gdyby tkwiło w nim coś do gruntu złego, przecież bym to kiedyś zauważył!*

Ale zaraz potem znów pojawiły się wątpliwości. *Przeżycia, jakich Lars doświadczył w Afganistanie, i to już w młodych latach, kiedy służył w Legii Cudzoziemskiej, mogą złamać najsilniejszą osobowość. Nie byłby pierwszym, u którego po takich traumatycznych doświadczeniach wzięłaby górę ciemna strona.*

– Oto otworzyła się przepaść – rzucił na koniec. – A co konkretnie masz na myśli, mówiąc, że tą pisaniną coś przyzywa albo trzyma w szachu?

Jankowski znów wzruszył ramionami.

– Jak już powiedziałem, to wszystko jest tylko hipotetyczne. Z pewnością tobie też rzuciło się w oczy, że jego pismo jest dziwnie niewyraźne. Jego ręka musi drżeć ze skurczu podczas pisania. Jeśli przypadkiem nie jest chory na parkinsona, właściwie istnieje tylko jedno przekonujące wyjaśnienie tego drżenia: gigantyczna dawka adrenaliny. Ale dlaczego robienie napisu podnieca go tak bardzo, że dostaje aż takiej drżączki? – Zrobił pauzę i spojrzał na Abła wyczekująco.

– Ty mi powiedz – odbił piłkę Abel.

– No tak, teraz jest to tylko czysta spekulacja – ciągnął dalej profiler. – Ale gdyby tak na próbę wczuć się w niego...

Oczy Jankowskiego zwęziły się, były teraz wąskimi szparkami, a twarz nabrała surowego, pełnego skupienia wyrazu. Abel już kilka razy widział, jak profiler wczuwał się w psychopatycznego sprawcę i wtedy mocno się zmieniał.

– Rozbieram zmarłą. Mam nad nią nieograniczoną władzę – mamrotał Jankowski głosem jak w półśnie. – Mogę robić z jej ciałem wszystko, nawet je poćwiartować, jeśli zechcę. Wyobrazenie tego podnieca mnie tak bardzo, że opanowuje mnie drżenie, którego nie mogę powstrzymać.

Rzeczywiście jego dłonie zaczęły drżeć. I jak za każdym razem, kiedy Abel był świadkiem takiej przemiany przyjaciela, dostał gęsiej skórki.

– Mógłbym ją zgwałcić i dźgać nożem – kontynuował Jankowski głuchym głosem lunatyka. – Ale nie mogę tego zrobić, nie w rzeczywistości. Ponieważ wiem, że wtedy zupełnie straciłbym kontrolę nad sobą. A wtedy mnie też przytrafiłoby się coś strasznego.

Naraz przerwał i z powrotem zmieniał się w Timo Jankowskiego.

– Prawdopodobnie już kiedyś został złapany, po tym jak stracił kontrolę i, bardzo proszę, nie pytaj, skąd mi to przyszło do głowy, przyrządził coś w rodzaju uczyty ze świeżo ubitej zwierzyny – opowiadał normalnym głosem. – Ale być może sprawa ma się całkiem inaczej, a w jego urojonym świecie hasło „Respectez Asia” oznacza groźbę. Coś w rodzaju: „Zacznijcie mnie w końcu szanować, bo inaczej następnym razem naprawdę ostro wezmę się do roboty”.



Do pokoju widzeń przyprowadził Moewiga ten sam łysy strażnik, co dzień wcześniej. Abel opierał się o ścianę pod zakratowanym oknem i patrzył, jak jego stary kumpel, powłócząc nogami, wchodzi do środka i opada na krzesło.

Moewig wydawał się niski obok wysokiego barczystego funkcjonariusza zakładu penitencjarnego, a mimo to emanowało z niego coś groźnego, jak z drapieżnego kota. Wszystkie mięśnie jego twarzy były tak napięte, że wyglądała niemal jak wyrzeźbiona. Tylko prawy kącik ust oraz lewe oko drgały w sposób niekontrolowany.

*Niekontrolowany, jak jego agresja? – zastanawiał się Abel. Jak jego potrzeba zabijania, kiedy napada na stare kobiety?*

Strażnik wycofał się na korytarz.

– Będę za drzwiami – powiedział – tylko trzy metry stąd.

Popatrzył ostrzegawczo na Moewiga, który wyszczerzył połówkę od nikotyny zęby.

*Mogłem przynieść mu papierosy, przynajmniej tyle,* przemknęło Ablowi przez głowę, gdy usłyszał szcęk zamykanego zamka w drzwiach. Czuł się nieswojo i miał poczucie winy. Jedna jego część chciała wierzyć w niewinność Moewiga, druga obserwowała go nieufnie i z nieprzyjemnym uczuciem.

– Dłużej nie wytrzymam, Fred! – wyrzucił z siebie Lars, nawet się nie witając. – Musisz mnie stąd wyciągnąć! Muszę zobaczyć Lilly, zanim moja mała... – przerwał, niemal z groźbą wbił wzrok w Abła. – Obiecałeś mi! – krzyknął.

Miał ochryply głos, jakby godzinami krzyczał albo wył. Albo jedno i drugie naraz. Abel współczuł mu, ale Moewig wydał mu się całkiem obcy. Bardziej obcy niż wczoraj.

– To nie takie proste – powiedział powoli. – Było jeszcze jedno morderstwo według identycznego wzorca. Przedwczoraj wieczorem w pobliżu Heathrow... A ty znów byłeś w pobliżu!

Odepchnął się barkiem od ściany i usiadł na krześle naprzeciwko Moewiga.

– Jakie cholerne drugie morderstwo?! – krzyknął Moewig. – Czy to znaczy, że teraz ty też mnie podejrzewasz? No, odpowiedz, Fred!

Oparł się łokciami o nierówny stół i patrzył na Abła znad zaciśniętych pięści.

*Jak bokser za podwójną gardą,* pomyślał Abel.

– Nigdy nawet nie pomyślałem, że mógłbyś zrobić coś takiego, Lars. Dusić i okradać stare kobiety. Po prostu nigdy nie łączyłem tego z Larsem Moewigiem, z którym się kiedyś przyjaźniłem. – Nachylił się nad stołem i złapał Moewiga za nadgarstki. – Ale, do jasnej cholery, musisz mi pomóc! – dodał podniesionym głosem. – A ty co robisz? Opowiadasz nadkomisarzowi bajki o podróży do Londynu, które w decydujących momentach po prostu nie zgadzają się z rzeczywistością!

Moewig wyszarpnął rękę.

– Dlaczego to mają być bajki?! – krzyknął. Nerwy w jego twarzy drgały tak wściekle, że ledwo widział Abła. – Wszystko, co powiedziałem twojemu tłustemu komisarzowi, jest w stu procentach prawdą!

Strażnik otworzył drzwi i wsunął do środka swoją łysą głowę.

– Panie Moewig, jeśli będzie się pan awanturował, natychmiast zaprowadzę pana z powrotem do celi – rzucił ostro. – Rozumiemy się?

Moewig zerwał się z miejsca tak raptownie, że Abel aż się wzdrygnął.

– Tak jest, panie majorze! Szeregowy Dupa, posłusznie melduje, awantury skończone! – Zasalutował i strzelił obcasami.

Klawisz pokręcił głową, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy. Tylko spojrział pytająco na Abła, a gdy ten skinął w jego kierunku, ponownie zamknął drzwi.

– Dobra, a teraz bez ogródek – powiedział Moewig. Znow usiadł na krześle i położył dłonie przed sobą na stole. – Co z tego, co nagadałem twojemu nadkomisarzowi, ma być kłamstwem?

Abel zmuszał się, aby nie przyglądać się ustawicznie dłoniom Moewiga. Były silne i miały niezgrabne palce. Zastanawiał się, jak nazwałaby te dłonie Lisa. Na pewno nie dłońmi pianisty. Już prędzej łapami rzeźnika.

– Zeznałeś, że w poniedziałek po południu przyjechałeś z centrum londynu taksówką do hotelu i już go nie opuszczałeś – odparł Abel. – Markwitz wcale cię o to nie pytał, ale mimo to podałeś do protokołu, że resztę dnia spędziłeś w hotelu. A to kłamstwo, Lars.

Przerwał i spodziewał się, że Moewig będzie się bronił. Ale on po prostu tylko obiema rękami kurczowo trzymał się brzegu stołu.

– Widziałem nagranie z monitoringu – kontynuował Abel. – Niedługo potem znow wyszedłeś z hotelu i udałeś się pieszo na północny zachód. Dokładnie w stronę, gdzie leży West Drayton, miejscowość, w której mieszkała ofiara drugiego morderstwa, Emily Goldsmith, siedemdziesiąt dziewięć lat. Wróciłeś do hotelu grubo po siódmej wieczorem. Co robiłeś przez ten cały czas? Prawie trzy i pół godziny w tym piekielnym upale, Lars?

Moewig wpatrywał się w niego. Jego imponująca klatka piersiowa unosiła się miarowo. Zacisnął zęby i oddychał, głośno sapiąc.

– Powiedz mi – spróbował jeszcze raz Abel. – Naprawdę chcę ci wierzyć, ale musisz mi pomóc! Gdzie byłeś w poniedziałek między szesnastą a dziewiętnastą?

Moewig wyszczerzył mocne żółte zęby. Jego wygląd budził teraz grozę.

*Jak drapieżne zwierzę, pomyślał Abel. Albo jak człowiek umysłowo chory.*

– Po co mnie pytasz? – odparł ze złością w głosie Moewig. – Przecież jesteś przekonany, że dobrze wiesz! Jak nazywa się ta parszywa nora za autostradą? West Drayton? No dobrze, załóżmy. I co, znow ukatrupiłem tam jakąś starą babcię? Wygląda na to, że stało się to moim hobby! – roześmiał się ochryple, ale natychmiast znow stał się poważny. – Naprawdę myślisz, że jestem sfiksowanym kilerem, który zabija stare kobiety, w Berlinie, w Londynie, gdzie tylko nadarza się okazja?

Groźnie wlepił wzrok w Abła.

Abel zmusił się, aby odwzajemnić spojrzenie. Przez pół minuty żaden nie powiedział słowa. Oprócz głośnego dyszenia Moewiga nie było słyhać żadnego dźwięku.

– Nie chodzi o to, co ja myślę – stwierdził w końcu Abel. – Chodzi o to, co da się dowieść, a czego nie. I dlatego pytam cię jeszcze raz: gdzie byłeś w poniedziałek między szesnastą a dziewiętnastą?

Znow przerwał i czekał. I znow Moewig patrzył na niego gniewnie.

– Fakty są takie, że nie masz alibi na czas popełnienia zbrodni i w Londynie, i tutaj, w Berlinie – ciągnął dalej Abel. – Faktem jest również to, że okłamałeś nadkomisarza Markwita, chociaż w ogóle cię nie pytał, gdzie byłeś w poniedziałek po południu. Ponieważ jeszcze nie wiedział o morderstwie w West Drayton.

Zawahał się na chwilę.

– I nadal jeszcze o nim nie wie – dodał. – Tak samo jak o nagraniu wideo. Doszukałem się tego na własną rękę.

Po tej informacji Moewig wydawał się odrobinę bardziej odprężony. Na jego twarzy mignął nawet cień uśmiechu.

– Często włączę się bez celu po okolicy – powiedział i wzruszył ramionami. – To pomaga mi zejść z powrotem na ziemię, rozumiesz? – Wykonał dłonią gest imitujący ptaka w locie nurkującym. – Czasem trudno mi potem sobie przypomnieć, gdzie byłem i co robiłem – mówił dalej Moewig. – Ale to przez to, że tylko godzinami szwendam się bez celu, aby oczyścić umysł. Rozumiesz, Fred? – Gwałtownie nachylił się do przodu i chciał złapać Abła za rękę.

Tym razem to Abel cofnął dłoń. Odruchowo, czego już po chwili żałował.

– Powiedz mi wreszcie, co myślisz! – wykrzyknął Moewig – Sądźisz, że jestem niewinny, czy ty też uważasz mnie teraz za tchórzliwego zabójcę kobiet? Tylko dlatego, że zapomniałem wspomnieć, że w Heathrow jeszcze uprawiałem jogging?

Abel coraz mniej wiedział, co ma myśleć. Bezradnie pokręcił głową.

– Nie wiem, Lars. Naprawdę nie wiem.

*Być może wcale nie skłamał, zastanawiał się. Być może naprawdę sobie nie przypomina – i w tych godzinach, kiedy władzę nad nim przejmuje jego ciemna strona, staje się mordercą?*

– I co teraz zrobisz? – natarł na niego Moewig. – Pomożesz temu tłustemu glinie zaprowadzić mnie na resztę życia za kratki? Za przestępstwa, których nie popełniłem i nigdy nie mógłbym popełnić?

Jego głos stawał się coraz głośniejszy i krzykliwy. Kącik ust oraz oko drżały.

– Nie jestem tchórzliwym zabójcą kobiet! Do jasnej cholery, po czyjej stronie?

Tym razem Abel nie musiał zastanawiać się nawet chwili.

– To proste: po stronie prawdy. Moja obietnica wciąż obowiązuje: ze wszystkich sił przyczynię się do tego, aby udowodnić winę mordercy Iriny Pietrowej i Emily Goldsmith, i to jak najszybciej. Jeśli jesteś niewinny, w najmniejszym stopniu nie musisz się obawiać. Wręcz przeciwnie.

Wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie. Moewig uściskał ją i przyciągnął do siebie. Jego dłoń była twarda jak kamień.

– Przynajmniej nie mów Markwitzowi o nagraniu wideo – powiedział. – Bo tylko go ostatecznie utwierdzisz w przekonaniu, że to ja jestem poszukiwanym kilerem!

– Tak się nie da, to nie takie proste – odparł Abel. – W końcu chodzi o informacje istotne dla śledztwa.

Próbował uwolnić rękę, ale Moewig trzymał ją w żelaznym uścisku.

– W takim razie przynajmniej porozmawiaj najpierw z Marie. Dowiedz się, czy jej zdaniem byłbym do czegoś takiego zdolny, a potem zdecyduj, czy naprawdę chcesz oczernić mnie w oczach Markwitza. – Spojrzał na Abła prosząco. – Obiecasz mi to?

Przez chwilę wydawał się znów być starym Larsem Moewigiem. Zamkniętym w sobie odludkiem, ale w lepszych momentach był w stanie otworzyć się przed przyjacielem.

– Okej, obiecuję – powiedział Abel.

– Ucałuj ode mnie Lilly – poprosił Moewig i głos mu się załamał.

**Col du Sauvage, w pobliżu Marsylii**  
**Dawny zbiornik retencyjny**  
**Pięć lat wcześniej**

Obudziło go zimno. W pierwszej chwili pomyślał, że leży we własnym łóżku. W domu swojego brata w Marsylii, gdzie miał dla siebie cały pokój, pierwszy raz w życiu.

Potem usłyszał chlupot wody i głośne piski. *Szczury!* Nagle uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

Raptownie otworzył oczy i nerwowo się rozejrzał. Obok niego na podłodze leżała latarka. Ledwo świeciła, widocznie zapomniał ją wyłączyć. Ale to był jego najmniejszy problem. Oczywiście zapomniał też o wszystkim innym.

O postanowieniach. Zasadach, których tym razem chciał bezwarunkowo przestrzegać. Być spokojnym. Nie dać się znów porwać emocjom. Zachować kontrolę.

Wstał z trudem, wziął do ręki latarkę i słabym światłem omiótł piwnicę.

– Szlag by trafił! – krzyknął. – Co, do diabła, się tu zdarzyło?

Był całkiem nagi. Drżąc z zimna, a teraz również ze strachu, stał w kałuży na pół zaschniętej krwi. Jego ubranie leżało obok na ziemi, zakrwawiony kłębek.

*I gdzie jest ta przeklęta mała zdzira? Czyżby ta pieprzona wywłoka się ulotniła?*

Ciężko sapiąc, ruszył przed siebie. Dłonie drżały mu, jakby poraził go prąd. Promień światła poruszał się nad martwymi szczurami, kośćmi, nieokreślonymi śmieciami i wreszcie natrafił na nieruchome ciało.

– A, tu jesteś, cipo!

Leżała tuż pod ścianą z tyłu odwrócona do niego plecami.

Plecami, które wyglądały jak surowe mięso na kebab. Krwawe strzępy luźno zwisały.

– O, kurwa, kurwa, kurwa – wymruczał.

Kopnął ją bosą stopą w siedzenie, ale nie zareagowała. Mimo to miał niejasne uczucie, że dziewczyna jeszcze żyje.

– Hej, skarbenku, jeszcze z tobą nie skończyłem!

Kucnął obok niej, chwycił pod ramiona i odwrócił na plecy.

Miała zamknięte oczy, a jej przód nie wyglądał o wiele lepiej niż tył. Raczej przeciwnie.

*Kompletnie porżnięta*, pomyślał.

Znów ogarnął go strach.

– Kurwa mać, to nie powinno się zdarzyć! – Uderzył ją w twarz. – To wszystko twoja wina, ty parszywa dziwko!

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Środa 8 lipca godz. 18.45**

**A** więc jest w więzieniu. Z Larsem jest jednak coraz gorzej. Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi?

Marie Lindweg wcale nie wyglądała na zaskoczoną. Ablowi wydawało się, że raczej była zrezygnowana, niemal apatyczna, jakby od dawna się czegoś obawiała. Ale prawdopodobnie była po prostu zbyt zmęczona, żeby zareagować bardziej emocjonalnie. Abel ledwo ją poznał. Umówił się z nią w Charité na oddziale dziecięcym, gdzie Lilly leżała na intensywnej terapii. Już w wejściu do kafeterii zauważył kobietę z jasnymi włosami sięgającymi ramion, która siedziała samotnie przy stoliku. Ale dopiero kiedy uniosła rękę, przyszło mu na myśl, że ta wychudła kobieta z rozpalonymi zapadłymi oczami może być Marie Lindweg. Była Larsa Moewiga, matką ich córki Lilly.

Spotkał Marie Lindweg tylko jeden raz kilka lat temu, kiedy z Moewigiem odwozili Lilly do matki. Dziewczynka była w odwiedzinach u Larsa i Abel pojechał z nimi na Teufelsbergu, gdzie ojciec i córką z zapalem puszczała latawca.

W jego pamięci Marie Lindweg była przystojną, kochającą życie kobietą z szelmowskim uśmiechem, który jeszcze zwiększał jej atrakcyjność. Ale kobieta, z którą teraz siedział przy szarym plastikowym stole w o wiele za ostrym świetle szpitalnej kafeterii, bardzo mało przypominała tamtą Marie. Była chorobliwie wychudzona. Jej wcześniej niemal lalkowatą twarz pokrywały głębokie bruzdy, a włosy, których jasnozłocisty kolor zauroczył wtedy Abła, wyglądały matowo. Miała przekrwione oczy i zmęczony wzrok.

Kiedy się już przywitani, najpierw zapytał ją, jak czuje się Lilly. Ale Marie Lindweg tylko ledwie zauważalnie pokręciła głową. Teraz w kilku słowach opowiedział jej, o co był oskarżany Lars Moewig: morderstwo na tle rabunkowym na starej kobiecie w Tegel i zrobienie napisu na jej martwym ciele.

– Odwiedziłem go w więzieniu – dodał. – Lars poprosił mnie, żebym mu pomógł jak najszybciej wyjść na wolność. Ze względu na Lilly... Koniecznie chce ją jeszcze raz zobaczyć. I się z nią pożegnać.

Marie zaczęła grzebać w torebce i wyjęła z niej chusteczkę higieniczną. Abel myślał, że się rozpłacze, ale ona tylko zmięła chustkę w lewej dłoni.

Prawą dotknęła jego ręki.

– Przynajmniej ma jeszcze choć jednego przyjaciela. – wyrzuciła z siebie.

Abel przytaknął.

– Z biegiem lat ze wszystkimi się skłócił – ciągnęła Marie. – Jeszcze niedawno sam mi powiedział: „Widocznie robienie sobie ze wszystkich wrogów to mój największy talent. Nawet z tych, którzy kiedyś dobrze o mnie myśleli”. Ale na szczęście jeszcze ty trzymasz jego stronę.

Spojrzała na niego w sposób, który wcale mu się nie spodobał. Jej wzrok wyrażał zbyt wiele oczekiwań. Wdzięczności, chociaż jeszcze nic nie zrobił dla Larsa. A prawdopodobnie też nic nie będzie mógł zrobić.

– To nie jest takie proste – odparł wymijająco. – Obiecałem Larsowi, że znajdę prawdziwego mordercę, ktokolwiek to będzie. Lars nie ma alibi, a fakt, że w ostatnich latach był kilkakrotnie karany za używanie przemocy, czyni go jednak podejrzanym w oczach wydziału zabójstw.

Palce Marie zacisnęły się kurczowo na jego ręce. Kiedy to zauważyła, szybko go puściła i teraz miała chusteczkę w dłoniach.

– A ty? Co ty myślisz, Fred? – zapytała. – Czy ty też go podejrzewasz?

Abel zwlekał z odpowiedzią. Na ile otwarcie może z nią rozmawiać? Nie wolno mu wspomnieć o morderstwie w West Drayton, przynajmniej dopóki nie wiedział o nim Federalny Urząd Kryminalny. Ale poza tym mógł być z nią szczery.

– Nie wiem. Już nie znam go tak dobrze. Myślę, że już go w ogóle nie znam. Lars, z którym przyjaźniłem się wiele lat temu, na pewno nie zabijałby starych kobiet. Ale też nie upiłby się bezsensownie i dotkliwie nie pobił przypadkowej osoby.

Według rejestru skazanych Moewig kilka razy wdał się w knajpiane bójki z zupełnie obcymi ludźmi. Nie tylko dzięki jego wyszkoleniu w różnych technikach walki wręcz, ale również ze względu na doświadczenie wyniesione z realnych działań wojennych przeciwnicy za każdym razem źle na tym wychodzili. Jedna z ofiar pobicia została przewieziona na pogotowie z licznymi pęknięciami czaszki i wewnętrznymi krwotokami. Inny z kolei mężczyzna trafił do szpitala ze złamaną szczęką i rozbitym nosem.

– Jak dobrze ty go jeszcze znasz, Marie? – zapytał. – Byliście parą prawie wiečność temu.

Marie odsunęła kosmyk włosów z czoła.

– Przez wiele lat ledwo się widywaliśmy. Ale w ostatnich miesiącach z powodu choroby Lilly nasz kontakt się zacieśnił. Znowu tworzyliśmy coś jakby rodzinę. Przynajmniej chwilowo. Zbliżyliśmy się również emocjonalnie, o ile w przypadku Larsa jest to jeszcze możliwe.

Daleko w tyle kafeterii zadzwoniła czyjaś komórka. Po podłodze zaszurały krzesła i od stolika zerwali się dwaj lekarze w białych kitlach.

– Tak, już idziemy – powiedział starszy do bezprzewodowego mikrofonu. – Jeśli jest stabilny, trzeba już teraz podać znieczulenie. Rozcinamy go, gdy tylko wejdziemy na salę operacyjną.

Jego głos brzmiał spokojnie. Chociaż on sam i jego kolega poruszali się niemal biegiem, bił od nich spokój i pewność siebie.

*Rutyna, pomyślał Abel. Jak u nas. Czysta rutyna. To wszystko, czym jest jeszcze dla nas ludzkie życie. Ta sama czynność powtarzana tysiące razy. I wciąż te same ruchy.*

Za to Marie Lindweg wzdrygnęła się i patrzyła za nimi przerażona.

– Za każdym razem myślę, że coś stało się Lilly!

Znów odgarnęła za ucho uparty kosmyk włosów.

Przez dłuższą chwilę się zbierała, żeby w końcu powiedzieć:

– Ja też widzę, że Lars bardzo się zmienił. Niewiele zostało z młodego zawiadziaki, w którym kiedyś się tak zakochałam.

Abel przyglądał się jej ukradkowo. *Jak dużo mogę od niej wymagać?* – zastanawiał się. Marie trzymała się jakoś dzięki żelaznej dyscyplinie, ale było oczywiste, że jest u kresu sił.

*Mimo to nie mogę oszczędzić jej tego pytania.*

Przemógł się.

– Czy Lars zmienił się tak bardzo, że mógłby popełnić morderstwo? Myślisz, że to możliwe?

Zmarszczyła czoło.

– Oczywiście, że nie! – odpowiedziała bez wahania. – Dlaczego pytasz o takie rzeczy? Myślałam, że jesteś jego przyjacielem!

Abel znów się zawahał. *Prawdopodobnie wciąż go kocha, pomyślał. Jeśli nie trafię na właściwy ton głosu, jeśli dobiorę niewłaściwe słowa, Marie się przede mną zamknie. Ale muszę poznać jej zdanie.*

– Chcę mu pomóc, inaczej by mnie tu nie było – zaczął od nowa. – Ale jestem przekonany, że w określonych warunkach każdy człowiek może stać się mordercą. Również ty albo ja. A Lars podczas działań wojennych z pewnością doświadczał takich rzeczy, którym nawet najsilniejszy człowiek z trudem by podołał bez profesjonalnej pomocy.

Marie przytaknęła i spojrzała na Abła.

– Wiem, że parę razy zdarzyło mu się być brutalnym. Sama nigdy tego nie doświadczyłam, a dla Lilly zawsze był najbardziej kochającym i troskliwym ojcem na świecie. Ale kiedyś opowiedział o tym, co się z nim dzieje, zanim wstąpi w niego diabeł. „Wtedy otwiera się we mnie czarna otchłań”. Tak to określili. „Moje wewnętrzne piekło, w którym zazwyczaj więzę moje demony, które czasem się uwalniają: strach, rozpacz, a przede wszystkim kipiący we mnie gniew! I wtedy wszystko dookoła robi się czerwone. Jak krew. I wtedy muszę uderzyć”. Tak mi powiedział. „Wtedy nie jestem już sobą, wtedy jest tylko ta ogromna złość, która całkowicie wymyka się spod kontroli. To jest potworna, czysta wściekłość. A kiedy to wreszcie mija i znów jestem sobą, najchętniej zapadłbym się pod ziemię ze wstydu i poczucia winy”. Miał łzy w oczach, kiedy mi to wyznał – dodała Marie. – Znasz go. Możesz sobie wyobrazić, jak trudno mu tak bardzo się przed kimś otworzyć. I przyznać się do własnej słabości. Uważam, że w przypadku Larsa zasługuje to na ogromny szacunek.

Abel widział to tak samo. *Ale to pokazuje, jak bardzo musi peszyć Larsa fakt, że przestaje kontrolować swoją agresję.*

Tę myśl zachował jednak dla siebie.

– Lars zawsze sam mierzył się ze sobą – ciągnęła. – Wiesz tak samo dobrze jak ja, że jest bardziej zamknięty niż ostryga. Tak bardzo, że to, co jego brat Arne powie w godzinę, Larsowi zajmuje cały rok. – Uśmiech przemknął jej po twarzy i na sekundę przywrócił do życia dawną pogodną Marie. Jednak już po chwili znów spoważniała. – To, co przeżył w Afganistanie – kontynuowała – to było chyba za dużo, żeby sam potrafił się z tym uporać. Nawet jeśli jest tak silny jak Lars i tak bardzo przyzwyczajony do tego, aby samemu radzić sobie ze wszystkim.

Nagle złapało ją ziewanie. Chwytała ustami powietrze i jej oczy nabiegły łzami.

– Przepraszam – wykrztusiła w końcu. – W ogóle nie pamiętam, kiedy ostatni raz spałam.

Abel skinął na kelnerkę.

– Napijesz się kawy? – zapytał Marie.

– Tak, poproszę dużo mleka – powiedziała.

Abel zamówił kawę z mlekiem i podwójne espresso. Ale straszny obraz, który przywołała Marie, przyspieszył bicie jego serca bardziej, niż gdyby wypił dziesięć podwójnych espresso.

**Col du Sauvage, w pobliżu Marsylii**  
**Dawny zbiornik retencyjny**  
**Pięć lat wcześniej**

Z całej siły tłukł tę małą dziwkę po twarzy, raz z lewej, raz z prawej, jej głowa latała w obie strony. Powoli zaczynało mu świtać, co się tu stało. Coraz bardziej się szarpała, kiedy nożem do obierania jarzyn nacinał jej pierś. Jęcząc, kurczowo się go trzymała, gdy ją pieprzył, ponieważ koniecznie tego chciała. Prawdopodobnie myślała, że zostawi ją przy życiu, jeśli dopuści go do siebie. Ale się nacięła. A dokładniej mówiąc, on ją pociął.

– Masz za swoje, zdiro! – wrzeszczał, wbijając w nią jednocześnie członek i nóż. Dźgał ją i kroił bez końca, a ona lubieżnie krzyczała i jęczała.

*Ale, do jasnej cholery, pomyślał, właśnie do tego nie miało dojść! Przecież chciałem tylko zrobić na niej napis, wyciąć na skórze moją wiadomość i to wszystko!*

Kiedy ostatni raz stracił w taki sposób kontrolę, złapali go i zamknęli w więzieniu. Przyszli niespodziewanie, czterech albo jeszcze kilku więcej w mundurach Legii Cudzoziemskiej. Tak samo jak teraz leżał nago obok innej małej zdiiry, w zapomnianym przez Boga i ludzi szałasie drwali w lesie gdzieś koło Ifranu.

„Do jasnej cholery, jestem jednym z was!” – krzyczał, ale mu nie uwierzyli. Związali go, zawinęli w płachtę namiotową i zabrali do koszar. „Jestem jednym z was!” – wrzasnął w twarz temu parszywemu majorowi, ale ten tylko się skrzywił. „Skośnoocy i inna hołota nie mają czego u nas szukać! – powiedział. – Zamknijcie drania i wezwijcie policję”.

Na wspomnienie o tym zwinął się, jakby poczuł ostry ból. Ale wtedy uświadomił sobie, że tym razem nie będą mogli go tak łatwo znaleźć. W każdym razie dopóki był tu pod ziemią, w zamku Śpiącej Królowej. U szczurów.

Roześmiał się, zabrzmiało to bardziej jak krakanie, które odbiło się echem od ścian. Niezliczona wataha szczurów odpowiedziała obłąkańczymi piskami, które prawdopodobnie w ich mowie były tym, czym słowa u ludzi. W każdym razie tak to widział. Bo inaczej, dlaczego miałyby piszczeć od rana do nocy?

Ponownie wymierzył jej silny policzek i wreszcie doszła do siebie.

Jej twarz płonęła jak w gorączce. Oddychała, rżąc, i uniosła drżące powieki. W przyćmionym świetle latarki patrzyła na niego szklistym wzrokiem.

– To wszystko twoja wina! – krzyknął na nią. – Do diabła, po co mnie podnieciłaś?

Poruszyła ustami. Najwidoczniej chciała mu odpowiedzieć, ale nie rozumiał ani słowa.

– Głośniej! – wrzasnął.

Wtedy jego wzrok padł na jej klatkę piersiową i zrozumiał, dlaczego nie mogła mówić głośniej. Porządnie popracował nad nią nożem. Nie miała już piersi albo tylko miała ich część. W wielu miejscach pod strzępami skóry i kawałkami mięsa było widać żebra. Zamiast pępka ział krater wypełniony krwią



pianą, która przy każdym z trudem wykonywanym oddechu bulgotała i powstawały na niej małe pęcherzyki powietrza.

Znów poruszyła ustami.

– Chcesz mi coś powiedzieć, dziwko?

Nachylił się nad nią i przyłożył ucho blisko jej ust. Śmierdziała wyschlłym potem i prawie zaczęła wydzielać trupi odór.

Ale tylko prawie.

– No mów, ty mała kanalio! – odezwał się niemal łagodnie. – Chcesz coś jeszcze z siebie wyrzucić?

– *Tue... moi* – wykrztusiła z trudem – do... bij... mnie.

Po każdej sylabie robiła przerwę, a gdy nabierała powietrza, coś w niej charczało.

– Do... bij... mnie – powtórzyła.

Popatrzył na nią z naganą w oczach.

– Dlaczego tak ci się śpieszy? – zdziwił się. – Jest mi cholernie zimno! Przez ciebie znów wszystko spieprzyłem. Dopóki żyjesz, przynajmniej możesz mnie ogrzewać!

Położył się obok niej, przytulił jak najbliżej do jej zmasakrowanego, rozpalonego ciała i trzęsąc się z zimna, usnął.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Środa 8 lipca godz. 19.20**

**A** właściwie to co zdarzyło się w Kunduzie? – zapytał Abel, gdy stanęły przed nimi filiżanki z kawą. – Kiedyś próbowałem zapytać Larsa o jego przeżycia w Afganistanie, ale natychmiast zmienił temat.

Popijali kawę. Piana z mleka w filiżance Marie była biała jak jej skóra, natomiast espresso Abła gorzkie i mocne.

– Opowiedział mi dopiero przed paroma tygodniami – zaczęła. – A przecież ta potworność zdarzyła się już podczas jego pierwszego pobytu w Afganistanie, ponad trzy lata temu. Do dzisiaj sobie z tym nie poradził. Później przeżył jeszcze kilka rzeczy, które patrząc z zewnątrz, były dużo gorsze. Ale ta historia z rozerwanymi na strzepy dziewczynkami cały czas go prześladowuje.

*Rozerwane na strzepy dziewczynki, zaświtało Ablowi. Takie jak Lilly...*

Pilnował się, aby nie przerwać Marie nawet chrząknięciem.

– Kompania Larsa ochraniała wtedy szkołę dla dziewcząt w górskiej wiosce – ciągnęła swą opowieść Marie Lindweg. – Każdego dnia dbali o to, aby dziewczyny mogły pójść do szkoły, chociaż talibowie najchętniej by je wszystkie zastrzelili. I któregoś dnia jedna z tych dziesięcio- czy jedenastoletnich dziewczynek wysadziła się w powietrze na szkolnym podwórku. Miała ukryty w butach materiał wybuchowy i zapalnik pod bielizną i na dużej przerwie nacisnęła guzik. Bum!

Marie Lindweg wyrzuciła w górę obie ręce i wpatrywała się w Abła. Stara kobieta, drzemiąca przy stoliku obok, wzdrygnęła się i spojrzała na nich z przerażeniem. Ale Marie nawet tego nie zauważyła.

– Tego dnia Lars miał wartę przy szkolnej bramie – kontynuowała. – Dlatego widział z najbliższej odległości, jak samobójczynie i mniej więcej dwadzieścia jej koleżanek wyleciały w powietrze. Na ziemię spadł deszcz kawałków ciał. Ręce, nogi i okryte muzułmańskimi chustami głowy. Do dzisiaj prześladowuje go to w snach. Ponieważ, jego zdaniem, wtedy zawiódł.

Przerwała i patrzyła na swoje dłonie, które spoczywały przed nią na stole złożone jak do modlitwy.

– Dziewczynka, która się wysadziła w powietrze, miała na imię Yasemin – powiedziała po chwilowej przerwie. – Lars często się z nią wygłupiał, gdy rano towarzyszył jej i innym dziewczynkom w drodze do szkoły. Z powodu ciemnej skóry, kręconych włosów i wesołego usposobienia przypominała mu Lilly. Dlatego zwróciło jego uwagę, że nagle Yasemin zaczęła się inaczej zachowywać. Przestała się śmiać, trzymała się z dala od koleżanek i wydawała się przygnębiona. Lars zastanawiał się nad tym, ale pomyślał, że jej to przejdzie. W końcu dzieci też mają swoje humory i zmartwienia. I jak miał się domyślić, że była taka smutna, dlatego że talibowie wybrali ją na „męczennicę”.

Marie znów pokręciła głową i przez dłuższą chwilę patrzyła przed siebie.

– Nikt tam nie zdołał tego przewidzieć, ale od tamtej pory Lars czuł się winny, bo uważał, że mógł zapobiec zamachowi, gdyby zameldował o swoich spostrzeżeniach. W snach wciąż próbował ratować dziewczynę. I co noc na nowo wylatywała na jego oczach w powietrze.

Abel sięgnął po filiżankę, ale była pusta. *Biedny facet*, pomyślał. Już ta krótka relacja, którą właśnie usłyszał, przygnębiła go. W duchu widział nieogrodzone małe szkolne podwórko, w tle malowniczy krajobraz afgańskich gór. Dziesięcioletnie dziewczynki, które w długich do ziemi ubiorach, z zasłoniętymi twarzami albo z chustami na głowach wychodzą na przerwę na podwórze. A potem huk detonacji i apokaliptyczny deszcz kawałków ciał.

*Afganistan jest częścią Azji*, przeszło mu przez głowę. *Czy to jest wyjaśnienie napisu „Respectez Asia”?* *Czyżby to jednak Lars zabijał stare kobiety i zostawiał na ich ciałach to hasło, ponieważ nie potrafił się obudzić z koszmaru, jaki przeżył w Azji?*

Ale odrzucił tę myśl. Zabijanie bezbronnych starych kobiet nie pasowało do Larsa – nieważne, jak bardzo zmieniły go ponure przeżycia z terenów działań wojennych.

Abel przejechał ręką po twarzy.

– Dzisiaj w południe Lars wspomniął, że czasem ma coś w rodzaju luk w pamięci. Godzinami chodzi po okolicy i potem nie może sobie przypomnieć, gdzie w ogóle był. Czy kiedyś już coś takiego zauważyłaś?

Po chwili wahania przytaknęła.

– Czasem ma taki pusty wzrok. Wtedy można wołać go po imieniu albo nawet złapać za rękę i potrząsać, nic do niego nie dociera. Jakby spał z otwartymi oczami. Czasem trwa to nawet kilka godzin.

Nachyliła się nad stołem i popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Wydawało się, że przeszły jej zmęczenie i apatia.

– Chyba już wiem, do czego zmierzasz – stwierdziła. – Zastanawiasz się, czy Lars ma coś w rodzaju rozdwojenia jaźni, à la doktor Jekyll i Mister Hyde. Ale to nie Lars. Nie ma złego Mistera Hyde’a, który przejmuje nad nim panowanie. Jedynym człowiekiem, na którego Lars jest naprawdę zły i którego czasem pewnie z chęcią by zabił, jest on sam. Ponieważ zawsze chciał być obrońcą słabych i bezradnych i ciągle robił sobie wyrzuty, że znów coś zawałił. A teraz, odkąd wiadomo, że Lilly umrze, wydaje się, że to uczucie całkowicie wzięło nad nim górę. Ale nigdy, przenigdy nie napadłby na starą kobietę i by jej nie zabił.

Oczy Marie patrzyły na niego gniewnie. Jej słowa były tak dobitne, że Abel czuł, że mówi prawdę o Larsie Moewigu.

– Nigdy nie byłby zdolny napaść na bezbronną starą kobietę i ją zamordować – powtórzyła. – Już prędzej zaryzykowałby życie, żeby ją uratować! A te chore bazgroły, to durnowate hasło, nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Na sto procent. Nieważne, jak bardzo się zmienił.

Abel głęboko odetchnął. *Ona ma rację*, pomyślał. *Lars nie jest mordercą. I nie jest też psychopatą.*

Poczuł się, jakby spadł mu z serca ogromny ciężar.

– Wielkie dzięki, że porozmawiałaś ze mną tak otwarcie. To było naprawdę pomocne. Zrobię, co w mojej mocy, aby jeszcze raz zobaczył Lilly i aby mogli się ze sobą pożegnać.

Marie drgnęła.

– O Boże, Lilly – szepnęła. – Już dawno powinnam być u niej.

Zerwała się z krzesła i spojrzała na Abła.

– Wejdiesz na chwilę na górę, Fred? Lilly na pewno się ucieszy, jeśli odwiedzi ją przyjaciel taty. A przede wszystkim, jeśli jej powiesz, że on niedługo sam tu przyjdzie.

– Chętnie – powiedział Abel. Skinął na kelnerkę i zostawił kilka monet na stole.

Wjechali windą na pediatryczną intensywną terapię. Na ławkach na korytarzu siedzieli niewyspani młodzi ojcowie i matki, niektórzy z zapłakаныmi oczami. Nikt nic nie mówił. Jedni spali na siedząco, inni tępo patrzyli przed siebie.

– Nie mów jej, gdzie teraz jest Lars – szepnęła Marie.

Abel skinął głową. Ostrożnie otworzyła drzwi do sali, w której umierała jej córka.

W środku panował rozproszony półmrok. Na o wiele za dużym szpitalnym łóżku leżała dwunastoletnia,

pozbawiona włosów dziewczynka z nienaturalnie okrągłą nabrzmiałą od kroplówek twarzą. Jej nos i usta zakrywała maska tlenowa. Lilly miała zamknięte oczy i z trudem oddychała. Na białej poduszce jej twarz wydawała się czarna jak smoła. Za łóżkiem piętrzyła się migająca aparatura medyczna, która mogła jeszcze przez kilka dni utrzymać Lilly przy życiu.

– Moje kochanie. – Marie cicho podeszła do łóżka Lilly. – Spójrz, kogo przyprowadziłam.

Abel wciąż stał w drzwiach. Kiedy Lilly otworzyła oczy, zobaczyła tylko ciemną sylwetkę na tle dużo jaśniejszego korytarza.

– Tata! – szepnęła i gwałtownym ruchem zerwała z twarzy maskę. – Tato, przyszedłeś!

Wyciągnęła w jego kierunku ręce i powtarzała, ledwo łapiąc powietrze:

– Tato! Tato! Wiedziałam! To ty! Tato!

Straciła oddech, zaniósła się kaszlem i zaczęła ciężko dyszeć.

– Uspokój się, Lilly – szepnęła Marie. – Spokojnie, kochanie, tata niedługo przyjdzie.

Delikatnie przycisnęła dyszącej dziewczynce maskę tlenową do ust i nosa. Drugą ręką dała Ablowi znak, żeby się wycofał.

Głęboko wstrząśnięty Abel wyszedł na korytarz i najciszej, jak potrafił, zamknął za sobą drzwi.

*Obiecałem ci to, Lars, pomyślał, i poruszę niebo i ziemię, żebyś jeszcze raz mógł zobaczyć Lilly, dopóki wciąż żyje i jest świadoma.*

To był wyścig z czasem, bezlitosny wyścig ze śmiercią.

**Londyn**  
**Taksówka do Newington**  
**Czwartek 9 lipca godz. 9.25 czasu miejscowego**

Nawet w Londynie było gorąco jak w cieplarni z tropikalnymi roślinami, i to już o wpół do dziesiątej rano.

W autobusie, którym Abel jechał od samolotu Lufthansy do terminalu przylotów, panował nieludzki tłok i można było kroić powietrze. Czuć było woń ludzkich wyziewów i siedemdziesięciu rodzajów niedających sobie rady dezodorantów. Abel był sceptyczny wobec ogólnej hysterii na temat rzekomo grożącej ludzkości katastrofie klimatycznej, ale było to jednoznacznie rekordowe lato, które grillowało całą Europę nieosiąganymi nigdy wcześniej temperaturami maksymalnymi.

W magazynie pokładowym przeczytał, że klasyczne londyńskie taksówki zostaną zastąpione przez pozbawione wyrazu azjatyckie vany. Tym bardziej ucieszył się, kiedy przed halą przylotów ujrzał wąż staromodnych czarnych pudeł, które wciąż jeździły jako taksówki. Był wielkim zwolennikiem postępu technicznego, ale autentyczność i charakter liczyły się dla niego bardziej od technicznej perfekcji. A japońskie i koreańskie samochody na ogół nie miały tego, co nazywa się własną, niemożliwą do pomylenia twarzą.

*Co by na to powiedział nasz przemierzający się seryjny kiler? – przeszło mu przez myśl. „Respectez Asia”?*

Krótko po wpół do dziesiątej Abel siedział w taksówce do Newington w centrum Londynu, gdzie znajdował się Instytut Antropologii Sądowej Charlesa Milroya. Kierowca miał na sobie krótkie spodenki w kolorach Union Jack i T-shirt z obliczem królowej Elżbiety. Protekcyjnym tonem zachwalał zabytki Londynu, jakby osobiście wzniosł Big Bena i Buckingham Palace.

Abel poczuł ulgę, gdy odezwał się jego smartfon i wybawił go od konieczności rozmowy z patriotycznym kierowcą. Na displayu pojawił się numer jego sekretarki.

– Co słyhać, pani Hübner? – zgłosił się.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie dyrektorze. Właśnie przyszła pilna wiadomość z aresztu śledczego w Moabecie i pomyślałam, że to może być dla pana ważne.

– Niech pani wali – rzucił Abel ze złym przecuciem.

– Pan Lars Moewig – referowała Hübner tak samo beznamiętnie jak zawsze – dziś przed południem na więziennym spacerunku pobił innego więźnia, który miał rzucać pod jego adresem rasistowskie obelgi. A na koniec silnym kopniakiem unieszkodliwił strażnika, który chciał rozdzielić czupurne koguty.

– O mój Boże – wymamrotał Abel.

– Na wniosek prokuratury – ciągnęła monotonicznie sekretarka – wczoraj na pana Moewiga nałożono karę trzytygodniowego aresztu za ciężkie naruszenie więziennego regulaminu. Został już przeniesiony do celi. Na pytanie, z kim chce się kontaktować na zewnątrz więzienia, wskazał pana, panie dyrektorze.

– Co za pie... Dziękuję, pani Hübner. – Abel sam sobie przerwał i natychmiast zakończył rozmowę.

*Lars, ty nędzny idioto!* – pomyślał. *Jak mam cię wyciągnąć, jeśli sam pakujesz się w coraz większe bagno?* Jeśli Markwitz albo prokurator Siebener mieli jeszcze jakąkolwiek wątpliwość, czy Moewig rzeczywiście ma zadatki na kryminalistę, który morduje swoje ofiary na chybił trafił, bez specjalnego wyboru, to swoim najnowszym wybuchem agresji definitywnie ją rozwiązał.

Ale przede wszystkim odebrał sobie ostatnią szansę wyjścia z aresztu i odwiedzenia córki w Charité. Kiedy więzień aresztu śledczego trafiał do karnej celi, zawieszano wszystkie uprawnienia, które zwykle mu przysługiwały. Nie wolno mu było nawet samemu przyrządzać sobie posiłków ani nosić zegarka, nie mówiąc już o odwiedzaniu krewnych poza murami więzienia.

Gdy Abel wciąż myślał o autodestrukcyjnym braku rozsądku starego kumpla z Bundeswehry, znów zadzwonił jego smartfon. Na początku bał się, że to pani Hübner będzie chciała uszczęśliwić go kolejną hiobową wieścią, ale na ekranie nie było prezentacji numeru.

– Tak? – zgłosił się Abel z odpowiednią rezerwą.

– Pewnie ci się wydaje, że możesz tak po prostu wszędzie wsadzać swój nos! – zadudnił w słuchawce gniewny bas. – Ale się pomyliłeś. Dobrze wiemy, gdzie się włóczysz. Trzymaj się od tego z daleka, dupku! Nie wychylaj się, bo będziesz martwy!

– Halo? – powiedział Abel. – Kim pan właściwie jest?

Jeszcze przez kilka sekund słyszał zdenerwowany oddech, potem dzwoniący rozłączył się bez słowa.

– Też dobrze – burknął Abel i włożył telefon do kieszeni.

Często dostawał telefony z pogrozkami i zazwyczaj nie brał prób zastraszenia na poważnie. W związku z wykonywanym zawodem miewał styczność ze sprawcami ciężkich przestępstw. Należało do natury sprawy, że przestępcy, którym deptał po piętach, wszystkimi środkami próbowali się go pozbyć.

Abel poczuł niemal ulgę, że telefon z pogrozkami odwrócił jego uwagę od ostatniego wybuchu agresji Moewiga. Czy anonimowy telefon miał coś wspólnego z jego dochodzeniem w sprawie zabójstwa Iriny Pietrowej i Emily Goldsmith? Oczywiście było jeszcze dużo innych spraw, którymi zajmował się w swoim wydziale i odpowiednio dużo sprawców, którzy czuli na plecach oddech swojego prześladowcy. Ale do którego z tych innych nierozwiązanych przypadków pasowałby taki dzwoniący? I dlaczego anonimowy rozmówca zwrócił się do niego, a nie do któregoś ze śledczych albo prowadzącego postępowanie prokuratora?

Zastanawiał się, brał pod uwagę różne możliwości i nie znalazł odpowiedzi. Taksówkarz podjął kolejną próbę przybliżenia gościowi doniosłego znaczenia Big Bena, ale Abel go nie słuchał. Gdy po niecałej godzinie przejeżdżali przez Westminster Bridge nad Tamizą, wciąż myślał o anonimowym rozmówcy.

Wczoraj wieczorem Abel jeszcze raz krótko rozmawiał z Milroyem i umówił się z nim na dzisiaj przed południem w instytucie. Kto oprócz niego mógł wiedzieć, że jest na tropie „podróżującego mordercy”?

Abel pokręcił głową. *To nie ma sensu*, pomyślał. Nie poinformował nawet swojego szefa Paula Herzfelda, jakie konkretne kroki miał w planie w następnej kolejności. Poza Renate Hübner i oczywiście Lisą nikt nie wiedział, że dziś wcześniej rano poleciał do Londynu. Nie mówiąc już o tym, że odkrył związek pomiędzy oboma zabójstwami.

Dzwoniący mówił bezbłędnie po niemiecku, chociaż z lekkim akcentem. Abel przywoływał z pamięci słowo po słowie, które wypowiadał mężczyzna, a przede wszystkim, jak je wypowiadał. Prawdopodobnie akcent wschodnioeuropejski, pomyślał. Głęboki głos brzmiał jakoś z rosyjska. Ale nie miał pewności.

– Tylko niech pan nie omieszka odwiedzić Royal Albert Hall – upomniał go taksówkarz, kiedy zatrzymał się przed wejściem do Instytutu Antropologii Sądowej.

Abel skinął głową.

*W zasadzie to dobry pomysł*, pomyślał.

Tyle że biorąc udział w wyścigu ze śmiercią, nie będzie miał raczej czasu na chodzenie na koncerty.

**Londyn Newington, Webber Street  
Instytut Antropologii Sądowej  
Czwartek 9 lipca godz. 10.35 czasu miejscowego**

Empiryczna bioarcheologia daleko stąd na wsi jest zastrzykiem czystej energii! – zachwycał się Charles Milroy. – Ty też powinieneś coś takiego sobie zafundować, Fred!

Usiedli naprzeciwko siebie na skórzanych fotelach, które Abel już znał z poprzednich spotkań w biurze Milroya w instytucie. Biuro wyposażone w masywne szafy i regały wykonane z egzotycznego drewna oraz meble do siedzenia w tytoniowym kolorze przypominało kancelarię władz kolonialnych w Brytyjskich Indiach Zachodnich sto pięćdziesiąt lat temu. Wentylator pod sufitem leniwie rozprowadzał duszne powietrze po całym pomieszczeniu. Na ścianie wisiała tygrysia skóra z wypchaną głową, która groźnie spoglądała z góry na Abła.

Instytut Archeologii Sądowej mieścił się w ceglany budynku, którego niepozorna fasada nie zdradzała niczego z blasku i sławy instytucji mającej tak bogatą tradycję. Milroy był zastępcą dyrektora i uchodził za gwiazdę na firmamencie antropologii sądowej. Miał czterdzieści parę lat i o ile Abel się orientował, bez reszty realizował się w swojej pracy. Jeśli późnym wieczorem w oknie instytutu jeszcze paliło się światło, na sto procent chodziło o biuro doktora Milroya.

Ale wydawało się, że niewiele zostało z tego dawnego Charlesa Milroya. Jego brytyjski kolega najwidoczniej posypał naftaliną i odwiesił do szafy swoje workowate marynarki oraz wypchane na kolanach spodnie od garnituru i ubrał się od stóp do głów w nowe rzeczy. Co prawda nie od męskiego krawca na Carnaby Street, lecz w stylu wiejskiego posiadacza ziemskiego. Abel był przekonany, że taka moda jest wysoko ceniona w okolicach Cardiff.

Chociaż w duchu siedział jak na rozżarzonych węglach, bez słowa protestu znosił żarciki i rozmarzone opisy Milroya. Musiał jak najszybciej dowiedzieć się, czy w sprawach morderstwa w Tegel i West Drayton chodziło o jedną i tę samą osobę, ale wymagało to niekonwencjonalnego postępowania, a do tego potrzebował zgody oraz energicznej pomocy Milroya.

Brytyjczyk wciąż był rozbawiony jak nastolatek na szkolnej wycieczce.

– Nie miej mi tego za złe, Fred – powiedział – ale wyglądasz tak, że przydałoby ci się mała kuracja odmładzająca.

On sam wydawał się chodzącym dowodem na swoje twierdzenie, że nie ma nic bardziej relaksującego niż ekshumacja zwłok w walijskich górach. Według teorii Abła energia Milroya była w rzeczywistości jak najbardziej żywa i nazywała się Esther Swansea.

– Faktycznie przydałoby mi się kilka dni odpoczynku – przyznał Abel. – Ale teraz nie mogę nawet o tym myśleć.

Dyskretnie, ale zdecydowanie przekierował rozmowę z walijskich wzgórz i radości empirycznej pracy w terenie na sprawę Emily Goldsmith. Opisał Milroyowi morderstwo Iriny Pietrowej, podkreślił analogie między obiema sprawami i na koniec przeszedł do swojej niekonwencjonalnej prośby.

– Muszę się dowiedzieć, czy naprawdę chodzi o tego samego sprawcę. I jest mi do tego potrzebna twoja pomoc, Charles. Dokładniej mówiąc, potrzebuję próbki zmieszanego śladu DNA, znalezione pod paznokciami Emily Goldsmith.

Milroy uniósł brwi tak wysoko, że zniknęły pod grzywką jego fryzury à la Paul McCartney.

– W czym problem? Po prostu złóż wiosek do Europolu o pomoc prawną, wtedy dostaniesz wszystko, co znaleźliśmy...

– To będzie trwało zbyt długo – wszedł mu w słowo Abel. – Charles, to jest wyścig z czasem. Nie możemy stracić ani minuty. Potrzebuję tej próbki natychmiast!

Milroy zrobił jeszcze większe oczy.

– Rany boskie, co się dzieje?! – wykrzyknął. – Dlaczego robisz takie zamieszanie z powodu jakiegoś pospolitego mordercy i złodzieja? Czy kryje się za tym coś osobistego? Gadaj, Fred!

– Coś osobistego? – powtórzył Abel. – I tak, i nie. Wydział zabójstw w Berlinie zatrzymał podejrzanego, który nie ma alibi: Larsa Moewiga, mojego starego kumpla z czasów służby w Bundeswehrze. Jestem przekonany, że przymknęli niewłaściwego człowieka. Ale oznacza to również, że sprawca wciąż przebywa na wolności. Seryjny morderca, Charles – dodał i natarczywie obserwował Milroya. – Zamordował już dwa razy i znów uderzy, jeśli go nie złapiemy!

– I chcesz porównać DNA obu sprawców? Nic z tego nie będzie, Fred. Przecież w mojej opinii do sprawy Emily Goldsmith stwierdziłem jasno i wyraźnie, że pod paznokciami zabitej udało nam się zabezpieczyć bardzo mało obcego DNA. I na dodatek jest ono zmieszane z DNA ofiary.

– Wiem – powiedział Abel. – Przeanalizowaliśmy haplotyp mordercy Iriny Pietrowej i chcę się teraz dowiedzieć, czy sprawca, który zamordował Emily Goldsmith, ma taki sam chromosom Y.

Milroy przytaknął z uznaniem. Ale nie wydawał się do końca przekonany. Abel znał go jako upartego osła, który nie kryje się ze swoim zdaniem, obojętne, czy jakiemuś autorytetowi pasowało to do jego planów, czy nie.

Ale oczywiście nie znaczyło to, że lekkomyślnie zaryzykuje narażenie na szwank swojego autorytetu i swojej pozycji. Wydanie dowodów rzeczowych z toczącego się śledztwa nieuprawnionej osobie trzeciej było poważnym naruszeniem regulaminu, nawet jeśli tą trzecią osobą był kolega z niemieckiego Federalnego Urzędu Kryminalnego.

Milroy niezdecydowanie przygryzł dolną wargę.

– Za tym musi kryć się coś więcej. Dlaczego tak się narażasz z powodu tej sprawy, Fred?

Abel zrozumiał, że musi grać w otwarte karty.

– No dobrze. Najpóźniej za kilka tygodni okaże się, że Moewig siedzi niewinnie za kratkami. Ale nie chodzi tylko o to, aby mojemu staremu kumplowi oszczędzić niedogodności. Tu chodzi również o jego małą córkę. Została jej tylko kilka dni życia.

Opowiedział Milroyowi o swojej wizycie w szpitalu dziecięcym. O rozmowie z Marie Lindweg, która ostatecznie przekonała go o niewinności Moewiga, i o wstrząsającym widoku umierającej dziewczynki, która pragnęła tylko jednego: żeby był przy niej ojciec. Aby nie wzbudzić w Milroyu wątpliwości co do braku winy Moewiga, Abel wolał nie wspomnieć o tym, że jego stary kumpel gnije w celi z powodu bójki z więziennym strażnikiem.

Na koniec Milroy wydawał się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonany, że żądanie Abła było warte zaryzykowania dostania bury od przełożonego – jeśli w ogóle wyjdzie na jaw, że część próbki DNA w sprawie Emily Goldsmith pojechała do Berlina do laboratorium Federalnego Urzędu Kryminalnego. Wydawał się nawet trochę poruszony i głośno wysmarkał nos w chusteczkę w kolorach walijskiej flagi.

Aby zdobyć również ten ostatni procent, Abel trzymał jeszcze asa w rękawie. Wchodząc do biura Milroya, demonstracyjnie postawił walizkę przy jego biurku. Od tamtej pory Milroy kilka razy musnął ją wyraźnie niepewnym wzrokiem. Wbrew wcześniejszemu zwyczajowi nie zaproponował Ablowi, aby



przenocował w jego pokoju gościnnym.

Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby domyśleć się powodu tego nagłego braku gościnności.

– Załatw mi próbkę – powiedział Abel. – I daj mi jeszcze rzucić okiem na zdjęcia zabitej. A za to ja nie będę was wieczorem absorbował.

– Was? – Milroy wyglądał na tak zakłopotanego, jak tylko mógł wyglądać patolog sądowy po czterdziestce, który widział wszystko.

*W określonych okolicznościach ludzie mogą się różnie zmieniać, przeszło Ablowi przez głowę. Mogą zostać kryminalistami, ale również romantycznymi kochankami.*

– Ciebie i pani inspektor Esther Swansea – odparł.

Było krótko przed jedenastą, kiedy Charles Milroy sięgnął po telefon i wydał kilka zwięzłych poleceń. O jedenastej piętnaście żądana próbka DNA leżała na jego stole z egzotycznego drewna, starannie zapakowana i gotowa do wysyłki, obok sterty wielkoformatowych kolorowych fotografii.

Abel, dzwoniąc do siebie do sekretariatu, szybko przejrzał zdjęcia. Fotografie pokazywały rozebrane ciało Emily Goldsmith na stole sekcyjnym Milroya. Na pierwszej zabita leżała na plecach i miała na szyi widoczne ślady duszenia. Na kolejnych było ją widać leżącą na brzuchu. Nietypowo dużymi, dziwnie poruszonymi literami sprawca napisał szminką na jej plecach „Respectez Asia”.

*Wszystko tak samo jak w Tegel, pomyślał Abel. Takie samo hasło, takie samo drżące pismo.*

Nagle przypomniał sobie, co powiedział profiler Timo Jankowski. „Zło ma wiele twarzy i czuję pod skórą, że twojego opisywacza trupów napędza jakieś nadzwyczajne zło”.

*A jeśli to jednak Moewig? Abel poczuł skurcz w żołądku.*

– Federalny Urząd Kryminalny, sekretariat jednostki „Przypadki nadzwyczajne”, Renate Hübner przy aparacie – usłyszał dobrze znany głos.

– Pani Hübner? Tutaj Abel. Jestem w instytucie u doktora Milroya. Mam tu dowód rzeczowy, który trzeba jak najszybciej zbadać w naszym laboratorium. Proszę dopilnować, żeby jakaś firma kurierska niezwłocznie go stąd odebrała i najbliższym dostępnym samolotem dostarczyła do Berlina. I proszę powiedzieć doktorowi Fuchsowi w laboratorium, że muszę znać wynik jeszcze dziś po południu.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze – odparła Renate Hübner. Usłyszał, jak stuka w klawiaturę komputera, a potem kilkakrotnie klika myszą. – Kurier powinien być u pana za trzydzieści minut. Następny samolot DHL-u startuje z Heathrow... chwileczkę, proszę... o 13.17 czasu londyńskiego. Przylot na Tegel o 16.06 czasu środkowoeuropejskiego.

– Świetnie. Doktor Fuchs ma wysłać mi wyniki mejlem do godziny siedemnastej tutejszego czasu. Czyli do osiemnastej u pani.

– Załatwione, panie dyrektorze.

Abel pożegnał się kilkoma słowami podziękowania i się rozłączył.

– Niemiecka dokładność i sprawność – skomentował Milroy. Ironiczny ton głosu nie zdołał ukryć, że był pod wrażeniem.

Abel podniósł się z przepaścistego fotela.

– A to dopiero początek, Charles – powiedział.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Czwartek 9 lipca godz. 14.30**

Ostatnia noc była fatalna. Fatalna dla Lilly, która dysząc i charcząc, walczyła o niezbędne do życia minimum powietrza, aż około czwartej nad ranem wreszcie usnęła. I niewiele mniej fatalna dla Marie Lindweg, która przez wszystkie te godziny trwała przy łóżku córki i była u kresu sił i nadziei.

Podczas porannego obchodu lekarze naradzali się stłumionymi głosami przy łóżku Lilly. Następnie w delikatnych słowach starali się oswoić Marie z myślą, że jej córka już wkrótce utraci świadomość.

– Kiedy? – zapytała Marie.

Odpowiedź ordynatora wciąż odbijała się echem w jej głowie.

– Za dwa, trzy dni, może nawet wcześniej. Nie da się tego przewidzieć, ale nie zostało jej dużo czasu.

A wtedy bardzo szybko przyjdzie koniec.

Siedziała jeszcze przy łóżku Lilly, gdy około dziesiątej dziewczynka znów się obudziła. Mimo ciemnej skóry twarz Lilly była prawie przezroczysta.

– Widzę to po tobie, mamó – powiedziała z trudem. – Złe wiadomości od lekarzy, co?

Marie przytaknęła i z trudem powstrzymała spazm.

Lilly pocieszająco pogłaskała ją po dłoni.

– Jeszcze tylko kilka dni i będzie po wszystkim – wykrztusiła z długimi przerwami, podczas których w mękach walczyła o oddech. – Żeby tylko przyszedł wreszcie tata! Kiedy zobaczę obok siebie was oboje, będę mogła umrzeć.

Zaniosła się kaszlem i zaczęła dyszeć. Marie wiedziała, że zaraz znów usłyszy pytanie, na które nie miała odpowiedzi. W każdym razie takiej, którą mogłaby znieść dziewczynka. W obecnym stanie Lilly byłby to dla niej śmiertelny cios.

– Gdzie jest tata? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Marie pogłaskała ją po policzku.

– Spokojnie, moja mała, tata niedługo przyjdzie.

Wkrótce Lilly ponownie zasnęła. Marie zjechała windą na dół, dziwnie opanowana, jak sama stwierdziła, kiedy zobaczyła się w lustrze w łazience.

*Twarcz jak z gipsu, pomyślała, taka blada i znieruchomiła.*

Jakby to ona była tą osobą, która miała za kilka dni umrzeć. I dokładnie tak się też czuła. Nie miała już łez, była jakby opancerzona, schowana pod grubą twardą warstwą żelaza. Zmęczenie. Smutek, strach, wszystkie jej uczucia zastygły w formę zbroi, która ją przed wszystkim chroniła. Przede wszystkim przed nią samą.

W kafeterii zamówiła kawę z mlekiem i spróbowała zadzwonić do Abla, ale miał wyłączony telefon. Ale co miałaby mu powiedzieć? „Pośpiesz się, bo Lars przyjdzie za późno!” Wiedziała, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby uwolnić Larsa na czas.

Tylko nie miała już siły wierzyć, że naprawdę mu się to uda.

**West Drayton pod Londynem**  
**Czwartek 9 lipca godz. 16.43 czasu miejscowego**

Abel siedział w parku na ławce i czekał. Rosnąca za nim na wpół uschnięta wierzba rzucała zaledwie lichesy cień, ale nie ruszał się z miejsca.

Pocił się i czekał, w tej chwili nie mógł zrobić nic więcej, nawet jeśli niemal umierał z niecierpliwości. Przynajmniej widział stąd położenie apartamentu, w którym mieszkała i została zamordowana Emily Goldsmith. Prawdopodobnie stara kobieta również często tu przesiadywała, kiedy robiło się jej za ciasno i samotnie w mieszkaniu. Przed kilkoma minutami rozmawiał przez telefon z Renate Hübner. Doktor Fuchs i jego zespół pracowali pod dużą presją nad analizą próbki DNA, którą doręczono im przed niecałą godziną w ramach usługi Same Day Express.

Czysto teoretycznie analiza porównawcza haplotypu DNA mogła oczywiście być negatywna, ale Abel nie obawiał się niespodzianki. Brak zgodności próbek obcego DNA, które znaleziono w obu miejscach zbrodni, byłby mniej prawdopodobny niż przypadek, że jeden gracz w lotto w dwóch kolejnych tygodniach wytypuje po sześć właściwych liczb.

*Bo inaczej dwaj różni sprawcy w dwóch różnych europejskich stolicach musieliby w ciągu pięciu dni niezależnie od siebie wpaść na pomysł, żeby zamordować i opatrzyć zwłoki takim samym napisem, a przy okazji popełnić taki sam błąd gramatyczny. Nawet teoretyk chaosu, pomyślał Abel, nie dałby szansy takiemu scenariuszowi. Ale już założenie, że seryjny morderca podróżował po Europie i za każdym razem zabijał swoje ofiary blisko lotniska w ten sam osobliwy sposób i pośmiertnie dokonywał na nich czynności, których kontekstu nie można było zrozumieć, wywoływało ciarki. Zwłaszcza że morderca co prawda swoje ofiary okradał, ale zabierał tylko średniej wartości biżuterię oraz niewielkie sumy pieniędzy – dokładnie tyle, żeby kupić następny bilet lotniczy.*

Ale była to tylko robocza hipoteza, na której Abel musiał budować kolejne wnioski, gdyby z analizy laboratoryjnej wyszło, że haplotyp obu sprawców jest identyczny.

Nawet jeśli sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, nadal nie był w stu procentach przekonany o niewinności Larsa Moewiga. Nagranie z hotelowej kamery, które pokazywało Moewiga przed i po forsownym marszu w stronę West Drayton, nie dawało mu spokoju. Dlatego postanowił osobiście obejrzeć okolicę miejsca popełnienia zbrodni. W tym lejącym się z nieba żarze było to wywołującą poty torturą, zwłaszcza że cały czas ciągnął za sobą na turkoczających kółkach walizkę.

Wcześniej we włoskiej restauracyjce zjadł z Milroyem coś, co według karty nazywało się „penne arrabiata”. Rzekomy sos pomidorowy do złudzenia jednak przypominał w smaku keczup firmy Heinz.

Podczas całego posiłku Charles Milroy sprawiał wrażenie nerwowego i rozkojarzonego. Mimo południowego upału uparł się, żeby usiąść w nieprzekonującym cieniu parasola w restauracyjnym ogródku i już po chwili Abel zrozumiał, jaka musiała być tego przyczyna. Milroy ustawicznie spoglądał w dół i w górę ulicy, aż w końcu na jego twarzy pojawił się nieco zakłopotany uśmiech.

Przy krawężniku zatrzymała się taksówka, z której wysiadła krępa młoda kobieta z rudymi jak u lisa

włosami i milionem piegów na twarzy. Esther Swansea, któżby inny.

Abel zniósł jakoś ceremonię wzajemnej prezentacji i dał znak taksówkarzowi, żeby na niego zaczekał. Pilnował się, aby się nie śmiać z zakochanego Charlesa Milroya, zamiast tego serdecznie podziękował koledze i zostawił oboje romantycznych grabarzy samych.

Pojechał taksówką do Heathrow i wysiadł przed hotelem Ibis, w którym mieszkał przez weekend Moewig. Całą drogę do West Drayton przeszedł pieszo, ciągnąc za sobą turkoczącą walizkę, a teraz siedział tu, na ławce, na której, być może, siedział również morderca Emily Goldsmith i obserwował swoje kolejne miejsce przestępstwa.

Psychopatyczny seryjny morderca, którego haplotyp przypadkiem zgadzał się z haplotypem Larsa Moewiga? A może jednak sam Moewig?

Pot spływał Ablowi z czoła i po plecach. Aby przejść trzy i pół kilometra z hotelu do tego miejsca, potrzebował niecałych czterdziestu minut. Biorąc pod uwagę, że droga powrotna zajęłaby tyle samo czasu, Moewig faktycznie miał ponad półtorej godziny, aby cokolwiek zrobić w West Drayton albo w okolicy. Zabić Emily Goldsmith, okraść ją, umieścić napis na jej zwłokach – albo po prostu zrobić sobie jogging po okolicznych lasach, aby „oczyścić umysł”, co jak sam zeznał, zrobił.

Ale Abel wiedział to wszystko już wcześniej. Na koniec dokonał jeszcze oględzin domu seniora, ale to też nie posunęło go ani o krok dalej.

Wpatrywał się w trzymany w ręce smartfon. Bez wątplenia doktor Fuchs prześle mejlem wynik analizy haplotypowej w ciągu następnego kwadransu. Kolega z laboratorium pochodził ze starej pruskiej oficerskiej rodziny i jego niezawodność wprost obrosła legendą.

Ale dopóki kiler nie uderzy następnym razem, Abel miał nikłą szansę, aby go schwytać. *Miles & More Killer*, przeszło mu przez myśl.

Być może sprawca był sfrustrowanym menedżerem w korporacji, który latał od jednej filii przedsiębiorstwa do drugiej i uprzyjemniał sobie czas między kolejnymi lotami popełnianiem dziwacznych zabójstw. Gdzie wyszuka następną ofiarę? W Paryżu, Madrycie, Amsterdamie?

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Czwartek 9 lipca godz. 16.50**

Największe kryzysy Lilly miewała późno w nocy, było tak już od tygodni. W jakiś sposób śmierć w ciemności wydawała się bliższa i potężniejsza niż w świetle dziennym. Lilly walczyła ze śmiercią do brzasku i dopiero kiedy weszło słońce, śmierć wycofywała się poza granice cienia. Wtedy dziewczynka wreszcie zapadała w sen, straszny charkot stawał się cichszy oraz mniej spazmatyczny i znajdowała kilka godzin odpoczynku.

Jednak jej sen coraz bardziej przypominał utratę przytomności. Marie coraz mniej wierzyła, że Lars zdąży na czas, aby objąć Lilly, gdy śmierć nie da się dłużej zwodzić.

Ostatnia noc była jeszcze gorsza niż poprzednie. *Fred ma dobre chęci*, powtarzała sobie Marie za każdym razem, kiedy czekała na następny charczący oddech córki. *Robi, co tylko może, ale nie ma szansy. I wygląda na to, że nie zdąży na czas.*

Przed chwilą zadzwoniła do aresztu śledczego w Moabicie i zapytała, kiedy będzie mogła odwiedzić Larsa Moewiga. Ich córka umiera w szpitalu, a ostatnim życzeniem Lilly jest, aby jeszcze raz zobaczyć ojca. Odpowiedź funkcjonariusza więziennego na drugim końcu linii dosłownie dobiła Marie:

– Pan Moewig przebywa obecnie w areszcie i będzie mógł zostać przewieziony do miejsca poza murami więzienia najwcześniej za trzy tygodnie.

– Za trzy tygodnie Lilly nie będzie już żyła – powiedziała Marie słabym głosem, którego sama się wystraszyła.

– Naprawdę, szczerze współczuję. – W głosie funkcjonariusza niespodziewanie zabrzmiało takie współczucie, że Marie ścisnęło w gardle. I bez słowa się rozłączyła.

A więc postanowione. Sama musi coś zrobić, przysięgła to sobie, wracając do sali, w której leżała Lilly. Musi to być coś spektakularnego, żeby więzienne i sądownicze władze nie miały wyboru i musiały od razu wypuścić Larsa z więzienia. Ale co? Nie była rebeliantką, nigdy specjalnie przeciwko czemuś nie protestowała. *Zawsze moją specjalnością było godzić się z losem i cierpieć w milczeniu.*

Ale, jak dotąd, przysparzało jej to tylko jeszcze więcej zmartwień, a w obecnej sytuacji jej specjalność była najbardziej nieprzydatnym lekiem ze wszystkich.

Musi się postarać, żeby jej historia została nagłośniona w mediach. Musi nakłonić ludzi do protestów, aby odpowiedzialne organy nie miały innego wyjścia, jak tylko przywieźć tu Larsa na sygnale i z włączonym kogutem – obojętne, czy jest w areszcie, czy nie.

*Ale, na miłość boską, jak mam to zrobić?*

Cały dzień, niemal bez przerwy, o tym myślała.

– Co się dzieje, mamo? – zapytała Lilly słabym głosem. – Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Obudziła się, a Marie nawet tego nie zauważyła, tak bardzo była pogrążona w myślach. Oczy Lilly płonęły, jakby miała gorączkę, a jednocześnie jej czoło było nienaturalnie zimne.

– Zastanawiałam się, kochanie – powiedziała Marie. Zmusiła się do uśmiechu. – I myślę, że teraz już wiem, co muszę zrobić.

**West Drayton pod Londynem**  
**Czwartek 9 lipca godz. 16.57 czasu miejscowego**

**K**iedy blackberry zawibrował w dłoni Abła, było trzy minuty przed piątą.

Nadawca: Henry.Fuchs@fuk-przypadki.nadzwyczajne.de

Temat: Analiza haplotypowa w sprawie E.G.

Kliknął w zaszyfrowany mejl i przeczytał:

Zgodność haplotypu: 100 procent.

Poczuł w żołądku nerwowe napięcie, jakby przeszył go prąd.

Na podstawie danych stwierdza się, że w obu morderstwach jednoznacznie chodzi o tego samego sprawcę.

Po tym nagłówku doktor Fuchs przedstawił wyniki analizy laboratoryjnej w długiej tabeli. Ale w tej chwili Abel nie był tym zainteresowany. Ważna była opinia, na którą czekał. Charakter pisma sprawcy był w obu przypadkach taki sam, logiczne więc, że w obu miejscach zostawił takie same ślady DNA. Jednak Abel wciąż nie pozbył się wątpliwości. Zarówno w Berlinie, jak i w Londynie Moewig przebywał w bezpośrednim pobliżu miejsca zbrodni, i tu, i tam nie miał na ten czas alibi.

*Być może Markwitz ma rację? Może za bardzo zagalopowałem się w tej sprawie?* – zastanawiał się Abel.

Z drugiej strony wciąż obowiązywała zasada, że samo ustalenie haplotypu nie mogło posłużyć do identyfikacji sprawcy, lecz tylko do określenia „genetycznego herbu rodzinnego męskiej linii krewnych”, jak obrazowo opisał to Markwitz. Morderca Emily Goldsmith oraz Iriny Pietrowej był ciemnoskórym mężczyzną w średnim wieku, a jego przodkowie pochodzili z Afryki – wszystko to pasowało do Larsa Moewiga, ale tak samo do kilkuset albo nawet kilku tysięcy innych mężczyzn z tym samym układem chromosomów.

Czyli musiał istnieć drugi mężczyzna z takim samym haplotypem jak Moewig, który tak samo jak on przebywał w poniedziałek w West Drayton, a w ubiegły czwartek w Tegel. Z tą tylko różnicą, że to ten drugi zamordował obie kobiety, podczas gdy Moewig tylko przypadkiem znajdował się w pobliżu.

*Jakie jest prawdopodobieństwo, żeby ktoś miał takiego pecha?* – zastanawiał się Abel. *Żeby w ciągu pięciu dni dwukrotnie znaleźć się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu?*

A jeśli nawet istniał ten tajemniczy trzeci, jak w tak krótkim czasie wpaść na jego ślad? Jak wygrać wyścig z czasem, jeśli nie zna się celu i kierunku? Być może „Miles & More Killer”, jak w duchu nazywał go Abel, chwilowo zaspokoił swoją morderczą żądzę i zaatakuje następnym razem, gdy Lilly już dawno będzie martwa.



W środku tych posepnych rozmyślań odezwał się wesołym dźwiękiem fanfar jego smartfon. Nacisnął zielony symbol słuchawki.

– Halo, Freddy – powiedziała Lisa – nie uwierzysz własnym uszom. Posłuchaj... *krrr, krrr, krrr...* mało czasu.

Połączenie było fatalne. Na domiar wszystkiego Lisa mówiła tak cicho i pośpiesznie, że Abel musiał wyęźać całą uwagę, aby wyłapać najważniejsze punkty.

– Właśnie miałam spotkanie z... *krrr, krrr, krrr...* europejskiej prokuratury. Przypadkiem usłyszałam przed chwilą jak jeden z kolegów... *krrr, krrr krrr...* wspomniał... Zabójstwo na tle rabunkowym emerytki, miejsce przestępstwa w pobliżu lotniska, napis na zwłokach ofiary... *krrr, krrr, krrr...* wzór mógłby ci... *krrr, krrr, krrr...* przedwczoraj w Ba...i ... *krrr, krrr, krrr...*

Połączenie było coraz gorsze, a Lisa mówiła coraz ciszej i szybciej.

– Powiedziałaś Bali? – zapytał Abel. – Halo, Lisa, jesteś tam jeszcze? Co europejska prokuratura ma wspólnego z Bali?

Lisa odparła coś, czego Abel nie mógł zrozumieć. Ale nie próbował dopytać, ponieważ i tak by go nie usłyszała. Przez kilka chwil było słyhać tylko gwar. Krzesła szurały po podłodze, w końcu zabrzmiał dzwonek.

– Fred? – zgłosiła się ponownie Lisa. Nagle połączenie było krystalicznie czyste. – Muszę kończyć, spotkanie się zaczyna. Ale i tak nie wiem nic więcej. Jakiś twój kolega z Bari z pewnością może powiedzieć ci więcej.

*Czyli Bari, we Włoszech, pomyślał Abel. A nie Bali w południowej Azji.*

– Czy nie powtarzasz zawsze, że wy, lekarze sądowi, stanowicie sprzysiężone bractwo? – Lisa zaśmiała się dźwięcznie i naraz ogarnął Abła przyпіływ czułości.

Ale zanim zdążył jej podziękować, rozłączyła się.

**Londyn-Heathrow  
Hotel Ibis**

**Czwartek 9 lipca godz. 18.33 czasu miejscowego**

W West Drayton zdobycie taksówki nawet w ciągu dnia okazało się trudne. Po bezskutecznych próbach Ablowi udało się w końcu zatrzymać samochód z tabliczką „Taxi” na dachu. Dopiero kiedy usiadł na tylnym siedzeniu, uświadomił sobie, że to van nissan.

– Proszę do hotelu Ibis przy Heathrow.

Kierowca był Koreańczykiem albo Wietnamczykiem, Abel nie był pewny. Przyjazna twarz ze zmarszczkami od śmiechu wokół skośnych oczu obserwowała go we wstecznym lusterku.

– Turysta?

– Nie całkiem – powiedział Abel i ponownie wyjął smartfon.

Lekarze sądowi faktycznie tworzą coś w rodzaju światowego zakonu. Profesor Faßbender, który obudził w Ablu entuzjazm do medycyny sądowej, porównał nawet ich cech do tajnej organizacji, przypominającej wolnomularzy sprzed wieków. Była to mocna przesada, ale trafiała w sedno.

Mimo oczywistej konkurencji na polu naukowym członkowie bractwa lekarzy sądowych trzymali się razem. Rozmawiali ze sobą i pomagali ponad wszystkimi granicami. Abel też utrzymywał dobre kontakty z wieloma kolegami w Europie, Ameryce i Australii, a z niektórymi nawet ściśle przyjacielskie związki. I rzeczywiście znał lekarza sądowego z Bari, z którym w ubiegłym roku współpracował nad pewnym projektem badawczym Unii Europejskiej.

Kolega ten, włoski *dottore* o dźwięcznym nazwisku Biagio Solarino, nie był pierwszym lepszym włoskim lekarzem sądowym, lecz numerem jeden na swoim terenie na południe od Rzymu. Ale przede wszystkim był ekscentrykiem obdarzonym wisielczym humorem i tak osobliwymi przyzwyczajeniami, że nawet wśród lekarzy sądowych uchodził za dziwaka. A to już coś znaczyło.

Abel zadzwonił najpierw do instytutu na Starym Mieście w Bari, gdzie pracował Solarino, ale zgodnie z oczekiwaniem nikt już nie odbierał tam telefonu. Potem spróbował połączyć się z komórką Solarina i tym razem zgłosiła się przynajmniej skrzynka głosowa.

„Tu numer *dottore* Solarina – powiedział kolega metalicznym głosem po włosku, a potem po angielsku.

– Jeśli potrzebujesz moich usług, najprawdopodobniej albo nie żyjesz, albo jesteś w żałobie. A więc co mogę dla ciebie zrobić?”

Abel przez chwilę zastanawiał się, czy powinien zostawić wiadomość, ale nie zdecydował się na to. Spróbuje później jeszcze raz. W końcu jego misja nie miała oficjalnego charakteru.

Zameldował się w hotelu Ibis, wziął prysznic i przebrał się. Na koniec w beznadziejnie zatłoczonej restauracji stoczył morderczą walkę ze stekiem, który jeszcze niedawno musiał być podeszwą buta. Potem siedział przez chwilę w hotelowym lobby, pomiędzy rozbawionymi turystami w przeddzień urlopu a przygnębionym przedstawicielem handlowym, na którego twarzy był wypisany zastój w interesach. Co dziesięć minut próbował dodzwonić się do Solarina i około ósmej wreszcie go złapał.

– Alfredo! – zawołał Włoch, kiedy Abel się przedstawił. – To telepatia, właśnie o tobie myślałem!

Posługiwał się eleganckim angielskim, chociaż z silnym akcentem. Jak się okazało, Solarino całkiem niedawno przeczytał w „Forensic Science, Medicine & Pathology” fachowy artykuł Abła pod tytułem *Różnicowanie żywych i martwych płodów za pomocą pośmiertnej wielowarstwowej tomografii komputerowej w badaniu śmiertelności noworodków*. Nawet bez powoływania się na nadprzyrodzone moce można było zrozumieć, że pomyślał o Ablu. Ale okultyzm we wszystkich odmianach, od spirytualizmu aż po wywoływanie duchów zmarłych, był konikiem Solarina.

– Czemu zawdzięczam ten honor, że do mnie dzwonisz? – zapytał Solarino. – Nie, nic nie mów, Alfredo! Już od południa czuję, że chcesz przyjechać do Bari, aby razem ze mną odbyć podróż do zmarłych.

Z wcześniejszych rozmów Abel wiedział, że Solarino uważa za możliwe, że duch żyjącego człowieka może opuścić cielesną powłokę i przenieść się do świata zmarłych. Co prawda ta wątpliwa sztuka jeszcze nigdy się Solarinowi nie udała, ale niezmordowanie próbował dalej. Jego zdaniem „medycyna sądowa przeszłaby rewolucję”, gdyby można było dowiedzieć się z pierwszej ręki, czyli od zmarłych, jak umarli.

Solarino potrafił godzinami rozprawiać o duchach przodków i wierze w demony w przekazach przedchrześcijańskich. Ponieważ opowiadał o tym wszystkim z chytrym uśmiechem, Abel nigdy nie mógł się połapać, jak poważnie traktuje swoje okultystyczne spekulacje. Całkiem poważnie podejrzewał nawet, że Włoch sam nie do końca to wiedział.

– Innym razem – odparł. – Czy to prawda, że przedwczoraj zamordowano u was starą kobietę? Przez uduszenie, zakładam. I sprawca nabazgrał na zwłokach ofiary pewne hasło. Czy coś ci to mówi, Biagio?

Solarino aż gwizdnął.

– Zawsze wiedziałem, że masz talent jasnowidza. Jeszcze nie skończyłem ekspertyzy zwłok Teresy Lamberti, Boże, pobłogosław jej duszę, a ty znasz już wszystkie szczegóły! Szacunek, mój duchowy bracie!

– Duchowy jak najbardziej – powiedział wymijająco Abel – ale proszę, oszczędź mi swoich duchów. Dowiedziałem się o sprawie wewnętrznymi kanałami tylko przypadkiem. I w tej chwili mam do ciebie tylko jedną prośbę: czy możesz potwierdzić, że stara kobieta definitywnie została zamordowana przedwczoraj, czyli siódmego lipca w Bari?

– Zamordowana, a po śmierci ktoś coś na niej napisał jej szminką. Czas zgonu siódmy lipca między godziną czternastą a szesnastą. Plus minus godzina, no wiesz.

*Wspaniale*, pomyślał Abel.

Oczywiście było w najwyższym stopniu niepokojące, że sprawca tak szybko uderzył kolejny raz – po raz trzeci w ciągu sześciu dni, zaledwie dzień po zamordowaniu Emily Goldsmith na drugim końcu Europy. Abel nie miał już żadnych wątpliwości, że chodzi o seryjnego mordercę. Ale dla Larsa Moewiga była to wyśmienita nowina. Ponieważ w czasie, kiedy sprawca dokonał zabójstwa w Bari, Moewig przebywał za kratkami. A więc definitywnie nie mógł być kilerem.

– A sprawca? – dopytywał się Abel. – Mam nadzieję, że go złapaliście?

– Niestety, nie – odparł Solarino. – Jak do tej pory totalna porażka. Żadnych odcisków palców, brak DNA. Jedyńm świadkiem, jeśli chcesz go tak nazwać, jest osiemdziesięcioletni sąsiad ofiary. Twierdzi, że widział przed drzwiami domu „czarnego sztangistę”, jak się wyraził.

– Czyli nie ma sprawcy, tylko mglisty rysopis, żadnego naprawdę przydatnego śladu – podsumował Abel.

Dokładnie tego się obawiał. Zadzwoiłby jeszcze dzisiaj do Marie Lindweg, aby poinformować ją o najnowszych ustaleniach, jednak wcale nie miał dla niej wyłącznie dobrych wiadomości.

Gdyby na podstawie poszlak ustalono, że Moewig nie może być poszukiwanym seryjnym mordercą, zostałby zwolniony z aresztu śledczego. Ale to mogło potrwać. Abel doświadczył już tego w wielu

sprawach, w których śledztwa toczyły się na terytoriach różnych państw. Zanim więzienne bramy mogły otworzyć się przed Moewigiem, władze wymiaru sprawiedliwości w Niemczech, w Wielkiej Brytanii i we Włoszech musiałyby za pośrednictwem Europolu wymienić się wynikami śledztw. W tym celu tłumacze przysięgli musieliby przetłumaczyć protokoły i ekspertyzy na języki zaangażowanych krajów. Gdyby przydzielony do sprawy sędzia pozostał niewzruszony, Moewig musiałby najpierw odsiedzieć do końca dyscyplinarną karę aresztu, zanim zostałby wypuszczony na wolność. Pokonanie wszystkich eurokratycznych przeszkód zajęłoby tygodnie. I Lilly już dawno by umarła.

*Mamy tylko jedną szansę, pomyślał Abel, jeśli natychmiast wytropię sprawcę i wydobędę od niego przekonywające przyznanie się do winy. Ale nawet wtedy musiałbym uruchomić wszystkie moje kontakty, żeby Moewig wyszedł na wolność bez biurokratycznej zwłoki.*

Widział przed sobą Marie Lindweg, jej twarz jakby zastygła w bólu i rozpacz, i ogarnęło go nieprzyjemne uczucie.

– *Commissario* Umberto cały czas łamie sobie głowę nad tym napisem – powiedział Solarino. – Brzmi on, poczekaj...

– „Respectez Asia”.

– No nie, ty naprawdę masz dar jasnowidzenia, Alfredo.

– Dziękuję – rzucił sucho Abel. – Jeśli moja kariera lekarza sądowego się zatrzyma, zawsze będę mógł przekwalifikować się na wróżbitę.

– Absolutnie – potwierdził Solarino. – Eksperci od pisma zwariowali ze szczęścia, kiedy dostali do obejrzenia te obłędne bazgroły. Zdaniem professore Bonfiniego, szefa naszych grafologów, sprawca musiał znajdować się w „stanie skrajnego podniecenia”, gdy pisał hasło na ciele zabitej. Tak bardzo się trząsł, że pismo przypomina EKG biegnące na sto metrów. Jednocześnie tak mocno przyciskał szminkę, jakby pracował nad jej brzuchem nożem.

Abel nabrał głęboko powietrza.

*Dokładnie to samo powiedział Jankowski, pomyślał. Wykonując ten napis, sprawca powstrzymuje się przed dużo bardziej niszczycielskim działaniem. Stąd to spazmatyczne drżenie: jest tak podniecony, ponieważ za chwilę zrobi to, co da mu maksymalnego kopa. Potnie na strzępy ciało albo zrobi to, co mu się roi w jego obłąkanym świecie. Ale dlaczego się przed tym powstrzymuje? Ponieważ przeżył coś, co go tak totalnie rozwściecza, że staje się niebezpieczny dla samego siebie?*

– Jak wygląda miejsce zbrodni? – zapytał Solarino. – Czy sprawca coś ukradł?

– Wszystko przewrócił do góry nogami i zdemolował – odpowiedział Włoch. – Powinieneś zobaczyć to na własne oczy. Mieszkanie nieszczęsnej signory Lamberti, oby jej przodkowie przywitali ją radośnie na tamtym świecie, wygląda jak pole bitwy. Sprawca pociął na strzępy sporo ubrań i zdjęć i na koniec zabrał tylko kilka sztuk raczej bezwartościowej biżuterii oraz gotówkę z jej torebki. Psychopata, jeśli chcesz znać moje zdanie, który jeszcze po śmierci narobi dużo kłopotów w świecie zmarłych.

– Jeśli o mnie chodzi, nie miałbym nic przeciwko temu – powiedział Abel. – Im prędzej, tym lepiej.

– To zbyt krótkowzroczne, Alfredo – zganił go Solarino. – Moim zdaniem śmierć jest tak traumatycznym doświadczeniem, że w następnym życiu wszyscy będziemy potrzebowali terapii, aby do pewnego stopnia się z tego wykurować.

Abel bez słowa pokręcił tylko głową. Włoch zdawał się wyczuwać, że jego partner w rozmowie nie jest zainteresowany dalszymi dygresjami na temat świata duchów i na szczęście wziął się garść.

– Ale w jednym punkcie się mylisz – ciągnął. – Ofiara nie została uduszona, lecz zabito ją, uderzając tępym przedmiotem.

– Uderzając? – powtórzył Abel zaskoczony. – Mówisz serio, Biagio?

– Czy Sycylia jest wyspą?

Abel był skonsternowany. Seryjni mordercy niemal zawsze postępowali zgodnie z mottem „Nigdy nie zmieniaj tego, co działa”. Jeśli ich modus operandi się sprawdzał, zazwyczaj go nie zmieniali.

– Na szyi ofiary nie było śladów duszenia? – upewnił się.

Solarino zaśmiał się ochryple.

– Ależ były, i to ile tylko chcesz. Ale ofiara miała szyję jak buldożyca. Krótką i grubą. Po prostu sprawcy nie udało się odciąć dopływu powietrza. Więc wziął świecznik z kutego żelaza i wykończył biedną signorę Lamberti, oby jej dusza szybko znalazła się w raju. Jednym ciosem, ale tak silnym, że dosłownie zgruchotał jej czaszkę.

*To też przemawia za tym, że popełniając swoje zbrodnie, do tej pory sprawca uwalniał zaledwie ułamek swojej agresji, pomyślał Abel. Prawdopodobnie z doświadczenia wie, że jest bombą, która zniszczyłaby wszystko – nie wyłączając jego samego – gdyby tylko uruchomił zapalnik.*

Na krótką chwilę przyszedł mu na myśl „wrywacz serc”. Przejechał dłonią po twarzy, aby odpędzić wspomnienie.

– Jeśli się dobrze zastanowić – ciągnął Solarino – signora Lamberti w ogóle miała w sobie dużo z buldożycy. Prawdopodobnie była nią w poprzednim życiu.

Abel jeszcze raz głęboko odetchnął. Solarino miał ogromną szansę zostać królem dziwaków, gdyby na którymś z międzynarodowych kongresów lekarzy sądowych zorganizowano taki konkurs.

– Tysiąckrotne dzięki, Biagio. Bardzo mi pomogłeś – powiedział Abel. – I przygotuj się na to, że jutro przyjadę do ciebie do Bari.

– Już się na to przygotowałem. Zanim jeszcze zadzwoniłeś – odparł z godnością Solarino.

**Londyn-Heathrow  
Hotel Ibis****Czwartek 9 lipca godz. 20.27 czasu miejscowego**

Przed wieczorem trochę się ochłodziło, za to zrobiło się morderczo duszno. Na niebie nad Heathrow kłębiły się ciemne chmury, a nastrój Abła też stawał się coraz bardziej ponury.

Klimatyzacja w jego pokoju piekielnie hałasowała, a poza tym była całkowicie nieskuteczna. Abel poskarżył się w recepcji i zapewniono go, że jutro przyślą technika.

– Przynajmniej następny gość coś na tym skorzysta – odparł. Jego samolot do Bari, z międzylądowaniem w Mediolanie, startował rano, za pięć wpół do ósmej.

Abel otworzył małą butelkę grauburgundera z minibaru i usiadł wygodnie na fotelu przy otwartym oknie. Na zewnątrz nie było bardziej gorąco niż w środku, ale widoczne z niewielkiej odległości startujące i lądujące samoloty stwarzały wrażenie lekkiego ruchu powietrza.

Na liście telefonów do wykonania znajdowali się profiler Jankowski, siostra Marlene oraz Marie Lindweg. Rozmowy z Marlene i matką Lilly nie będą przyjemne z różnych powodów, jak przewidywał Abel, chociaż nie przypisywał sobie wróżbiarskich zdolności. Ale nie tylko dlatego przełożył obie rozmowy na później. Pilniej niż wszystko inne potrzebował teraz rady Jankowskiego.

Profesjonalnie sporządzony profil sprawcy pozwalał prognozować nie tylko wiek, płeć i wygląd sprawcy, lecz również jego inteligencję, świat uczuć i kompetencje społeczne. A nawet na podstawie konkretnych przesłanek ustalić jego sytuację życiową, zawód oraz sposób spędzania wolnego czasu.

Abel zadzwonił do Jankowskiego na telefon komórkowy i odetchnął z ulgą, kiedy profiler zgłosił się po drugim sygnale.

– Halo, Timo, tu Fred Abel. Masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze. W każdym razie kilka minut – zastrzegł. – Podpalacz wciąż daje mi nieźle popalić.

– Dzięki. Postaram się jak najbardziej streścić – powiedział Abel z cieniem poczucia winy. – Chodzi o zabójcę, który zabił stare kobiety i napisał na ich ciałach hasło. Drań zaatakował trzeci raz. Potrzebny mi jak najszybciej profil „Miles & More Killera”, jak go tymczasowo nazywam. Wydaje się rasowym maniakiem latania. Miejsca popełnienia zbrodni zawsze znajdują się blisko lotniska.

– „Miles & More Killer”, dobre określenie – zauważył Jankowski. – Co jeszcze o nim wiesz?

Kiedy Abel opowiedział mu o wszystkim, co dotąd ustalił Markwitz oraz on sam, Jankowski milczał przez jakieś pół minuty.

Z fotela przy oknie Abel obserwował, jak jumbo jet podchodzi do lądowania, i wydawało się, że dokładnie na jego kursie zatrzymał się startujący airbus, ale jednak minęły się w dużej odległości. Mógł tylko mieć nadzieję, że z nim i zabójcą nie będzie tak samo.

– Twój sprawca traci nad sobą kontrolę – odezwał się w końcu Jankowski. Sądząc po głosie, był poważny i bardzo skoncentrowany. – Zawsze uderza w krótkich odstępach czasu. Najwidoczniej jest

chaotycznym, zdezorganizowanym typem przestępcy. Jeśli natkniesz się na niego, powinieneś piekielnie uważać, Fred.

– Taki mam zamiar. Jeśli się na niego natknę, bo na razie tylko depczę mu po piętach. Koniecznie muszę zdobyć więcej informacji, czy ma nierówno pod sufitem, co skłania go do działania, jak wybiera ofiary i miejsca zbrodni. Tylko tak będę mógł się do niego zbliżyć, żeby go złapać.

Jankowski znów zamilkł i Abel pilnował się, aby nie przeszkodzić mu w myśleniu. Dyskretne pikanie w telefonie sygnalizowało, że inny dzwoniący czeka na linii. Kiedy jednak spojrzął na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto się do niego dobija, zobaczył tylko napis: „Numer nieznany”, odrzucił więc połączenie.

– Prawdopodobnie słyszałeś już o *geographical profiling* – ponownie odezwał się Jankowski. – Jest to stosunkowo nowa dziedzina naszej nauki. Profile geograficzne bazują na analizie empirycznych faktów dotyczących zachowania sprawcy, zresztą nie tylko ludzi, lecz również innych stworzeń, na przykład szukających pożywienia trzmieli.

Trzmieli? – pomyślał Abel. Wydało mu się dziwne, że zachowanie psychopatycznego seryjnego mordercy można porównać do szukających pożywienia niegroźnych owadów. W przypadku kogoś innego nie ukrywałby swojego sceptycyzmu, ale ponieważ porównanie padło z ust Jankowskiego, Abel potraktował je poważnie.

– Trzmielę zawsze szukają pożywienia dość blisko własnego gniazda – ciągnął dalej profiler. – Zataczają w locie koncentryczne kręgi wokół swojego domostwa i rozszerzają kręgi tak długo, aż coś znajdą. Pomijają tylko bezpośrednią bliskość gniazda, aby nie zwabić wrogów. Tak samo postępuje wielu seryjnych przestępców i twój kiler w zasadzie zachowuje się tak samo, z tą tylko różnicą, że najwidoczniej jest rodzajem koczownika. Dlatego wyszukuje ofiary w okolicy lotniska, na którym właśnie wylądował. Mimo to działa, jakby był genetycznie zaprogramowany, jak my wszyscy.

Abel zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Okej, coś mi świta. Ale mimo to nie postrzegam go jako trzmiela. Raczej jako bardzo niebezpieczne drapieżne zwierzę.

Znów rozległ się odgłos pikania w jego telefonie. I znów był to anonimowy numer, i jak poprzednio Abel odrzucił połączenie. *Prawdopodobnie to Marie Lindweg, pomyślał, która z jakiegoś powodu wyłączyła prezentację numeru.*

Ogarnęło go złe przeczucie. Do czego matka Lilly może się posunąć, jeśli dojdzie do przekonania, że Abel nie zdoła dotrzymać obietnicy? Ale do tego nie może dojść i nie dojdzie. Właśnie dlatego prosił teraz o pomoc Jankowskiego.

– Jeśli nie pasuje ci porównanie z trzmielami, to pomyśl o rekinach – zaproponował Jankowski. – Z perspektywy profilera geograficznego rekiny zachowują się tak samo jak trzmielę. Krążą wokół punktu wyjściowego i coraz bardziej zwiększają kręgi, aż natrafią na odpowiednią zdobycz.

– Już prędzej postrzegam go jako rekina. Jak się wydaje, dopiero teraz zaczęło się dla niego wielkie żarcie, trzy morderstwa w ciągu kilku dni. Ale postarajmy się być bardziej konkretni: Jak mogę ustalić, gdzie uderzy następnym razem?

– My, profilerzy, też potrafimy przewidywać przyszłość tylko w bardzo ograniczonym zakresie – odparł Jankowski. – A w przypadku tak zdezorganizowanego typu sprawcy wyjątkowo trudno prognozować jego zachowanie. Często działa impulsywnie, a więc bez planu, albo niweczy swój plan. Jego modus operandi też może się zmieniać, jeśli sytuacja tego wymaga, tak jak to zrobił w Bari. Swoje obie pierwsze ofiary udusił, a gdy przy trzecim zabójstwie taki rodzaj śmierci napotkał trudności, zatłukł ofiarę świecznikiem. Ale zupełnie inaczej wygląda sytuacja z jego podpisem, z charakterem pisma sprawcy.

Jankowski zrobił przerwę i Abel wypił łyk grauburgundera. Już po krótkim czasie wino zrobiło się za ciepłe i miało obrzydliwy smak.

– Jeśli mówimy o charakterze pisma sprawcy – kontynuował Jankowski – zazwyczaj mówi się o nim w

znaczeniu przenośnym. Ale w tym przypadku można traktować to określenie dosłownie. Swoim odręcznym pismem sprawca dużo nam zdradza o swojej osobowości, obojętne, czy robi to celowo, czy nie. Mówi o potwornej potrzebie, która zmusza go do popełniania swoich czynów w taki sposób. Każdy sprawca ma, podobnie jak wszyscy ludzie, bardzo osobiste potrzeby. I ich ślady można znaleźć, jeśli jest się na nie odpowiednio wyczulonym, nie tylko na miejscu zbrodni, lecz również na ciele jego ofiary.

– A co czyny naszego seryjnego mordercy mówią ci o jego osobowości?

– Na to pytanie może odpowiedzieć wyłącznie miejscowy śledczy, który prowadzi dochodzenie – tłumaczył Jankowski – czyli ty sam, Fred. Stąd mogę tylko próbować cię prowadzić. Podpis sprawcy nabiera sensu dopiero w zestawieniu z wszystkimi śladami. Obejrzyj dokładnie miejsce zbrodni w Bari. Minuta po minucie zrekonstruuj przebieg przestępstwa. Cały czas zadawaj sobie pytanie, co dokładnie robił sprawca z rzeczy, które nie były konieczne do dokonania zbrodni ani do jej zatuszowania. Te elementy postępowania są częściami puzzli, z których składa się jego podpis, a więc klucz do jego osobowości. W tym konkretnym przypadku na pewno zalicza się do tego hasło, które wypisuje na nagiej skórze ofiary, oraz oczywiście ekstremalne drżenie i agresywny sposób, w jaki obchodzi się ze szminką. Do sygnatury może również należeć na przykład to, że sprawca „powtórnie zabija” ofiarę, czyli dźga albo bije, chociaż ta niewątpliwie jest już martwa.

Ale zrozumienie klucza do tego wyjaśnienia przychodziło Ablowi z dużym trudem. Niebo dudniło potężnymi uderzeniami piorunów. Błyskawice rozdzierały czarną pokrywę chmur, co prawda jeszcze daleko stąd, ale już teraz grzmoty brzmiały jak zapowiedź średniej wielkości końca świata.

Jednocześnie coś ciężkiego uderzyło Abła w rękę. Zaskoczony pomyślał w pierwszej chwili, że to oberwanie chmury i zaczęły padać krople deszczu wielkości piłek golfowych. Ale kiedy spojrzał na rękaw koszuli, zobaczył tylko plamę błota.

– Timo, muszę kończyć! – krzyknął do komórki, przekrzykując huk grzmotów. – Wielkie dzięki, jeszcze się do ciebie zgłoszę!

Nie czekając na odpowiedź, zakończył rozmowę i schował telefon. Jednocześnie rozglądał się badawczo. Jego wzrok padł na wykładzinę obok fotela i nie chciał wierzyć własnym oczom. Najwidoczniej ktoś wrzucił przez otwarte okno grudę błota, która na skutek uderzenia rozpadła się na tysiąc drobnych kawałków.

Abel błyskawicznie zsunął się z fotela i ukrył pod oknem. Do pokoju wlatywały następne grudy, bardziej kamieni niż błota, i mocno uderzały o ścianę. *Prawdopodobnie to tylko jakiś gówniarski wybryk, przeszło mu przez głowę. Ale nie chciał ryzykować.*

Jego pokój znajdował się na pierwszym piętrze i okna wychodziły na tyły hotelu. Było tam małe podwórze, a wokół same nieużytki.

Wyglądało na to, że gruda błota trzymała się dzięki kartce papieru, w którą ktoś ją owinął. Abel podniósł z podłogi lakierowany arkusz nieco grubszego papieru i prowizorycznie go wygładził.

Na kartce było wydrukowane ostre zdjęcie ukazujące go na parkowej ławce w West Drayton. Pod dolną krawędzią zdjęcia widoczna była dzisiejsza data oraz podany z sekundową dokładnością czas wykonania fotografii: 09.07, 16:43:13 h.

*Zbyt dużo zachodu jak na gówniarski wybryk, pomyślał Abel. A kiler, którego ścigam, też nie mógł bombardować mnie tymi błotnymi pociskami, chyba że po zabójstwie w Bari z jakiegoś powodu niezwłocznie wróciłby do Londynu.*

Ale nie brzmiało to przekonywająco.

Podczas gdy za oknem faktycznie nastąpiło oberwanie chmury, tworząc wraz z grzmotami i błyskawicami archaiczny multimedialny show, Abel odwrócił pogniecione i zabrudzone błotem zdjęcie.

„Trzymaj się z daleka, dupku!” – było napisane na odwrocie pismem komputerowym, które na pierwszy rzut oka wyglądało jak litery wycięte z gazety. „Albo zginesz!”



**Rabat, Maroko**  
**Oddział zamknięty**  
**państwowego zakładu dla psychicznie chorych**  
**Trzydzieści lat wcześniej**

Psychiatra nazywał się doktor Stéphane Boulemain i po prostu był nieustępliwy.

– Franco, jeśli nie chcesz tu gnić do końca życia, musisz ze mną rozmawiać.

– Gówno muszę – odparł Franco.

Jednak Boulemain nie odpuszczał. Z białą jak wapno twarzą i kozią bródką wyglądał tak idiotycznie, że byłoby najlepiej, gdyby zajął się leczeniem samego siebie. W każdym razie tak pomyślał Franco.

– Ty i twój brat Nasir dorastaliście z matką i trzema starszymi siostrami – drażył psycholog. – Nigdy nie poznaliście ojca. Cztery kobiety okazywały jakiś szacunek twojemu bratu, ponieważ był od ciebie starszy i pracował w rodzinnym interesie. Ale ciebie traktowały zawsze jak ostatniego śmiecia.

– Skąd to wiesz? – warknął Franco, chociaż przypadkowo było to zgodne z prawdą.

Jego matka i siostry beształy go przy każdej okazji. „Franco, ty niedołego” tu i „Franco, ty głupi fiucie” tam. I oczywiście go biły, w każdym razie dopóki był małym chłopcem. Traktowały go kijem i skórzanym pasem, patelnią i każdym przedmiotem, jaki akurat znajdował się pod ręką. Zamykały go i dla pewności jeszcze przykuwały łańcuchem, żeby nie mógł uciec.

Mimo to w wieku ośmiu lat pierwszy raz uciekł z domu. W prowincjonalnej pipidówie, jaką jest Ifran w marokańskich górach, każdy znał każdego, szybko więc został złapany i odstawiony do domu. Ale próbował raz za razem. Dookoła były same lasy i z czasem nauczył się radzić sobie w dziczy. Ale to wszystko gówno doktora obchodzi.

Franco już dawno stracił rachubę, od jak dawna przebywa w domu bez klamek. Co parę tygodni Boulemain kazał strażnikowi przyprowadzać go do swojego gabinetu na najwyższym piętrze przypominającego twierdzę budynku. Roztaczał się stąd widok na port i morze, które ciągnęło się aż po horyzont. Ale poza tym psycholog miał do zaoferowania zawsze tę samą głupią gadkę.

– Dlatego tak nienawidzisz kobiet – plótł dalej lekarz. – Ponieważ bardzo źle traktowały cię w domu. I dlatego uprowadziłeś tę całkiem nieznaną młodą kobietę w lesie pod Ifranem, przez wiele dni gwałciłeś ją i w końcu zamęczyłeś na śmierć, aby zemścić się na matce i siostrach!

Był to największy idiotyzm, jaki Franco w życiu słyszał.

Kochał swoją matkę, nawet jeśli w jego koszmarach czasem robiła z nim złe rzeczy. Ale w końcu była jego matką, tak czy nie?

– Po prostu zostaw mnie w spokoju, dupku – burknął i założył umięśnione ręce na piersi. – Bo inaczej spotka cię to samo co tę małą zdiurę, tylko wcześniej sam będziesz musiał się wypieprzyć.

Psychiatra jeszcze bardziej pobladł. Zawołał strażnika Jibrana i polecił mu odprowadzić Franco z powrotem do celi.

*Twoje szczęście, że zabrali mi nóż, pomyślał Franco. Inaczej zaraz uciąłbym ci jaja, ty głupi fiucie.*

Gotował się z wściekłości. Ale starał się nie dać tego po sobie poznać, kiedy wychodząc z gabinetu w swoim obdartym szpitalnym kombinezonie, mijał Boulemaina.

Strażnik Jibrán, taki sam mięśniak jak Franco, ustawicznie tylko czekał na pretekst, aby przyłożyć krnąbrnemu więźniowi i załatwić go na wszelkie możliwe sposoby. Ale Franco nie da się sprowokować. Dostał już nauczkę tam, w lesie. Teraz starał się ze wszystkich sił, aby kolejny raz całkowicie nie stracić nad sobą kontroli, jak w szałasie drwali z tą małą dzirą. Boulemain nie był żadnym problemem i nie stanowił zagrożenia. Ale w żadnym razie nie wolno mu sprowokować Jibrana, jeśli chce wyjść stąd żywy.

A Franco właśnie tego chciał, i to jak najszybciej. Tylko że zrobi to na swój sposób, a nie tak, jak idiotycznie proponował Boulemain. Musi tylko poczekać, aż Jibrana znów ogarnie lenistwo i zamiast niego przyślą któregoś ze słabowitych zmienników. A jak już znajdzie się na wolności, raz dwa kopnie się do Francji, dokąd w ubiegłym roku związała większa część jego krewnych.

Po powrocie do celi Franco nerwowo łąził w tę i z powrotem po wytartej kamiennej podłodze. Tylko dlaczego Boulemain za każdym razem musiał wracać do sprawy w leśnym szałasie? Franco zawsze był po tym totalnie wkurzony. Nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć wszystkiego, co tam nabroił z tą małą wywłoką. Ale to trochę, co jeszcze miał w pamięci, tysiącrotnie wystarczało, aby serce waliło mu jak szalone. Gdy opadł na prycę, miał kompletnie wyschnięte usta. Obojętne, czy otwierał, czy zamykał oczy, widział przed sobą tę podłą dzirę. I słyszał ją, jej krzyki i błaganie o litość. I czuł jej zapach, zapach strachu, sików, krwi. Fiutem mógłby wybić dziurę w ścianie celi, taki był twardy za każdym razem, gdy myślał o tej pieprzonej małej wywłoce.

W szopie na drewno na tyłach domu, w której matka przykuwała go łańcuchem, jeszcze jako mały chłopiec zaczął sobie wyobrazać, że jego fiut to klinga noża. W wieku jedenastu, dwunastu lat miał pierwszy wytrysk, kiedy w swoich fantazjach wydymał tą klingą jakąś dzirę. Nigdy przedtem ani potem nie przeżył czegoś choćby w części tak fantastycznego, pomijając zdarzenie w szałasie, gdy doświadczył tego wszystkiego naprawdę.

Zgodnie z oczekiwaniami było to dużo bardziej podniecające. Ale też doprowadziło go tutaj, do tego piekła pełnego śliniących się wariatów z tytułami doktorskimi i bez tytułów. I dlatego, dopiero kiedy będzie wolny, zrobi wszystko, co w jego mocy, aby kolejny raz nie stracić nad sobą całkowitej kontroli.

**Londyn-Heathrow  
Hotel Ibis**

**Czwartek 9 lipca godz. 21.51 czasu miejscowego**

Szczerze mówiąc, Abel wolałby przełożyć rozmowy telefoniczne z Marie Lindweg i Marlene na jutro. Po tajemniczym ataku błotną bombą miał już na dziś dość wrażeń. Ale ledwo rozpiął guziki koszuli, żeby trzeci raz tego dnia wziąć prysznic, znów odezwał się jego smartfon.

– Lekarze dają Lilly jeszcze tylko kilka dni – wyrzuciła z siebie Marie Lindweg, nawet się nie witając.  
– Fred, proszę, powiedz mi, że Lars będzie jutro wolny!

– Niestety, nie mogę ci tego obiecać – powiedział Abel. – Ale mam dla ciebie nowiny. Lars...

– Siedzi w celi w areszcie, wiem! – przerwała mu Marie. – Ty też nie możesz tego zmienić, muszę więc znaleźć inne wyjście.

Jej głos zabrzmiał tak ostro, jak dźwięk pękającego szkła.

– Proszę cię, nie trać teraz nerwów – nakazał Abel.

– Wyciągnę go! – krzyknęła Marie. – Nawet jeśli potem mnie też wsadzą. Mam to w dupie! Załatwię, żeby był przy Lilly, kiedy nasza mała... – Nie mogła dalej mówić, bo wybuchnęła płaczem.

– Nie rób nic pochopnie – powiedział Abel z naciskiem. – Najpierw mnie posłuchaj, proszę.

Marie rozłączyła się bez słowa.

Abel stał bez ruchu, kręcąc głową, i wpatrywał się w wyświetlacz smartfona. Nieprzyjemne przeczucie związane z Marie Lindweg go nie myliło. Mógł tylko mieć nadzieję, że kobieta się uspokoi. Jutro zadzwoni do niej z Bari i postara się jej wyperswadować, cokolwiek wymyśliła, żeby wymusić uwolnienie Larsa.

Kliknął na listę nieodebranych rozmów i zobaczył, że numer komórki Marie Lindweg jest na najwyższej pozycji. *Czyli nie mogła być tym wcześniejszym anonimowym rozmówcą.*

Tak czy owak, dużo bardziej prawdopodobne było, że to miotacz błotnych bomb spróbował telefonu z pogrózkami. Kiedy Abel nie odebrał, sięgnął po ostrzejsze środki. Ale to znaczyło, że jego cień, kimkolwiek był, pilnował go na każdym kroku w Londynie. Zadzwonił do Abla, gdy tylko ten wsiadł do taksówki na lotnisku. Fotografował go w West Drayton, wiedział, w którym hotelu, a nawet w którym pokoju się zatrzymał, i musiał wcześniej przycząić się na podwórzu.

Teraz z pewnością przepędziło go oberwanie chmury. Mimo to Abel zamknął okno i zaciągnął nieprzepuszczające światła zasłony. Rezultat był taki, że w pokoju zrobiło się niemożliwie gorąco, a on i tak czuł się obserwowany.

*Mam nadzieję, że przynajmniej nie zadzwoni Marlene,* pomyślał Abel, kiedy wreszcie wszedł pod prysznic. Na pojutrze był wyznaczony pogrzeb matki i musiał delikatnie przygotować siostrę na to, że najprawdopodobniej nie będzie mógł wziąć udziału w ceremonii. Ale musiał poczekać do jutra. Niewątpliwie Marlene będzie robić mu ostre wyrzuty i w głębi duszy Abel po części przyznawał jej rację, chociaż jednocześnie był przekonany, że tak właśnie musi postąpić.

Musiał unieszkodliwić tego seryjnego mordercę, zanim ten psychopata zdąży zamordować kolejne kobiety. I zanim umrze Lilly, nie zobaczywszy obok siebie ojca. Natomiast matce Abła nie wróci życia to, czy w sobotę przyjdzie na jej pogrzeb, czy nie. A od poczucia straty i tak nie ma ucieczki.

Woda, która leciała cienkimi strumykami z główki prysznic, była ciepła jak grauburgunder, który właśnie wylał do umywalki. Ledwo zakręcił kran, znów usłyszał swój telefon.

*No dobra, Marlene, miejmy to już za sobą*, pomyślał i owinął się ręcznikiem.

Jego leżący na nocnym stoliku blackberry wibrował, dzwonił i jednocześnie dawał sygnały świetlne.

– Tak? – zgłosił się Abel.

– Teraz zrozumiałeś? – naskoczył na niego dzwoniący tym samym ledwie wyczuwalnym wschodnioeuropejskim akcentem jak ostatnim razem. – Trzymaj się z daleka, dupku! Zapewniam, że następny pocisk będzie znacznie twardszy niż garść błota!

**Rabat, Maroko**  
**Oddział zamknięty**  
**państwowego zakładu dla psychicznie chorych**  
**Trzydzieści lat wcześniej**

Franco ledwo mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Zaledwie parę dni po ostatnim wierceniu mu dziury w brzuchu przez doktora Boulemaina usłyszał po drugiej stronie drzwi do celi ten cienki zachrypnięty głos.

– Gdzie jest Jibran? – zapytał mężczyzna w celi obok.

Ten z cienkim głosem pisnął:

– Załatwił sobie zwolnienie lekarskie. Jestem Takim. Na pewno też się jakoś dogadamy.

*Dogadamy się? Jak z Jibranem? Na pewno nie, ty żałosny niedołęgo,* pomyślał Franco.

Zaraz po tym w wizjerze w jego drzwiach ukazała się okrągła twarz Takima. Franco leżał na pryczy, skulony, z wykrzywioną z bólu twarzą.

– Pomóż mi – wycharczał. – Muszę do lekarza. Natychmiast!

Tamten głupek zastępujący Jibrana wybałuszył oczy.

– Co ci jest?

– Serce – wymamrotał Franco. – Szybko, bo...

Takim wyciągnął klucz i otworzył drzwi. Był tak samo wielki i szeroki jak Jibran, ale jego ciało wydawało się składać w przeważającej części z tłuszczu. I inaczej niż Jibran był na tyle głupi, że wszedł do środka, nie wyjmując zza paska pałki.

Franco zerwał się z pryczy i doskoczył do galaretowatego typa, jak to widział kiedyś na filmie o zwierzętach. Wtedy lew rzucił się na głupią gazelę, a teraz on postąpił tak samo jak tamten drapieжник. Z tą tylko różnicą, że nie zagłębił zębów w gardle strażnika, lecz zacisnął dłonie na jego szyi. Po prostu przewrócił tłustą kluchę i się na niej położył. Mocno sobie postanowił, że jeśli tylko się da, zostawi go przy życiu.

Takim sapnął i jego ciało stało się jeszcze bardziej wiotkie, niż i tak było. Miał zamknięte oczy, ale klatka piersiowa unosiła się w płytkim oddechu.

*Poszło jak z płatką,* pomyślał Franco. Tylko dłonie znów drżały mu, jakby dostał skurczu, kiedy ścigał ze strażnika mundur – kurtkę, buty, spodnie, koszulę. *Rzeczy są na mnie o wiele za duże, ale sram na to, w końcu nie wybieram się na konkurs na najlepszego modela.*

Serce waliło mu jak młotem, co najmniej tysiąc uderzeń na minutę, a dłonie dygotały, jakby miał dreszcze, gdy zrywał z siebie więzienne ubranie. Dokładnie w chwili, kiedy skończył, głupi Takim znów się poruszył. Zamrugnął powiekami. Patrzył na wznoszącą się nad nim nagą górę mięśni, a potem jeszcze otworzył usta.

We Franco narastała wściekłość. Znów widział przed sobą lwa, który rozszarpuje gazelę. Sam był lwem, rzucił się na swoją zdobycz, poczuł krew i coś chrząstkowego pomiędzy zębami i wgrzył się

jeszcze mocniej.

Franco nie do końca wiedział, co stało się potem. Musiał wpaść w rodzaj szału zabijania jak wilk albo biały rekin. W każdym razie kiedy się opamiętał, trudno było poznać Takima. W szyi, tam gdzie było jabłko Adama, ziała dziura, a podbrzusze poniżej pępka nie wyglądało lepiej.

Wszystko było we krwi. Franco wytarł się, na ile się dało, więzienną koszulą, potem ubrał się w mundur Takima.

Spodnie były za długie, mimo to mężczyzna miał mniejsze stopy od niego. Franco musiał podkurczyć palce, żeby w ogóle włożyć buty strażnika. Ale nieważne, nawet jeśli powykręca sobie palce, było to tego warte.

Upewnił się, że pałka wciąż znajduje się w uchwycie przy pasku, z kałuży krwi wyłowił pęk kluczy i otworzył drzwi celi.

W korytarzu nie było widać nikogo. Tylko inni więźniowie obserwowali go przez wizjery w swoich drzwiach, ale ci nieudacznicy się nie liczyli. Palce u stóp cholernie go bolały, kiedy szerokim krokiem Jibrana szedł w kierunku tabliczki z napisem „Wyjście”.

*Są ludzie, którzy chcą ci zaszkodzić, i są inni, którzy nie stanowią zagrożenia.* Już jako nastolatek zrozumiał, że ostatecznie tylko to rozróżnienie się liczy.

I że nigdy nie będzie miał pewności, do której z tych grup sam należy.

Mieszkanie ofiary było jeszcze opieczętowane i uzyskanie oficjalnego zezwolenia trwałoby dni albo nawet tygodnie. Ale we Włoszech obowiązywała nie tylko potworna biurokracja, lecz również ogólnoludzkie porozumienie, aby w razie wątpliwości traktować przepisy jak niewiążące propozycje.

Biagio Solarino czekał z dwoma karabinierami przed drzwiami bloku, w którym signora Lamberti, „oby jej dusza wróciła do zdrowia po szoku spowodowanym zamachem na jej życie”, spędziła ostatnie lata życia. Kiedy Abel przyjechał taksówką, Solarino dał mu potajemnie znak oczami. Wcześniej przez telefon surowo nakazał Ablowi, żeby publicznie się z nim nie witał, tylko zachowując pewną odległość, wszedł za nim do budynku.

Abel kiwnął ledwie zauważalnie głową i dyskretnie miał Solarina na oku, gdy płacił kierowcy. Jego włoski kolega pochodził z południowej Sycylii, „czyli właściwie już z Afryki”, jak za każdym razem dodawał. Był jednym z tych chudych jak patyk, wysoko wyrosniętych typów, jakie często spotyka się w północnej Afryce, i miał tak ciemną karnację skóry, że naprawdę można było uważać go za Marokańczyka albo Algierczyka. Ale dzięki zaczesanym do tyłu, mającym sinawy połysk włosom i słabości do eleganckich garniturów, dopasowanych w talii koszul oraz butów z wężowej skóry był niewątpliwie Włochem.

Solarino otworzył drzwi wejściowe i zniknął w betonowym budynku, który mimo czerwonej jak maki fasady wyglądał ponuro. Cała ta część Bari, wciśnięta między lotnisko i teren przemysłowy, sprawiała nędzne i deprymujące wrażenie. Konglomerat tanich czynszowych bloków dla robotników, którzy tysiącami harowali w tutejszych zakładach chemicznych i fabrykach samochodów. I dla seniorów, takich jak Teresa Lamberti, która na emeryturze również nie mogła sobie pozwolić na przyjemniejsze miejsce zamieszkania.

W południowym słońcu było tak gorąco jak we wnętrzu pieca do pieczenia pizzy. Co prawda od morza wiał lekki wietrzyk, ale docierał tu bezpośrednio z Sahary i od razu się to czuło. Jeden z karabinierów otworzył Ablowi drzwi, drugi zasalutował. Najwidoczniej bawiły ich takie komedyjki. Co prawda dzięki ciemnoniebieskim uniformom nadawali akcji oficjalny charakter, ale ich zadanie polegało raczej na tym, aby stać na warcie przed drzwiami na dole. *Commisario* Umberto, który kierował śledztwem w sprawie zabójstwa Teresy Lamberti, nie został wtajemniczony, a obaj karabinierzy byli bratankami Solarina albo jakimiś innymi krewniakami *dottore*, jeśli Abel dobrze go zrozumiał.

*Wszystko jedno*, pomyślał. Najważniejsze, że mógł obejrzeć miejsce zbrodni i zdobyć wskazówki, dzięki którym posunie się dalej. Zanim kiler znów go wyprzedzi, a on zgubi jego ślad w jakimś innym europejskim dużym mieście.

*I zanim Lilly umrze w Berlinie albo jej matka zrobi jakąś głupotę*, dodał w myślach.

Nie zastanawiając się długo, zostawił walizkę pod opieką karabinierów i wszedł na trzecie piętro po betonowych schodach, na których każdy krok odbijał się głośnym echem.

Kiedy Abel stanął w korytarzu, Solarinowi właśnie udało się zdjąć pieczęć z drzwi do mieszkania. Włoch znów spojrzał na niego konspiratorsko i dał znak oczami. Mimo napięcia Abel uśmiechnął się do starego przyjaciela.

Ale jego uśmiech znikł z twarzy, gdy wszedł za Solarinem do apartamentu signory Lamberti.

„Mieszkanie wygląda jak pole bitwy”, powiedział wczoraj wieczorem przez telefon Włoch.

Był to chyba eufemizm roku. W rzeczywistości wyglądało tak, jakby nawiedziło je stado chorych na wściekliznę wilków.



**Bari**  
**Mieszkanie Teresy Lamberti**  
**Piątek 10 lipca godz. 12.25**

Po trwających mniej więcej godzinę oględzinach miejsca zbrodni Abel był dosłownie zlany potem. W betonowym budynku bez klimatyzacji było duszno i gorąco, mimo to spływający po ciele pot wydawał mu się przyjemnie chłodny.

*Jak zimny pot strachu, pomyślał Abel.*

Dzieło zniszczenia, jakiego dokonał sprawca z maniakalną wytrwałością, mogło wywołać gęsią skórę nawet u pozbawionego skrupułów zawodowca. Zwłaszcza że było widać, iż sprawca nie rozwalił wszystkiego, co wpadło mu w ręce, w napadzie ślepej furii. Raczej dokonał bardzo przemyślanego wyboru.

„Obejrzyj dokładnie miejsce zbrodni w Bari. Minuta po minucie zrekonstruuj przebieg przestępstwa – powiedział Jankowski. – Cały czas zadawaj sobie pytanie, co dokładnie robił sprawca z rzeczy, które nie były konieczne do dokonania zbrodni ani do jej zatuszowania. Te elementy postępowania są częściami puzzli, z których składa się jego podpis, a więc klucz do jego osobowości”.

Tu, w Bari, kiler zostawił na miejscu popełnienia zbrodni mnóstwo elementów układanki.

Abel rozglądał się po małym mieszkaniu w milczeniu. Zaraz po przywitaniu Solarino zostawił go w pokoju, żeby Abel mógł wyrobić sobie własny obraz sytuacji. Abel wiedział, jak trudno przyszło Solarinowi nie odzywać się chociaż przez minutę. Dlatego bardzo doceniał jego powściągliwość.

Sprawca pociął nożem każdą sukienkę i każdą spódnicę Teresy Lamberti. W wiszącej na ścianie galerii zdjęć, która obejmowała trzy pokolenia liczego rodzinnego klanu, oszpecił każdą fotografię przedstawiającą kobietę. Te zdjęcia wyjął z ram i wyciął albo wydrapał czubkiem noża uwiecznione na nich kobiety i dziewczęta.

Jego nienawiść do wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu mogło mu się kojarzyć z kobiecością, nie miała granic. W prawdziwym szale niszczenia wyładował się na dziesiątkach przedmiotów zastępczych, tylko nie na ciele ofiary. Rezerwa, z jaką „tylko” zabił Teresę Lamberti i wykonał napis na jej włoskach, pozostawała w niestosownym kontraście do symbolicznego tsunami, jakie nawiedziło mieszkanie.

Kiedy Abel skończył szybki ogląd miejsca zbrodni, w przedpokoju spotkał się z Solarinem.

Włoch klęczał na jednym kolanie i na kamiennej podłodze układał makabryczną mozaikę z wielkoformatowych zdjęć Teresy Lamberti, które wykonał na miejscu popełnienia morderstwa oraz w swoim instytucie.

– Tutaj Gino Lamberti znalazł matkę. – Wskazał na środek wąskiego przedpokoju. – Leżała na plecach, ze zgruchotaną czaszką. Obok niej świecznik, narzędzie zbrodni.

Pokazał na jedną z fotografii. Abel kucnął obok niego, żeby lepiej przyjrzeć się szczegółom.

– Najpierw biedny Gino myślał, że jego matka po prostu tylko się przewróciła i uderzyła głową w

świecznik – ciągnął dalej Solarino. – Dopiero potem zauważył spustoszenie w mieszkaniu. Oczywiście doznał jeszcze większego szoku, kiedy uświadomił sobie, że ktoś napadł i zamordował jego matkę.

Abel przytaknął.

– Czy jej ciało było całkowicie ubrane, gdy została znaleziona, tak jak na tym zdjęciu?

Wskazał na kolejne zdjęcie, na którym widać było tułów zabitej. Signora Lamberti miała na sobie kremową bluzkę ze starannie zapiętymi guzikami. Napis na jej brzuchu nie był widoczny.

– Dokładnie tak – powiedział Solarino. – To było następnym szokiem dla rodziny zabitej. Ale wierz mi, Alfredo, ja też nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy rozebrane zwłoki leżały przede mną na stole sekcyjnym.

Spojrzeli na kolejną fotografię. Truskawkowoczerwony napis na brzuchu starej kobiety przedstawiał szokujący widok.

– W przypadku każdego morderstwa sprawca wybiera coraz bardziej intymną część ciała na napis – zauważył Abel. – Najpierw nogi, potem plecy, teraz brzuch, co będzie następne?

Solarino spojrzał na niego zamyślony.

– Może piersi.

Abel miał inną hipotezę, ale zatrzymał ją dla siebie. W uszach Solarina zabrzmiałyby ona, jakby Abel stracił miarę i bezpodstawnie demonizował sprawcę. Ale upiornie poruszone pismo i jeszcze bardziej agresywny nacisk, z jakim wwiercił się szminką w brzuch ofiary, przemawiały jednoznacznym językiem.

*Dokonując tego zabójstwa, pomyślał Abel, sprawca powstrzymywał się jeszcze tak dalece, że tylko zamordował ofiarę i napisał hasło na jej brzuchu. Być może następnym razem zrobi swojej ofierze wszystko to, co w zasadzie od dawien dawna zamierzał.*

Co zawsze chciał zrobić. Przeczucie podpowiadało Ablowi, że sprawca już nigdy nie użyje szminki.

Tylko noża, którym tym razem pociął tylko obiekty zastępcze.

**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto, restauracja L'Angeletto**  
**Piątek 10 lipca godz. 13.40**

Razem z karabinierami wjechali ich alfa romeo do Bari. Malownicze uliczki oraz ogromna katedra na Starym Mieście stanowiły miły kontrast w porównaniu ze smutnym przedmieściem San Paolo.

Spokojna restauracyjka, w której jedli obiad, nazywała się L'Angeletto, Aniołek.

– Kiedy tylko mogę, szukam towarzystwa dobrych duchów – zapewnił go Solarino. – Ty też powinieneś tak robić, Alfredo, zwłaszcza że w naszym zawodzie tak często stykamy się z mrocznymi siłami.

– Masz całkowitą rację – zgodził się Abel.

Gości wylewnie przywitał *padrone*, który wyglądał jak amerek z nadwagą. Gdy już Solarino w operetkowej wymianie zdań wynegocjował z nim menu, Abel znów wrócił do tematu kitera, który zostawiał za sobą krwawy ślad ciągnący się już przez pół Europy. Nie potrafił myśleć o niczym innym.

– Seryjny zabójca, który każde morderstwo popełnia w innym mieście – zastanawiał się. – Spotkałeś się już kiedyś z czymś takim?

Solarino pokręcił głową.

– Nie zawodowo. Ale gdybyś interesował się zagadnieniami z dziedziny reinkarnacji, wiedziałbyś, że większość morderców to mordercy seryjni. Nawet jeśli w każdym kolejnym życiu dokonują tylko jednego albo dwóch zabójstw. – Solarino dotknął nażelowanych włosów, które wręcz błyszczały w przytłumionym świetle sali. – Ich zbrodnie – mówił dalej – tak bardzo ich traumatyzują, że często są skazani na to, żeby pięć albo więcej wcieleń jedno po drugim spędzać na mordowaniu ludzi.

– Zła karma – zauważył sucho Abel.

– Święte słowa, Alfredo.

Solarino uśmiechnął się podstępnie. Abel wciąż zastanawiał się, jak poważnie Włoch traktował ten cały hokus-pokus.

– U niektórych z nich kiedyś nagromadziło się tak dużo złej karma, że zostawali seryjnymi mordercami w jednym i tym samym życiu – ciągnął dalej Solarino. – I jest wśród nich kilka przeklętych dusz, które nie mogą zaznać spokoju i zmuszone są błąkać się po świecie. Przypuszczam, że dotyczy to tylko tych, których we wcześniejszym życiu spotkało niewyobrażalnie dużo zła. W każdym razie zdarza się to bardzo rzadko, o ile wiem.

Abel westchnął, ale tak, że nie było go słychać. Na szczęście właśnie zjawił się *padrone* we własnej osobie, aby podać im pasta con frutti di mare, a do tego złociste pinot grigio.

– A więc wiesz o kilku takich przypadkach? – zapytał Abel, gdy już stuknęli się kieliszkami. – O seryjnych mordercach, którzy rozmieszczają na mapie swoje przestępstwa jak krwawe odciski stóp?

Solferino wciągnął ustami nabrane na widelec spaghetti i jednocześnie przytaknął ruchem głowy, co wyglądało dość dziwnie.

– O dwóch, mówiąc dokładnie – powiedział z pełnymi ustami. – Jeden był Niemcem i nazywał się Peter Nirsch. Wyjeżdżał dość daleko, aby uprawiać swoje krwawe rzemiosło, chociaż w tamtych czasach nie było jeszcze samolotów.

Wypił kolejny łyk pinot grigio i ciągnął, już znacznie wyraźniej wymawiając słowa.

– Nirsch wędrował przez Niemcy w kierunku południowym i po drodze zamordował tyle ludzi, ile tylko mógł. Ze szczególnym upodobaniem wycinał kobietom w ciąży dzieci z brzuchów. Kiedy w końcu został złapany w Norymberdze, stwierdził, że od jego noża zginęło ponad pięćset osób.

– Pięćset? – powtórzył Abel. – Czy przypadkiem nie poniosła cię fantazja, Biagio?

Solarino zrobił pełną godności minę.

– Tylko zacytowałem ze starej kroniki. Wszystko działo się pięćset lat temu. Nirsch rozpoczął swoją morderczą serię w roku 1575 i został złapany w 1581 roku.

– W XVI wieku! – zdziwił się Abel. – W takim razie nasz kiler głęboko tkwi w szacownej tradycji.

Roztrząsali wspólnie to zagadnienie, podczas gdy padrone serwował filet jagnięcy, który smakował wprost wyśmienicie, tak samo jak podane do niego vermentino.

– O drugim podróżującym seryjnym mordercy powinieneś wiedzieć jeszcze z czasów studenckich – powiedział Solarino, kiedy padrone postawił na stole deser, którym były profiterole. – W latach dziewięćdziesiątych XX wieku gwiazdą mediów był Jack Unterweger, najpierw w Austrii i Niemczech, później także w USA. W latach siedemdziesiątych skazano go na dożywocie, ponieważ zabił w Salzburgu osiemnastoletnią dziewczynę. Biedaczka przyłapała go na próbie włamania. Aby zatrzeć ślady, po zabójstwie upozorował przestępstwo na tle seksualnym.

Abel przytaknął.

– Jasne, dobrze to pamiętam, łądak miesiącami brylował we wszystkich mediach. W więzieniu Unterweger zaczął do tego jeszcze pisać. Niemiecka i austriacka lewicowa elita kulturalna okrzyknęła go „więziennym bardem” i sporządziła petycję, w której domagała się jego wcześniejszego uwolnienia, ponieważ rzekomo wzorowo się zresocjalizował.

– Zawsze to samo. – Solarino podniósł kieliszek i wzniosł toast jaskrawożółtym limoncello, które *padrone* podał tymczasem w oszronionych kieliszkach. Abel jednak machnął ręką, dziękując. Wolał zostać przy piekielnie mocnym espresso, które gospodarz również postawił na stole. W ciągu ostatniej godziny skonsumował więcej alkoholu niż zwykle przez cały tydzień. – Jednak później wcale nie zachowywał się tak wzorowo, jeśli dobrze pamiętam.

– W pewien sposób Unterweger był już wzorcowy – odparł Solarino. – Był podręcznikowym przykładem mylnego przekonania o możliwości resocjalizacji najcięższych zbrodniarzy. Oczywiście po uwolnieniu w roku 1990 Unterweger przekonywająco grał rolę wzorowego ucznia. Był chętnie widzianym gościem na przyjęciach oraz w talk-show, a przy okazji rozpoczął poważną serię morderstw. Od 1990 do 1992 zamordował co najmniej pięć prostytutek, w Pradze, Grazu, Bregencji, Wiedniu i na koniec jeszcze kolejne trzy w Los Angeles. A przynajmniej tyle właśnie przypadków można było przypisać Unterwegerowi. Każdą z tych młodych kobiet udusił jej bielizną, używając jej jako zmodyfikowanej katowskiej pętli.

– Jego podpis – wtrącił Abel.

– Który w końcu doprowadził go do zguby – dodał Solarino. – Kiedy już został skazany w procesie poszlakowym na dożywotnie więzienie, powiesił się w swojej celi w zakładzie penitencjarnym w Grazu. Użył do tego sznura zrobionego ze spodni do joggingu, z których sporządził dokładnie taką samą szubieniczną pętlę. Późne wyznanie winy, jeśli chciałbyś poznać moje zdanie.

Abel zamyślił się na krótko.

– Ja widzę to inaczej – powiedział po chwili. – Długo rozmawiałem o podpisach seryjnych morderców z zaprzyjaźnionym profilerem. Na ile go zrozumiałem, morderca taki jak Unterweger, albo nasz kiler, nie potrafi tak łatwo zmienić swojego podpisu. Jest on wyrazem jego potrzeb, osobowości. A

więc, moim zdaniem, Unterweger tym ostatnim aktem zabójstwa pokazał, komu tak naprawdę pragnął założyć pętlę na szyję. Kogo w rzeczywistości nienawidził i chciał zabić, chociaż najpierw co najmniej jedenaście niewinnych kobiet musiało przypłacić to życiem: siebie samego.

Podczas gdy Solarino zmienił już temat i zaczął dzielić się z nim plotkami z dziedziny włoskiej medycyny sądowej, Abel myślał o złu, które znalazło swoje najnowsze ucieleśnienie w ściganym przez nich seryjnym mordercy. Nawet jeśli w sensie religijnym nie wierzył w diabły, demony i wieczne potępienie, to był głęboko przekonany o istnieniu zła.

Wykonywany zawód nauczył go, że w określonych okolicznościach w ludziach może obudzić się diabeł, który zmieni życie bliźnich w piekło. Jeśli tylko dostaną do ręki wystarczającą władzę, mogą zmienić w piekło całe kraje albo nawet część planety.

Z ostatniej wizyty w Bari Ablowi zostało w pamięci, że w średniowieczu prawie całe miasto zostało zburzone przez władcę o imieniu Wilhelm I Zły. Wtedy wywarło to na nim ogromne wrażenie, a to, że teraz znów sobie o tym przypomniał, było tylko zwykłą tego konsekwencją. Czy uda mu się ustalić kim jest Zły, który tym razem nawiedził Bari?

**Paryż**  
**Montmartre, Place du Tertre**  
**Poniedziałek 29 czerwca godz. 15.34**

Na ulicznym bazarze na Place du Tertre znów panowało istne szaleństwo. Franco włączył się pomiędzy straganami i zachowywał się tak, jakby niezwykle interesowały go jakieś głupie przyprawy, skórzane kapelusze śmierdzące świniami albo innym badziewiem, które od wczesnego rana do późnego wieczora wciskano tu turystom.

Nigdy nie rozumiał, co tak ciągnie na Montmartre dziesiątki tysięcy ludzi. Po co wszyscy pędzą właśnie tam, gdzie i bez tego są tłumy? On najbardziej lubił być sam. Z małą zdziwą w jakimś ustronnym miejscu, gdzie człowiek mógł mieć pewność, że nie spotka go jakaś niemiła niespodzianka.

*Ale czy dzisiaj w ogóle można mieć pewność, że człowieka nie spotka niespodzianka? – pomyślał. Człowiek nie może być pewny nawet własnej rodziny.*

Kiedy parę lat temu złapał tamtą małą gadzinę i pojechał z nią do zamku Śpiącej Królowy w lesie, wtedy Nasir o mało sam go nie zakapował. Jego własny brat! Franco wciąż nie mógł tego pojąć.

Nasir wściekł się maksymalnie tylko dlatego, że Franco zwrócił furgonetkę z tym głupim wgnieceniem. Rzekomo samochód był „cały we krwi”. I rzekomo również Franco był „od stóp do głów” umazany krwią, gdy wrócił ze swojej krótkiej wycieczki.

Nasir zrobił z tego prawdziwą aferę. Ale zawsze był głąbem i lizusem. Prawdopodobnie za pochwałę z ust matki albo uśmiech sióstr Nasir dałby sobie nawet uciąć fiuta.

*Razem z jajami, pomyślał Franco.*

W każdym razie jego brat urządził wtedy wielką drakę.

– Jeszcze raz zrobisz taki burdel, ściągnę ci na kark gliny! – zagroził. – Kiedy się skapują, że uciekłeś z Rabatu i dostałeś się do Francji na fałszywych papierach, odeślą cię z powrotem do wariatkowa w Maroku tak szybko, że nie zdążysz policzyć do trzech! Zrozumiałeś, dupku?

– Wszystko jasne, uspokój się, Nasir.

Franco spuścił głowę, żeby brat nie zobaczył gniewu w jego oczach. I włożył ręce do kieszeni, aby ukryć ich drżenie. W jego żyłach pulsowały gorące fale wściekłości i nienawiści. Wyobraził sobie, jak obejmuje dłońmi szyję Nasira i z całej siły je zaciska.

Ale w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie. To Nasir miał go w ręku i mógł go załatwić, jeśli Franco nie będzie tańczył, jak ten mu zagra.

Nasir był sprytny, Franco musiał to przyznać. Zatrószył się o swojego młodszego brata, gdy ten dał nogę ze szpitala dla umysłowo chorych w Rabacie. Postarał się o to, żeby Franco mógł wyjechać na paszporcie jednego ze swoich kuzynów. Co było bardzo proste. Kuzyn wyglądał prawie tak samo jak Franco i miał mniej więcej takie samo imię, François. Poza tym François był ćpunem i paszport nie był mu do niczego potrzebny. A już na pewno nie po tym, jak Franco złożył mu wizytę.

Wziął dokumenty i pojechał do Marsylii. To była dziecinna zabawa, ani jeden pogranicznik czy

policjant nawet nie spojrzeli na niego podejrzliwie. Mniej więcej wtedy właśnie Nasir zaczął rozwijać swój „handel wyrobami rzemiosła artystycznego”. Dzisiaj ma w pobliżu, w dzielnicy afrykańskiej przy bulwarze Barbès, długi na pięć metrów stragan, który o mało się nie załamał pod tonami łańcuszków na szyję i bransoletek, kiczowatych malunków i innych rupieci. Nasir ledwo nadąży liczyć pieniądze, ponieważ porąbani turyści wprost wyrywają mu z ręki jego „autentyczną afrykańską biżuterię etniczną”. Ale jeszcze większą kasę robi na towarze, który opyla stałym klientom. Crystal meth i nieletnie panienki, prosto z Marrakeszu.

Z biegiem lat Nasir ściągnął do Paryża prawie wszystkich swoich krewnych. Ale mieszkania przy Rue Cavé w afrykańskiej dzielnicy, gdzie mieszkali w dwanaścioro na dwóch piętrach, Franco miał jeszcze bardziej dosyć. Było tam jeszcze tłoczniej i głośniejsze niż tu na Montmartrze. Przede wszystkim u Nasira mieszkała teraz jego matka i trzy siostry, i tak jak to było dawniej, nie przepuszczały żadnej okazji, aby mu nawymyślać.

„Franco, ty żaloszny nieudaczniku” tu, „Franco, ty głupi niedołęgo” tam – ta sama cholerna litania, co trzydzieści lat temu w Ifranie.

Franco głębiej wsunął ręce do kieszeni szerokich w kroju dżinsów. Przesuwał się w tłumie i rozglądał dookoła, szukając odpowiedniej zdobyczy.

Panował spory upał i kobiety były przeważnie ubrane bardzo swobodnie. Franco wolał sobie nie wyobrażać, jak wyglądają bez ubrań. To tylko znów ściągnęłoby na niego kłopoty, ale te dziwki nie dawały mu wyboru. Pod ich cienutkimi T-shirtami i obcisłymi bluzkami aż nadto wyraźnie odznaczały się ich sutki. Doprowadzało go to do obłędu.

Ale twardo postanowił, że nie da się sprowokować. Nasir rzuciłby go glinom na pożarcie, gdyby jeszcze raz zdarzyło się coś takiego, jak wtedy w zamku Śpiącej Królowej, a Franco w żadnym razie nie chciał wracać do Rabatu, do zakładu dla umysłowo chorych, do doktora Boulemaina i strażnika Jibrana. Sama myśl o nich dwóch była najlepszym lekarstwem, kiedy groziło mu, że znów ulegnie swojej słabości.

*Jak na przykład teraz, niech to szlag!* – pomyślał Franco.

W duchu aż zawył. Przed nim szła dokładnie taka sama mała zdzira, jaką porwał wtedy w Lasku Bulońskim. Prawdopodobnie osiemnaście, dziewiętnaście lat, drobna figura, ale mimo to zaokrąglona w odpowiednich miejscach.

Ostrożnie podszedł trochę bliżej. Teraz już czuł jej świeży zapach, z nutą słodkawego potu. Dobrze wiedział, jak pachniałoby jej wilgotne ciało, gdyby wsunął nos pomiędzy jej cycki.

*Ale nie zrobisz tego, upomniał się. Jeśli choćby tylko końcami palców dotkniesz jej pleców, nici z samokontroli.*

Niechętnie został kilka kroków w tyle.

*Mam tu robotę do załatwienia, upomniał siebie. Śmiertelnie nudną robotę. Ale taką, z której na pewno wpadnie mi parę groszy.*

Na oblepionych plakatami ścianach i słupach ogłoszeniowych w całej dzielnicy policja ostrzegała, że Montmartre to eldorado dla kieszonkowców. Ale mimo wszystko turyści nosili swoje portmonetki i wartościowe rzeczy tak zachęcająco na wierzchu, jak drzewa owoce. Trzeba było je tylko zerwać, oczywiście najlepiej kobietom. Były słabsze od mężczyzn i nosiły w torebkach praktycznie cały dobytek. Poza tym i tak należało im się coś zupełnie innego. Więc właściwie powinny być zadowolone i wdzięczne, jeśli Franco tylko wyrywał im torebki.

Podkraść się do przysadzistej kobiety około czterdziestki, która najwyraźniej była sama. Miała nowiusieńką torebkę, która wyglądała na drogą. Mimo to cenna rzecz bujała się beztrudno na pasku na jej ramieniu.

*Może przydałaby ci się mała odmiana?* – pomyślał. *Możesz ją mieć, ty tłusta krowo.*

Zręcznie dotknął noża ze stałym ostrzem, który zawsze nosił za paskiem pod T-shirtem w rozmiarze

XXL. Prawdopodobnie nie będzie go potrzebował, ale nigdy nie wiadomo.

Kiedy zbliżył się na wyciągnięcie ręki, złapał torebkę za pasek i szarpnął do siebie. Siła pociągnięcia odwróciła kobietę, która złapała torebkę obiema rękami.

– Ty skurwielu! – krzyknęła. – Policja! Na pomoc! Ten czarnuch kradnie mi torebkę!

Darła się, jakby ją obdzierali ze skóry, i wszyscy ludzie dookoła odwracali się w ich stronę.

– Puszczaj, do cholery! – krzyknęła i uderzyła go kolaniem w krocze.

A kolano miała jak słonica. W ostatniej chwili odwrócił się bokiem, ale mimo to trafiła go w biodro.

Franco zagotował się z wściekłości.

– Ty przekłeta dziwko! – wrzasnął. – To był największy błąd w twoim życiu!

Wyszarpnął nóż z futerału przy pasku.

– I ostatni!

Wokół podniósł się wielki krzyk, gdy Franco wbił nóż w boczną część jej szyi. Nie uderzył szczególnie mocno, mimo to ostrze zagłębiło się w ciele aż po samą rękojeść.

– Morderca! – ryknął ktoś na całe gardło. – Wezwijcie policję! Czy jest tu lekarz? O Boże, ona umiera!

– krzyczeli jeden przez drugiego.

Franco odepchnął kobietę, wyrwał jej torebkę i pognął przed siebie. Nie odwrócił się, kiedy usłyszał plaśnięcie bezwładnego ciała o asfalt.

*Pewnie zdechła, pomyślał. Tłusta dziwka sama jest sobie winna. Dlaczego po prostu nie puściła tej głupiej torebki?*



**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Piątek 10 lipca godz. 15.10**

**Z** rozjaśnionego słabym światłem chłodu restauracji L'Angeletto wrócili na rozżarzone uliczki Starego Miasta. Solarino gadał jak nakręcony, ale Abel słuchał go tylko jednym uchem.

Żałował, że wypił do posiłku dwa kieliszki wina. Choć pinot grigio i vermentino były wyjątkowo orzeźwiające w smaku, to jednak teraz alkohol mącił mu w głowie. A w tej chwili pilnie potrzebował jasnego umysłu! Jeśli morderca uderzy następny raz, musi go zatrzymać, dopóki jeszcze będzie w mieście. Ale w którym mieście? Jak ustalić, gdzie kiler zaatakuje następnym razem? W każdym razie jedno było pewne: jak długo Solarino plół jak najęty, nieprzerwanie referując kwestie doświadczeń pośmiertnych i błakających się duszach morderców, Abel nie miał szans na zaplanowanie swoich następnych kroków.

– Najpierw pojedziemy do instytutu – powiedział Solarino – ponieważ tam będę mógł bardziej szczegółowo wyjaśnić ci symptomatykę PZSP.

– PZSP? – powtórzył Abel. – A co to takiego?

– No, pośmiertny zespół stresu pourazowego – wyjaśnił Solarino – przecież cały czas o tym mówimy.

*Ty mówisz, przyjacielu,* pomyślał Abel.

– Potem czekają na mnie jeszcze dwaj klienci w prosektorium. Ale to nie potrwa długo. Jeden wyzionął ducha w trakcie stosunku płciowego z szesnastoletnią przyjaciółką córki, z którą już od dwóch lat miał romans; najwyraźniej ta dziewczyna to już było definitywnie za dużo jak na jego dojrzałe serce. A drugi składa się wyłącznie z kości, sam szkielet, nic dziwnego w tym panującym od tygodni upale – kontynuował Solarino niekończący się potok słów. – Ale dziś wieczorem koniecznie musisz przyjść do mnie do domu. Ugotuję coś smacznego i jeśli chcesz, oczywiście możesz przenocować u mnie na kanapie.

Abel mruknął coś niezrozumiale. Nie miał najlepszych wspomnień związanych z kanapą w salonie Solarina, choćby z powodu rzeźb przedstawiających totemy i demony, które zajmowały każdy wolny metr kwadratowy jego małego mieszkania. A poza tym kanapa była po prostu o kilka centymetrów za krótka dla Abla.

Obaj karabinierzy, którzy posilali się na koszt wuja w L'Angeletto przy sąsiednim stoliku, szli teraz dwadzieścia metrów za nimi. Jeden z nich niośł walizkę Abla, drugi aktówkę Solarina. Solarinowi nie zamykały się usta i Abel ograniczał się do wtrącenia od czasu do czasu „aha” albo „interesujące”. Najwidoczniej więcej od niego nie oczekiwano.

Uliczki w historycznym centrum Bari były tak wąskie, że ledwo mogły iść obok siebie dwie osoby. Fasady domów oraz bruk zostały stylowo odrestaurowane. Człowiek czuł się przeniesiony do dawnej epoki. Zwłaszcza po zmroku, kiedy latarnie z kutego żelaza rozjaśniały scenerię mdłym światłem, w labiryncie uliczek musiał panować niesamowity nastrój.

Ale również w jasnym świetle dziennym pełne zakamarków i porośnięte winoroślą mury sprawiały ponure wrażenie. Abel nie zdziwiłby się, gdyby z jakichś wąskich niskich drzwi wyłonił się kat w

rozwianym płaszczu z kapturem, niósł na ramieniu topór i ciągnął za sobą związaną ofiarę. Albo skrytobójca o zakrwawionych rękach, który bierze nogi za pas, ukrywając twarz pod kapturem.

Ledwo o tym pomyślał, gdy jego wzrok padł na staroświecki szyld z pełnym zawijasów napisem. „Pensione Guglielmo il Male”, odczytał Abel. Strzałka wskazywała na biegnącą w dół uliczkę, która wydawała się jeszcze bardziej zwęzać za ceglanym łukiem.

Abel roześmiał się mimowolnie. *Pensjonat Wilhelma Złego*, pomyślał. *Dokładnie to miejsce, gdzie powinienem się teraz zatrzymać, żeby wczuć się w osobę mordercy.*

Solarino spojrział na niego zdziwiony.

– Co tu jest do śmiechu?

– Nie bądź zły, Biagio – powiedział Abel – ale ten upał i wino zupełnie mnie rozłożyły. Wezmę pokój w tym pensjonacie i zdrzemnę się godzinę.

Spodziewał się, że Solarino zaprotestuje, ale Włoch popatrzył na niego niemalże z czcią.

– Zdecydowanie masz zdolności telepatyczne, Alfredo. Tylko zbyt rzadko z nich korzystasz.

Abel tylko popatrzył na niego pytająco i z lekką irytacją.

– Pensjonat należy do Gina Lambertiego – ciągnął dalej Solarino – syna Teresy Lamberti, którą twój kiler zamordował w San Paolo.

Odwrócił się i skinął na dwóch karabinierów, żeby podeszli.

– Być może dowiesz się czegoś od Gina i jego żony Maddaleny, co posunie cię dalej – dodał Solarino.

– Ale proszę cię, zachowaj dyskrecję. Oficjalnie nic nie wiesz!

Odebrał walizkę od karabiniera i wielkopańskim gestem przekazał ją Ablowi.

– Wieczorem, około ósmej, moi bratankowie odbiorą cię z pensjonatu i zabiorą do mnie. Nie chcę słyszeć żadnego sprzeciwu, Alfredo. Będzie homar i mątwą, nasze apulijskie specjały!

**Paryż**  
**Montmartre, Place du Tertre**  
**Poniedziałek 29 czerwca godz. 15.43**

**K**obieta była nieprzytomna. Leżała na plecach, a pod jej karkiem utworzyła się na bruku ulicy mała kałuża krwi. Z jej szyi sterczał nóż, ale nikt nie odważył się wyciągnąć ostrza.

Wokół stłoczyli się ciasno gapie. W dalszym ciągu wszyscy krzydzeli jeden przez drugiego.

– Morderstwo w biały dzień na ruchliwej ulicy! W jakich my czasach żyjemy? O mój Boże, ona umiera! Gdzie jest karetka?

W końcu zjawił się lekarz pogotowia. Szybkim krokiem przedarł się przez niechętnie ustępujący tłum, za nim podążali dwaj sanitariusze z noszami. Rzucił walizkę lekarską niemal przy samej kałuży krwi i ukląkł.

– Nóż działa jak korek – pouczał gapiów, stabilizując krwiobieg ofiary. – Gdyby ktoś z państwa wyjął ostrze, kobieta na pewno wykrwawiłaby się na śmierć.

Ciężko ranną położono na noszach i przymocowano taśmami zapinanymi na rzepy. Skonsternowani naoczni świadkowie patrzyli na odjeżdżającą karetkę pogotowia, która niebieskim światłem i syreną torowała sobie drogę przez jarmarczny ścisk. I nie mniej skonsternowani patrzyli, jak niedługo potem pojawiła się ekipa śledcza z komisariatu z pobliskiej Rue Marcadet i pytała o rysopis sprawcy.

– Ciemnoskóry – dyktowali policjantom do notesów. – Muskularny, w średnim wieku.

Ale sprawca był raczej niski i stał za kobietą, kiedy wbił jej nóż w szyję, dlatego nikt nie potrafił dokładnie opisać jego rysów twarzy.

Z dzielnicy afrykańskiej do tego miejsca był tylko rzut beretem. Na podstawie zeznań świadków od razu nasuwało się na myśl, żeby sprawcy szukać tam, gdzie mieszkała duża część pochodzących z Afryki mieszkańców Paryża albo przynajmniej często tam przebywała.

**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Pensione Guglielmo il Male**  
**Piątek 10 lipca godz. 16.20**

Jestem pewny, że w następnych dniach znów zaatakuję – powiedział Abel – ale nie mam pojęcia gdzie. Można zwariować!

– Zwariować zawsze zdążysz – odparł Timo Jankowski. – Na razie lepiej jeszcze raz spójrzmy chłodnym okiem na to, co wiemy o sprawcy.

Abel położył smartfon na stoczonym przez robaki pulpicie do pisania i włączył tryb głośnomówiący. Kiedy rozmawiał z Jankowskim, chodził w tę i z powrotem między łóżkiem a oknem w swoim absurdalnie małym pokoju. Stuletnie deski podłogowe skrzypiały niemiłosiernie przy każdym kroku. O ile Abel się nie mylił, podłoga lekko opadała w kierunku drzwi.

– Najprawdopodobniej sprawca ma afrykański genotyp – zaczął Jankowski. – Wszyscy naoczni świadkowie potwierdzili jego ciemny kolor skóry. Poza tym kilkoro świadków sprecyzowało, że czerń jego skóry miała odcień sadzy.

Co prawda dla Abla nie były to żadne nowości, ale już sam ton głosu profiler, opanowany i bardzo skoncentrowany, był balsamem na jego skołatane nerwy. I koniecznie go potrzebował.

Zanim zadzwonił do Jankowskiego, skontaktował się z Marie Lindweg. Lilly była wciąż przytomna, ale liczone się z tym, że w ciągu następnych dwóch, najwyżej trzech dni zapadnie w śpiączkę. Głos Marie brzmiał tak, jakby odchodziła od zmysłów z bólu i wyczerpania. Nie zdradziła mu, co chciała zrobić, aby wymusić natychmiastowe uwolnienie Larsa. Abel zaklinał ją, aby nie robiła nic pochopnie. Ale czuł, że nie dotarł do niej.

– Mężczyzna ma co najmniej trzydzieści i najwyżej czterdzieści lat – kontynuował Jankowski – wzrost sto siedemdziesiąt do stu siedemdziesięciu trzech centymetrów, bardzo muskularny. Ma ogromny problem z kontrolowaniem agresji i jest typem źle zorganizowanego sprawcy. Postępuje całkowicie bezplanowo, ale ma określony schemat popełniania przestępstw i znajdowania zdobyczy.

Abel słuchał go uważnie. Na szczęście działanie wina ustąpiło. Prawdopodobnie ciągłe trajkotanie Solarina o duchach zmarłych i wędrówce dusz odurzało go bardziej niż alkohol. Abel dałby wiele, aby w trakcie polowania na kilerę mieć Jankowskiego u swojego boku. Ale telefoniczne rady profiler, też mogły być cenne.

– W przypadku wszystkich trzech morderstw, o których wiemy, miejsce popełnienia zbrodni leży w pobliżu lotniska – referował dalej profiler. – Natomiast co do ofiar, za każdym razem były to stare kobiety, które sprawca dusił natychmiast po wtargnięciu do ich mieszkań. Wyjątkiem jest trzecie zabójstwo w Bari, kiedy zmienił sposób zadawania śmierci, po tym jak stwierdził, że z powodu specyficznej budowy anatomicznej nie może zabić swojej ofiary w zwykły sposób. Inaczej tu też

trzymałby się sprawdzonego schematu. Poczekaj chwilę, muszę coś sprawdzić.

Abel usłyszał w głośniku komórki cichy szelest papieru. Najwidoczniej Jankowski wertował swoje notatki.

– Po zabiciu ofiary przeszukiwał jej mieszkanie – ciągnął dalej profiler. – Jego preferowanym łupem były gotówka oraz biżuteria. Zanim opuszczał mieszkanie, sygnował ciało swojej ofiary napisem „Respectez Asia”, przy czym, gdy to robił, wyraźnie drżała mu ręka. Do wykonywania napisu za każdym razem używał szminki ofiary i za każdym razem pisał na gołej skórze zabitej, którą musiał w tym celu częściowo rozebrać. Na koniec znów ją starannie ubierał.

– Tutaj w Bari dodatkowo zdemolował mieszkanie ofiary – zauważył Abel.

Opisał pocięte na strzępy ubrania i fotografie, które sprawca potraktował nożem.

Jankowski milczał przez chwilę i trawił to, co usłyszał.

– Myślę, że to jego drzenie jest teraz jeszcze bardziej zrozumiałe – odezwał się w końcu. – Przypuszczałem już, że napis na ciele ofiary mógł być dla niego symbolicznym działaniem zastępczym. Tnąc ubrania i usuwając z fotografii postacie kobiet i dziewcząt, pokazuje, co mógłby zrobić z ciałami swoich ofiar, gdyby się nie powstrzymał.

*Przerazający przekaz*, pomyślał Abel.

– Ale to nie znaczy automatycznie, że następnym razem bez skrupułów urzeczywistni tę potrzebę niszczenia na ciele swojej ofiary – dodał Jankowski ku zdziwieniu Abela. – Nawet jeśli to brzmi dziwnie, nasz człowiek charakteryzuje się pewnym stopniem samokontroli. Biorąc pod uwagę ogromny potencjał niszczenia, wściekłość i nienawiść, jakie w sobie nosi, wykazuje nawet znaczną samokontrolę, ponieważ swoje ofiary „tylko” dusi i pokrywa ich ciała napisami, zamiast je pociąć na strzępy, jak postąpił tym razem z ubraniami i fotografiami.

Jankowski ponownie przerwał i Abel zastanawiał się nad tym ostatnim wnioskiem. Sam wychodził z założenia, że w przypadku seryjnego mordercy powoli pękają wszystkie tamy i śluzy i przy każdym kolejnym zabójstwie jeszcze bardziej nieskrępowanie realizuje on swoje zbrodnicze fantazje. Ale najwidoczniej Jankowski widział to inaczej, no cóż, w końcu to on był tu fachowcem.

– Czy uważasz za możliwe, żeby znów całkiem zapanował nad swoją potrzebą zabijania? – zapytał profiler. – Że może po prostu przestać zabijać, tak jak przelacza się wyłącznik?

– Nie wymagaj ode mnie za dużo – powiedział Jankowski – ale moja spontaniczna odpowiedź brzmiałaby: nie, już mu się to nie uda. Już nigdy nie zamknie całkowicie tego zaworu. Ale prawdopodobnie, popełniając te morderstwa, może spuścić z siebie tak dużo pary, że nie musi już robić wiele gorszych rzeczy, które zapewne już kiedyś ściągnęły na niego kłopoty.

– W gruncie rzeczy wodzi nas za nos? – zapytał Abel. – Ostatecznie ten schemat działania jest tylko inscenizacją, którą chce nas zwabić na fałszywy trop? Przemieszcza się samolotem, ale swoim ofiarom za każdym razem zabiera tylko kilkaset euro oraz kilka sztuk w najlepszym wypadku średniej wartości biżuterii. Ale to przecież nie ma sensu, może tym co najwyżej pokryć koszty podróży. Co go napędza?

– Dla ciebie i dla mnie nie ma to sensu – przytaknął Jankowski. – Ale cała rzecz polega na tym, że sprawca jest chory psychicznie. Psychopaci tacy jak on na ogół żyją w społecznej izolacji albo u boku osób, które mają dla nich status rodziców, i tkwią w swoim zamkniętym obłąkanym świecie. Z jego perspektywy jego działania są nawet logiczne. Nie potrafi nic innego niż pisać na ciałach swoich ofiar „Respectez Asia” i zabierać im pieniądze i biżuterię. Prawdopodobnie tak samo jak nie potrafiłby zmienić treści hasła, które pisze na zwłokach, i schematu zbrodni i kradzieży, nawet jeśli rzeczywiście kradnie tylko tyle, żeby za każdym razem móc kupić bilet na następny lot.

Abel usiadł na skrzypiącym krześle przy prastarym pulpicie do pisania.

– A hasło? Co chce nam przez to powiedzieć? Czy kryje się za nim jakieś wyrafinowane przesłanie, którego nie udało nam się jeszcze rozwikłać?

– Wykluczam taką możliwość – rzucił Jankowski stanowczym głosem. – To, co robi, ma sens tylko dla

niego. Z punktu widzenia każdej innej osoby jego działanie jest nie tylko niezrozumiałe, lecz po prostu obsesyjne. Prawdopodobnie ma jakieś związki z Francją albo z językiem francuskim. Ale wydaje się, że nie jest to jego ojczysty język, w każdym razie wskazuje na to błędnie napisane słowo „Asia” w jego podpisie. Najwidoczniej wyobraża sobie, że ktoś okazuje za mało szacunki „Azji”. Przy czym w jego obłąkanym świecie „Azja” może oznaczać praktycznie wszystko.

– A dlaczego atakował akurat w Berlinie, Londynie i Bari? – zapytał Abel.

– Odpowiedź jest taka sama, Fred: twój sprawca jest psychopatą i jest osobą nieorganizowaną. Zarówno przed przestępstwem, jak i po nim zachowuje się w najwyższym stopniu chaotycznie. Prawdopodobnie po prostu kieruje się spontanicznym impulsem, kiedy już na lotnisku decyduje o następnym celu podróży. Ale być może słucha też wewnętrznego głosu, który mówi mu, że ma lecieć tu i tu.

Nagle Abel poczuł totalne zniechęcenie.

– Masz może jakiś pomysł, co wewnętrzny głos może kazać mu zrobić w następnym kroku? – zapytał.

– Przykro mi. Nawet wyrocznia delficka nie potrafiłaby przewidzieć, gdzie zaatakuje następnym razem. W Amsterdamie, Warszawie, a może w Rydze? Nie wiem. Być może uzbierał już tyle mił, że może polecieć za wielką wodę i zabić swoją kolejną ofiarę w Nowym Jorku, Fort Lauderdale albo Los Angeles.

Abel pokręcił głową. Poczuł się bezradny. Wcześniej rozmawiał przez telefon jeszcze ze swoją siostrą Marlene i jak można się było spodziewać, siostra wręcz zasypała go zarzutami. Starał się przekonać ją, że nie mógł inaczej ustawić swoich priorytetów.

– Nasza matka i tak nie żyje, niezależnie czy będę na pogrzebie, czy nie – tłumaczył – ale kobiety, które kiler zamorduje jako następne, wciąż żyją! Muszę go powstrzymać, zanim dojdzie do kolejnych zabójstw.

Jednak te słowa zabrzmiały nagle w jego uszach pusto. Tak pusto, jak najwidoczniej odbierała je Marlene.

– Przynajmniej bądź ze sobą szczerzy – naskoczyła na niego siostra. – Latasz odrzutowcem po świecie i wydaje ci się, jaki to jesteś ważny. I masz z tego frajdę. Tajny agent Fred Abel ratuje świat! Przecież to jest żałosne!

Jej gorzki śmiech wciąż brzmiał mu w uszach.

*Przecież to wszystko jest zupełnie inaczej!* – pomyślał. *Muszę znaleźć tego szaleńca, ale jak?*

– Jeśli jest tak szalony i chaotyczny, jak go właśnie przedstawiłeś, dlaczego cały czas udaje mu się mordować i pozostać niezauważonym? Dlaczego dotąd go nie złapano? – zapytał Jankowskiego.

– Być może ujęto go już wcześniej. Być może siedział jakiś czas w więzieniu – odparł Jankowski. – Albo przynajmniej był o krok od tego, w każdym razie uważam to za bardzo prawdopodobne. Wyciągnął z tego lekcję. Dlatego tłumi część swoich potrzeb, już nie urzeczywistnia ich w pełni, lecz postępuje bardziej ostrożnie i powściągliwie, przynajmniej jak na swoje możliwości.

– Być może jak na jego możliwości – powiedział Abel. – Mimo to jest osobą chaotyczną i psychopatą, który zostawia krwawe ślady w połowie Europy. Dlaczego do tej pory go nie zidentyfikowano?

– To akurat jest proste pytanie – stwierdził profiler. – W końcu wiemy od Darwina, że w świecie półidiotów zaletą nie jest bycie najinteligentniejszym, lecz tym, kto najlepiej przystosowuje się do otoczenia.

Abel najpierw zdumiał się, a potem roześmiał.

– O cholera – zaklął. – Mimo to cieszę się, że obaj raczej nie jesteśmy optymalnie przystosowanymi półidiotami.

Nagle polepszył mu się nastrój. Słuchając ostatniej uwagi Jankowskiego, wpadł na pomysł, jak znaleźć seryjnego kilerka.

– Dziękuję ci, Timo – zakończył rozmowę. – To było jak zawsze bardzo pomocne.

**Paryż**  
**Dzielnica afrykańska, Rue Cavé**  
**Mieszkanie Nasira Moussadeta**  
**Czwartek 2 lipca godz. 9.45**

W dniach po ataku nożem na kobietę na Montmartrze dwudziestu pięciu policjantów przeczesywało afrykańską dzielnicę Barbès. Na Square Léon i okolicznych ulicach pytali każdego właściciela baru, każdą bazarową sprzedawczynię, każdego dozorcę i właściciela sklepu, czy znają albo widzieli muskularnego krępego mężczyznę, mającego między trzydzieści a czterdzieści lat i czarną jak sadza skórę.

Dzwonili i pukali dosłownie do każdych drzwi, niepokoiли całą dzielnicę. Franco prawie nie mógł wyjść na ulicę, żeby ludzie krzywo na niego nie patrzyli. W każdym razie takie odnosił wrażenie i wcale mu się to nie podobało.

Wcześniej czy później przekłete psy zadzwonią również do drzwi Nasira. Franco dobrze wiedział, jak zareagowałby jego brat, gdyby gliniarze w miarę obrazowo opowiedzieli mu, co przytrafiło się tłustej turystce. A przede wszystkim przekazali mu rysopis sprawcy.

A więc znów przyszedł dla Franco czas, aby się ulotnić. Miał w tym wprawę, odkąd w wieku ośmiu lat dał nogę z drewnianej szopy w Ifranie.

– Słuchaj, zmywam się stąd – odezwał się do Nasira, kiedy rano usiedli do śniadania.

– Chyba wiem dlaczego – odparł Nasir. – Gliny przyszły wczoraj do mojego straganu i pytali o mężczyznę, który przypadkiem wygląda całkiem jak ty.

Franco zazgrzytał zębami.

– I co im powiedziałaś? – wydusił z siebie.

– A co miałem powiedzieć? – Nasir zakrył po kolei oczy, uszy i usta.

– No to dalej trzymaj gębę na kłódkę, nieważne, jak bardzo będą ci wiercili dziurę w brzuchu – nakazał Franco.

Jego brat popatrzył na niego ponuro.

– Pod jednym warunkiem – zastrzegł.

Franco znów zagotował się z wściekłości.

– Pod jakim znowu warunkiem?

– Wiesz, kim ty jesteś, mój młodszy braciszku? – odpowiedział pytaniem Nasir. – Jesteś tykającą bombą. Ile to już razy wyciągałem cię z gówna? Ale już dosyć tego. Wcześniej czy później wszystkich nas pociągniesz za sobą w przepaść.

Franco nic z tego nie rozumiał.

– Niech to szlag, w jaką znowu pieprzoną przepaść?

Nasir przerwał gwałtownym ruchem ręki.

– Nie pokazuj się tu więcej, bracie! Wtedy postaram się, żeby wszyscy w okolicy przysięgali na

wszystkie świętości, że nie widzieli cię już od tygodni.

Franco patrzył na swoje dłonie, które drżały jak szalone.

– Umowa stoi – zgodził się i podniósł się, żeby wyjść.



**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Pensione Guglielmo il Male**  
**Piątek 10 lipca godz. 18.50**

Od godziny Abel męczył się nad mejlowym okólnikiem, ale wciąż nie był zadowolony z jego treści. Był to ostatni atut, który mógł wykorzystać w poszukiwaniu seryjnego mordercy. Aby ten atut się przebił, musiał trafić we właściwy ton: mieszankę dramatycznego wołania o pomoc i zdecydowanego apelu do poczucia obowiązku swoich kolegów. Do zamkniętej społeczności lekarzy i antropologów sądowych w całej Europie, którzy nieraz pomagali sobie w niekonwencjonalny, a zarazem dyskretny sposób.

„Psychopatyczny seryjny morderca zostawia krwawy ślad w Europie”, wystukał na smartfonie Abel. „Jego zbrodnie, rozpatrywane każda z osobna, wyglądają jak zwykłe morderstwa na tle rabunkowym, jak przestępstwa dokonywane przez sprawcę, który śledzi swoje ofiary i wdiera się za nimi do ich mieszkań. Ale to tylko pozory. Będzie uderzał znów i znów, dopóki ktoś go nie powstrzyma. I dlatego potrzebna mi Wasza pomoc, Drodzy Przyjaciele i Koledzy”.

Zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o umierającej Lilly i jej ojcu, który niewinnie siedzi w areście śledczym. Ale wydawało mu się, że to byłoby już za wiele.

Z jego serwisu społecznościowego korzystali nie tylko lekarze sądowi, lecz również niektórzy komisarze policji kryminalnej, profilerzy oraz prokuratorzy. Tak czy inaczej, jeśli ktoś byłby w stanie podrzucić mu jakąś decydującą wskazówkę, musiałby się mocno wychylić. I najprawdopodobniej narobiłby sobie tym przykrości. Taka osoba czy osoby mogłyby pójść na to ryzyko tylko z jednego powodu: ponieważ zawodowy etos ceniły wyżej od własnej wygody. Ponieważ w ich oczach było wielką niesprawiedliwością, że kryminalista może dalej popełniać swoje przestępstwa tylko dlatego, że młyny sprawiedliwości miały zbyt wolno. A to w Europolu bynajmniej nie zdarzało się rzadko.

„Wszystko wskazuje na to, że ten seryjny sprawca najpóźniej jutro albo pojutrze zaatakuje kolejną ofiarę: bezbronną starą kobietę, która mieszka samotnie w pobliżu międzynarodowego lotniska gdzieś w Europie. Według zeznań świadków ma około stu siedemdziesięciu do stu siedemdziesięciu trzech centymetrów wzrostu, jest czarnoskóry i niezwykle umięśniony. Do cech szczególnych jego postępowania należy umieszczanie na ciele ofiar hasła »Respectez Asia«. Jeśli ktoś z Was przy okazji jakiejś sprawy spotka się z tymi szczegółami albo czegoś się dowie, proszę, aby niezwłocznie się ze mną skontaktował. Liczy się każda minuta!”

Abel przeczytał całość jeszcze raz, wprowadził kilka poprawek i dodał zwyczajowe pozdrowienia. A potem, nie zastanawiając się długo, kliknął „Wyślij”.

Oparł się na trzeszczącym krześle i głęboko odetchnął. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że niezwłocznie dostanie jakąś wskazówkę, gdy tylko sprawca zaatakuje następnym razem. Tylko wtedy miałby szansę zatrzymać szaleńca, zanim znów wsiądzie do samolotu i zniknie bez śladu.

I zanim umrze Lilly.

**Paryż**  
**Lotnisko Orly**  
**Czwartek 2 lipca godz. 11.13**

Franco trzymał paszport w prawej kieszeni spodni, a dokładniej mówiąc, dokument swojego kuzyna François. Lewa kieszeń była wypchana prawie dwustu pięćdziesięcioma euro zabranymi z torebki tłustej zdziiry. Jednak cena tego była wysoka. Kosztowało go to utratę noża. Był to pierwszej klasy nóż ze wzmocnioną metalem drewnianą rękojeścią i długim jak jego fiut ostrzem ze stali szlachetnej.

*Olać to, pomyślał. I tak nie mógłbym wnieść broni na pokład samolotu. W końcu w Amsterdamie też można zwędzić jakiś nóż.*

Już od lat przymierzał się, aby polecieć do rajy palaczy haszu, Amsterdamu. Prawie co druga osoba tutaj w Barbès i na Montmartrze opowiadała niepytana z zachwytem o mieście, gdzie podobno za kilka euro można było naćpać się haszyszem, i to jeszcze legalnie.

Franco nie miał pojęcia, gdzie właściwie leży ten wspomniały Amsterdam. Ale w końcu od czego były sprzedawczynie biletów na lotnisku? One na pewno będą wiedziały, do którego samolotu trzeba wsiąść, jeśli chce się wylądować w Amsterdamie.

Był w doskonałym nastroju, kiedy krótko po jedenastej wysiadł z kolejki na lotnisku Orly. *Czas zmienić eldorado dla kieszonkowców na raj dla tych, co jarają.*

Ale jego dobry humor natychmiast zniknął, gdy gruba krowa w okienku Air France wymieniła cenę biletu lotniczego do Amsterdamu.

– Dwieście sześćdziesiąt jeden zaszanych euro? – naskoczył na tę małpę w okienku. – Nie chcę kupić twojego piprzonego boeinga, chcę tylko nim polecieć!

Otworzyła szeroko oczy.

Franco zacisnął pięści.

*Tylko spokojnie, upomniał sam siebie. Chyba że chcesz, żeby wezwwała gliny, idioto!*

– To tylko żart.

Wzruszył ramionami i skierował wzrok na olbrzymią elektroniczną tablicę, na której było wyświetlone mnóstwo miast i godzin odlotów.

Bruksela, Rzym, Frankfurt, Sztokholm, Moskwa, Berlin...

*Berlin? Podobno tam bawią się na okrągło. A więc tak samo jak w Amsterdamie można kupić hasz na każdym rogu.*

– Do Berlina – rzucił Franco. – Ile kosztuje bilet?

Zdzira w durnym mundurze Air France tylko przez chwilę wyglądała na zdziwioną, ale zaraz zaczęła zawzięcie klikać myszą.

– Dwieście pięć euro – powiedziała.

– Bingo. – Położył dwie gładkie setki i jedną dość wymiętą piątkę na ladzie.

Trzy minuty później trzymał w ręku bilet.

- Przyjemnego lotu – życzyła mu na pożegnanie małpa.
- Tylko bez jaj, skarbie – odparł Franco. – Jeszcze tu wrócę.

**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Pensione Guglielmo il Male**  
**Piątek 10 lipca godz. 19.40**

Moje najszczerze kondolencje, signora Lamberti – powiedział Abel przy ladzie recepcyjnej pensjonatu. – Dziś w południe dowiedziałem się przypadkiem w restauracji, że właśnie poniosła pani bolesną stratę. Maddalena Lamberti miała niewiele mniej niż pięćdziesiąt lat i wciąż olśniewała pięknnością. Była ubrana na czarno, miała czarne włosy z metalicznym połyskiem i ciemnobrązowe oczy, w których widać było łzy. Wyglądało na to, że śmierć teściowej naprawdę chwyciła ją za serce.

– Bardzo dziękuję. Jest pan dobrym człowiekiem, signore.

Abel zwrócił się do niej po angielsku, a ona odpowiedziała gwałtownym potokiem słów, w którym mieszały się ze sobą angielskie i włoskie zwroty.

– Co za szok, co za grzech i wstyd! Archaniołowie powinni ukarać diabła, który uczynił to mojej biednej, niewinnej, serdecznej dla wszystkich mamie! Niech pan tylko nie myśli, signore, że jest już po wszystkim!

Kiedy Abel meldował się po obiedzie w pensjonacie, przyjął go zgrzybiały staruszek, który najwidoczniej dorabiał sobie do emerytury jako pomocnik portiera. Abel porozumiewał się z nim głównie na migi, ponieważ staruszek mówił tylko po włosku, a na dodatek nie grzeszył dobrym słuchem. Rozmowa z signorą Lamberti układała się trochę łatwiej, a i tak z początku Abel pomyślał, że źle ją zrozumiał. Z jakiego powodu miałyby powiedzieć: „Niech pan tylko nie myśli, signore, że jest już po wszystkim?”

– *Commissario* Umberto zakłada, że morderca jest obcokrajowcem, który zamordował biedną Teresę przypadkowo – kontynuowała. – Ale to niedorzeczność! Przecież widziałam go na własne oczy!

– Słucham?! – krzyknął Abel.

Maddalena Lamberti spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

– Przepraszam, signora, nie chciałem pani przestraszyć – dodał już ciszej. – Ale myślałem... myślałem...

Jąkał się i usilnie myślał, jak z tego wybrnąć. Wtedy doznał olśnienia.

– Myślałem, że sprawca został już ujęty – powiedział i popatrzył ze współczuciem na pogrążoną w smutku kobietę.

Pokręciła głową.

– Ze mną może pan rozmawiać zupełnie otwarcie, signor Abel. *Commissario* Umberto działa po omacku. Najwidoczniej jest przeciążony pracą, ale to dobry człowiek. Ale wiem, że pan ma mu pomóc, niechże pan przyzna! Tak czy inaczej, wróble już ćwierkają na dachach, że *dottore* Solarino sprowadził pana, żeby pomógł pan w wyjaśnieniu tej ohydnej zbrodni. Sauro, właściciel *L'Angeletto*, też powiedział

to niedawno mojemu mężowi Gino!

Abel ograniczył się do przybrania tajemniczego wyrazu twarzy.

Pogrążona w żałobie kobieta pogrzebała pod ladą i wyjęła pudełko papierowych chusteczek. Kiedy już dobrze wyczyściła nos, powiedziała stłumionym konspiracyjnym tonem:

– Morderca nazywa się Savio Barbarini.

Otworzyła szufladę i wyjęła z niej pogiętą fotografię.

– Tak wygląda! – wyrzuciła z siebie. – Bestia, która zamordowała moją biedną teściową. A wszystko dla paru nędznych euro!

Jedną ręką wytarła łzy, które znów napłynęły jej do oczu, drugą podsunęła Ablowi zdjęcie. Na chwilę obudziła się w nim nadzieja, że ta pogięta fotografia rzeczywiście przedstawia mordercę, którego ściga po całej Europie. Ale mężczyzna na zdjęciu, który wydawał się patrzeć na niego z osobliwym oburzeniem, miał jasną cerę i był wysoki. Ponadto w czasie, kiedy zrobiono to zdjęcie, mógł mieć najwyżej dwadzieścia kilka lat.

– Savio jest przyrodnim bratem mojego męża – ciągnęła dalej Maddalena Lamberti. – Toto Lamberti, ojciec Gina, zanim się ożenił, miał romans, którego owocem jest Savio, trudny, porywczy mężczyzna. Dorastał w rodzinie zastępczej, mój teść przez długi czas nawet nie wiedział o jego istnieniu. Savio pojawił się nagle dopiero kilka lat temu. Zażądał, aby przekazać mu część rodzinnego majątku. Teściowie odmówili, a gdy pięć lat temu Toto przeniósł się do wieczności – przeżegnała się i energicznie pociągnęła nosem – sytuacja się zaostrzyła.

Zamaszystym ruchem głowy Maddalena Lamberti odrzuciła włosy przez ramię.

– Savio naciskał na matkę Gina, aby natychmiast przepisała na niego ćwierć miliona euro – kontynuowała. – Ćwierć miliona! Biedaczka byłaby szczęśliwa, gdyby miała odłożone chociaż jedną dziesiątą tej sumy. Oczywiście Teresa odmówiła i zaznaczyła w testamencie, że Savio nie powinien dostać ani centa. Dlatego ją zamordował i splądrował jej mieszkanie! To on jest mordercą, signore! Musi go pan złapać!

Kilka razy uderzyła otwartą dłonią w fotografię, jakby chciała wymierzyć policzek nielubianemu członkowi rodziny.

– Dlaczego jest pani taka pewna, że sprawcą jest Savio? – zapytał Abel.

– Przecież sama go widziałam! Godzinę temu po ulicy, tam trochę dalej, kręcił się mężczyzna. Właśnie wracałam z zakupów. Wyglądał zupełnie jak Savio! Co prawda widziałam go tylko z tyłu, ale to był on, jestem pewna na sto procent! A po co się tu włóczy? Bo nie znalazł u Teresy tego, czego szukał. Zawsze trzymała w domu niewiele gotówki, właśnie ze względu na Savia! Teraz kręci się tu i na pewno w następnej kolejności włamie się do nas, jeśli pan i dottore Solarino nie wsadzicie go zawczasu za kratki, signor Abel!

Abel ze zdumieniem słuchał tego żarliwego streszczenia najwidoczniej niekończącego się rodzinnego dramatu. Jednocześnie czuł narastające rozczarowanie. To byłoby zbyt piękne, gdyby dzięki teatralnemu przypadkowi właśnie tu, w pensjonacie Wilhelm Zły, podano mu na tacy mordercę Iriny Pietrowej, Emily Goldsmith, Teresy Lamberti i kto wie kogo jeszcze. Ale takie szczęśliwe zbiegi okoliczności zdarzały się tylko w baśniach i kiepskich powieściach kryminalnych.

– Niech pan weźmie tę fotografię – nalegała Maddalena Lamberti – i powie *commissario* Umbertowi, że musi aresztować Savia!

Abel ledwo zauważalnie skinął głową i wziął fotografię.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby morderca pani teściowej został złapany – obiecał zgodnie z prawdą.

– Po tysiącokroć dziękuję, signore! Jest pan dobrym człowiekiem! Będę się za pana modlić, signor Abel!

Słała za nim słowa podziękowania nawet wtedy, kiedy Abel był już na ulicy, gdzie czekali na niego

obaj karabinierzy.

**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Piątek 10 lipca godz. 22.35**

Biagio Solarino nie dał sobie odebrać przyjemności odprowadzenia Abła do pensjonatu, w ramach drobnego podziękowania za ten interesujący wieczór, jak się wyraził. Wieczór składał się w dziewięćdziesięciu procentach z monologów Solarina, których Abel słuchał, poddając się losowi.

W każdym razie na pewno było to lepsze od siedzenia w samotności w pokoju pensjonatu czy w restauracji L'Angeletto i wpatrywania się w ekran smartfona. Na szczęście Solarino opowiadał tak szczegółowo o historii rodziny Lamberti i jej czarnej owcy Saviu, że miał bardzo mało czasu na dygresje dotyczące jego ulubionych tematów, takich jak królestwo zmarłych, poprzednie życie i ponowne narodziny.

Zdaniem Solarina po Saviu Barbarinim jak najbardziej można się było spodziewać, że mógłby grozić swojemu bratu Ginowi, a nawet go pobić.

– Ale znam go osobiście, Alfredo – powiedział – i zapewniam cię, że nawet gdyby był porządnie wstawiony, najwyżej spuściłby mu łomot, ale na pewno nie posunąłby się do niczego więcej. Ma siłę niedźwiedzia, ale jest urodzonym przegranym. W głębi serca to zaakceptował. Natomiast jego ojciec Toto, oby jak najszybciej został wybawiony z czyścica, miał serce z kamienia.

Abel wciąż jeszcze się wzdrygał, kiedy była mowa o sercu z kamienia. Ale pominąwszy to, wyjaśnienia Solarina uspokoiły go w dwóch aspektach. Po pierwsze, najwidoczniej nie istniało zagrożenie dla życia i zdrowia Maddaleny Lamberti. A po drugie, jasno dowodziły, że jego włoski kolega mimo dalekich podróży po krainie duchów zachował zdrowy rozsądek.

Ponadto Solarino znakomicie gotował i był czarującym gospodarzem. Homar i polpo, apulijska mątwą, były wyśmienite, tak samo jak brunello rocznik 2010, podane w kryształowych kieliszkach.

Abel dostawał po kilka mejli na godzinę od uczestników swojego serwisu społecznościowego. Kolega Milroy z Londynu oraz wielu antropologów sądowych, lekarzy oraz kryminologów z całej Europy zapewniało, że mają uszy i oczy otwarte i zaalarmują go, gdy tylko wpadną na najmniejszy ślad takiej zbrodni.

Jednak do dziesiątej z minutami wieczorem, kiedy szli pieszo do pensjonatu Wilhelm Zły, nikt nie zetknął się z jakąkolwiek oznaką, że kiler znów zaatakował.

W nocy w zaułkach Starego Miasta w Bari panował dokładnie taki tajemniczy i niesamowity nastrój, jakiego Abel się spodziewał. Starodawne latarnie dawały mdłe światło. Pochylone fasady, krzywe okiennice i schody z wydeptanymi stopniami rzucały dziwaczne cienie. Brakowało jeszcze sporo do północy, ale uliczki już prawie się wyludniły. Kroki nielicznych przechodniów odbijały się głośnym echem. Wciąż było duszno i gorąco, i chociaż nie wiał nawet lekki wiatr, gdzieś z przodu szeleściły przy murze liście winorośli.

*Z pewnością Biagio wykorzysta okazję, aby wyjaśnić, że szelest jest szeptem jakiegoś ducha,*



pomyślał Abel.

Ale wyglądało na to, że nawet Solarino miał na dzisiaj dość duchów. Za ceglanym łukiem pokazały się oświetlone mdłym światłem okna pensjonatu Guglielmo il Male. Solarino zatrzymał się i podał Ablowi rękę.

– Śpij głęboko i twardo, Alfredo – powiedział. – I wyłącz wcześniej smartfon. Inaczej będziesz czuwał całą noc i nie odpoczniesz.

– Mądra rada – przyznał Abel.

Obaj wiedzieli, że jej nie posłucha.

– Jeśli jeszcze jutro będziesz w Bari – dodał Solarino – oczywiście znów będziesz moim gościem.

Objęli się na pożegnanie, potem Abel przeszedł pod ceglanym łukiem. Do drzwi pensjonatu było około trzydziestu metrów i ta część uliczki była pogrążona w niemal całkowitych ciemnościach.

Abel szedł po omacku przed siebie, senny po paru kieliszkach brunello, które było diabelnie smaczne.

*Coś tu jest nie tak*, przemknęło mu przez głowę.

Było do tego stopnia ciemno, że ledwo mógł dostrzec własną rękę. Za plecami słyszał szybko oddalające się kroki Solarina.

Szedł dalej z wahaniem. Serce biło mu trochę szybciej. Napiął mięśnie i starał się rozpoznać coś w ciemnościach.

Wtedy dostrzegł niewyraźną postać. Czaiła się w rogu między ścianą frontową domu a małymi schodami, które prowadziły do drzwi pensjonatu. W ciemnościach prawie stapiała się z otaczającym ją murem.

Ale tylko prawie.

**Bari**  
**Historyczne Stare Miasto**  
**Piątek 10 lipca godz. 22.53**

Abel szedł dalej w kierunku drzwi, jakby niczego nie zauważył. Jego blackberry zawibrował tak gwałtownie, że aż się wzdrygnął, jednak zmusił się, żeby zignorować sygnał. Kiedy był u stóp małych schodów, zrobił nagły krok w prawo i chwycił skuloną postać za kołnierz.

– Co tu robisz? Czaisz się na mnie? – zapytał po angielsku.

Postać uwolniła się jednym szarpnięciem. Zrywając się na równe nogi, mocno potrąciła Abła. Jednocześnie rzuciła przekleństwo, które zabrzmiało po rosyjsku albo w każdym razie po wschodnioeuropejsku.

Abel zatoczył się w tył. Mężczyzna uderzył go w ramię i jednocześnie zadał cios w pierś. Jego pięść była twarda jak kamień. Gdy Abel jeszcze łapał oddech, tamten już biegł wzdłuż uliczki, kierując się w stronę ceglanego łuku.

*Albo ma koci wzrok, pomyślał Abel, albo świetnie się tu rozeznaje.*

Wiele się nie zastanawiając nad tym, co robi, rzucił się w pogoń za niewyraźną postacią. Ale mężczyzna był szybki.

Kiedy Abel dotarł do ceglanego łuku, nie zobaczył już niczego w mrocznym świetle latarni.

– Biagio! – krzyknął Abel. – Zatrzymaj go!

– Co się dzieje?! – odkrzyknął Solarino.

– Ktoś biegnie w twoją stronę! Zatrzymaj go!

W uliczkach zadudniły kroki. Abel biegł za nieznajomym, a Solarino najwidoczniej zawrócił i biegł mu naprzeciw. Napastnik znalazł się w pułapce. Ale gdy Abel po dwustumetrowym sprincie w mroku dotarł do początku uliczki, zastał tam tylko Solarina.

Jego włoski kolega siedział w kucki na ziemi z twarzą wykrzywioną bólem. Ciężko dysząc, łapał oddech i nie mógł wydusić z siebie ani jednego zrozumiałego słowa.

– Gdzie on jest?! – krzyknął Abel, który też ledwo dyszał.

Solarino pokazał za siebie.

– Walnął mnie w splot słoneczny – wykrztusił wreszcie.

– Widocznie to jego ulubiony cios – stwierdził Abel. – Na szczęście nie trafił mnie jak należy.

Solarino wstał z trudem i oparł się o mur. Ostrożnie dotykał klatki piersiowej.

– Przynajmniej nie połamał mi żeber – powiedział. – Ale mówię ci, facet ma siłę niedźwiedzia. To samo powtarza zawsze Gino: Savio jest silny jak Goliat.

– Więc myślisz, że to był jego wydziedziczony przyrodni brat? – spytał Abel. – Rozpoznałeś go w tych ciemnościach?

– Widziałem tylko cień. Ale miał posturę Savi i jego niezbyt miły sposób bycia. I kto inny miałby powód, żeby czatować przed pensjonatem Gina? Twój seryjny kiler znów jest już od dawna w powietrzu

albo nawet wylądował na drugim końcu Europy. Poza tym jest co najmniej o głowę niższy. – Solarino wzruszył ramionami. – Zdrowy rozsądek podpowiada mi, że to mógł być tylko Savio Barbarini.

Abel miał wątpliwości, ale nie wypowiedział ich na głos. I wcale nie był już taki pewny, czy nieznajomy rzeczywiście przeklął ze wschodnioeuropejskim akcentem. Intuicja mówiła mu, że Solarino się myli. Ale dobrze wiedział, że intuicja najczęściej rozplywa się w powietrzu, kiedy tylko próbuje się ją zgłębić. Tak więc nie trwonił czasu na dalsze rozważania, tylko zauważył:

– Zdrowy rozsądek również może wprowadzać w błąd.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 14.15**

Kiedy Victorowi Mercierowi położono na stole akta podwójnego morderstwa w Orly Ville, myślami był już na summer party, które jego żona wydawała dzisiaj wieczorem w ich mieszkaniu z tarasem w 19. Dzielnicy. Kwartał wokół Parc de Buttes-Chaumont może nie był najlepszą okolicą w Paryżu, ale wobec szalonych czynszów mogli być zadowoleni, że nie znaleźli się w jednej z cieszących się złą sławą dzielnic albo w którymś z sypialnianych osiedli na obrzeżach miasta, jak na przykład Orly Ville, które w dodatku leżało w bezpośredniej bliskości lotniska.

Skoro jako *capitaine* policji w paryskiej prefekturze tylko z trudem mógł pozwolić sobie na w miarę przyzwoite mieszkanie w mieście, w którym miał dbać o bezpieczeństwo i porządek, to znaczy, że coś tu było nie tak. Victor był o tym święcie przekonany. Ale nie zamierzał litować się nad sobą ani głośić rewolucyjnych haseł, i to różniło go od zawsze gotowej do strajku większości współobywateli.

Jeśli człowiek zawodowo ma styczność z twardą stroną życia, powinien być jeszcze bardziej twardy, również dla siebie. Mercier pochodził z prostej rodziny i dzięki surowej samodyscyplinie doszedł aż do szczebla dowódczego w paryskiej prefekturze policji. Na dzisiejszy wieczór zaprosili również swojego przełożonego, wiceprefekta Paryża. Mercier bardzo się denerwował, czy *sous-préfet* Auguste Saurat naprawdę zaszczyli ich letnie party swoją obecnością.

„Nasze przyjęcie”, powiedziała wczoraj Julie, co Mercier uznał jednak za lekką przesadę. Ich mieszkanie składało się z trzech małych pokoi i wychodzącego na ponure podwórze tarasu.

Skinął na porucznik Lilou Maran, pochodzącą z Martyniki koleżankę, i ruszyli w drogę do Orly. Na miejscu zbrodni była już ekipa zabezpieczenia śladów, lekarz sądowy czekał w gotowości, kiedy będzie się mógł rzucić na zwłoki.

À propos, pomyślał Mercier. *Przecież wczoraj przyszedł ten mejl od tego niemieckiego lekarza sądowego Freda... nie Astaire'a... Freda Abla.*

Mercier poznał go kilka lat temu na kongresie w Paryżu i był pod wrażeniem kryminalnego wyczucia Abla. Poza tym pamiętał ożywioną rozmowę, którą prowadzili wieczorem przy kieliszku czerwonego wina. Abel opowiadał dobrym francuskim o rzeczywistości życia w stolicy Niemiec. Gdy wspomniał o cenach nieruchomości, Mercier omal się nie rozplakał.

Lilou Maran prowadziła granatowego citroëna C6 w ślamazarnym popołudniowym ruchu. W tym czasie Mercier przywołał z pamięci mejl, który Abel rozesłał wczoraj na swoim portalu społecznościowym. W Orly popełniono podwójne morderstwo, więc prawdopodobnie ta zbrodnia nie szła na konto seryjnego kilera Abla.

Ale niektóre szczegóły, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wydawały się pasować. Przede wszystkim bliskość lotniska od miejsca popełnienia zbrodni oraz ciemny kolor skóry podejrzanego, którego opisali naoczni świadkowie.

*Tyle że w Paryżu co druga osoba miała ciemny kolor skóry*, pomyślał Mercier, zerkając na koleżankę.

Klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, a pot jeszcze szybciej spływał po plecach Merciera. Ale najwidoczniej Lilou Maran nie widziała nic złego w morderczym upale. Miała metr osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i figurę lekkoatletki. Jej skóra była ciemnobrązowa jak łupina jadalnych kasztanów. Natomiast według zeznań naocznych świadków morderca z Orly był „czarny jak atrament”, co znów pasowało do rysopisu z mejla Abła.

– Dodaj gazu, Lilou – poprosił. – Chyba nie chcesz, żebym się spóźnił na własne party?

Uśmiechnęła się. Oczywiście Lilou też była zaproszona. Była od niego znacznie młodsza, akurat skończyła trzydzieści jeden lat. W prefekturze przebąkiwano, że mają ze sobą romans i mimo swoich pięćdziesięciu lat Mercier nie miałby nic przeciwko flirtowi z uderzająco piękną koleżanką. Ale wiedział z doświadczenia, że coś takiego skończyłoby się tylko awanturą w domu i kłopotami u przełożonych. A ze swoimi szpakowatymi włosami i całkowicie siwymi wąsami na pewno wyglądałby przy młodej Karaibce dość śmiesznie. Zwłaszcza że był od niej o pół głowy niższy.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Sobota 11 lipca godz. 14.24**

Nie pierwszy raz Franco szukał schronienia w tym małym hoteliku w pobliżu stacji metra Tolbiac. W zasadzie był to tylko pensjonat na pierwszym piętrze zaniedbanego starego budynku z ośmioma pokojami i małą łazienką na końcu korytarza. Ubikacja była przeważnie zatkana, a brodzik pod prysznicem porośnięty pleśnią, co rzucało się w oczy nawet Francowi.

Kiedy zawitał tu pierwszy raz, Johnny Chang, chiński administrator hotelu, popatrzył na niego nieufnie.

– Ale nie sprawi mi pan kłopotu?

Franco nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Jest pan pierwszą osobą, które chce pokój tylko na trzy noce – wyjaśnił Chang. Franco w końcu zajarzył. Większość gości wynajmowała pokoje na jedną lub dwie godziny; gdy ktoś brał pokój na całą noc, musiał zapalać naprawdę silnym uczuciem. Ale dziewczyny, które szły z nimi na górę, były prawie zawsze te same.

Azjatyckie dziewczyny. Drobne jak dzieci, nawet jeśli miały jaskrawy makijaż i nosiły minispódniczki, pod którymi było widać gołe pośladki.

Franco godzinami oglądał z okna, jak Chinki dreptały tam i z powrotem przy krawężniku po Avenue de Choisy. Jak kręciły małymi tyłeczkami i poprawiały chude drobniutkie piersi w topach kupowanych w dziale odzieży dziecięcej. Za każdym razem wzbierał w nim gniew, kiedy tam na dole zatrzymywała się limuzyna jakiegoś bufona, biały dupek pochylał się do okna pasażera i władcym gestem kazał wsiąść którejś z dziewczyn. W zimne pory roku dziewczyny częściej zaciągały frajerów na górę do pensjonatu. Ale faceci, którzy zostawali tu z dziewczynami, niemal zawsze byli biedakami w tanich ciuchach. Gdy wchodzili po schodach z chińską dziwką, prawie srali w spodnie z podniecenia.

Hotel nazywał się Nouveau Asia i leżał w środku chińskiej dzielnicy. Pierwszy raz Franco zatrzymał się tu kilka lat temu, po tym jak Nasir wściekł się z powodu kilku bryzgów krwi w jego gównianej furgonetce. I jeszcze kilka razy później, ponieważ jego brat znów tracił panowanie nad sobą i groził, że rzuci go na pożarcie glinom.

I teraz znów tu był, w Nouveau Asia. Kiedy wysiadł z samolotu na Orly, w zasadzie zamierzał pojechać prosto do domu, do swojej rodziny przy Rue Cavé. Powiedział sobie, że Nasir na pewno już się uspokoił, a gliny od dawna ganiają za jakimiś innymi idiotami.

Ale potem wyszło jednak inaczej. Franco wciąż był w szoku, gdy pomyślał o tym, jak w drzwiach dużego pokoju pojawiła się nagle ta druga stara smoczyca. Jak pomarszczona zdzira darła się, dopóki jej gardło nie zamieniło się w krwawą breję. I jak wtedy on krzyczał, kiedy po raz pierwszy dobrze przyjrzał się tej starej raszpli.

*Kurwa, kurwa, kurwa, pomyślał, zakatrupił własną matkę!*

Usiadł w kucki w kącie, przycisnął dłonie do twarzy i chlpał jak dziecko. Dopiero po trwającej

wieczność chwili wstał i jeszcze raz przyjrzał się trupowi.

*Co za kretyn ze mnie, powiedział do siebie. Przecież to stare pudło nawet za grosz jej nie przypomina!*

Potem przypatrywał się jeszcze kilka razy. Za każdym razem jej wygląd zmieniał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Raz była sobą, potem kimś innym, potem znów sobą. Był całkiem skołowany, teraz też czuł się roztrzęsiony, gdy zajął stanowisko przy oknie w pokoju w pensjonacie Nouveau Asia.

Ale widok dziewczyn na dole przy krawężniku go uspokoił. Drżenie rąk ustąpiło. Wiedział, że chińskie dziewczyny za każdym razem mają na niego taki wpływ.

Mógł je obserwować, nie wyobrażając sobie, że tnie na nich ubranie. A potem obdziera ze skóry do żywego mięsa. A potem to mięso odcina od kości. Nie, nic z tych rzeczy.

Prawdopodobnie wiązało się to z tym, że wyglądały jak dzieci. Ale decydującym powodem było zapewne to, że w jakiś sposób czuł, że mają ze sobą coś wspólnego.

*Jestem taki jak wy, myślał Franco. Praktycznie Azjata. I Nouveau Asia pasuje mi w stu procentach. Tu jest moja nowa azjatycka ojczyzna.*

W pewnym sensie obserwowanie białych dupków na dole na ulicy, jak rzucali się na azjatyckie dziewczyny, nawet go zaspokajało. Jak swoimi wypasionymi limuzynami zatrzymywali się przy krawężniku, wypychali z nich małe chińskie kurwy i rzucali za nimi jeszcze kilka obelżywych przekleństw.

*Tak samo jak robili to wtedy mnie, pomyślał Franco.*

Prawie wykręcił sobie szyję, żeby nie stracić z oczu rządowej limuzyny, do której zaproszono trzy chińskie dziewczyny naraz.

– Nie potrzebujemy tu żadnych Azjatów – naskoczył na niego major przed całym oddziałem.

W pierwszej chwili Franco prawie wyszedł z siebie.

– Nie jestem żadnym parszywym Azjata! – wrzeszczał, a cała zgraja tylko rechotała.

Właściwie do dziś nie rozumiał, co majorowi przyszło do głowy, żeby zwymyślać go od Azjatów. Być może Franco zmrużył oczy, ponieważ oślepiło go słońce. Albo chodziło po prostu o to, że był niewiele wyższy niż większość Chińczyków.

*Mam to gdzieś, pomyślał Franco. W pewnym sensie ten pieprzony major miał nawet rację. Skoro tutaj w Nouveau Asia czuję się jak w domu.*

Poza tym gliny na pewno nie wpadną na pomysł, żeby szukać go właśnie tu, w chińskiej dzielnicy.

**Orly Ville**  
**Mieszkanie Eloïse Leforêt**  
**Sobota 11 lipca godz. 15.05**

Na pierwszy rzut oka Orly Ville było typowym francuskim prowincjonalnym miasteczkiem. Schludne jednorodzinne domy z bujnymi ogrodami grupowały się wokół centrum, gdzie każdego wieczoru o dziesiątej można było odnieść wrażenie, że za chwilę ktoś zdemontuje niepotrzebne nikomu chodniki i złoży je w piwnicy ratusza.

Jeśli ktoś przyjrzałby się dokładniej, zauważyłby tanie bloki mieszkalne wzniesione dla dużo mniej mieszczańskiej klienteli. A gdyby ktoś próbował się jeszcze zastanowić, czy Orly Ville może jednak jest miejscem, w którym człowiek chciałby się osiedlić, nad głową rozlegał się grzmot pierwszych odrzutowców. Tak nisko nad dachami domów, że praktycznie można było oceniać jakość spawów na dolnej części kadłubów lądujących airbusów.

Hałas powodowany przez samoloty nie docierał już do Eloïse Leforêt. Siedem lat temu przeprowadziła się do osiedla dla seniorów z zapewnioną pełną opieką i w następnym tygodniu skończyłaby osiemdziesiąt trzy lata. Według zeznania Lai Gourcouff, jej pochodzącej z Algierii opiekunki, Eloïse Leforêt „zawsze dobrze się czuła” w swoim mieszkaniu.

*Dama o skromnych wymaganiach albo z godnym pozazdrosczenia talentem do dostosowywania się do panujących warunków*, pomyślał *capitaine* Victor Mercier, kiedy razem z Lilou Maran przyjechał na miejsce popełnienia przestępstwa.

Cały kompleks mieszkalny sprawiał obskurne wrażenie. Był jednym z tych tanich betonowych budynków, które już krótko po pierwszym zasiedleniu wyglądały, jakby potrzebowały remontu. I dlatego nikt nigdy nie troszczył się o ich bieżącą konserwację. Z fasady odpadała farba w kolorze zielonej soczewicy, co właściwie było tylko zaletą. Klatka schodowa i niekończące się korytarze były zaniedbane. Jeśli ktoś za długo pozostawał w bezruchu na brudnej sztucznej wykładzinie podłogowej, praktycznie się do niej przyklejał.

Mercier i Lilou Maran odbierali zeznania od Lai Gourcouff w kuchni dla personelu opiekuńczego. Mowa tu o pozbawionej okien wnęce na trzecim piętrze, na którym znajdowało się mieszkanie Eloïse Leforêt. Na miejscu zbrodni był jeszcze lekarz sądowy, który oglądał zwłoki. Również koledzy z ekipy zabezpieczania śladów nie skończyli jeszcze swojej pracy.

Laia Gourcouff rozdygotaną ręką nalała sobie herbaty do kubka. Miała trzydzieści kilka lat i od pięciu lat pracowała w firmie oferującej usługi pielęgniarstwa. Jej fartuch miał ten sam zielony kolor co fasada budynku. Nie lepiej wyglądała jej twarz. Najwyraźniej widok, jaki zobaczyła w mieszkaniu starszej pani, porządnie odbił się na jej żołądku.

– Po prostu proszę opowiedzieć nam, co się wydarzyło – zwrócił się do niej Mercier, kiedy usiedli we troje przy stoliku do herbaty.

Laia Gourcouff zaczęła mówić, jękając się. Miała klucz do mieszkania madame Leforêt, jak również



do wielu innych lokali w budynku.

O dwunastej czterdzieści, jak każdego dnia, zadzwoniła do starszej pani, aby pomóc jej przygotować obiad.

– Byłam ciekawa, czy przyjechała już jej przyjaciółka z młodości – tłumaczyła. – Chodziły razem do szkoły. Madame Farès chciała przyjechać z Marsylii, ponieważ madame Leforêt miała urodziny. A raczej miała mieć, gdyby ten...

Przerwała raptownie. Mercier bez trudu wyczytał z jej twarzy, że znów nasza ją fala nudności.

Kiedy Lilou Maran położyła rękę na jej ramieniu, pielęgniarka wzdrygnęła się i jeszcze szerzej otworzyła oczy. Mercier wymienił spojrzenie z koleżanką. Najwidoczniej Laia Gourcouff była w szoku.

– Madame Farès pochodzi z Maroka – kontynuowała, jękając się, opiekunka. – Madame Leforêt opowiedziała mi całą historię. Jej przyjaciółka przyjechała do Marsylii i trafiła do klasy madame Leforêt. Madame zajęła się nią serdecznie i tak narodziła się przyjaźń na całe życie.

Przerwała i gapiła się na Merciera. Z jej oczu płynęły łzy.

– A potem przeniosła się tutaj... a potem to straszne...

Mercier i Lilou Maran czekali, aż pielęgniarka znów trochę dojdzie do siebie.

W przedpokoju mieszkania zobaczyła oba ciała, madame Leforêt zaraz za drzwiami do mieszkania, madame Farès z nogami w korytarzu i tułowiem w dużym pokoju. Gdy Laia Gourcouff zobaczyła zwłoki, z miejsca pobiegła z krzykiem do kuchni dla pracowników, gdzie na szczęście siedziało kilka jej koleżanek. Jedna z nich natychmiast wyjęła komórkę i zadzwoniła na numer alarmowy.

– Na Boga, kto robi coś takiego – wyszeptała pielęgniarka. – Myślę, że nie chciał jej po prostu zabić tylko po to, żeby ją okraść, czy coś takiego. To, co zrobił z madame Farès...

Ponownie zamilkła. Mercier kazał policjantom, którzy zabezpieczali miejsce zbrodni, krótko naszkicować sytuację, jaką tu zastali. To, co sprawca zrobił ze zwłokami, faktycznie było dziwne.

*Jak w psychothrillerze, pomyślał Mercier.*

Ale wydawało się, że seryjny kiler Freda Abela nie miał z tą sprawą nic wspólnego. W każdym razie Abel w swoim mejlu ani słowem nie wspomniał, że poszukiwany przez niego seryjny morderca dekoruje zwłoki swoich ofiar biżuterią.

– I na pewno nie weszła pani do mieszkania? – upewnił się Mercier.

– Nie, po co? Za nic w świecie! – wyrzuciła z siebie pielęgniarka i znów z jej oczu popłynęły łzy.

– Ona potrzebuje opieki psychologa – zwrócił się Mercier do koleżanki. – Zajmiesz się tym?

Lilou Maran skinęła głową. Patrzyła na Laię Gourcouff ze współczuciem, dzwoniąc do psycholożki z policyjnego pogotowia.

– *Capitaine Mercier?! – krzyknął ktoś w korytarzu.*

Głos wydał mu się znany, chociaż nie potrafił natychmiast skojarzyć twarzy i nazwiska.

Wstał i wyszedł przed drzwi. Po rozbrzmiewającej echem betonowej podłodze szedł w jego kierunku silnie zbudowany mężczyzna z kocią bródką. Miał na sobie kombinezon sekcji zabezpieczania śladów, co w tej temperaturze musiało być torturą. Kiedy zsunął z głowy kaptur, Mercier już wiedział, kogo ma przed sobą.

Był to doktor Charles Dupont, jeden z najdłużej pełniących służbę lekarzy sądowych w Paryżu. Dupont spędził kilka lat na Haiti, aby pomóc pogrążonemu w chaosie wyspiarskiemu państewku, podnoszącemu się po trzęsieniach ziemi, epidemiach i brutalnych napaściach grasujących tam band morderców, w odtworzeniu jako tako działającej służby lekarzy sądowych. Mercier słyszał plotkę, że doktor Dupont rozwiązał kontrakt z haitańskim ministerstwem zdrowia przed jego wygaśnięciem, ponieważ przygnębiała go ogromna liczba zmarłych.

„W którymś momencie człowiek zaczyna wyraźnie odczuwać przewagę śmierci i zmarłych – powiedział po powrocie do swoich kolegów. – Wtedy najwyższy czas zmienić klimat, zanim to doświadczenie zmieni kogoś na zawsze”.

Idąc, Dupont wyciągnął prawą dłoń w plastikowej rękawiczce.

– Capitaine – rzucił i potrząsnął ręką Merciera. – Właśnie odkryłem coś dziwnego. Musi pan to koniecznie zobaczyć.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Sobota 11 lipca godz. 15.25**

Marie Lindweg stała przy oknie sali, w której leżała Lilly, i nie wierzyła własnym oczom. Lars był wolny! Biegł szybkim krokiem szeroką aleją pomiędzy szpitalnymi budynkami. Zawsze był dobrym biegaczem, ale dzisiaj przeszedł sam siebie. Sadził ogromnymi susami przez aleję.

Był najwyżej pięćdziesiąt metrów od wejścia do kliniki dziecięcej, kiedy stało się coś strasznego. Widocznie na dole od niedawna była szklana ściana, która ciągnęła się w poprzek drogi. Lars wpadł na nią z pełnym impetem. Jego twarz momentalnie zalała się krwią. Osuwając się w dół, zostawiał szeroką smugę krwi na szkle. I leżał bez ruchu na ziemi.

*O Boże, pomyślała Marie, muszę mu pomóc! Aha, Lilly! – przemknęło jej przez głowę. W żadnym wypadku nie może się dowiedzieć, co się stało.*

Odwracając się do córki, zmusiła się do spokojnego uśmiechu.

Dziewczynka naciągnęła kołdrę na twarz. Jeszcze nigdy tego nie robiła i nie był to dobry pomysł, bo teraz już tylko z najwyższym trudem łapała powietrze.

– Kochanie – powiedziała cicho Marie, podchodząc do łóżka. – Zjadę na krótko na dół, żeby rozprostować nogi.

Pochyliła się do przodu, ściągnęła kołdrę z twarzy Lilly i wtedy krzyknęła i zakryła usta dłonią. Jak sparalizowana wpatrywała się w miejsce, gdzie powinna znajdować się twarz córki. Ale była tam tylko błąda jak księżyc tarcza z pustymi oczodołami.

*Dobry Boże, pomyślała Marie. Larsowi prawie się udało, a teraz oboje nie żyją!*

Kiedy doszła do siebie, serce waliło jej jak młotem. Dopiero stopniowo dotarło do niej, że to tylko sen. Usnęła w fotelu obok łóżka Lilly. Jej włosy, jej T-shirt, wszystko było mokre od potu.

Wstała i nachyliła się nad córką. W pokoju panował taki mrok, że ledwo widziała, czy Lilly ma otwarte oczy. Żeby jej nie obudzić, gdyby wreszcie udało się jej zasnąć, Marie tylko po cichu zapaliła lampkę. Lilly leżała spokojnie, miała zamknięte oczy i maskę tlenową na nosie i ustach.

*Ale nie oddycha!* Marie pochyliła się niżej nad Lilly. Przy każdym oddechu przezroczysta maska powinna pokrywać się parą, tymczasem teraz była zupełnie przejrzysta!

*Tak przejrzysta jak szklana ściana w moim śnie.*

– Lilly! – Marie delikatnie potrząsnęła ją za ramię. – Kochanie, obudź się!

Lilly nie zareagowała i Marie zaczęła krzyczeć.

– Lilly! Na pomoc! Ona nie oddycha!

Trzęsąc się dłonią nacisnęła przycisk alarmu.

– Szybko! Siostro! – krzyczała. – Trzeba wezwać lekarza! Lilly przestała oddychać!

Zerwała córce maskę i przycisnęła wargi do jej ust. Wdmuchiwała powietrze do płuc Lilly. Oprócz tego przycisnęła dłonie do kościstej klatki piersiowej Lilly i uciskała z całej siły.

– Dobry Boże, co pani wyprawia?

Ktoś odciągnął ją do tyłu. Kiedy się obejrzała, pokój był pełen lekarzy, sióstr i pielęgniarzy.

– Proszę natychmiast znów nałożyć dziecku maskę. – Był to głos ordynatora doktora Wilzoka, który wyglądał bardziej na rozgniewanego niż zatroskanego. – Co pani wyprawia, pani Lindweg?

– Ale ona nie... ona nie... – wyrzuciła z siebie Marie.

Jej wzrok padł na Lilly, która wielkimi oczami patrzyła to na nią, to na doktora Wilzoka. Lilly z trudem oddychała pod maską, ale bez wątpienia żyła i była przytomna.

– Wszyscy wiemy, co pani przeżywa, ale proszę w żadnym wypadku więcej tego nie robić – odezwał się ordynator trochę delikatniejszym tonem.

Marie patrzyła to na Lilly, to na okno, i znów na łóżko córki. Była totalnie zagubiona. Serce waliło jej jak szalone. Czuć było od niej woń potu.

– Śniło mi się – wymamrotała pod nosem, bardziej do siebie niż do lekarza. – To był straszne sen... Lilly...

Doktor Wilzok zrobił dwa kroki i stanął tuż obok niej.

– Damy pani coś na uspokojenie. Bardzo łagodny środek, żeby trochę zmniejszyć stres, okej?

Marie przyglądała się apatycznie, jak siostra przygotowuje jej ramię do zastrzyku. Jednocześnie znów miała przed oczami Larsa, jak osuwa się zakrwawioną twarzą po szkle. I jak ona ściąga kołdrę z twarzy Lilly i jest tam tylko blada tarcza z pustymi oczodołami.

Dopiero gdy doktor Wilzok przykucnął obok niej, żeby włożyć igłę w jej żyłę, Marie znów doszła do siebie. Zerwała się na równe nogi i wytrąciła ordynatorowi strzykawkę z ręki. Kiedy uderzyła metalową bransoletką zegarka w igłę, rozległ się charakterystyczny dźwięk. Nie planowała tego, ale bardzo dobrze się stało. Strzykawka potoczyła się po podłodze.

– Niech pan sam zrobi sobie ten pieprzony zastrzyk! – zaczęła krzyczeć Marie. – Nie chcę być spokojna, chcę, żeby wypuścili Larsa! Zamieszczę na YouTube film, żeby wszyscy zobaczyli, jaką wstrętną grę tu z nami prowadzicie! Lars ma się tu zjawić, dopóki Lilly jest jeszcze przytomna!

– Mamo – mówiła Lilly, ciężko dysząc. – Mamo, ja nie chcę. Proszę cię, przestań tak krzyczeć!

Ale Marie jej nie słuchała. Krzyczała i krzyczała i wciąż krzyczała, nawet gdy dwie pielęgniarki wyprowadziły ją na korytarz.

– Wypuście Larsa i przyprowadźcie go tutaj! – krzyczała Marie.

Dostała spazmów, kiedy obie siostry prowadziły ją do pokoju wypoczynkowego dla członków rodzin.

– Wiemy, co pani przeżywa, pani Lindweg – powiedziała jedna z sióstr.

– Ale musi pani spróbować zachować rozsądek – dodała druga.

Tym razem Marie nie broniła się przed zastrzykiem uspokajającym.

– Wypuście go albo się zdziwicie – wymamrotała i w następnej chwili zapadła w sen.

**Bari**  
**Medicina Legale, Universita degli Studi**  
**Sobota 11 lipca godz. 15.40**

W biurze Solarina w Instytucie Medycyny Sądowej było zimno jak w grobie. I niewiele mniej ciemno. Okiennice były zamknięte ze względu na panujący na zewnątrz saharyjski upał. Z lampy pod sufitem sączyło się przytłumione światło. Szkielet obok drzwi, różne czaszki zmarłych na regałach i afrykańskie totemy w każdym wolnym miejscu zapewniały atmosferę jak w staromodnym filmie grozy.

*W takim wnętrzu wcześniej czy później sam uwierzyłbym w duchy, pomyślał Abel.*

Solarino zaczął rozwodzić się nad jednym ze swoich ulubionych tematów: opowieściami o ludziach, którzy po bliskim doświadczeniu śmierci „wrócili z tamtego świata”.

– Medycyna sądowa mogłaby wyciągnąć z tego olbrzymie korzyści – dowodził właśnie, kiedy zadzwoniła komórka Abla.

– To *capitaine* Mercier z prefektury policji w Paryżu – powiedział Abel, patrząc na wyświetlacz. – Rozmowa wideo.

Solarino patrzył na niego wyczekująco. On też od razu zrozumiał, co oznacza ten telefon.

*Kiler znów zaatakował.*

Ablowi przyśpieszyło tętno, gdy odebrał rozmowę. Na wyświetlaczu ukazała się twarz Merciera z imponującymi siwymi wąsami.

– *Bonjour, monsieur* Abel – odezwał się *capitaine* wyraźnie podekscytowany. – Najwyraźniej pańskiego seryjnego mordercę zanośli do Francji.

– *Bonjour, monsieur le capitaine!* – odpowiedział po francusku Abel.

Kiedy studiował w Lozannie, mówił płynnie po francusku. Co prawda było to wiele lat temu, ale w jego berlińskim kręgu znajomych było kilku francuskich emigrantów, z którymi od czasu do czasu rozmawiał w ich ojczystym języku, więc jego francuski nie całkiem zardzewiał.

– Na ile jest pan pewny, że najnowszą ofiarę wyszukał w Paryżu? – Abel przełączył swój blackberry na tryb głośnomówiący i oparł telefon o szkaradną figurkę ducha stojącą na biurku Solarina. W ten sposób mógł widzieć na wyświetlaczu Merciera i jednocześnie sam znajdował się w obiektywie aparatu swojej komórki.

– Dwie ofiary – skorygował Mercier. – Obie płci żeńskiej, osiemdziesiąt dwa i osiemdziesiąt trzy lata. I jak najbardziej jestem prawie pewny, że zrobił to pański sprawca. Jedna z ofiar ma jego podpis. Niech pan sam zobaczy.

Mercier zniknął z ekranu. Przez kilka sekund obraz był rozmyty, potem obiektyw znów złapał ostrość.

– Tym razem kiler nie posłużył się szminką – zabrzmiał z offu głos Merciera. – I użył dużo mniejszego pisma. Ale treść jest ta sama co przy innych zabójstwach. O, tu, na wewnętrznej stronie ramienia madame Leforêt. Widzi pan, monsieur Abel?

Abel wpatrywał się zdumiony w mały ekran.

– Może pan pokazać bliżej?

Francuz zrobił zbliżenie na podpis. Teraz Abel dokładnie widział napis.

„Respectez Asia”.

– Wyciął wiadomość na jej skórze – powiedział Mercier.

Napis ciągnął się od zagięcia ręki do pachy starej kobiety i wyglądał na wykonany jeszcze bardziej drżącą ręką niż w przypadku wcześniejszych morderstw. Lecz powodem tego była zapewne również krew, która podczas pisania wyciekała z ciała ofiary.

– Zmienił swój dotychczasowy modus operandi. Ale nawet jeśli teraz zmienił swój styl działania, bez wątplenia jest to jego podpis – podsumował Abel. – Może pan coś powiedzieć o czasie zgonu?

– Praktycznie zwłoki są jeszcze ciepłe – odparł Mercier. – Dupont ocenia, że obie kobiety zostały zamordowane dzisiaj, między jedenastą a trzynastą.

– Czyli maksymalnie pięć godzin temu. Przylecę do Paryża tak szybko, jak się da. – W tej chwili puls Abła przyśpieszył co najmniej dwukrotnie.

– Biagio – odezwał się cicho – możesz dowiedzieć się, kiedy odlatuje najbliższy samolot do Paryża?

Solarino skinął głową i włączył laptopa.

– Czego użył do pisania? – Abel znów zwrócił się do Merciera. – Noża?

– Prawdopodobnie czubka noża albo grubej igły, a może końca śrubokręta – odpowiedział Mercier. – Dupont jeszcze tego nie ustalił. Wciąż jesteśmy na miejscu zbrodni, widzi pan?

Kamera znów się obróciła.

*Kolega Dupont, przeszło Ablowi przez głowę. Czy to nie on chciał postawić na nogi medycynę sądową na Haiti?*

Na wyświetlaczu było widać poruszony obraz małego korytarza. Ofiara, której kiler wyciął napis na ramieniu, leżała w wąskim pomieszczeniu na plecach. Miała na sobie bluzkę bez rękawów. Ramię było wyciągnięte poziomo, dlatego napis było dobrze widoczny. Z tyłu, na prawo, w otwartych drzwiach do dużego pokoju, leżało drugie ciało.

– Druga ofiara jest ciemnoskóra – kontynuował Mercier. – Nazywa się Mansura Farès. Sprawdziliśmy jej tożsamość: madame Farès pochodzi z Maroka, a dokładnie mówiąc z Marrakeszu. Mniej więcej siedemdziesiąt lat temu wyemigrowała do Francji z rodzicami i rodzeństwem. Dorastała w Marsylii i tam później wyszła za mąż za rodaka z Maroka.

Mercier podniósł się znad zwłok madame Leforêt i przeszedł w głąb mieszkania do drugiej ofiary.

– Widzi pan? – zapytał. – Ma czarny kolor skóry.

Wyświetlacz znów pokazywał tylko rozmyte kształty. Potem obraz się wyostrzył, a widok, który się teraz ukazał, sprawił, że Abel niemal zapomniał o oddychaniu.

Skóra madame Farès w rzeczywistości była czarna jak świeża sadza.

Ale nie dlatego wpatrywał się zdziwiony w ekran swojego smartfona.

– Czy na pewno nikt niczego nie zmienił? – zapytał.

– Ofiary znalazła pielęgniarka – odparł Mercier. – Zeznała, że niczego nie dotykała. Uważam, że jest wiarygodna.

Abel nabrał głęboko powietrza. Druga ofiara, madame Farès, także leżała na plecach. Ale inaczej niż w przypadku madame Leforêt, sprawca udekorował jej twarz w nad wyraz osobliwy sposób.

Przykrył jej oczy broszkami wielkości motyla. Nad czołem położył jak diadem łańcuszek pereł. Dużą część reszty twarzy pokrywały pierścionki i bransoletki. Na tułowiu, nad którym powoli pochylał się z kamerą Mercier, morderca rozłożył kolejne egzemplarze biżuterii.

– *Undoing?* – zastanawiał się Abel. – Symboliczne cofnięcie tego, co się zrobiło. A pan jak myśli, monsieur Mercier?

– Całkiem możliwe. – Francuz odwrócił telefon i znów pojawił się na ekranie. – W każdym razie jest to podpis psychopaty. Prawdopodobnie w swoim obłędzie czuł się obserwowany przez zamordowaną,

gdy przeszukiwał mieszkanie albo kiedy wykonywał swój podpis na ramieniu drugiej ofiary.

– W każdym razie coś musiało go łączyć z madame Farès, o tym świadczy *undoing*. Mógł ją nawet znać osobiście – powiedział Abel. – Być może jest nawet jego krewną, z którą celowo spotkał się u madame Leforêt.

– To mogłoby znaczyć – uzupełnił Mercier – że on też mieszka tu w Paryżu.

Adrenalina uderzyła do żył Abła z taką mocą, że aż oblał się potem.

– Przyjadę bezpośrednio na miejsce zbrodni. Jeśli to możliwe, proszę zostawić tam wszystko tak, jak jest teraz. Każdy nawet najmniejszy detal może naprowadzić nas na ślad.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewnił Mercier.

Ale jego twarz z gęstymi wąsikami wyglądała wyjątkowo nieszczęśliwie. Abel zastanawiał się, czy Mercier obawia się, że przez jego wtrącenie się do sprawy może wpaść w kłopoty. Ale nie sądził, by tak było. W każdym razie, gdy kilka lat temu spotkał *capitaine* na kongresie, ten dał się poznać jako odważny policjant kryminalny.

– O której ląduje pan na Orly? – zapytał Mercier.

Abel spojrzał pytająco na Solarina. Włoch wystukał końcowe staccato na klawiaturze i zakomunikował:

– O osiemnastej trzydzieści pięć na Orly. Lot Air Berlin. Czy to nie dobry omen, Alfredo!

Abel przekazał dalej godzinę przylotu i nazwę linii lotniczej. Mercier wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Wszystko jasne – odezwał się grobowym głosem. – Każę odebrać pana z lotniska.

Abel podziękował mu i zakończył rozmowę. Wstał i rozejrzał się za swoją walizką. Przewornie wymeldował się już wcześniej z pensjonatu i zabrał ze sobą bagaż.

Wkrótce obaj karabinierzy wieźli go na lotnisko z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, którą się wyraźnie czuło. Podczas jazdy Abel zabukował poprzez aplikację Air Berlin bilet do Paryża.

– Będzie dużo prościej, jeśli zawiozą cię prosto na pas startowy – powiedział na pożegnanie Solarino z uśmiechem, o którym nie bardzo było wiadomo, co oznacza. Abel potraktował to jako żart, ale faktycznie zatrzymali się z piskiem opon dopiero pod lewym skrzydłem jego samolotu.

U stóp schodków czekała pracownica Air Berlin, której Abel pokazał dokument tożsamości. Wręczyła mu bilet, a w tym czasie pracownik ochrony sprawdził, czy nie ukrył w kieszeniach broni albo materiału wybuchowego. Była to surrealistyczna sytuacja i w innych okolicznościach Abel by się z tego uśmieł. Ale w tej chwili nie miało to sensu.

Na górze schodków stała kolejna stewardesa i dawała mu energiczne znaki, żeby się pośpieszył. Abel wbiegł po schodach i opadł na swoje miejsce w klasie biznes. Ignorował spojrzenia współpasażerów, kiedy stewardesa upychała jego walizkę w schowku nad głową, a pilot przez głośnik zakomunikował:

– *Boarding completed.*

Po kilku minutach byli w powietrzu.

*Jeśli ten psychopatyczny kiler rzeczywiście pochodzi z Paryża albo nawet tam mieszka, rozważał Abel, dlaczego akurat teraz wrócił do domu? I dlaczego zabił w Orly kobietę, którą najwidoczniej znał i być może był nawet z nią spokrewniony? Przez pomyłkę czy dlatego, że właśnie ją zamierzał zabić?*

Teraz najbardziej pragnął mieć u swego boku Timo Jankowskiego.

**Orly Ville**  
**Sobota 11 lipca godz. 19.07**

Mówi Fred Abel, przepraszam, że ci przeszkadzam, Timo. Wiem, że jest sobota wieczór i masz święte prawo, żeby odpocząć. Ale jeszcze raz natychmiast potrzebuję twojej rady. – Abel siedział na tylnym siedzeniu radiowozu, który capitaine Mercier wysłał po niego na lotnisko.

– Strzelaj. Właśnie rozpaliłem grilla. Za pół godziny przychodzą goście. Jeśli steki się przypalą, powiem wszystkim, że to twoja wina.

– Zgoda – odparł Abel. – Dopóki nie mam na sumieniu cięższych grzechów, mogę z tym żyć. Posłuchaj. Nasz sprawca znów uderzył. Tym razem w Paryżu. Właśnie wylądowałem i jadę na miejsce zbrodni. Znajduje się ono bezpośrednio przy lotnisku, ale mimo to tym razem kilka rzeczy się różni. Kiler zamordował dwie kobiety. Druga kobieta przyjechała w gości. Być może jej obecność go zaskoczyła, kiedy podstępem wdarł się do mieszkania za tą drugą. Na moje oko znał drugą kobietę.

W krótkich słowach streścił Jankowskiemu sytuację.

– Drugą ofiarę ozdobił biżuterią z mieszkania. Zakrył jej oczy i dużą część twarzy. Zresztą sam zobacz.

Wysłał Jankowskiemu MMS-a ze zdjęciem madame Farès, pokazującym stan, w jakim morderca zostawił ją na miejscu zbrodni.

– Jak interpretujesz tę sytuację? – zapytał.

Najpierw Jankowski zadał mu kilka pytań.

– Mógł ją znać, jestem podobnego zdania jak ty – powiedział w końcu. – W każdym razie najprawdopodobniej coś dla niego znaczyła. Ale to nie musi znaczyć, że to właśnie ta kobieta grała jakąś rolę w jego życiu. Być może tylko przypominała mu kobietę z przeszłości. Być może matkę, babkę albo ciotkę. Ofiara mogła symbolicznie uosabiać realną postać z jego biografii.

Abel westchnął.

– Znów tylko symbolika! – wyrzucił z siebie. – Jak mam złapać tego łajdaka, jeśli zamiast prawdziwych śladów za każdym razem zostawia na miejscu zbrodni tylko inscenizacje, które mają sens wyłącznie w jego chorej głowie.

Timo Jankowski przez dłuższą chwilę milczał, jak to miał w zwyczaju.

– W każdym razie fakt, że zakrył jej oczy, oznacza, że nie powinna widzieć tego, co tam robił – wyjaśniał. – Masz rację, oceniając, że jest to forma *undoing*. Tym, że zakrył jej stężałe pośmiertnie oczy i w dosłownym znaczeniu tego słowa zasypał ją biżuterią, poniekąd cofa morderstwo, oczywiście tylko symbolicznie.

Opuścili już teren lotniska. Nieumundurowana policjantka za kierownicą przycisnęła pedał gazu. Jej kolega nachylił się do przodu i włączył koguta i syrenę.

– Ale sprawca przekracza samo *undoing*, dosłownie ukrywając jej twarz pod biżuterią – mówił dalej Jankowski. – To może oznaczać, że depersonalizuje ofiarę, a więc czyni niepoznawalnym wszystko, co przypomina mu tę konkretną kobietę. Często obserwujemy coś takiego właśnie u psychopatycznych



morderców. Wyszukują sobie ofiarę, którą symbolicznie zabijają zamiast osoby, która zadała im ból i cierpienie. I w ten sposób przeżywają swoją wymyśloną wściekłość albo zemstę, na koniec okradają takie ofiary z tożsamości, przede wszystkim zakrywając im twarze.

Abel przejechał ręką po oczach.

– Czyli wszystko to tylko udawanie? Żadnych realnych śladów?

Tym razem Jankowski odpowiedział natychmiast.

– Wręcz przeciwnie. Widocznie nie wyraziłem się precyzyjnie. W przypadku dotychczasowych morderstw twój kiler niespecjalnie się starał, żeby odindywidualizować swoje ofiary albo symbolicznie cofnąć swój czyn. Moim zdaniem może z tego wynikać, że rzeczywiście znał tę drugą kobietę w Orly. Oczywiście byłoby dobrze, gdybyś miał inne wskazówki, które wsparłyby tę interpretację.

– Mam je – stwierdził Abel. – Kobieta nazywa się Mansura Farès i pochodzi z Maroka. Ma taki sam kolor skóry co nasz kiler.

– W takim razie mogą być nawet spokrewnieni. Chociaż na razie to tylko przypuszczenie. Bardzo prawdopodobne, że nie chciał jej zabić, a przypadkowe zabójstwo z pewnością do głębi nim wstrząsnęło. Do jego hermetycznego świata obłądu wtargnęła rzeczywistość. Wyobraź sobie, że do zamkniętego naczynia nagle wpompowuje się gaz. Powstała w ten sposób mieszanka może być bardzo wybuchowa. Kiedy doszło do tego podwójnego zabójstwa?

– Najdalej osiem godzin temu – odparł Abel. – Być może nawet sześć.

– W takim razie depczesz mu po piętach – powiedział Jankowski. – Jestem dość mocno przekonany, że przyczał się teraz gdzieś w Paryżu.

– A jeśli zaraz po dokonaniu zabójstw wszedł do następnego samolotu?

– Nie sądzę – rzucił profiler. – Jeśli ona jest jego krewną, nie może to być przypadek, że prosto z lotniska udał się akurat tam, gdzie zamordował madame Farès. To miejsce musi mieć dla niego bardzo konkretne znaczenie. Ponieważ do tej pory zawsze wybierał swoje ofiary przypadkowo, niejedno przemawia za tym, że sam mieszka w Paryżu albo w bliskiej okolicy i teraz tam wrócił, ponieważ z jakichś powodów koło się dla niego zamknęło. Całkiem możliwe, że zabójstwo w Orly miało być czymś w rodzaju finału tej serii morderstw. Ale potem sprawa zapewne wymknęła się spod kontroli.

Abel zastanawiał się nad tym, co powiedział Jankowski. Tymczasem pędzili na sygnale przez obrzeża Orly Ville. Jednorodzinne domy z ogródkami tylko przemykały za oknami radiowozu. Fontanny wody ze spryskiwaczy zraszały trawniki, które mimo panujących od tygodni pustynnych upałów zachwycały wiosenną zielenią.

– Gdyby udało ci się wywabić kilerę z jego kryjówki – zaczął Jankowski – masz sporą szansę, aby go złapać.

Zatrzymali się przed blokiem mieszkalnym ze szpetną zieloną fasadą. Syrena alarmowa zamarła, skomlać. Policjant na siedzeniu pasażera wyskoczył na zewnątrz i energicznie otworzył tylne drzwi od strony Abla.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się Abel. – Stokrotne dzięki, Timo. Czy będę mógł jeszcze zadzwonić, w razie gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

W słuchawce było słychać gwar wesołych głosów.

– Teraz otwieram sobie piwo – powiedział profiler. – I nie mogę ci obiecać, że poprzestanę na jednej butelce. Ale to jedyne ograniczenie, poza tym jestem do twojej dyspozycji o każdej porze.

**Orly Ville**  
**Mieszkanie Eloïse Leforêt**  
**Sobota 11 lipca godz. 19.22**

To nie było proste, może mi pan wierzyć, monsieur Abel – powiedział *capitaine* Mercier. – *Docteur* Dupont bardzo się zdenerwował, że nie zabrano jeszcze zwłok do Zakładu Medycyny Sądowej.

Abel uścisnął mu dłoń na powitanie.

– Doceniam to, *monsieur le capitaine* – odparł.

Victor Mercier i Lilou Maran czekali na niego na korytarzu przed mieszkaniem Eloïse Leforêt. Za otwartymi do połowy drzwiami do mieszkania leżały obie zamordowane kobiety dokładnie tak samo, jak Abel niecałe cztery godziny temu widział je na ekranie swojego smartfona. Tylko słodkawy zapach zwłok przypominał, że od tamtej pory czas nie stał w miejscu.

– Dupont zwrócił mi uwagę, że w tym upale zwłoki rozkładają się tak szybko, że można się temu przyglądać – mówił dalej Mercier. – Ale uparłem się, że nie można tu niczego zmieniać, dopóki nie zrekonstruujemy przebiegu zbrodni. Chociaż, szczerze mówiąc, ja sam nie do końca rozumiem, dlaczego nie zażąda pan wyników naszego śledztwa po prostu od Europolu, monsieur Abel.

– Ma pan całkowitą rację, jestem panu winny wyjaśnienie – przyznał Abel. – I na pewno je panu przedstawię, gdy tylko się tutaj rozejrzę. Zgoda?

Mercier i Lilou Maran wymienili spojrzenia, potem *capitaine* skinął głową i odszedł krok na bok.

– Ale szybko i dyskretnie, jeśli mogę prosić – dodał. – Kontakty Duponta sięgają aż do samego prefekta. Jeśli moi przełożeni dowiedzą się o sprawie, będę miał ogromne problemy.

Na twarzy Abla pojawił się grymas oznaczający skruchę. Kiedy wszedł do mieszkania Eloïse Leforêt, zadzwoniła komórka Merciera.

– Proszę dalej, monsieur – ponagliła go Lilou Maran. – Gdyby miał pan jakieś pytania, najlepiej będzie, jeśli zwróci się pan do mnie. Victor już teraz ma wielki problem, właśnie w tej chwili zaczyna się u niego w domu *summer party*.

*Jeszcze jedno przyjęcie, które dzisiaj rujnuję*, pomyślał Abel.

Kucnął obok martwej Eloïse Leforêt i uważnie przyglądał się śladom duszenia na jej szyi. Bez wątpienia był to podpis kilera, który atakował już w Berlinie, Londynie i Bari. Sprawca znów wrócił do sprawdzonego modus operandi.

Abel pochylił się niżej i przyjrzał napisowi na ramieniu madame Leforêt.

– Według mnie podpis wygląda ewidentnie na wycięty czubkiem noża. Kolega Dupont nie chciał przedwcześnie wydać wiążącej opinii. Ale gdyby sprawca użył igły, litery byłyby dużo cieńsze.

Gdy wstał, rzuciło mu się w oczy, że Lilou Maran jest nadzwyczaj wysoka. I nadzwyczaj piękna. *Tak samo piękna jak Claire*, pomyślał Abel. *Taka sama kasztanowa cera*. Tamto też zdarzyło się tu, w Paryżu, ale całą wieczność temu. *Ale teraz nie jest najlepszy moment, aby upajać się wspomnieniami o dawnym romansie*.

Lilou Maran stała bardzo blisko i patrzyła na niego wyczekująco. Jej smukła twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi oraz dużymi, pełnymi wyrazu oczami ponownie obudziła na chwilę w Ablu wspomnienie Claire.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Mercierowi wyraźnie można było pozazdrościć. Jednak Abel z własnego doświadczenia wiedział, że czasem trudno zachować chłodny umysł, mając u boku taką piękność.

*Już lepszy taki nadgorliwy żartowniś jak Tekin Okyar.*

– To pismo naszego kilerka – stwierdził. – Jednoznacznie, bez dwóch zdań.

Dołączył do nich Mercier, ale miał nieobecny wzrok i udręczony wyraz twarzy.

– Ależ tak, *chérie* – powiedział błagalnym tonem do mikrofonu swojej komórki – zapewniam cię, że będę w domu najpóźniej za godzinę. Po prostu podaj już szampana. Zanim goście zorientują się, że mnie nie ma, wmieszam się między nich i będę zachowywał się tak, jakbym cały czas tam był.

*Dobry plan, pomyślał Abel. Ale czasem plany trzeba zmieniać.*

Przeszedł teraz do drugiej ofiary, Mansury Farès. Jej twarz wciąż była tak samo przykryta biżuterią, jak widział na ekranie swojego telefonu. Ale dopiero teraz mógł dokładnie przyjrzeć się poszczególnym broszkom, pierścionkom i łańcuszkom.

– Dlaczego ułożył biżuterię w ten, a nie inny sposób? – zapytał bardziej siebie niż Lilou Maran. – Jakie przesłanie kryje się za tą dekoracją? A może ułożył ją po prostu, jak leci, tylko po to, żeby nie widzieć jej twarzy?

Ponownie przykucnął. Broszka przykrywająca lewe oko madame Farès miała kształt liścia bluszczu. W połączanej ramce tkwił rodzaj herbu: profil żółtego lwa na tle stylizowanego drzewa.

– Ma pani jakieś pojęcie, co to za herb? – zapytał panią porucznik Maran.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie, ale powinno się to dać ustalić.

Wyjęła iPhone'a z tylnej kieszeni dżinsów i zrobiła kilka zdjęć broszki.

– Od niedawna mamy specjalny program do rozpoznawania zdjęć, który porównuje dowolną ilustrację z graficznymi zasobami Internetu. – Klikała w ekran smartfona. – To potrwa tylko chwilę – dodała, kiedy Abel patrzył na nią wyczekująco.

*Jedna chwila jest okej.*

Abel umierał z niecierpliwości, ale starał się tego nie okazywać. Gdyby próbował ponaglić Merciera i Lilou Maran, tylko by ich rozgniewał. A gdyby odmówili mu pomocy, mógłby się pakować. Na własną rękę na pewno nie miałyby szansy wpaść na ślad mordercy w wielomilionowej metropolii, jaką jest Paryż.

– Chyba ekipa od zabezpieczania śladów zabezpieczyła już wszystko? – zapytał Lilou Maran.

– Oczywiście, *monsieur* – wtrącił się Mercier. – Może pan być pewny – ciągnął – że francuska policja opanowała podstawy technik kryminalistycznych.

Wściekłym ruchem włożył telefon do kieszeni marynarki. Ton jego głosu jednoznacznie wskazywał, że jest już nie na żarty wściekły.

– *Pardon, monsieur le capitaine*, nie zamierzałem podawać tego w wątpliwość – odezwał się pośpiesznie Abel. – Chciałem się tylko upewnić, czy mogę dotknąć tej biżuterii.

Mercier burknął coś pod nosem, co Abel zinterpretował jako przyzwolenie. Włożył plastikowe rękawiczki, które podała mu bez słowa Lilou Maran, zdjął broszkę z prawego oka ofiary i wstał. Zapach ciała wcale przez to nie osłabł, ale przynajmniej wymieszał się z pachnącymi owocową świeżością perfumami Lilou Maran.

Abel oglądał broszkę ze wszystkich stron. Pozornie był to tylko połączony krążek, niewiele większy od dwueurowej monety. Ale intuicja podpowiadała mu, że ta broszka jest z jakiegoś powodu wyjątkowa.

– Jest za lekka – mruknął do siebie.

Ustawił ją węższą stroną pod światło i zmrużył oczy.

– Jest tu jakaś szpara, czy mi się wydaje?

*Jak w wydrążonym kamieniu, w którym „wrywacz serc” umieścił zdalnie sterowany zapalnik,* przeszło mu przez myśl.

Ale nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. I tak miał już dość napięte nerwy. Ponownie skoncentrował się na broszce. Kątem oka zauważył, że Lilou Maran obserwuje go z zaciekawieniem, podczas gdy Mercier znów rozmawia przez telefon z żoną.

– Szpara biegnie dookoła krążka. Jest tak cienka, że ledwo ją widać – rzucił Abel do Lilou Maran. – Poza tym zewnętrzna strona broszki jest ryflowana, dlatego nie wyczuwa się szpary czubkami palców. Ale na pewno tam jest. A to znaczy, że w krążku musi być pusta przestrzeń.

– Mogę zobaczyć? – Mercier wyciągnął rękę i Abel podał mu broszkę. – Więc sądzi pan, że jest to rodzaj medalionu?

Przekręcał i naciskał broszkę na chybił trafił i kręcił głową.

– Nasi ludzie by to zauważyli – dodał.

*Jesteś tego pewny?* – pomyślał Abel, ale pilnował się, żeby nie dać po sobie poznać, że ma co do tego wątpliwości. Gdyby uwikłał się w patriotyczne złośliwości, skorzystałby na tym tylko morderca.

– Przyznałabym ci rację, Victor, gdyby była wśród nich chociaż jedna kobieta – wtrąciła z uśmiechem Lilou Maran. – Ale dzisiaj nasza ekipa składała się z samych mężczyzn. A co mężczyźni wiedzą o broszkach?

Wsunęła iPhone'a z powrotem do kieszeni dzinsów i wyjęła ozdobę z ręki Merciera.

– Moja babcia miała medalion z malutką skrytką. Bardzo łatwo się otwierała, kiedy się ją nacisnęło i przekręciło w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. O tak!

Jedną ręką przytrzymała broszkę za agrafkę, drugą przekręciła krążek, jakby otwierała słoik, jednocześnie go naciskając.

Medalion otworzył się. Wnętrze ujawniło coś, co przewyższało najśmielsze marzenia Abła.

– Wow! – zdziwiła się Lilou Maran.

W tej samej chwili znów zaczęła dzwonić komórka Merciera. *Captaine* spojrzął na nią i odrzucił rozmowę. Wszyscy troje pochylili się nad medalionem leżącym na dłoni Lilou Maran.

Czerwonawy wzór we wnętrzu broszki był częściowo wytarty. Ale nie ulegało wątpliwości, że znajduje się tam odcisk, jakby zostawiony przez zabrudzony krwią czubek palca. I krew była jeszcze w miarę świeża, lepka i tylko częściowo zakrzepła, musiała mieć najwyżej kilka godzin.

– Znał ją – oznajmił Abel. – Teraz jestem tego pewny. Madame Farès musiała mieć obie te broszki przypięte do bluzki albo zakietu, zanim morderca je odpiął. Zakrył nimi jej oczy, aby nie czuć się obserwowanym przez zabiłą.

Tętno znów mu przyśpieszyło. Ostrożnie wziął medalion i położył go na parapecie w salonie. Było tam lepsze światło.

– Dopiero potem splądrował mieszkanie – snuł dalej rozważania. – A na sam koniec, kiedy już wyciął napis na ramieniu drugiej ofiary, z jakiegoś powodu wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do medalionu.

Mercier założył ręce na piersi. Sprawiał teraz wrażenie bardzo skoncentrowanego.

– Być może obawiał się, że w medalionie kobieta przechowuje coś, co go z nią wiązało.

Abel przytaknął.

– To brzmi przekonująco.

Wyjął smartfon i sfotografował otwarty medalion z odciskiem palca w środku.

– Tylko że akurat on jest niezorganizowanym typem przestępcy. I zwłaszcza po dokonaniu przestępstwa jego postępowanie staje się chaotyczne. Pewnie dlatego po raz pierwszy zostawił przydatny ślad właśnie w tym medalionie.

Smartfon Lilou Maran wydał dźwięk fanfar. Znów wyjęła go z kieszeni i spojrzała na ekran.

– Wynik porównawczy grafiki. Wzór na drugiej broszce, lew i drzewo, jest herbem Irfane.

Marokańskiego miasta, z którego pochodzi madame Farès.

– Być może morderca też stamtąd pochodzi – domniemywał Mercier. – Jeśli odcisk jego palca znajduje się w bazie danych Europolu, najpóźniej za godzinę poznamy jego nazwisko. I jego twarz.

Podczas gdy Abel i Lilou Maran chowali smartfony, Mercier ponownie wyjął swój telefon.

– *Chérie*? Jednak zejdzie mi tutaj trochę dłużej. Zaczynij już podawać przystawki.

**Orly Ville**  
**Mieszkanie Eloïse Leforêt**  
**Sobota 11 lipca godz. 19.51**

Chociaż otworzyli na oścież wszystkie okna, zapach zwłok był trudny do zniesienia. Ciała zabrano już w plastikowych workach, ale powietrze w każdym kącie małego mieszkania wciąż było przesiąknięte słodkawym, wywołującym drapanie w gardle zapachem.

Jednak Abel, Mercier i Lilou Maran ledwo to zauważali. Siedzieli w fotelach w salonie madame Leforêt i wszyscy troje wpatrywali się z mieszaniną przerażenia i zdziwienia w smartfon Abla.

Abel połączył się z bazą danych Europolu i wkleił zdjęcia z odciskiem palca w odpowiednie pole. Niecałe pięć minut później zamigotał napis „Matched – 1 trafienie”, podkreślony zachęcającym tonem dzwonnka.

Abel natychmiast przewinął do danych personalnych. Mężczyzna, do którego należał odcisk palca w medalionie, nazywał się Franco Moussadet. Urodził się trzydzieści siedem lat temu w marokańskiej prowincji Ifran, czarnoskóry, metr siedemdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Jedyne jego dostępne zdjęcie zostało wykonane ponad dziesięć lat temu. Widać było na nim krępego, niezwykle muskularnego młodego mężczyznę, który w czasie, kiedy zrobiono to zdjęcie, miał dokładnie dwadzieścia cztery lata.

Według notatki Europolu trzynaście lat temu Moussadet uprowadził do lasu pod Irfane młodą Marokankę Duryę Ezzaki, w szalście drwali wielokrotnie ją zgwałcił i zamęczył na śmierć z niewyobrażalnym okrucieństwem. Przez wiele dni ciął ofiarę różnymi rodzajami noży, i to dosłownie każdy centymetr kwadratowy jej ciała. Przypadkiem podczas ćwiczeń w terenie znaleźli ich żołnierze Legii Cudzoziemskiej i obezwładnili Moussadeta. Ale było już za późno, żeby pomóc Duryi Ezzaki.

Moussadet został oskarżony i skazany za gwałt i morderstwo ze szczególnym okrucieństwem. Jednak z powodu poważnych zaburzeń osobowości uznano go za niepoczytalnego i umieszczono na oddziale zamkniętym zakładu dla psychicznie chorych w Rabacie. Było to zarazem jego ostatnie znane miejsce pobytu. Niedługo potem w okrutny sposób zamordował strażnika i uciekł ze szpitala. Od tamtej pory ślad po nim zaginął.

Abel pięściami masował sobie skronie. Miał trudności z zebraniem myśli i na pewno nie miało to związku z tym, że obok niego siedziała Lilou Maran. Nagle poczuł całkowitą pustkę w głowie.

– Czy to znaczy, że podróżuje, posługując się fałszywymi dokumentami? – zastanawiał się na głos. – Na mój gust, to nie pasuje do niego. Albo w każdym razie do obrazu, który do tej pory sobie o nim wyrobiliśmy. – Krótko zreferował to, co ustalił na temat mordercy Timo Jankowski. – Jest to chaotyczny, niezorganizowany psychopata, który żyje w swoim mniej lub bardziej zamkniętym obłąkanym świecie – kontynuował Abel. – W jaki sposób załatwił sobie fałszywe dokumenty? To muszą być pierwszej klasy fałszywki, inaczej nie udałoby mu się przez tyle lat uciekać. I jak to się mogło stać, że z tą nową tożsamością tak długo nie miał konfliktów z prawem?

Mercier zmarszczył czoło.

– Być może w swoim nowym życiu był zatrzymywany tylko z powodu drobniejszych przestępstw – spekulował. – Wtedy zostałyby zanotowane jedynie na poziomie krajowym, nie w Europolu.

Nachylił się do przodu i szturchnął swoją koleżankę.

– Zamiast gapić się na monsieur Abła, jakbyś chciała go zahipnotyzować, lepiej włącz laptopa.

– Przepraszam, zamyśliłam się. – Lilou Maran wzdrygnęła się i spuściła wzrok. – Jeśli on mieszka w Paryżu, na pewno mamy coś na jego temat – przytaknęła.

– Czy może mi pani dać swój adres mejlowy? – zapytał Abel. – Wyślę pani zdjęcie.

Nie był świadomy dwuznaczności swojej wypowiedzi. Dopiero kiedy ochoczo skinęła głową ze zdziwionym uśmiechem, zaświtało mu, że mógł popełnić gafę. A w każdym razie był na najlepszej drodze ku temu.

*Jesteś sprytna i piękna, dziewczyno, pomyślał, ale żyję w szczęśliwym związku i nie zamierzam niczego zmieniać. A na dodatek w tej chwili kompletnie nie mam głowy do tego, żeby ci to tłumaczyć.*

Mógł mieć tylko nadzieję, że Lilou Maran zrozumiała jego podprogowe przesłanie.

Postawiła laptopa na stole w salonie madame Leforêt i włączyła go. W tym czasie Abel przesłał zdjęcie odcisku palca na jej służbowy adres.

– Każ cyfrowym niewolnikom szukać zgodności nie tylko w odciskach palców – zwrócił się Mercier do Lilou Maran – lecz również jeśli idzie o kraj i miejsce pochodzenia oraz oczywiście po nazwisku.

Gdy Lilou już połączyła się z bazą danych Police National, przez chwilę stuknęła w pole wprowadzania danych. W końcu kliknęła „Szukaj”.

Wkrótce w laptopie zabrzmiał sygnał dźwiękowy. Na ekranie znów pojawił się napis „Matched – 1 trafienie: nazwisko”.

Abel nachylił się zdziwiony, aby przejrzeć informacje.

„François Moussadet, nazywany Franco... urodzony trzydzieści siedem lat temu w Marrakeszu, Maroko... od pięciu lat zamieszkały we Francji, najpierw w Marsylii, od trzech lat w Paryżu”.

Oprócz danych personalnych dołączono zdjęcie zrobione dwa lata temu. François „Franco” Moussadet był jedną górą mięśni z bicepsami jak u Schwarzeneggera. Dzięki szerokim barom i krępej posturze wyglądał prawie kwadratowo. Sploty mięśni wyraźnie uwydatniały się również na szyi. Na zdjęciu miał zaciśnięte szczęki, a oczy mu się iskrzyły z trudem hamowaną wściekłością. Jego skóra rzeczywiście była czarna jak sadza, dokładnie tak, jak opisywali świadkowie w Berlinie, Londynie i Bari.

– Kiedy patrzę na to zdjęcie – powiedział Abel – widzę, że w przypadku obu mężczyzn o imieniu Franco chodzi o tego samego człowieka.

Mercier przyciągnął laptopa trochę bliżej do siebie. Wydawało się, że również w nim obudziła się myśliwska gorączka, chociaż gniew z powodu zepsutego summer party był wciąż widoczny.

– A więc po kolei – mruknął. – W ostatnim roku złożono na niego dwa zawiadomienia z powodu uszkodzenia ciała. W obu przypadkach następnego dnia zawiadomienia wycofano. Powiedziałbym, że to klasyczne zastraszanie ofiar i świadków. W każdym razie nie mamy żadnych danych biometrycznych, jak odciski palców i et cetera tego Franco numer dwa.

Lilou Maran przysunęła głowę bliżej srebrnej skroni Merciera.

– No, nie – odparła. – Ma nawet oficjalne miejsce zameldowania. W afrykańskiej dzielnicy, przy Rue Cavé, w mieszkaniu Nasira Moussadeta, przypuszczalnie jego kuzyna.

Zaczęła energicznie stukać w klawiaturę laptopa.

– Nasir Moussadet, czterdzieści sześć lat, również pochodzi z Maroka – podsumowała. – Mieszka we Francji od dziesięciu lat, na początku w Marsylii, a od ośmiu lat w Paryżu. Wielokrotnie sprawdzany przez policję z powodu podejrzenia o handel narkotykami i ludźmi, dochodzenia za każdym razem umarzane z powodu braku dowodów.

Abel zmrużył oczy. Jego umysł pracował gorączkowo.

– Czy Nasir, rzekomy kuzyn, nie pochodzi przypadkiem z tej samej prowincji Maroka co Franco numer

jeden?

Lilou Maran przewinęła ekran do góry i w dół.

– Trafiony zatopiony – rzuciła. – Nasir Moussadet urodził się w Ifranie w Maroku.

– W takim razie znaleźliśmy naszego mordercę – stwierdził Abel. – Franco numer jeden i Franco numer dwa to jeden i ten sam człowiek. Co prawda nie do końca rozumiem, jak on to zrobił z tymi dwoma prawie identycznymi imionami. Ale będzie mógł nam to sam wytłumaczyć, jak już przyzna się do serii popełnionych morderstw.

Zerwał się na równe nogi tak raptownie, że jego fotel przesunął się po laminowanej podłodze. Wszyscy troje szybkim krokiem rzucili się do drzwi i wybiegli na ulicę.

Dwaj umundurowani policjanci stali oparci o radiowóz i palili papierosy. Kiedy ich przełożeni wypadli z drzwi, wyrzucili niedopałki i stanęli na baczność. Mercier rozkazał im zamknąć i zapieczętować mieszkanie madame Leforêt.

Lilou Maran zaparkowała ciemnoniebieskiego citroena C6 bezpośrednio przed drzwiami. Abel zdążył jeszcze wskoczyć na tylne siedzenie, wtedy dodała gazu.

*Jankowski miał stuprocentową rację*, myślał Abel, gdy pędzili z włączonym kogutem i syreną w wieczornym szczycie. Dzięki temu podpisowi Moussadet powstrzymywał się od dużo gorszych rzeczy, które wcześniej o mało nie kosztowały go życia.

Zamiast w okrutny sposób kroić nożem młode kobiety, „tylko” dusił i opatrywał napisem staruszki. Do tej pory siedem zabójstw. A przynajmniej o tylu dzisiaj wiedzieli.



**Paryż**  
**Radiowóz prefektury policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 20.33**

Przejechanie taksówką z Orly do centrum Paryża przy niewielkim nawet ruchu zajmowało zazwyczaj około godziny. Wydawało się, że Lilou Maran postanowiła ustanowić nowy rekord trasy, i Abel nie miał wątpliwości, że jej się to uda.

Podczas gdy pędzili z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę lewym pasem A86, porucznik Maran siedziała za kierownicą pozornie całkiem relaksowana. Mniej więcej raz na minutę spoglądała na Abła we wstecznym lusterku, co sprawiało, że czuł się jeszcze bardziej niespokojny, niż i tak był.

Tymczasem Mercier zwoływał przez radio oddział specjalny. Polecił funkcjonariuszom czekać niedaleko stacji metra La Chapelle przy Boulevard de la Chapelle i unikać wzbudzania sensacji. W każdym razie na tyle, na ile było to w ogóle możliwe, w dzielnicy takiej jak Barbès. Mieszkańcy, w przeważającej części czarni z Afryki i Karaibów, reagowali alergicznie na widoczną obecność policji. Co zresztą nie dziwiło, zważywszy cierpienia, jakich wielu z nich doznało jako uchodźcy z terenów objętych działaniami wojennymi i aktami terroru.

– To był porucznik Habelais, szef komisariatu w dzielnicy afrykańskiej – powiedział Mercier, kiedy zamocował mikrofon z powrotem w uchwycie. – Na parterze domu przy Rue Cavé, gdzie mieszka Nasir Moussadet, mieści się kenijska knajpa. Podwórze za nią wygląda jak skrzyżowanie slumsu z ogródkiem piwnym. Habelais mówi, że to dość trudny do rozeznania teren. Jeśli idzie o mieszkanie rzekomego kuzyna, w którym jest zameldowany nasz przyjaciel, to jest to dwupoziomowy lokal na trzecim i czwartym piętrze.

Abel miał uczucie, jakby miał wybuchnąć od narastającego w nim napięcia.

*W żadnym wypadku to nie może się nie udać, pomyślał.*

– Ile jest wejść i wyjść? – zapytał.

– Jedno na ulicę, jedno na podwórze – powiedział Mercier. – Wejście do mieszkania dwupoziomowego jest na trzecim piętrze. Na piętrze powyżej znajdują się jeszcze jedne drzwi, ale podobno są zastawione rupieciami. Zamkniemy dwoje drzwi i umieścimy dodatkowo kilku funkcjonariuszy na okolicznych podwórzach. Tylko na wypadek gdyby nasz przyjaciel próbował ulotnić się po dachach. Z resztą zespołu pójdziemy na górę i na trzecim piętrze zapukamy do drzwi. Poza tym ustawimy posterunek na czwartym piętrze. To tyle, jeśli chodzi o plan.

*Plany mogą się zmieniać, pomyślał Abel. Czasem również wtedy, gdy się tego nie chce.*

Jego tętno gnało, jakby chciał przebić nawet prędkość jazdy Lilou Maran. Zjechała już z autostrady i pędziła ruchliwą ulicą wzdłuż brzegu Sekwany, prawie nie zdejmując nogi z gazu.

*Teraz pomoże już tylko zaciskanie kciuków, pomyślał Abel.* Było to jedno z powiedzeń, które jego babcia Luise przytaczała przy każdej okazji. Inne brzmiało: „Pomożesz sobie sam, wówczas i Bóg ci pomoże”. Te zwroty podobały mu się, już kiedy był małym chłopcem. Co prawda nigdy nie wierzył w

Boga, nawet w dzieciństwie, ale był głęboko przekonany, że w dużym stopniu człowiek sam może określić swój los. „Każdy jest kowalem swojego losu”, jak powiedziałyby jego babcia.

– Gdy już złapiemy tego typa – zwrócił się Mercier do porucznik Maran – w następnej kolejności sprawdzisz listy pasażerów wszystkich samolotów, które mogłyby wchodzić w grę. Z Berlina, Londynu, Bari, Paryża. Monsieur Abel bez wątpienia dysponuje odpowiednimi danymi.

– A jeśli naszego przyjaciela nie będzie w domu?

– To tym bardziej.

Zadzwoiła komórka Merciera. Odrzucił rozmowę, nie patrząc nawet, kto chciał się z nim skontaktować.

– A teraz proszę nam zdradzić, dlaczego tak bardzo angażuje się pan w tę sprawę – powiedział i odwrócił się do Abla. – Za tym musi się kryć coś osobistego, mam rację?

Duże ciemne oczy w lusterku wstecznym również patrzyły wyczekująco na Abla.

– W Berlinie siedzi w areszcie śledczym niewinny mężczyzna – wyjaśniał Abel. – A dokładniej mówiąc, w więzieniu, ponieważ w dodatku czynnie zaatakował funkcjonariusza więziennego. Policja kryminalna sądzi, że to on jest mordercą Iriny Pietrowej, berlińskiej ofiary naszego kiltera. Mężczyzna nazywa się Lars Moewig i jest moim starym przyjacielem. Jego mała córka umiera. Białaczka. Lekarze dają jej jeszcze tylko kilka dni życia. Obiecałem Moewigowi, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wyszedł na wolność i zdążył pożegnać się z córką.

– To bardzo szlachetne – zauważyła Lilou Maran.

Jej głos zdradzał szczere poruszenie, a oczy w tylnym lusterku wydawały się nawet odrobinę wilgotne.

– Wcale nie – rzucił celowo szorstko. – Jeśli o mnie chodzi, może pani to nazwać żołnierskim kodeksem. Jako młodzi mężczyźni Moewig i ja służyliśmy w wojsku w tym samym oddziale, to wszystko.

Oczy we wstecznym lusterku trochę się zwięzły. Ale zanim Lilou Maran zdążyła oddać się spekulacjom na temat motywów postępowania Abla, głos zabrał Mercier.

– Moje wyrazy szacunku, mousieur Abel. Obawiam się tylko, że pańska misja jest bezcelowa. Nawet jeśli morderca wpadnie dzisiaj w naszą pułapkę, upłyną tygodnie, zanim biuokratyczne młyny Europolu uwolnią pańskiego przyjaciela.

Abel wysunął podbródek.

– Zobaczymy. Jeśli jeszcze dzisiaj Moussadet przyzna się do zamordowania Iriny Pietrowej, poruszę niebo i ziemię, aby Moewig wyszedł jutro na wolność.

Oczy we wstecznym lusterku były tak głębokie i ciemne jak górskie jeziora w nocy, kiedy księżyc jest w nowiu. Abel pilnował się, aby w nie nie patrzeć.

Ulżyło mu, gdy skręcili w Rue du Faubourg Saint-Denis. Chociaż od lat nie był w Paryżu dłużej niż dwa dni z rzędu, powoli znów odżywały w nim wspomnienia.

Rue du Faubourg Saint-Denis prowadziła prosto do stacji metra La Chapelle, w pobliżu której czekał oddział specjalny.

Mercier wyłączył syrenę i koguta. Opuścił szybę w bocznym oknie i zdjął głośnik oraz światło policyjne przymocowane do dachu samochodu magnezem.

– Zaparkujemy na Rue Perdonnet – powiedział. – W końcu nasza wizyta ma być niespodzianką.

**Paryż**  
**Dzielnica afrykańska, Rue Cavé**  
**Dom Nasira Moussadeta**  
**Sobota 11 lipca godz. 21.05**

Oddział uderzeniowy składał się z trzynastorga policjantek i policjantów ubranych po cywilnemu, członków jednostki specjalnej, specjalnie wyszkolonych do tego typu zadań. Siedem kobiet, sześciu mężczyzn, wszyscy o afrykańskich lub karaibskich korzeniach i odpowiednio do tego z ciemną skórą.

Mercier dyrygował nimi przez komórkę, połączoną bezprzewodowo z ledwo widocznym zestawem słuchawkowym. Najwyraźniej cały zespół był wyposażony w takie urządzenia. W każdym razie Mercier komenderował nimi, tak dyskretnie mruczając pod nosem, że Abel zrozumiał najwyżej dwa lub trzy słowa.

– Jesteśmy zupełnie zwyczajnymi parami, które przechadzają się po dzielnicy – oznajmił Mercier, zanim wysiedli z samochodu.

Abel pojął, o co mu chodziło dopiero wówczas, gdy mocno zbudowana czarna policjantka w cywilnym ubraniu wzięła Merciera pod rękę i z gardłowym śmiechem pociągnęła w kierunku stacji metra.

*Tajna operacja à la française*, pomyślał.

Po chwili Lilou Maran wsunęła rękę pod jego ramię.

– Chodźmy, Fred. Teraz musimy mówić sobie po imieniu – dodała z nieprzeniknionym uśmiechem – z czysto zawodowych powodów. – Ona też przełączyła telefon na odbiór i miała na uchu zestaw słuchawkowy, który ukryła pod bujną fryzurą.

– Czemu nie – burknął Abel.

Nie było nic nieprzyjemnego w przechadzaniu się ramię w ramię z porucznik Lilou Maran po Boulevard de la Chapelle. Ale zważywszy sposób, w jaki ta młoda kobieta się do niego przystawiała, czekała ich oboje nieprzyjemna scena. Abel zastanawiał się, czy powinien powiedzieć jej od razu na wstępie, że już kogoś ma i jest bardzo szczęśliwy z tą drugą kobietą. Dotychczasowe niezbyt wielkie doświadczenie na tym polu podpowiadało mu jednak, że w ten sposób narobi jeszcze więcej szkód w sklepie z porcelaną. Poza tym pora na tego rodzaju deklaracje nie była najlepsza.

Reszta oddziału zbliżała się parami z innych ulic do obiektu akcji przy Rue Cavé. Dla postronnych obserwatorów musiało wyglądać to tak, jakby kilka par po prostu wracało do domu w tej ruchliwej dzielnicy. Albo jakby to były pary turystów, którzy dla przyjemności wybrali się na wieczorny spacer po dzielnicy afrykańskiej.

Abel jednak nie miał złudzeń. Czujne spojrzenia, którymi mierzyli jego i porucznik Lilou Maran niektórzy z tutejszych mieszkańców, mówiły mu, że mało kto tutaj dał się nabrać na tę komedię. I to mimo że Lilou Maran coraz mocniej się do niego przytulała i uśmiechając się, patrzyła zakochanym wzrokiem.

– Przesadza pani – mruknął Abel. – To znaczy, przesadzasz, Lilou.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Wcale nie – odparła tym samym tonem co wcześniej.

Oboje się roześmiali.

*Cholera, pomyślał Abel, na dodatek ma jeszcze poczucie humoru.*

– Rue Cavé jest tam dalej – powiedziała Lilou.

Około dziesięciu metrów przed nimi idący ramię w ramię Mercier i postawna czarna policjantka skręcili w wąską boczną uliczkę. Abel i Lilou poszli za nimi. Kiedy skręcili za róg, Abel szybko obejrzał się za siebie. Pięć albo sześć par przechadzało się wzdłuż ulicy. Nie potrafili powiedzieć, które z nich należały do oddziału.

*Dobrze wyszkoleni ludzie, pomyślał.*

Mimo to nie miał dobrego przeczucia. Z Franco Moussadetem nie pójdzie im tak łatwo. Moussadet był psychopatą i najprawdopodobniej bardzo inteligentnym psychopatą. Ale, jak powiedział Jankowski, „idealnie dostosował się do swojego otoczenia”.

*Jak drapieżne zwierzę. Jak biały rekin.*

– Wygląda na to, że w tej kenijskiej knajpie jest dziś niezły ruch – zauważyła Lilou Maran.

Doszli przed dom Moussadeta. Okna na parterze były szeroko otwarte, w środku tłum ludzi. Na ulicę przedostawały się egzotyczne dźwięki, bębnienie i głośne gwizdy. Licznie zgromadzeni ludzie przekrzykiwali się po francusku, w językach afrykańskich i arabskich.

Lilou ostrożnie wysunęła rękę spod ramienia Abla.

– Nie pchaj się do przodu, Fred – nakazała cicho. – To akcja francuskiej policji.

Abel skinął głową. *Od tej chwili pełna koncentracja, rozkazał sobie.*

Drzwi wejściowe do budynku również były szeroko otwarte. Trzej młodzi czarni siedzieli na schodach i ze spokojem patrzyli, jak Mercier toruje sobie drogę pomiędzy nimi.

Lilou Maran szła za swoim szefem. Podczas gdy Abel rozglądał się dyskretnie, obok młodych Murzynów weszły do domu kolejne osoby, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy ciemnoskórzy.

Abel domyślał się, że należeli do zespołu, ale nie był tego pewny. Przyłączył się do nich i wszedł do ponurej klatki schodowej. Czuć tam było pleśnią i wilgotnym murem, pieczoną jagnięciną i przyprawą, której nazwy nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć.

Po prawej ręce znajdowały się schody prowadzące na wyższe piętra. Stopnie były tak wydeptane, że przy każdym kroku skrzypiały. Brzmiało to niemal jak ludzki jęk.

Na klatce schodowej nie było widać ani jednego mieszkańca domu, jednak Abel wręcz czuł napięcie panujące za wszystkimi drzwiami. W domach takich jak ten przeważnie mieszkali sami nielegalni imigranci, którzy przyjechali bez ważnych dokumentów. Prawdopodobnie ludzie za drzwiami słyszeli już po krokach na schodach, że zjawiała się policja.

Kiedy Abel dotarł na drugie piętro, usłyszał nad sobą dzwonek do mieszkania. Otworzyły się drzwi i Mercier powiedział szorstkim głosem:

– *Capitaine* Mercier, prefektura policji. Czy pan François Moussadet?

Mężczyzna z północnoafrykańskim akcentem odparł niemal z rozbawieniem:

– A czy tak wyglądam?

– Pańskie dokumenty, monsieur, jeśli mogę prosić.

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby poprosiła mnie o to mademoiselle.

– Chyba nie myślisz tak naprawdę – odezwała się porucznik Maran lodowatym tonem, którego Abel jeszcze u niej nie słyszał. A potem wyrzuciła z siebie potok słów, będących mieszaniną francuskiego slangu ulicznego i afrykańskich słów. Abel nie zrozumiał połowy z tego, co usłyszał. – A wtedy trafisz za kratki, zanim jeszcze zdążysz policzyć do trzech! – zakończyła już znowu po francusku.

*Allons!*

– Już dobrze, dobrze – mitygował się mężczyzna. – Jestem Nasir, jego kuzyn. Nie widziałem François od tygodni.

W tym momencie Abel dotarł na trzecie piętro. Szybko rozejrzał się dookoła. Od podestu schodów odchodził długi ciemny korytarz. W pierwszych drzwiach po lewej stronie stał oparty o framugę dryblasowaty mężczyzna o jasnej skórze i północnoafrykańskich rysach twarzy. Miał około czterdziestu kilku lat, ubrany był tylko w spodnie od dresu i podkoszulek bez rękawów, który luźno wisiał na jego tułowiu. Można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był umięśniony.

*Nie, pomyślał Abel, ty na pewno nie wyglądasz jak Franco.*

Nasir Moussadet obrzucił go szybkim spojrzeniem i zaraz znów odwrócił się do Merciera i Lilou Maran. W jego oczach coś zamigotało, jak płomyk świecy na wietrze.

– Uwierzę w to dopiero, jak nie znajdziemy go w środku – oznajmił Mercier. – A pana tożsamość z przyjemnością możemy sprawdzić na komisariacie, monsieur, w razie gdyby gdzieś zapodziały się panu dokumenty.

Na korytarzu za Mercierem i Lilou Maran stały jeszcze dwie kobiety i trzech mężczyźni. Tym razem Abel nie miał wątpliwości, że cała piątka należy do ich oddziału. Jeden z mężczyzn ruszył schodami na górę, reszta z pewnością czekała na rozkaz Merciera, żeby przeczesać mieszkanie.

Chcąc nie chcąc, Nasir Moussadet odsunął się krok na bok. Mercier, Lilou Maran oraz czworo policjantów weszli do mieszkania. Tak jak wcześniej Abel miał niedobre przeczucie. Przez moment zastanawiał się, czy nie zostać pod drzwiami, ostatecznie jednak wszedł za tamtymi do środka.

**Paryż**  
**Dzielnica afrykańska, Rue Cavé**  
**Mieszkanie Nassira Moussadeta**  
**Sobota 11 lipca godz. 21.21**

Abel na pierwszy rzut oka zauważył, że dwupoziomowe mieszkanie to prawdziwy koszmar dla każdego policjanta. W przedpokoju świeciło mroczne światło i cały korytarz był zastawiony szafami oraz niskimi stołami. Odchodziło z niego sześćcioro drzwi, na podłodze leżało kilka warstw dywanów, o które z łatwością można się było potknąć.

Mercier kazał dwojgu ludziom zabezpieczyć drzwi do mieszkania. Dwoje pozostałych oraz on i Lilou Maran z pistoletami w dłoniach rozpoczęli przeszukanie. Abel dołączył do nich.

W pierwszym pokoju wystraszyli pół tuzina puszystych kobiet z chustami na głowach, które na widok obcych zaczęły gdać jak spłoszone kury. W dwóch kolejnych pokojach stały monumentalne łóżka z baldachimem z ułożonymi w wysokie stosy kołdrami i poduszkami; na sam ich widok Abel poczuł, że zaraz się udusi. W mieszkaniu i tak było już gorąco jak w saunie.

Za szafą, która służyła za przepierzenie, znajdowały się drewniane schody prowadzące do górnej części mieszkania. Kolejny pokój najwidoczniej przeznaczono dla dzieci. W każdym razie był zavalony stertami zabawek; stały tam dziecięce łóżka, kołyska oraz stolik do przewijania niemowląt. Ale nie było ani śladu dzieci. Za dwoma ostatnimi drzwiami kryły się kuchnia oraz ogromna łazienka, która najwidoczniej służyła również jako łaźnia turecka.

Nie znaleźli jednak śladu obecności Franco Moussadeta.

– Jak powiedziałem, już od tygodni nie widziałem mojego kuzyna.

Nasir Moussadet z szerokim uśmiechem zastąpił im drogę, gdy Mercier i Lilou Maran chcieli wejść na czwarte piętro po schodach, które wyglądały na dość chybotałe.

– Proszę się odsunąć – rzucił Mercier.

– Nie chce pan zobaczyć moich dokumentów?

Nasir Moussadet gorliwie podał mu swój paszport oraz pogniecioną kartkę papieru usianą wyglądającymi na urzędowe pieczęciami. Najwidoczniej chciał uniemożliwić im wejście na górny poziom mieszkania albo przynajmniej opóźnić przeszukanie.

– Proszę okazać dokumenty funkcjonariuszom w przedpokoju – rozkazał Mercier.

Odsunął Nasira Moussadeta na bok i wszedł po schodach na górę. Porucznik Maran oraz dwoje funkcjonariuszy podążali tuż za nim. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu.

Marokańczyk stał oparty o poręcz i z ironicznym uśmieszkiem przyglądał się, jak nogi Lilou Maran w obcisłych dżinsach powoli znikają w otworze w suficie.

– Aż ślinka człowiekowi cieknie na ten widok – stwierdził Nasir Moussadet. – Ale nigdy nie zrozumieć, dlaczego pozwalacie, żeby wasze kobiety chodziły po mieście ubrane jak kurwy.

*Najwidoczniej czuje się bardzo pewny siebie, pomyślał Abel. Albo z jakiegoś nieznanego mi powodu próbuje mnie sprowokować?*

Palił się, żeby zatrzymać Franco Moussadeta w którymś z pokoi na górze. Ale intuicja mówiła mu, że tam też go nie znajdzie.

– Skoro już jesteśmy przy problemach ze zrozumieniem – odezwał się Abel – właściwie dlaczego nazywa pan swojego brata kuzynem?

Wzrok Nasira Moussadeta stał się jeszcze bardziej rozbiegany.

– Mojego brata? – powtórzył. – Aha, już wiem, co pan ma na myśli, monsieur... Właściwie jak pan się nazywa?

– *Sous-commandant* Abel – odparł.

Z akcentem na drugą sylabę. *Abèl*.

Nie wyznawał się za bardzo w tutejszych stopniach służbowych, ale *sous-commandant* wydał mu się mniej więcej w sam raz. Ponieważ płynnie mówił po francusku, Moussadet pewnie zakładał teraz, że jest funkcjonariuszem francuskiej policji, ale to nie był problem Abła.

– Moje wyrazy szacunku, *sous-commandant*. – Marokańczyk z ironicznym uśmiechem wykonał lekki ukłon. – A wracając do pana pytania, nie jest pan pierwszy, który myli ich dwóch. Franco i François. – Mrugnął do Abła. – Odróżnianie tych wszystkich cudzoziemców nie jest wcale takie łatwe, co? Wszyscy wyglądają podobnie. A jeśli jeszcze podobnie się nazywają, bałagan jest całkowity.

Nasir Moussadet był kiepskim aktorem. Ale widocznie własny występ sprawiał mu wielką przyjemność i coraz bardziej wczuwał się w rolę.

– W gruncie rzeczy jest to bardzo proste – kontynuował. – François jest moim kuzynem z Marrakeszu. A Franco, mój biedny młodszy brat, jest od urodzenia obłąkany. Totalny świr, rozumie pan?

Zakręcił palcem przed czołem.

– Kiedy był dzieckiem, matka musiała zamykać go jak psa w komórce na drewno – mówił dalej. – Franco gryzł każdego, kto zbliżył się do niego na mniej niż metr. Jak chory na wściekłą szakal.

Wyszczerzył zęby i przewrócił oczami.

– Później Franco zrobił kilka bardzo złych rzeczy. Ale to wszystko wydarzyło się w Maroku. Franco nigdy nie wyjechał z naszej starej ojczyzny. Dziesięć lat temu albo jeszcze wcześniej zamknęli go w zakładzie dla psychicznie chorych w Rabacie i od tamtej pory nikt go więcej nie widział. Myślę, że ten biedaczyna już od dawna nie żyje.

Nasir opuścił ramiona i zrobił zboląłą minę. Abel zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie odgrywał tę szmirowatą komedię. *Pewnie za chwilę jeszcze wybuchnie płaczem?*

– W przeciwieństwie do pańskiego kuzyna François – podrzucił Nasirowi kluczowe słowo.

Marokańczyk kiwnął głową energicznie.

– Teraz pan skapował – pochwalił go. – François zawsze był dla mnie namiastką mojego obłąkanego młodszego brata. Dlatego wziętem go pod swoje skrzydła. Ale, niestety, on też mnie rozczarował.

Machnął ręką w geście rezygnacji.

– Nie mogę przysiąc, ale przecucie mówi mi, że wrócił do Maroka. Prawdopodobnie macie rację, twierdząc, że kto był kiedyś poganiaczem wielbłądów, ten już na zawsze nim pozostanie!

Pokręcił głową i zrobił minę właściciela zakładu pogrzebowego doradzającego wybór trumny.

*On jest świrnięty, przemknęło przez głowę Ablowi. Dlatego gada jak nakręcony i robi te głupie miny.*

*Z pewnością Nasir Moussadet też miał niejedno do ukrycia, myślał dalej, ale przede wszystkim ma świra, tak samo jak jego brat. Z tą tylko różnicą, że Franco Moussadet był psychopatą, Nasir natomiast – socjopatą.*

Abel kilka razy rozmawiał z Timo Jankowskim o różnicy pomiędzy psycho- i socjopatią. Psychopaci nie potrafili wczuwać się w innych ludzi. Jedynymi uczuciami, jakie znali z własnego życia, były

nienawiść i wściekłość. Dlatego żyli jakby w izolowanym zewnętrznym świecie na obrzeżu społeczeństwa. Aby przeżywać uczucia takie jak strach i ból, torturowali swoje ofiary z wyszukaniem okrucieństwem.

Socjopaci natomiast byli mistrzami udawania. Potrafili wczuwać się w swoje ofiary, manipulować nimi, wejść w dowolną rolę. Często przez wiele lat żyli, nie rzucając się w oczy, jako zacni obywatele i ojcowie rodzin, aż któregoś dnia wychodziło na jaw, że prowadzą drugie potajemne życie sadystycznych gwałcicieli lub seryjnych morderców.

*Jak Jack Unterweger, charyzmatyczny zabójca kobiet.*

Wszystko to przeszło Ablowi przez głowę w ułamku sekundy, podczas gdy Nasir Moussadet kontynuował show.

– A właściwie czego pan chce od François? – pytał właśnie. – Mój kuzyn bywa czasem impulsywny, ale w gruncie rzeczy jest dobrym człowiekiem.

*Zamordował siedem osób, co najmniej.* Abel nie zamierzał odpowiadać na to pytanie. Kiedy się zastanawiał, co powiedzieć zamiast tego, na górze rozległ się głośny łoskot.

Zatrzeszczało drewno i na podłogę z głuchym hukiem spadł ciężki przedmiot.

– To on, łapcie go! – doleciał go głos Merciera.

Abel usłyszał tupot kroków na piętrze powyżej. Sufit nad jego głową zadrżał od kilku szybko następujących po sobie tępych uderzeń. Gdy Abel jednym susem doskoczył do schodów, które przez kłapę w suficie prowadziły na wyższe piętro, posypały się na niego kurz i pył spomiędzy szpar w deskach.

Nasir Moussadet zrobił krok w prawo, żeby zagrozić mu dostęp do schodów, lecz Abel odepchnął go na bok i wbiegł po schodach na górę.

*Czyżby przecucie go myliło? Był przecież tak pewny, że nie znajdą na górze Franco Moussadeta.*

Ale kiedy wyłonił się z otworu w suficie, ujrzał dwóch funkcjonariuszy oddziału specjalnego, którzy toczyli dziką bójkę z umięśnionym czarnoskórym mężczyzną. Mercier i Lilou Maran stali obok i przyglądali się im zafascynowani.

Ta część mieszkania była jeszcze bardziej zawałona dywanami, meblami i rupieciami. Jedyna lampa sufitowa oświetlała pomieszczenie tak skąpo, że wśród splecionych ze sobą na podłodze ciał Abel z trudem rozróżniał przyjaciela i wroga.

Co najmniej dwumetrowa szafa przewróciła się lub została przewrócona. Za nią znajdowały się drzwi, które były szeroko otwarte i prowadziły na klatkę schodową. Na podeście stał zwalisty czarnoskóry mężczyzna, w rękę trzymał pistolet, wycelowany w podłogę przed swoimi stopami. Gdy ich spojrzenia się spotkały, krótko skinął głową Ablowi.

A na podłodze kotłowali się, rzucając przekleństwa, trzej mężczyźni. Muskularny Murzyn miał na sobie polowy maskujący mundur i wojskowe buty. Walił dookoła siebie pięściami, kopał swoich przeciwników, a z jego ust płynął nieprzerwany potok przekleństw.

„Wy zasrane fiuty, powinny wam zgnić jaja”, to były jeszcze najłagodniejsze słowa. Rozbudowanymi przekleństwami obdarowywał przede wszystkim siostry i matki swoich przeciwników.

Lilou Maran przyjęła postawę wskazującą, że najchętniej dołączyłaby do tej kotłowaniny. Pochyliła tułów, lekko ugięła nogi, zacisnęła pięści. Jej oczy błyszczały, kiedy krótko spojrzała na Abła.

W końcu rozległo się zbawienne kliknięcie zatraskujących się kajdanek.

– Mamy go – wysapał jeden z policjantów, podnosząc się z trudem.

– Facet mógłby zrobić karierę w wrestlingu – dodał bez tchu jego kolega.

Mężczyzna, którego powalili wspólnymi siłami, leżał na brzuchu, nie ruszając się. Miał skute na plecach ręce. Chociaż w tej pozycji ledwo mógł oddychać, przyciskał twarz do dywanu.

– Odwróćcie go – rozkazał Mercier. – Koniec zabawy w chowanego, Franco Moussadet! – warknął do mężczyzny na podłodze.

Jeden z policjantów nachylił się, złapał go za ramię i odwrócił na bok.



Skuty mężczyzna patrzył w ich stronę, błyskając białkami oczu. Miał wytrenowane ciało mistrza sztuk walki i twarz wystraszonego dziecka. Poza tym miał co najmniej metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i najwyżej dwadzieścia pięć lat.

– *Merde* – powiedział Mercier. – Złapaliśmy nie tego, co trzeba.

– Nie tak do końca, *mon capitaine*. – Jeden z policjantów podniósł do góry przezroczystą plastikową torebkę wypełnioną niebieskimi kryształkami. – Wypadło mu to z kieszeni. Oczywiście może to być przeterminowana viagra. Ale, moim zdaniem, to czysta metamfetamina.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 22.37**

Młody Marokańczyk nazywał się Sidki Moussadet, równie dobrze mógł się nazywać Philippe Jaroussky. Co prawda nie śpiewał tak dźwięcznie i czysto jak słynny francuski kontratenor, ale mimo to jego arie trafiały do serc słuchaczy.

Sidki Moussadet pochodził z Marrakeszu. Był młodszym bratem François Moussadeta, z którego paszportem podróżował wzdłuż i wszerz Europy „Miles & More Killer”. Francuski Wydział do Walki z Narkotykami od miesiący miał go na oku, ponieważ ulubionym zajęciem Sidkiego było podróżowanie z Francji do Maroka i z powrotem. Widocznie gdzieś w marokańskich górach znajdowało się laboratorium, w którym produkowano metamfetaminę i Sidki był jednym z kurierów, którzy pracowicie jak mrówki przemycali „niebieskie złoto” do Europy.

Wydział do Walki z Narkotykami nie aresztował go do tej pory, ponieważ kierowano się nadzieją wszystkich jednostek zwalczających przestępczość zorganizowaną, żeby przez małe płotki dotrzeć do działających w ukryciu grubych ryb.

Tę nadzieję Mercier zniweczył, aresztując Marokańczyka. Ale dla Abła, który gorączkowo szukał seryjnego zabójcy, Sidki Moussadet wcale nie był małą płotką.

Mercier kazał przyprowadzić go do pokoju przesłuchań w ponurym budynku prefektury policji przy Rue Bonaparte. *Capitaine* i Abel siedzieli za szarym stołem naprzeciwko muskularnego mężczyzny z twarzą dziecka. Laminowany blat stołu nosił ślady uderzeń pięści i ciosów kantem dłoni niezliczonych wściekłych delikwentów.

Jednak Sidki Moussadet siedział na krześle potulny jak baranek i gorliwie odpowiadał na każde pytanie, które zadawali mu Mercier lub Abel. Już na wstępie uświadomili mu, dlaczego został zatrzymany.

– Już te pół kilograma prochów, które znaleźliśmy w twojej kieszeni – zapewnił go Mercier – wystarczy, żeby zapuszkować cię na tak długo, aż zgniją ci jaja.

– Ale amfa to zdecydowanie mniejszy z twoich problemów – dodał Abel.

Uskrzydłony potrzebą udowodnienia winy kilerowi, przywoływał z najgłębszych zakamarków pamięci kolejne francuskie słówka i zwroty.

– Kryłeś wielokrotnego mordercę, przez lata mieszkałeś z nim pod jednym dachem – zarzucił młodemu Marokańczykowi. – Już z powodu samego pomocnictwa w licznych zabójstwach pójdziesz za kratki do końca życia, jeśli od razu nie powiesz nam, gdzie ukrywa się twój kuzyn Franco.

– Mój brat, nie kuzyn – sprzeciwił się najpierw Sidki.

Oczywiście Nasir co raz surowo nakazywał Sidkiemu i wszystkim ze swojego klanu, aby w każdych okolicznościach twardo trzymać się tej zmyślonej wersji.

– Nie próbuj robić z nas głupków – przejął znów inicjatywę Mercier. – Franco Moussadet jest twoim

kuzynem z Ifranu. Chyba nie chcesz nam powiedzieć, że nie potrafisz odróżnić własnego brata od kuzyna. Franco zamordował w Maroku młodą kobietę. Poza tym podczas ucieczki z zamkniętego zakładu psychiatrycznego zabił strażnika. Potem przyjechał do Francji na paszport twojego brata François i od tamtej pory twierdzi, że jest François Moussadetem z Marrakeszu. Co sądzi o tym prawdziwy François?

– Co będę z tego miał, jeśli powiem wam, co wiem?

Co prawda Sidki Moussadet nie był najjaśniejszą świeczką na urodzinowym torcie, ale najwidoczniej nie był też tak głupi, żeby nadstawiać głowę za poszukiwanego wielokrotnego mordercę.

– Twoje jaja jeszcze będą się do czegoś nadawały, kiedy wyjdiesz na wolność – obiecał mu Mercier tyleż dostojnie, co mgliście.

Od tej pory Sidki Moussadet śpiewał jak Philippe Jaroussky. Wydawało się, że jakaś jego część tylko czekała na okazję, żeby powiedzieć, co leży mu na sercu.

– Mój brat François, ten biedny idiota, rozwalił sobie mózg metą – powiedział. – Przez lata żył w Marrakeszu praktycznie na ulicy i pewnego dnia po prostu już go tam nie było. Zniknął, tak zwyczajnie.

– I wtedy zjawił się Franco i zażądał paszportu kuzyna?

Sidki pokręcił przecząco głową. Jego dziecienna twarz nad górą mięśni była naznaczona smutkiem.

– Zjawił się Nasir. Zaoferował mojemu ojcu pięćset dolarów za dokumenty François. I oczywiście za nasze milczenie. „Nie mogę pozwolić, żeby mój młodszy brat koczował po lasach jak dzikie zwierzę – oznajmił wtedy. – Zabiorę Franco do siebie do Francji, wtedy będę mógł mieć go na oku”. W każdym razie zawsze tak to przedstawiano w mojej rodzinie – dodał Sidki. – Oczywiście nikt nie wierzył w to jego rzekome współczucie dla własnego brata. Nasir jeszcze nigdy nikomu nie powiedział prawdy. Ale wszyscy w rodzinie zawsze się go bali, podobnie jak jego brata, Franco. „Tego chorego na wściekłą szakalę” – tak go zawsze nazywaliśmy. Poza tym pilnie potrzebowaliśmy pieniędzy. Więc ojciec wziął pięćset dolarów i dał za nie Nasirovi paszport François. – Sidki jeszcze bardziej zapadł się w sobie.

Mimo napompowanych mięśni sprawiał wrażenie miękkiego i niemal bezbronno. – Pięćset dolarów za życie mojego brata.

Mercier i Abel wymienili spojrzenia.

– Czy to znaczy, że obwiniasz Nasira Moussadeta o zabicie twojego brata? – dopytywał Mercier.

Sidki wzruszył ramionami. Jego mięśnie barkowe miały wielkość kul do kręgli.

– Nasir nigdy nie brudził sobie rąk. Ale François zniknął nagle. A Franco, „chory na wściekłą szakalę”, od tamtej pory ma jego paszport. Dobrze dla Franco. Dobrze dla Nasira.

*A źle dla François, pomyślał Abel. Obojętnie, czego człowiek przy okazji tej sprawy dotknie, wszędzie zwłoki.*

Najwidoczniej Nasir wykorzystywał brata jako zabójcę, aby pozbywać się każdego, kto był dla niego ciężarem albo z którego strony groziło mu niebezpieczeństwo.

Abel i Mercier znów wymienili spojrzenia. Abel niemal niedostrzegalnie pokręcił głową. Nie było sensu otwierać teraz nowej beczki. A raczej piwnicy pełnej trupów. Najpierw muszą złapać „chorego na wściekłą szakalę”. Zanim zabije więcej ludzi.

*I dopóki Lilly jeszcze żyje.*

Mercier przytaknął. Widocznie tak samo widział priorytety.

– Czy mówi ci coś nazwisko Mansura Farès? – zapytał młodego Marokańczyka.

Przez dziecienną twarz Sidkiego przemknął cień niepewności.

– Tak nazywa się moja ciotka – wymamrotał. – Jest kuzynką matki Franco, Sayedy. Dlaczego pan o nią pyta? Ciotka Mansura mieszka w Marsylii.

Capitaine pokręcił głową.

– Jest tu, w Paryżu, i nie żyje. Zamordował ją twój obłąkany kuzyn Franco, dziś przed południem w Orly.

Sidki Moussadet wybałuszył oczy. Obiema pięściami zaczął gwałtownie bić się w pierś, z której

wydobywał się spazmatyczny szloch.

– Franco powinien za to odpokutować – wyrzucił z siebie. – Ta bestia powinna zgnić w piekle!

– Jestem tego samego zdania – przyznał Mercier. – Musisz nam jeszcze tylko powiedzieć, gdzie on się zatrzymał, a my już załatwimy resztę.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Sobota 11 lipca godz. 22.37**

Johnny Chang słuchał tylko jednym uchem, kiedy w programie France Inter mówili coś o podwójnym zabójstwie w Orly. Odbiornik radiowy był włączony przez cały czas, gdy Chang siedział za ladą recepcji i zajmował się administrowaniem hotelem. Jednocześnie na plazmowym ekranie, który wisiał na ścianie naprzeciwko niego, od rana do wieczora leciał TF1.

Obie stacje były francuskimi nadawcami państwowymi i obie puszczały wyłącznie śmiertelnie nudne reportaże, serwisy wiadomości, filmy i talk-show albo usypiające mowy prezydenta. Ale odkąd dwa lata temu Johnny Chang dostał francuski paszport, słuchał i oglądał wyłącznie francuskich państwowych nadawców.

Żadnej Hongkong TV i nadawców z Tajwanu, tak miało być i już. Tajemnica przeżycia tkwi w dostosowaniu się, co rusz surowo upominał swoją żonę Mulan. A tajemnicą awansu społecznego jest dostosowanie się plus oszczędność, plus pracowitość.

Mulan robiła mu potworne awantury, od kiedy wdrapał się na dach i zdemontował antenę satelitarną. Ale zaledwie parę tygodni później przyłapała go w łóżku z Ling i Ying i tym samym kłótnia o chińską telewizję straciła rację bytu. Ling i Ying były jednymi z tych, które regularnie przyprowadzały swoich klientów do Nouveau Asia. Przy płaceniu rachunków Johnny przeważnie przymykał oko na rozpoczętą kolejną godzinę, a dziewczyny w dowód wdzięczności od czasu do czasu dawały mu za darmo.

Prosta sytuacja *win-win*, myślał Chang. Tylko jego żona za nic w świecie nie chciała tak na to spojrzeć.

W obecności obu dziewczyn Mulan stłukła go parasolką i zaraz potem wróciła do swojej rodziny na Tajwan. Teraz najprawdopodobniej od rana do nocy ogląda tam chińską telewizję, podczas gdy Johnny przez cały boży dzień ma włączone TF1 i France Inter. Jedną stację bez głosu, a drugiej nawet specjalnie nie słuchając, ale mimo to denerwowało go, że bez końca mówi się tam tylko o tym podwójnym morderstwie.

Pochylił się niżej nad zeszytem, w którym robił obliczenia, jak jeszcze bardziej obniżyć koszty sprzątanania pokoi i łazienek. Oczywiście najprościej byłoby w ogóle przestać je sprzątać. Ale dziewczyny i tak zaczynały się już skarżyć. Pleśń pod prysznicami, toaleta ciągle zapchana. Okej, zwłaszcza w hotelu na godziny nie było to bez znaczenia.

Chociaż Johnny Chang wolał określenie „Hotel Miłości”. Bo Nouveau Asia, Nowa Azja, byłaby kontynentem miłości. W każdym razie w jego wyobrażeniu. Żadnego komunizmu, partyjnych działaczy maszerujących równym krokiem. Wszędzie tylko łóżka wodne do uprawiania miłości. Przynajmniej gdyby to zależało od Johnny’ego.

Nagle usłyszał kroki na korytarzu piętro wyżej. Johnny przestraszył się. Te kroki obudziłyby go nawet z głębokiego snu. Szybkie, mocne kroki, które wprawiały podłogę w wibracje. Tak że wszystko dookoła

drżało, gdy zbliżał się ten specjalny gość.

Gość z pokoju 107.

Lada recepcji Johnny'ego znajdowała się w malutkim pomieszczeniu, które tylko on nazywał hotelowym holem. Nawet Mulan mówiła zawsze tylko „twoja kanciapa”. Johnny musiał niechętnie przyznać, że miała rację.

Był to mały przedpokój, trzy na trzy metry, z którego schodami wchodziło się na górę, do hotelowych pokoi. Między jego ladą a stołem z dwoma fotelami pod plazmowym telewizorem trzeba się było dosłownie precyzyjnie przesuwać, gdy człowiek chciał dostać się ze schodów do wyjścia lub z ulicy na górę.

Teraz kroki dudniły już na drewnianych stopniach. Johnny ukrył twarz w zeszycie.

Już tysiąc razy życzył sobie, żeby ten budzący grozę gość stracił upodobanie do Nouveau Asia. Tak czy inaczej, nigdy nie rozumiał, dlaczego monsieur Moussadet, ta czarna jak sadza góra mięśni, co pół roku kwateruje się u niego. Po co przez cały dzień przykleja się do okna i obserwuje Ling i Yang oraz Sing i Ming, jak chodzą tam i z powrotem przy krawężniku i przymilają się do potencjalnych klientów.

*Bo ma nie całkiem po kolei w głowie*, jak uważał Johnny Chang. Facet siedzi tam na górze i wyobraża sobie, jak łapie jedną z tych małych Chinek. I co potem robi z tą biedną dziewczyną.

Żadne tam niewinne zabawy w łóżku wodnym, na które pozwolił sobie Johnny z Ling i Yang, a Mulan przerwała je jak ziejący ogniem smok. Johnny był pewny, że byłyby to najpodlejsze ekstremalne akty przemocy.

Generalnie Johnny nie miał szczególnie mocnych nerwów. Kiedy Moussadet patrzył na niego oczami rekina, niewiele brakowało, żeby narobił w spodnie.

Tak jak teraz.

Moussadet stał przed nim i gapił się. Jego ogromne łapska, które ani trochę nie pasowały do wzrostu, leżały przed nim na plastikowej okleinie lady jak gotowe do walki ośmiornice.

– Cz...czego p...pan sobie życzy, monsieur?

Stara dolegliwość Johnny'ego ujawniała się tylko wówczas, gdy był bardzo zdenerwowany. Ostatni raz jękał się, kiedy Mulan wymachiwała parasolką, podczas gdy Ling i Yang z piskiem schowały się pod kołdrą. A teraz był tysiąc razy bardziej zdenerwowany.

– Przynies mi chop suey – powiedział Moussadet. – Tylko z widelcem, kapujesz? Zjem u siebie na górze.

Pokazał kciukiem nad swoim ramieniem. Johnny przytaknął sparaliżowany strachem. Moussadet odwrócił się.

I zamarł w bezruchu.

– I wyłącz to gównno! – rozkazał.

– Ja...jakie g...gó...gó...

Jąkanina ugrzęzła mu w gardle. Pluł sobie w brodę, że w ubiegłym roku kupił tę gigantyczną plazmę. Na ekranie było właśnie widać dwie prawie naturalnej wielkości plastikowe trumny, które ładowano do furgonetki stojącej przed domem mieszkalnym z fasadą w zielonkawym kolorze ropy. *Podwójne zabójstwo w Orly! Dlaczego on nie chce tego oglądać?*

– Powiedziałem, żebyś to wyłączył!

*Jeszcze nigdy nie interesowało go, co właśnie szło w telewizji!*

Oczy rekina hipnotyzowały Johnny'ego. Ręce drżały mu tak bardzo, że omal nie zmiotł z lady pilota.

W końcu udało mu się nacisnąć właściwy przycisk i ekran zrobił się czarny.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 22.53**

Mieszkałeś z Franco drzwi w drzwi – kontynuował przesłuchanie młodego Marokańczyka Abel. – W takim razie poznałeś jakieś jego przyzwyczajenia. Z kim się spotykał? Dokąd chodził wieczorami, kiedy chciał się rozerwać?

Sidki Moussadet naprężył mięśnie.

– Nigdy z nikim się nie spotykał – powiedział. – A rozerwać to mógł co najwyżej komuś gardło.

Wzdrygnął się, jakby pająk przeszedł mu po plecach.

– W ubiegłym roku nawet mieszkałem parę tygodni w jednym pokoju z Franco. Nasir sprowadzał z Maroka coraz więcej kuzynów i siostrzeńców. Czasem było naprawdę ciasno. Ale w jednym pokoju z Franco...

Sidki znów się wzdrygnął.

– Mruczał coś i wył przez sen, zupełnie jak chory na wściekliznę szakal. Którejś nocy obudziłem się, ponieważ miałem na szyi jego parszywe ręce! Nie był całkiem przytomny, oczy miał wąskie jak szparki, jak jakiś pieprzony Chińczyk. Dusił mnie i jakby skamlał. Musiałem użyć całej siły, żeby oderwać jego ręce od szyi, potem gapił się na mnie i warczał. W ogóle mnie nie poznawał i nie przypominał siebie, tylko jakieś dzikie zwierzę.

Oddychał głęboko i wpatrywał się w ścianę za Mercierem i Ablem.

Podczas przesłuchania Sidkiego Moussadeta Lilou Maran siedziała piętro wyżej w swoim biurze i przeczesywała listy pasażerów wszystkich wchodzących w grę samolotów. Gdyby podejrzenie w stosunku do Franco alias François Moussadeta się potwierdziło, w co nikt tak naprawdę nie wątpił, Mercier musiałby rozpocząć kampanię na wielką skalę za pośrednictwem mediów. Nie było innego wyjścia, ponieważ nie mieli żadnego gorącego tropu.

Chyba że wydobyliby z Sidkiego Moussadeta informację, gdzie ukrywa się jego kuzyn. Ale w tej chwili nic tego nie zapowiadało.

Kampania na wielką skalę za pośrednictwem mediów była obosieczną bronią. Poproszeni o podanie istotnych dla sprawy wskazówek i skuszeni wyznaczoną dla zachęty nagrodą mieszkańcy Paryża i całej Francji nagle zaczęłyby wyobrazać sobie, że widzieli Franco Moussadeta w swojej dzielnicy albo wiosce. A liczni świadkowie skorzystaliby z okazji, aby dopiec nielubianym sąsiadom. Wskutek tego policja musiałaby sprawdzić dziesiątki tysięcy informacji, które w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach okazałyby się fałszywe. Poszukiwania czarnoskórego mężczyzny na domiar złego wyzwoliłyby lawinę rasizmu i ksenofobii. A abstrahując od wszystkiego, poszukiwania za pomocą mediów były najpewniejszym sposobem, jeśli chciało się powiadomić podejrzanego, że polowanie na niego właśnie się zaczęło.

– Dokąd chodził Franco, gdy chciał się zabawić? – zapytał Abel. – Albo kiedy po prostu chciał wyjść,

żeby zobaczyć coś innego niż tylko własne cztery ściany?

– Przecież mówię, że nie mam pojęcia! Nigdy nigdzie nie chodził, chyba że wysłał go gdzieś Nasir.

Sidki wyrzucał słowa z szybkością pistoletu, patrząc przy tym Ablowi prosto w oczy.

*On chyba naprawdę tego nie wie, pomyślał Abel.*

Ale to wcale nie znaczyło, że ta decydująca informacja nie ukrywa się gdzieś w pamięci Sidkiego. Nawet jeśli Franco Moussadet był psychopatycznym odludkiem, musiało istnieć miejsce, do którego czasem go ciągnęło, które dawało mu możliwość oddechu, również od ciągłej kurateli i manipulacji Nasira. A ponieważ Franco i Sidki mieszkali razem przez dłuższy czas w ciasnym pokoju, Sidki musiał coś o tym wiedzieć.

Wcześniej czy później przypomni sobie jakiś szczegół, o którym Franco kiedyś wspomniał, Abel był o tym święcie przekonany. W każdym razie uczepił się tej nadziei. Nazwę ulicy, baru albo pensjonatu, coś, co zdradziłoby im, gdzie się ukrył. Musieli tylko pomóc pamięci Sidkiego, ale było to wskazane dopiero po wypyтaniu go o inne rzeczy. Tylko że właściwie nie mieli na to czasu.

Jednak im więcej pytań zadawali Mercier i Abel i im więcej otrzymywali odpowiedzi, tym bardziej uświadamiali sobie, że Franco Moussadet to bestia w ludzkiej skórze.

Klan Moussadetów pochodził z Ifranu w marokańskich górach. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej brat dziadka Franco i Nasira przeprowadził się do Marrakeszu i założył tam rodzinę. Od tamtej pory główna linia rodziny żyła w prowincjonalnym Ifranie, a linia boczna w gwarnym mieście portowym. Ifran był wyspą dobrobytu, w każdym razie jak na marokańskie warunki. Członkowie klasy średniej jeździli zimą w pobliskie góry na narty. Miłośnicy przyrody przez cały rok wędrowali po parku narodowym, żeby obserwować rzadkie zwierzęta. Dlatego w Ifranie było kilka hoteli, a jeden z nich należał do rodziców Nasira i Franco.

Ojciec zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach krótko po narodzinach Franco. Franco był najmłodszy spośród pięciorga rodzeństwa, dwóch braci i trzech sióstr. Hotel prowadziła teraz matka, a siostry i Nasir jej pomagali. Ale Franco już jako małe dziecko przeważnie zamykano w komórce na drewno na tyłach domu.

– Po prostu dlatego, że już od urodzenia był nienormalny – wyjaśnił Sidki.

*Ale jest całkiem prawdopodobne, pomyślał Abel, że chłopak właśnie przez to stał się psychopatą. Albo w każdym razie jeszcze bardziej pokręcony, niż miał to z natury.*

Każdego, kto się do niego zbliżył, gryzł jak dzikie zwierzę. Za karę matka i siostry prały go na kwaśne jabłko kijami albo pasem. Ale niczego go to nie nauczyło, przeciwnie, przy następnej okazji gryzł jeszcze mocniej.

– Już jako mały chłopak odgryzał im kawałki ciała – powiedział Sidki. – Z rąk albo z nóg, wszyscy członkowie rodziny ciągle mieli rany kłusane. Wszyscy oprócz Nasira. Swojemu starszemu bratu dosłownie jadł z ręki.

Im Franco stawał się starszy, tym mniej mogli nad nim zapanować. Nauczył się uciekać z komórki i często całymi dniami włóczył się po lasach.

Na jakiś czas pozornie mu się polepszyło, nawet przez kilka lat chodził do szkoły. Gdy doszedł do pełnoletności, okazało się, że chce zostać żołnierzem. Ale marokańska armia nie chciała mieć nienormalnych żołnierzy, którzy przez sen wyją jak chore na wściekliznę psy.

– Potem próbował we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Ale tam też go nie chcieli – kontynuował Sidki. – Zamiast tego oddział legionistów przyłapał go w leśnym szałasie z dziewczyną, które leżała obok niego na wpół martwa. Jej ciało było całkowicie poszatutowane, wyglądała, jakby przekrecono ją przez maszynkę do mięsa. Ale Franco twierdził, że nie ma z tym nic wspólnego. Żołnierze zabrali go do koszar i doszło tam do jakiegoś incydentu, który strasznie wściekał Franco. O ile w ogóle o czymkolwiek mówił, to właśnie o tym majorze w koszarach. Na początek w ogóle nie mogłem się połapać, co dokładnie się wtedy wydarzyło. Podobno ten major naskoczył na Franco, mówiąc, że nie potrzebują żadnych Azjatów.



Abel nadstawił ucha.

– Żadnych Azjatów? – powtórzył. – Jesteś pewny, że tak powiedział?

Sidki znów wzruszył barkami wielkości kul do kręgli.

– Chińczyków, Azjatów, żadnych skośnookich – potwierdził. – A od tej nocy, kiedy Franco mnie dusił, wiem, co major miał wtedy na myśli.

Abel dostał gęziej skórki.

– Franco zaczął się na niego wydzierać, że nie jest żadnym zasranym skośnookim – ciągnął dalej Sidki.

– Ale wtedy w nocy, gdy chwycił mnie na gardło, jego oczy nabiegły krwią, zmieniły się w wąskie szparki. Idę o zakład, że właśnie to miał na myśli major.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Sobota 11 lipca godz. 22.49**

Ręka Johnny'ego Changa drżała, kiedy odsuwał zasłonę za ladą recepcji. Zawsze był dumny z żółtej zasłony z wyhaftowanymi smokami, które ziały ogniem. Ale teraz pragnął, żeby zamiast niej były tam stalowe drzwi.

Za zasłoną znajdowało się jego prywatne mieszkanie, amfilada małych pokoików. Na początku kuchnia ze zintegrowaną kabiną prysznicową, w środku salon z tapetami w kolorze złota i na końcu sypialnia, którą niemal całkowicie wypełniało wodne łóżko.

Johnny wziął z kuchennego regału z gotowymi daniami opakowanie „Chop suey według oryginalnego tajwańskiego przepisu”. Wyłuskał aluminiowy pojemnik z plastikowej folii, włożył go do mikrofalówki i najchętniej sam by się do niej wcisnął.

Nie było innej drogi ucieczki. Jedyne wejście i wyjście do jego prywatnego mieszkania znajdowało się za zasłoną w recepcji. W pokoikach nie było nawet okien.

– Człowiek czuje się tam, jak w pudełku do butów – skarżyła się nieraz Mulan. Johnny zawsze zaprzeczał. Dalej zresztą uważał, że to porównanie jest chybione.

Było tam tysiąc razy gorzej. Mieszkanie było przeklętą mysią norą. A przed nią siedział żarłoczny olbrzymi kot Moussadet i czekał, aż znów wyczołga się z niej Johnny. Żeby mógł zjeść chop suey, a na deser jego samego, Johnny'ego, mysz.

Johnny z trudem powstrzymywał łzy. Stał w przytłaczająco ciasnej kuchni przy samej zasłonie, którą zaciągnął za sobą. Nerwowo nasłuchiwał odgłosów dobiegających z holu.

Mikrofalówka szumiała, mimo to Johnny wyraźnie słyszał, jak Moussadet chodzi tam i z powrotem. Trzy kroki w jedną, trzy kroki w drugą stronę. Bez przerwy tam i z powrotem między recepcją a tym przeklętym plazmowym telewizorem.

*Gdybym nie zdemontował satelity, pomyślał Johnny, wtedy jak dawniej leciałaby tajwańska telewizja i Moussadet nawet by się tym nie zainteresował. Obojętnie, ile pokazałoby plastikowych trumien z ciałami. Ponieważ wtedy na pewno nie byłyby to jego ofiary.*

Rozległ się dźwięk dzwonka w mikrofalówce i Johnny omal nie wrzasnął.

*Mon Dieu, pomyślał, czyżby naprawdę były to jego ofiary? Czy to Moussadet zamordował obie kobiety?*

Chociaż wcześniej prawie nie słuchał, w jego głowie zachowało się kilka strzępów informacji: „Uduszone dwie stare kobiety...”, „morderstwo na tle rabunkowym...”, „morderca manipulował przy zwłokach...”

Cokolwiek mogło to znaczyć. W każdym razie brzmiało przerażająco. I w jakiś sposób pasowało do gościa z pokoju 107.

Do jego o wiele za dużych dłoni. Do jego szyi, która przypominała kamienną kolumnę, z grubymi jak

kable wiążkami mięśni po bokach. Już na myśl o tym, że sam miałby spróbować udusić Moussadeta, Johnny'ego rozboleły ręce.

Zasłona poruszyła się i Johnny'emu niemal zamarło serce. Moussadet wsunął głowę i patrzył na Johnny'ego oczami rekina.

– Lubię takich skośnookich, jak ty – powiedział Moussadet. – Jestem jednym z was. Kapujesz?

*Kapuję*, pomyślał Johnny. *Dlaczego nie zauważyłem, że on ma tak wąskie oczy?*

Jego głowa zaczęła sama przytakiwać. Do przodu i do tyłu, jakby tam, gdzie jeszcze przed chwilą miał jabłko Adama, nagle pojawił się przegub.

– Jeśli spróbujesz się stąd zmyć, to już nie żyjesz – zastrzegł Moussadet. – Czy to jasne?

Głowa Johnny'ego wciąż przytakiwała.

– A jeśli do kogoś zadzwonisz – ciągnął dalej Moussadet – jak myślisz, co się z tobą stanie?

– T...t...też już nie ż...żyję.

– Bingo – rzucił Moussadet. – A teraz przynieś mi to cholerne psie żarcie.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 23.23**

Już prawie godzinę przesłuchiwali młodego Marokańczyka, ale nie dostali kluczowej informacji. Sidki Moussadet był niezmiennie gotowy do współpracy, ale na pytanie, gdzie mógł ukryć się Franco, przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź:

– Nie mam pojęcia, przecież mówiłem to już tysiąc razy!

Ale poza tym z jego ust wydobywał się trudny do powstrzymania potok słów. Zupełnie jakby zwierzał im się ze wszystkiego. Dla Abła było jasne, co dzieje się w chłopaku: Sidki czuł się jak wybawiony, kiedy wy dostał się ze strefy wpływów Nasira Moussadeta. Musiał się poczuć, jakby obudził się z dręczącego długiego koszmaru. Najwidoczniej wolał spędzić kilka lat za kratkami niż wrócić na Rue Cavé.

Abel spojrzał pytająco na Merciera i wskazał głową w kierunku drzwi.

*Capitaine* przytaknął.

– Wszystkim nam przyda się chwila przerwy.

Wstał ociężale i przeciągnął się. Koszula z przodu wysunęła mu się zza paska. Pod pachami było widać plamy potu wielkości płyt CD.

Otworzył drzwi i zawołał:

– Potrzebuję tu kogoś, kto zadba o dobry nastrój naszego przyjaciela.

Do pokoju przesłuchań weszli dwaj umundurowani policjanci i usiedli na miejscach Merciera i Abła.

*Informacja, która mogłaby nam pomóc, tkwi w głowie Sidkiego*, pomyślał Abel, wychodząc z pokoju za Mercierem. *Cholera, czuję, że jesteśmy już naprawdę bardzo blisko!*

Czuł się co najmniej tak samo wykończony, jak wyglądał Mercier. Ale nie mogli teraz odpuścić, musieli naciskać dalej. Liczyła się każda minuta, nie tylko z powodu Lilly i Larsa Moewiga.

Abel niemal fizycznie wyobrażał sobie Franco Moussadeta, jak stoi gdzieś w ciemności na czatach. Chory na wściekłą szakal.

Abel wszedł z Mercierem na drugie piętro, gdzie *capitaine* miał swoje biuro. Na schodach zawibrował jego blackberry i przypomniał mu, że od wielu godzin nie sprawdzał skrzynki mejlowej. Szybko wyjął smartfon i przeleciał wzrokiem listę nieprzeczytanych mejli.

*Nic naprawdę pilnego*, pomyślał. Ale potem jego ciekawość wzbudził napisany po francusku mejl z tajemniczym zdaniem w rubryce Temat: *Nous sommes le resultat!* Rezultatem jesteśmy my! Nadawcą był Noah Borel, ale również ten mejl musiał poczekać. Chociaż na nazwisko Borel Ablowi odrobinę przyspieszyło tętno.

*Claire Borel z Gwadelupy*, pomyślał. *Najbardziej burzliwy, chociaż zarazem najkrótszy romans w moim życiu. Szaleństwo. Przez całe lata ani razu nie pomyślałem o Claire ani nie zastanawiałem się, jak ułożyła sobie życie. A dziś już drugi raz o niej myślę. Jak dawno to było? Co najmniej piętnaście*

*lat!*

Wspomnienia zawirowwały w nim jak liście wzniesione w powietrze podmuchem wiatru. Kongres w Paryżu, w którym brał udział jako świeżo upieczony lekarz medycyny sądowej. Mały hotel przy Montparnasse, w którym przy śniadaniu Claire Borel potknęła się i wprost wpadła mu w ramiona. Drobną piękną z kasztanową cerą i wesołym gardłowym śmiechem, który jeszcze wiele lat później dźwięczał mu w uszach. Tak gorącego i szalonego romansu nie przeżył już nigdy w swoim życiu. Trwał pięć dni, dokładnie tyle samo co kongres, z którego prawie nic nie zapamiętał. Potem Claire zniknęła z jego życia. Nigdy nie miał jej adresu ani numeru telefonu, a ona też już nigdy się z nim nie skontaktowała. Wrócił do Hanoweru i niedługo potem poznał Lisę.

*To było wiele lat temu. A jednak przez chwilę tak dziwnie niedawno.*

Z powrotem włożył smartfon do kieszeni.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – powiedział Mercier, kiedy usiedli przy małym stoliku w jego biurze. – Moim zdaniem ten chłopak naprawdę nie wie, gdzie zamelinował się jego kuzyn.

– On to wie – obstawał przy swoim Abel. – Tylko nie wie, że to wie.

Otworzyły się drzwi i do środka weszła Lilou Maran. Wyglądała tak samo świeżo i rześko jak pięć godzin temu. Wydawało się, że ani gorąco, które wisiało w pokoju mimo nocnej pory, ani późne godziny pracy w ogóle jej nie szkodzą.

– Sprawdziłam wszystkie listy pasażerów – oznajmiła i rzuciła na stół stertę wydruków komputerowych. – Nasz człowiek to na sto procent Franco Moussadet. Sami spójrzcie: Berlin Tegel, Londyn Heathrow, Bari, Orly. Był w tych wszystkich miejscach w czasie popełnienia zbrodni. Za każdym razem lądował maksymalnie pięć godzin przed zabójstwem i odlatywał najpóźniej cztery godziny po. Mam nawet obraz z kamery na Heathrow, na którym widać go w hali przylotów i odlotów. Najwidoczniej tylko z Orly nie odleciał.

Usiadła na krześle między Mercierem a Ablem i rozłożyła na stole listy oraz zdjęcia. Na jednym ze zdjęć z kamery na Heathrow było widać Moussadeta, jak biegnie przez halę odlotów, widocznie przyszedł w ostatniej chwili i chce zdążyć na samolot.

– Zabójstwa w Bari i Orly popełniono w odstępie trzech dni – powiedziała Lilou Maran i spojrzała znacząco na Merciera.

Nie kontynuowała dalej swoich wywodów, ale nie było to też konieczne. W najmniejszym stopniu nie zdziwiliby się, gdyby Moussadet popełnił w tym czasie jedno albo nawet kilka zabójstw.

– Wszczynamy poszukiwania – oświadczył Mercier. – Być może Moussadet jest właśnie w tej chwili na lotnisku i wybiera z listy ofert last minute miejsce akcji swojej kolejnej zbrodni.

– Jestem pewny, że znajduje się tu, w mieście – ponownie sprzeciwił się Abel. – Wrócił do Paryża, ponieważ seria morderstw się dla niego zakończyła. Nieplanowane zabójstwo Mansury Farès, kuzynki jego matki, musiało nim głęboko wstrząsnąć. Nawet Jankowski, profiler w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, z którym rozmawiałem dzisiaj przez telefon, uważa za raczej nieprawdopodobne, żeby w tych okolicznościach Moussadet wrócił do wcześniejszego wzorca popełniania przestępstw.

Mercier pokręcił głową.

– Z całym szacunkiem, monsieur Abel – powiedział z udręczonym uśmiechem. – I tak już pan dzisiaj ciężko zaburzył moją domową harmonię. Nie chciałbym tego samego wieczoru zrujnować sobie dodatkowo kariery.

Położył Lilou Maran rękę na ramieniu.

– Rozpocznij akcję poszukiwania – nakazał. – Aglomeracja paryska. Lotniska. Dworce, drogi wylotowe, wszystko.

*A niech to szlag, pomyślał Abel. Nie wolno mu tego robić! Moussadet jest jak bomba, która może wybuchnąć przy najlżejszym dotknięciu!*

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 23.33**

Abel nie miał złudzeń: Mercier nie da się przekonać. Na Franco Moussadecie ciążyło mocne podejrzenie, że w ciągu tygodnia zamordował co najmniej pięcioro ludzi. Wiedzieli, jak się nazywał i jak wyglądał. I wiedzieli, że był wygłodniały jak biały rekin. Mercier napytałby sobie biedy, gdyby dysponując tą wiedzą, nie wszczął szeroko zakrojonych poszukiwań, a Moussadet uderzyłby kolejny raz.

– Niech pan przynajmniej trzyma z dala od tego media – poprosił Abel. – Jeśli Moussadet zobaczy swój wizerunek w telewizji albo w gazecie, a do tego przeczyta nagłówek *Ucieczka seryjnego mordercy*, na pewno przepalą mu się ostatnie bezpieczniki.

Mercier zmarszczył czoło. Przez co najmniej pół minuty gapił się na swoją dłoń, która wciąż leżała na ramieniu Lilou Maran.

– Niech będzie – zgodził się w końcu. – Dziś w nocy i tak moglibyśmy w ten sposób dotrzeć do minimalnej liczby potencjalnych świadków. Ale jeśli nasz wielki dzidzius tam na dole nie powie nam do jutra rana, gdzie ukrywa się Franco, wtedy punktualnie o szóstej odpalam medialną bazookę.

Pogłaskał ramię porucznik Maran.

– Teraz rusz się, Lilou. Przekaż moją decyzję dowodzącemu oficerowi!

Wstała i podeszła do drzwi, ale zatrzymała się w progu.

– Pod dwoma warunkami, Victor.

– Warunkami? – Zrobił ponurą minę. – Czy to aby nie ja jestem tu *capitaine*, bo...?

– Po pierwsze: pojedziesz teraz do domu i będziesz bawił się z żoną i gośćmi – wpadła mu w słowo Lilou Maran. – A my z Fredem już sami zajmiemy się wielkim dzidziusiem. I po drugie, obydwaj natychmiast przestaniecie sobie „panować”.

Mercier popatrzył na nią z osłupieniem, potem jego okrągła twarz jeszcze bardziej rozciągnęła się w uśmiechu.

– Kolejny raz widać, kto tu rządzi. – Podniósł się i wyciągnął rękę do Abla. – Miej się na baczności, Fred – dodał. – Lilou jest kuta na cztery nogi.

*Naprawdę pojedzie teraz do domu na imprezę?* – Abel patrzył zdziwiony na rękę Merciera. *Niby zjednoczona Europa, pomyślał, a w Paryżu zegary wciąż chodzą inaczej niż w Berlinie.*

Podniósł się z miejsca i zmusił do uśmiechu, ściskając dłoń Merciera.

– Ale... chyba będziesz uchwytny, Victor? – upewniał się. – W razie gdyby Sidki Moussadet przypomniał sobie, gdzie może ukrywać się jego kuzyn.

Mercier mocno potrząsnął prawicą Abla.

– Zatańczę z żoną – zadeklarował – pogadam z zastępcą prefekta i wzniosę toast szklanką wody za pomyślność moich gości.

Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– A jeśli ktoś mnie zapyta – ciągnął dalej – dlaczego nie piję szampana, odpowiem: dlatego że odwiedził mnie kolega z Niemiec. A przecież wiecie, jak Niemcy spędzają noc: całkowicie trzeźwi i świadomi swoich obowiązków.

Uniósł rękę w pozdrowieniu i zniknął za drzwiami, zanim uniesione brwi Abla zdążyły wrócić na swoje zwykłe miejsce.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Sobota 11 lipca godz. 23.39**

Jesteś nic niewartym kawałkiem gówna, Sidki – odezwała się Lilou Maran.

W każdym razie Abel mniej więcej tak to sobie przetłumaczył. Znów posługiwała się żargonem, którym wcześniej wieczorem naskoczyła na Nasira Moussadeta. W połowie po francusku, w połowie mieszanką języków afrykańskich.

*Pół na pół, przemknęło Ablowi przez głowę. Jak w przypadku „Respectez Asia”.*

Zastanawiał się nad tym, ale nie wymyślił nic więcej.

– Sam też siedziałeś po uszy w gównie – ciągnęła Lilou Maran – W Marrakeszu mieszkałeś z rodziną w slumsach, przecież tak właśnie powiedziałaś! Twój brat François rozwalił sobie mózg amfą. To też są twoje słowa!

Zerwała się z krzesła i przez stół gwałtownie uderzyła Sidkiego otwartą dłonią w twarz.

– I co robisz, ty głupia kupo śmieci?! – krzyczała. – Nie masz nic lepszego do roboty niż uzależniać naszych ludzi od tych zasranych prochów!

Ciężko oddychając, opadła na krzesło.

Abel był co najmniej tak samo zdziwiony jak Sidki, który wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Z pewnością mógłby bez trudu obronić się przed ciosem, ale nawet nie podniósł ręki, żeby zasłonić twarz.

*Naszyci ludzi, powtórzył w myślach Abel.*

– Nie mam z tym nic wspólnego – powiedział Sidki. – Nie moja sprawa, co Nasir robił z towarem.

– Nie? Naprawdę nie? – najechała na niego z jeszcze większą złością. – Nasir opyla towar pochodzącej z Afryki klienteli, a ty mówisz, że to nie jest twoja sprawa? Tak samo jak nie było twoją sprawą, kiedy twój ojciec sprzedał za pięćset dolarów życie twojego brata?

*Czuje się na pół Francuzką, na pół Karaibką, pomyślał Abel.*

Poczuł gwałtowne mrowienie w żołądku. Widocznie intuicja chciała mu coś powiedzieć, ale jak zwykle wyrażała się bardzo niewyraźnie.

Sidkiemu zaczęły drżeć usta.

– A co miałem zrobić? – wrzasnął. – Przecież nie mogłem powstrzymać ojca! Byłem jeszcze dzieckiem!

*Tak jak Franco Moussadet, zamyślił się Abel. Tak jak Franco był jeszcze dzieckiem, gdy zamykały go... Nie, to bzdura, tu nie o to chodzi!*

Łamał sobie głowę. I bardzo dobrze wiedział, że tylko wtedy najdzie go genialna myśl, jeśli będzie myślał o czymś zupełnie innym. Tak samo jak Sidki dozna nagłego olśnienia i przypomni sobie ważną informację tylko wtedy, jeśli nie będzie się nad tym zbytnio zastanawiał.

Lilou patrzyła na Marokańczyka z odrazą.

– Ale teraz już od dawna nie jesteś dzieckiem – powiedziała. – Nikt cię nie zmuszał, żebyś był



kurierem Nasira i kilogramami przywoził tu tę samą śmiertelną truciznę, od której przekreślił się w Marrakeszu twój brat!

Znów wpadła w barwną mieszankę językową, taki w połowie francuski, w połowie afrykański koktajl.

*Pół na pół, znów pomyślał Abel. Franco Moussadet pisał hasło na ciałach swoich ofiar w połowie po francusku, w połowie po angielsku. Ale to też nie jest ta paralela, o którą tu chodzi. Tu chodzi...*

– Zabił go Franco, a nie ta zaszra amfa! – wrzasnął Sidki.

– Wtedy on był już tylko zombi! – krzyknęła Lilou. – Wiesz to lepiej ode mnie!

Odchyliła się tak gwałtownie, że o mało co nie przewróciłyby się razem z krzesłem.

*...o słowo, dokończył myśl Abel. Asia. To o to tu chodzi!*

Teraz o mało nie zwymiotował z napięcia.

*Pół na pół. Franco czuł się w połowie Francuzem, w połowie Azjatą, zastanawiał się gorączkowo. Ale dlaczego Azjatą? Ponieważ wtedy ten major nawymyślał mu od skośnookich? Czy to ma jakikolwiek sens?*

– Zostawmy to gówno – rzuciła Lilou. – Nic nam to teraz nie da.

Powiedziała to w zasadzie do Sidkiego albo nawet do siebie samej, ale Abel odniósł to do swoich rozmyślań.

– Ależ przeciwnie, zdecydowanie da – zaprzeczył, nie zwracając uwagi na jej zdziwiony wyraz twarzy.

Odwrócił się do Sidkiego.

– Sam wcześniej powiedziałaś, że jeśli Franco w ogóle o czymś mówił, to tylko o tym incydencie z majorem. Zgadza się?

Wzruszenie ramion.

– Tak. No i co?

– Franco strasznie się wściekał, że major nazwał go skośnookim – snuł dalej Abel swoją myśl, sam nie wiedząc, do czego zmierza. – Czy to się zgadza?

– Do jasnej cholery, tak.

– Oprócz tego powiedziałaś, że faktycznie zwężają mu się oczy, kiedy dostaje napadu szału.

– I to jeszcze jak! – potwierdził Sidki Moussadet. – Gdy miałem na szyi jego dłonie, wyglądał jak zaszra Azjata, tylko że czarny!

Lilou chciała coś wtrącić, ale Abel uniósł rękę.

– Poczekaj. Za chwilę, Lilou. Tak jak ty czujesz się pół-Karaibką o afrykańskich korzeniach, tak Franco Moussadet czuje się pół-Azjatą. Albo nie, poczekaj. Jeszcze inaczej. Odrobinę inaczej.

Zamknął oczy, żeby maksymalnie się skupić.

– Tak jak ty czujesz się związany z dzielnicą afrykańską – zaczął od nowa – tak samo on się czuje... czy to możliwe? Przyciągany przez chińską dzielnicę? Przez Chinatown? Czy to ma sens? Mam na myśli, w jego obłąkanym świecie? To stąd to „Respectez Asia”?

– Nouveau – rzucił niespodziewanie Sidki. – Nie „Respectez”, tylko „Nouveau”.

Abel otworzył oczy. Zirytowany, ponieważ przerwano mu tok rozumowania.

– Co chcesz nam powiedzieć, Sidki? – zapytała Lilou Maran najłagodniejszym tonem głosu, jaki Abel kiedykolwiek u niej słyszał. – Co masz na myśli, mówiąc „Nouveau”, a nie „Respectez”?

– *Nouveau Asia* – wypalił młody Marokańczyk jak z pistoletu. – Jestem pewny! Któryś razem Franco powiedział, że to jakaś buda w chińskiej dzielnicy i że chodzi tam, kiedy ma już wszystkiego powyżej uszu.

Patrzył na Lilou i Abła promiennym wzrokiem jak uczeń, któremu równo z końcowym gongiem przysłała do głowy właściwa odpowiedź.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Sobota 11 lipca 23.43**

Rozczarowałeś mnie, ty zasrany dupku – zaczął Moussadet. – Dlaczego oglądasz głównianą francuską telewizję? Psiakrew, przecież jesteś Azjata!

– Ale ja w...w...wcale n...n...nie...

Mając motylkowy nóż na gardle, Johnny nie mógł zebrać myśli. A co dopiero odpowiedzieć. Klęczał obok Moussadeta we własnym hotelowym holu, między małym kącikiem wypoczynkowym a recepcją. Miał przemoczone spodnie. Na podłodze pomiędzy kolanami utworzyła się mała żółta kałuża.

– Nie kłam! – wydarł się Moussadet. – Dobrze widziałem, jak gapiłeś się na ten pieprzony telewizor!

Siedział na jednym z foteli pod plazmą. Jedną ręką trzymał łyżkę i wkładał nią sobie do ust chop suey, drugą przyciskał nóż do szyi Johnny’ego.

– Ale on c...cały czas jest w...włączony! – zawył Johnny. – W ogóle n...n...na niego nie p...p...patrzę...!

Oczy Moussadeta coraz bardziej się zwężały. Malutkie szparki z białkiem w środku, tak jakby szalenieć wywrócił oczy do góry.

– N...n...niczego nie s...słyszałem! – skomlał Johnny.

Wydawało się, że Moussadet również niewiele słyszy z tego, co mówi Johnny.

– Lubię cię, skośnooki. Przecież wiesz o tym – odezwał się kumpelskim tonem. – Więc powiedz mi. Co tam gadali o starych kobietach?

Pokazał łyżką w stronę telewizora.

Joanny łamał sobie głowę. Tylko przez krótką chwilę widział w TF1, jak czterech mundurowych ładuje plastikowe trumny do furgonetki peugeot. Za to w radiu, w France Inter, cały dzień informowali o wszystkich szczegółach „podwójnego zabójstwa w Orly”.

– Jedna kobieta cz...cz...czarna – wyjąkał– i jedna b...b...biała.

Przeklinał sam siebie, ponieważ ani razu nie pomodlił się do *Mon Dieu*, boga Francuzów. Czynił sobie wyrzuty, ponieważ wypędził z domu Mulan. Nie, żeby ze swoją parasolką miała jakąkolwiek szansę w starciu z Moussadetem. Ale jeśli już umierać, to przynajmniej nie całkiem sam.

Kiedy już podał Moussadetowi chop suey w aluminiowym pojemniku, Marokańczyk zmusił go, żeby zamknął frontowe wejście. Wyjście awaryjne za schodami i tak można było otworzyć wyłącznie od środka.

– Zasuń zasłony – rozkazał. Johnny zaciągnął nieprzepuszczające światła czerwone zasłony wiszące w oknie i szklanych drzwiach. Potem Moussadet polecił mu uklęknąć obok siebie. – Dalej, Chinolu. Co jeszcze? – Mocniej przycisnął czubek noża do szyi Johnny’ego. – Jakieś nazwiska?

– T...t...tak. – Johnny zamknął oczy. – El...El...El...ta b...b...biała.

– Tę to mam gdzieś. Czarna sroka, jak ta się nazywała? Gadaj, no już! – naskoczył na Johnny’ego i

przeciągnął mu nożem po gardle.

Joanny poczuł raptowny ból, bardziej palenie niż kłucie. Ciepła krew popłynęła z szyi na koszulę.

– Nożem pieprzę tylko pizdy – stwierdził Moussadet. – Tamtego strażnika wtedy...

Przerwał i popatrzył zadumany na Johnny'ego.

– M...ma...ma... – Johnny szczykał zębami. – Mansura Farès – wyrzucił z siebie bez zajknięcia.

Moussadet zawył.

– To zasrane kłamstwo! – krzyknął. – Natychmiast powiedz, że to nieprawda, ty śmierdzący kutasie!

Rzucił się na Johnny'ego. Posypał się grad ciosów zadawanych pięścią.

*Jak lawina kamieni*, przeszło przez głowę Johnny'emu.

– Powiedz, że to nie była ciotka Mansura! – wrzasnął Franco Moussadet.

Ale Johnny Chang nie powiedział już nic więcej. Wokół niego była już tylko ciemność.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, Avenue de Choisy**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.17**

Zaraz będziemy na miejscu – oznajmiła Lilou Maran. – Słyszysz mnie, Victor?

Mówiła stłumionym głosem do mikrofonu w zestawie słuchawkowym. Abel wciągnął ją głębiej w nieoświetlone wejście do domu i niespokojnie rozglądał się po ulicy.

Minęła północ, ale po mieście wciąż łazili liczni nocni amatorzy wrażeń. Po obu stronach ulicy ciągnęły się jak nanizane na nitkę perły szeregi chińskich, wietnamskich i koreańskich lokali oświetlonych kolorowymi azjatyckimi lampionami. Były tam nocne bary, budki z jedzeniem, obskurne hotele z mrugającymi czerwonymi latarniami w kształcie serca. Co kilka metrów stały przy krawężnikach azjatyckie prostytutki w kusych sukienkach.

Mniej więcej trzydzieści metrów w górę ulicy nad rzędem okien na pierwszym piętrze świecił się różowy neon „Nouveau Asia”. Abel i Lilou Maran stali tak blisko siebie, że mieszały się ich oddechy. I zapach potu. Lilou wciąż rozmawiała szeptem przez telefon z Mercierem. Jej brązowa twarz roztapiała się w otaczających ciemnościach. Tym jaśniej odznaczały się jej zęby i białka oczu.

Znow przypomniawszy sobie Claire Borel. Przy czym jeśli spojrzano się dokładniej, nie była szczególnie podobna do Claire. Wszystko tu w Paryżu nagle kazało mu myśleć o Claire, odkąd zobaczył jej nazwisko w tym mejlu. Terkotanie przejeżdżającego mopeda, paplanie przechodniów, zapach grilla na węgiel drzewny w leżącej naprzeciwko restauracji. Lilou przypominała ją co najwyżej powierzchownie, tak jak dwie młode ładne kobiety pochodzące z tej samej odległej części świata mogą wyglądać podobnie w oczach Europejczyka. Obie szczupłe, wysokie, brązowe i młode.

Tyle że Claire lata pierwszej młodości miała już za sobą.

Ale dla niego nie była po prostu jakąś młodą Karaibką. Wtedy poważnie się zastanawiał, czy była tą kobietą, z którą chciałby spędzić życie. I wtedy wszystko się nagle skończyło. Wrócił do Hanoweru i cała historia wydała mu się snem, którego nigdy nie zapomni. Burzliwym i radosnym, ale tylko snem.

– Victor jest w drodze – odezwała się Lilou Maran do Abela. – Do jego przyjazdu powinniśmy pozostać w ukryciu. Wezwał oddział specjalny, trzydziestu ludzi. Powinni niedługo tu być. Obstawiają hotel, dopiero potem my wejdziemy.

*Taka sama katarynka jak u nas w Niemczech, pomyślał Abel. Wszystko robimy zgodnie z przepisami, żeby potem nikt nie mógł nam niczego zarzucić. Nieważne, czy przepisy w konkretnej sprawie są zasadne, czy nie.*

– Jak długo to potrwa? – zapytał. – I jak chcecie niezauważenie skoncentrować tu oddział?

Nagle zrobiło mu się sucho w ustach. Moussadet musi być w środku, pomyślał. *Dostłownie czuję jego obecność.*

– Na naszą korzyść przemawia zaskoczenie – powiedział tak spokojnie, jak tylko potrafił. – Pierwszy raz, odkąd go ścigam. Ale musimy uderzyć teraz. Jeśli znowu nam umknie tylko dlatego, że Mercier... że

Victor wolał być w domu na swoim...

– Sza, sza. Lepiej nie kończ! – wpadła mu w słowo Lilou Maran. – *Mon Dieu*, co ty chcesz zrobić?

Poczekaj, Fred!

Chwyciła Abła za ramię. Strząsnęła jej rękę i wyszedł na chodnik.

– Przyjrę się z bliska hotelowi.

– Ale nie sam. – Objęła go w pasie. – Jeśli nie chcesz wszystkiego spartaczyć, przynajmniej obejmij mnie ramieniem – poleciła.

Ciasno objęci jak zakochana para szli w stronę Nouveau Asia. Mimo późnej pory było tak ciepło, że Ablowi koszula przykleiła się do pleców.

W powietrzu unosił się zapach haszyszu, zmieszany z korzennym aromatem azjatyckich potraw. Z naprzeciwka szło mnóstwo młodych Azjatek i Azjatów, dziewczyny w obcisłych minispódniczkach i na wysokich obcasach. Gdzieś w pobliżu musiała być dyskoteka albo klub taneczny.

Abel czujnie rozglądał się po wypełnionej tłumem ulicy.

*Mam nadzieję, że nie dojdzie do pościgu tu, na ulicy rozrywek, pomyślał. Snajperzy Merciera nie mogliby zaryzykować strzału, ale za to Moussadet mógłby z łatwością wziąć zakładnika.*

Z bliska hotel Nouveau Asia nie wyglądał zachęcająco. Nieczynny albo wręcz zamknięty przez właścicieli. Ciężkie ciemnoczerwone zasłony za jedynym oknem i drzwiami wejściowymi z masywnego szkła całkowicie uniemożliwiały zajrzenie do środka. W całym rzędzie okien na piętrze było ciemno. Po lewej ręce znajdował się wąski przejazd na tylne podwórze. Nad zamkniętym szlabanem widniał szyld z napisem „Parking hotelowy”. Ale także parking był ciemny i opustoszały.

*Jeśli hotel nie prowadzi działalności, pomyślał Abel, to dlaczego świeci się neon na fasadzie?*

Powoli jak spacerowicze przeszli wzdłuż wąskiej frontowej ściany budynku. Kiedy znaleźli się na wysokości okna, w środku rozległ się dziwny hałas. Nieokreślone bulgotanie i powarkiwanie.

*Jakby wściekłego zwierzęcia.*

Abel i Lilou Maran wymienili spojrzenia.

Na dodatek mieszał się z odmiennym dźwiękiem, cienkim i żalonym skomleniem.

– Słyszałaś to? Nie jest sam! – wyszeptał Abel, przykładając wargi do ucha Lilou.

Znowu bulgotanie i powarkiwanie, a po ułamku chwili znów skomlenie.

*To przypomina odgłosy wydawane przez drapieżnika, który pożera swoją zdobycz. Jeszcze żywą!*

– Nie możemy czekać – odezwał się szeptem Abel. – Ofiara tam w środku jeszcze żyje!

Silniej objęła go w pasie.

– Przecież sama widziałaś akta! – rzucił. – W Rabacie przegryzł gardło strażnikowi.

– I myślisz, że teraz znów to robi tam w środku?

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– A co ci się wydaje, gdy to słyszysz? – wyszeptał w odpowiedzi. – Nie możemy czekać na Victora i jego ludzi. Wchodzimy już teraz.

Wahała się jeszcze kilka sekund, potem ledwo zauważalnie skinęła głową.

– Ja zajmę się tylnymi drzwiami. Z pewnością jest tu wyjście awaryjne na podwórze – powiedziała tak cicho, że tylko wyczuwał ruchy jej warg. – Uważaj na siebie, Fred.

Delikatnie pocałowała go w kącik ust. Potem uwolniła się od niego i zwinnie jak kot znikła w przejeździe na hotelowy parking.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.23**

**M**etaliczne kliknięcie przstraszyło Franco. Uniósł głowę i nasłuchiwał. W ustach miał smak krwi. Palcami obmacywał wargi, tam też wszędzie była krew. Na jego dłoni, ustach, brodzie.

Znów metaliczny hałas. Z wolna otrząsał się z szału. Szału pożerania. Siedział na czworakach przed ladą recepcji. Pod nim leżały czyjeś resztki. Franco zastanawiał się, kto to może być.

*Jasny szlag, jasny szlag, to ten Chińczyk! – przypomniał sobie. Pieprzony dupek twierdził, że zamordowałem ciotkę Mansurę. No to teraz ma za swoje!*

Tam, gdzie było gardło ofiary, ział krwawy krater. Chińczyk nie miał na ciele ani jednego strzępu ubrania. Jego chudy brzuch był otwarty. W miejscu, gdzie powinien znajdować się pępek, była ogromna dziura, z której wypływały jak niebieskawo-szarawe węże jelita Johnny’ego Changa.

*Głowa Meduzy*, pomyślał Franco. Tak nazywał się paskudny nocny klub na Montmartrze, przed którym zatrzymywał się kilka razy. Gównno go obchodziło, co tam się w środku dzieje, ale na drzwiach wejściowych, których pilnowali dwaj bramkarze à la Jibran, widniała obłądna kobieca głowa o przenikliwych oczach i z węzami zamiast włosów.

*Przeklęty Chińczyk, to wszystko twoja wina! – pomyślał Franco. Poszedł do Nouveau Asia, ponieważ myślał, że będzie tu bezpieczny. Ale Johnny go rozczarował. Tak samo jak wszyscy pozostali, powiedział do siebie Franco. Wszyscy to ta sama zgniła hołota.*

Znowu kliknięcie. Najwyraźniej dochodziło od strony drzwi wejściowych.

Kotara była zaciągnięta, dlatego Franco nie mógł zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Ale wcale tego nie potrzebował. Znał ten dźwięk. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Sidki pokazał mu, jak szybko da się otworzyć zamek.

*Co za zaszrana sprawa! Skośnooki zadzwonił po gliny! I teraz grzebią wytrychem w pieprzonym zamku w drzwiach!*

Franco zerwał się na równe nogi. Pośliznął się na brei z krwi, szczyń, gówna i kawałków ciała i z trudem złapał równowagę, machając rękami.

*Zadzwonił po kryjomu, gdy był za kotarą! Zaszraną zdrajca!*

Kopał szczątki Johnny’ego Changa, aż do połowy znikły pod stołem, i rzucił się do wyjścia awaryjnego za schodami.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.25**

Kiedy Marie Lindweg się obudziła, jej zegarek pokazywał godzinę trzynaście po siódmej. Zdziwiła się, ponieważ w pokoju Lilly wciąż było ciemno. Tylko nocna lampka słabo świeciła obok głowy dziewczynki.

Była jak zamroczona. Niewątpliwie to skutek działania zastrzyku uspokajającego, który dali jej wczoraj po południu.

Marie spała jak kamień przez sześć godzin w pokoju wypoczynkowym dla krewnych. Obudził ją dopiero koszmarny sen, w którym wszyscy troje, Lilly, Lars i ona sama, dusili się pod jedną gigantyczną maską tlenową.

Nogi ledwo jej słuchały, wszystko wirowało jej przed oczami. Ale jakoś udało się jej dotrzeć do pokoju Lilly. Upewniła się, że jej mała dziewczynka, ciężko dysząc, wciąż walczy o oddech. Wtedy opadła na fotel i ponownie usnęła.

A teraz było tuż po siódmej.

*Po siódmej rano, no bo przecież nie wieczorem.*

Dziwne tylko, że nieprzepuszczające światła kotary były zaciągnięte.

*Gdybym je rozsunęła, na zewnątrz byłoby jasno jak w dzień.*

Czuła, że ta myśl nie jest całkiem logiczna. Ale po prostu za nic nie mogła skojarzyć, na czym polega jej błąd myślowy.

*Musimy zaczynać. Wszystko jest przygotowane. Nie możemy dłużej czekać.*

Gdyby tylko nie czuła się taka rozbita. *Jeszcze tylko minutę*, pomyślała. Na dodatek wszystko ją bolało od długiego siedzenia.

W mętym świetle nocnej lampki Lilly wyglądała jak własny duch. Taka szara i zapadnięta, prawie bezcielesna. Ale wciąż oddychała. Wciąż żyła, jeśli można tak nazwać tę walkę życia ze śmiercią. I spała, jeśli ten podobny do stanu nieprzytomności sen nie był już rodzajem śpiączki.

Początek końca.

*No rusz się, Marie.*

W myślach przerabiała to już dziesiątki razy.

Butla z tlenem i aparatura, do której była podłączona Lilly, były przymocowane do metalowej półki przytwierdzonej do wezglowia łóżka. Stojak z kroplówkami, które Lilly nieustannie podawano, też był przymocowany do ramy łóżka. W ten sposób można było przewozić pacjentów z oddziału dziecięcej intensywnej terapii w inne miejsca szpitala, gdyby z określonych powodów było to konieczne.

Na przykład po to, żeby zmusić do działania pozbawionych serca polityków czy sędziów.

*Ktokolwiek decyduje w tych sprawach, będzie musiał działać*, pomyślała Marie. *I to natychmiast.*

Wstała, zwolniła blokadę kół łóżka Lilly i cicho otworzyła drzwi.

W korytarzu było tak spokojnie i mroczno, jak zazwyczaj bywa tylko późno w nocy.

*Tym lepiej*, pomyślała Marie.

Wypchnęła łóżko ze śpiącą Lilly tyłem przez drzwi. Ponownie spojrzała w lewo i w prawo. Na korytarzu nie było żywej duszy.

Zdecydowanym ruchem skierowała się do windy na końcu korytarza. Gumowe koła łóżka Lilly piszczały na linoleum, poza tym nie było słychać żadnych innych odgłosów.

Oprócz dyszącego oddechu Lilly.



**Paryż**  
**Dzielnica chińska, hotel Nouveau Asia**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.29**

Abel otworzył masywne szklane drzwi, gwałtownym ruchem odsunął na bok kotarę i wskoczył szczupakiem do środka hotelu. Przetoczył się po podłodze i uderzył w szafę. Zrywając się na równe nogi, nerwowo rozglądał się na wszystkie strony.

Mroczne światło pod sufitem. To, co uważał za szafę, okazało się recepcyjną ladą. Nie było za nią nikogo, tak samo jak w całym lobby.

W każdym razie nikogo, kto jeszcze żył.

Wąskie przejście przed recepcją było całe we krwi. Wszędzie leżały krwawe kawałki ciała, w korytarzu, na stole, nawet na ladzie recepcji. Wśród nich resztki męskiego gardła oraz strzępy jelit. Na fotelu leżały przesiąknięte krwią części odzieży. Biała pewnie kiedyś koszula, bielizna, czarna marynarka i spodnie.

Abel prawie zapomniał oddychać. Widział już dużo przerażających miejsc zbrodni. Ale to tutaj było trudne do zniesienia nawet dla tak doświadczonego lekarza sądowego jak on. Zwłaszcza że sprawca nie mógł być daleko. Ablowi wydawało się, że dosłownie czuje jego obecność.

Zwłoki, do których należały kawałki ciała, leżały pod stołem. Wystawały spod niego tylko pokryte zakrzepłą krwią czarne włosy.

Abel ukląkł, aby przyjrzeć się twarzy zmarłego. Jednocześnie co chwila nerwowo oglądał się za siebie, żeby Moussadet nie mógł go zaskoczyć w tej pozycji, w której nie mógłby się obronić.

*Azjata, mężczyzna, trzydzieści kilka lat, automatycznie notował w myślach. Prawdopodobnie pracownik hotelu. Ciężkie rany kłusane na przednich i tylnych partiach szyi. Na podstawie odcisków górnej i dolnej szczęki definitywnie zadane przez mężczyznę. Dolna część brzucha otwarta na dużym obszarze, również w wyniku ugryzień mężczyzny. Odciski kłów na peryferiach otartych i postrzępionych brzegów ran. Znajdujące się na zewnątrz jelita częściowo uszkodzone. Wystąpienie kału do otwartej jamy brzusznej. Każde z tych obrażeń samo w sobie śmiertelne.*

Najpierw przypuszczał, że mężczyzna resztką sił wczołgał się pod stół. Ale nie mogło tak być. Kiedy Moussadet usuwał ciało z drogi, ten biedny człowiek na pewno już nie żył. Bez krtani, z otwartym brzuchem, z którego wypływały jelita, nikt nie mógłby wczołgać się pod stół.

*Za późno! Znowu przyszedłem za późno!*

Podniósł się i dalej rozglądał nerwowo dookoła. Za ladą recepcji wisiąca złotożółta zasłona, zaciągnięta do połowy. Widocznie za nią znajdowały się prywatne albo służbowe pomieszczenia. Teoretycznie Moussadet mógł się tam ukryć. Ale Abel nie zmarnował nawet sekundy na rozważanie takiej możliwości.

*To do niego nie pasuje.*

Szybkim krokiem poszedł do końca korytarza. Podświetlony neon prowadził do wyjścia awaryjnego

pod schodami.

Na ościeży schodów znajdował się staromodny wyłącznik światła, który nacisnął, przechodząc, żeby wyłączyć światło w korytarzu. Tylko na wypadek gdyby Moussadet miał broń palną.

Ale Abel nie wierzył w to.

*Stopniowo cię poznaję, pomyślał. Chowanie się za kotarą do ciebie nie pasuje, tak samo jak pistolet.*

Abel nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Poczł powiew świeżego powietrza, wciąż dusząco ciepłego.

Wyszedł na podwórze. I zamarł.

– Spadaj, dupku – powiedział Moussadet. – Spóźniłeś się.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, podwórze hotelu Nouveau Asia**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.29**

Podwórze było rozległe i puste, okna w otaczających je domach przeważnie ciemne. Ale nad dachami unosił się sierp księżycy i błyszczał jak świeżo naostrzony nóż.

Franco lubił wychodzić z domu w nocy. Bez problemu orientował się również w ciemnościach.

„Masz oczy jak ryś”, powiedział kiedyś Nasir. I tym razem wyjątkowo trafił w dziesiątkę.

Lecz Franco miał również uszy wrażliwe jak u drapieznika. Dlatego dokładnie słyszał, że ktoś znajduje się na przejeździe. Ciche skradające się kroki, ale nie dość ciche dla niego.

Pochylony przebiegł wzdłuż ściany budynku. W połowie drogi między hotelowymi drzwiami a przejazdem było zejście z kilkoma schodkami prowadzące do sąsiedniej piwnicy.

Franco wśliznął się tam po cichu i przykucnął, dokładnie w chwili, gdy z drugiej strony przejazdu wyszła wysoka zdzira.

*Cholera, ona ma spluwę, pomyślał.*

Miała brązową skórę, płataninę czarnych włosów i jędrne cycki.

*W sam raz dla mnie.*

Trzymała broń oburącz przed sobą, z lufą skierowaną ukośnie w ziemię.

*Pewnie boisz się, że się postrzelisz w balony, skarbie.*

Nerwowo rozglądała się na prawo i lewo, poruszając się wzdłuż ściany, coraz bliżej Franco.

*Bardzo dobrze, chérie.*

Bezglóśnie wyjął z kieszeni na nogawce dżinsów mniejszy z obu noży do mięsa. Zwędził go z kuchni tej starej sroki w Orly, razem z trzema, czterema innymi nożami. Małymi i dużymi, bo nigdy nie wiadomo, co może się przydać.

*No pośpiesz się, szmato. Jeszcze trochę.*

Franco czuł się naprawdę dobrze, odkąd rozprawił się z Johnnym. Zdrajców należy karać, zawsze tak uważał. A jeśli kiedykolwiek istniał jakiś zasrany zdrajca, to z pewnością był nim ten przekłety skośnooki Johnny.

Policyjna zdzira była teraz dokładnie nad nim. Franco poderwał się z piwnicznego zejścia i wbił ostrze w jej prawe ramię.

*I ciach! Aż po rękojeść! Ale odlot!*

Krzyknęła i wypuściła broń, jak zaplanował. Ale zaraz błyskawicznie chwyciła pistolet drugą zasraną ręką, zanim ten zdążył spaść na ziemię.

Teraz naprawdę się wściekł.

Kopnął ją w rękę. Pistolet, dźwięcząc, wpadł do piwnicznego zejścia, a zdzira jęknęła. Franco złapał ją obiema rękami za ramię, wykręcił je i uderzył jej łokciem o wysunięte do góry kolano. Z całej siły.

Słyszając trzask łamanego stawu, dostał gęsiej skórki.

*O rany, ale odjazd! Dlaczego nie robiłem tego częściej?*

Policyjna zdzira patrzyła apatycznie na swoje ramię, które zwisało jak kawałek drewna z rękawa T-shirta. Skóra na łokciu pękła, na zewnątrz wystawały kości. Z otwartej rany lała się krew i spływając, utworzyła strumyk, który płynął po przedramieniu i skapywał stamtąd na ziemię. Nóż w jej drugim ramieniu nadal tkwił tak, jak wbił go Franco. Wokół ostrza też wypływała krew, ale już dużo mniej, niż można by się spodziewać.

– Hej, skarbie, teraz się zabawimy! – powiedział Franco. Chwycił ją za uszkodzony łokieć, wyprężyła się i jęknęła. Ale po chwili całkiem znieruchomiała.

– Wiesz, co to jest, suko?

Jeszcze bardziej wygięła plecy, ale czubek noża pozostał tam, gdzie był.

– To jest pierwszej klasy nóż do mięsa, długi jak mój kutas – wyjaśnił jej Franco.

Mógł wbić jej nóż w dupę, a potem po prostu trzymać za rękojeść i kierować nią jak marionetką. W wyobraźni robił to już wielu innym kobietom. Ale było dla niego jasne, że nie wytrzymałaby długo. Pewnie równocześnie srałaby i szczała krwią, no i zabawa szybko by się skończyła.

*A więc inaczej.*

Puścił jej łokieć, lewym ramieniem objął ją za szyję i zacisnął. Drugą ręką przyłożył jej koniec noża do szyi. Była zwiotczała jak lalka, a bezużytecznie zwisające ręce nie pozwalały na stawienie jakiegokolwiek oporu. Jeszcze bardziej go to podnieciło. Jego kutas zrobił się twardy jak stal.

*Teraz tylko uważaj, żebyś się nie ukłuła własną ręką,* pomyślał Franco i uśmiechnął się.

– No to idziemy, skarbie – powiedział i właśnie chciał ją obrócić w lewo, w stronę przejazdu, kiedy z tylnych drzwi Nouveau Asia wyszedł wysoki, mocno zbudowany zdyszany mężczyzna w przepoconej koszuli.

– Spadaj, dupku, spóźniłeś się – odezwał się Moussadet. – Ta mała zdzira jest moja.

Mężczyzna zbladł jak prześcieradło.

*Co za głupie określenie,* pomyślał Franco. *Prześcieradła w Nouveau Asia są żółte i mają czerwone plamy.*

Obrócił się bardziej i pociągnął zdzirę na przejazd.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.31**

Winda zatrzymała się na najwyższym piętrze budynku szpitala. Marie wypchnęła łóżko ze śpiącą Lilly na korytarz.

Tutaj też wszystko było jak wymarłe.

*Dziwne*, pomyślała Marie.

Ale była zbyt zamroczona, żeby na poważnie zastanawiać się, dlaczego wszystko tutaj wyglądało na pogrążone w głębokim śnie.

Podjechała z łóżkiem do rozsuwanych drzwi, które prowadziły na taras na dachu. Drzwi wykonano właściwie ze szkła i Marie zdziwiła się, że wyglądały dzisiaj tak czarno.

*Być może to zasłona*, zastanawiała się.

Kiedy wciąż o tym myślała, przednie koła łóżka Lilly uruchomiły czujnik w podłodze. Drzwi na taras automatycznie się rozsunęły.

Marie wypchnęła łóżko na zewnątrz. Panował tam przyjemny chłód. Nad jej głową błyszczało gwiazdzone niebo. Księżyc wyglądał zupełnie jak w jednym z jej koszmarów: cienki sierp, który śmierć opuszczała kościstą ręką z nieba, aby zabrać Lilly.

Ale tamto wydarzyło się we śnie. W rzeczywistości nie było tu żadnej śmierci w czarnym płaszczu z kapturem, która wymachiwałaby sierpem. I z jakiegoś powodu był środek nocy. A według jej zegarka miała być siódma rano.

Dzień czy noc, rzeczywistość czy sen, to już nie miało dla niej znaczenia. Byli już tylko Lilly, Marie i Lars.

Wjechała łóżkiem na taras. Automatycznie włączyło się rześiste oświetlenie, rozjaśniając dużą powierzchnię niemal dziennym światłem.

Marie zatrzymała się na skraju tarasu. Ażurowa balustrada była zrobiona z piaskowca i miała nie więcej niż metr wysokości.

Marie czuła się śmiertelnie zmęczona. Ale jeśli nie da się inaczej, na pewno wystarczy jej sił, by spełnić groźbę.

*Zostały z niej tylko skóra i kości. Jest lekka jak piórko.*

Starannie zablokowała hamulce łóżka Lilly. Potem wyjęła z torebki iPhone'a i włączyła nagrywanie wideo.

*Nie mamy już nic do stracenia.*

Staną obok głowy Lilly i trzymała iPhone'a tak, aby obie było widać w kadrze.

– Nazywam się Marie Lindweg, a to jest moja córka Lilly – powiedziała. – Żądamy, żeby Lars Moewig, ojciec Lilly, został niezwłocznie wypuszczony na wolność. Chociaż jest niewinny, siedzi w więzieniu w Moabicie.

Odchrząknęła. Gdy zaczęła mówić dalej, jej głos wciąż brzmiał ochryple i łamliwie.

– Lilly ma białaczkę. Za kilka dni umrze – kontynuowała Marie. – Lekarze mówią, że prawdopodobnie już jutro zapadnie w śpiączkę. Jej ostatnim życzeniem, i również moim, jest, żeby mogła się jeszcze pożegnać z ojcem. To wszystko.

Marie wybuchnęła płaczem. To też było jej już obojętne. Może łązy zwiększą nawet wiarygodność jej groźby.

Dłoń, w której trzymała iPhone'a, drżała. Zegarek na jej ręce wciąż pokazywał trzynaście po siódmej.

*Musiał się popsuć, kiedy wytrąciłam lekarzowi strzykawkę z ręki.*

To też było jej teraz obojętne.

– Lars Moewig musi zostać natychmiast zwolniony i przywieziony do Szpitala Dziecięcego Charité w Berlinie-Wedding – oznajmiła. – W przeciwnym wypadku razem z Lilly skoczę z tej balustrady i się zabiję.

Na krótko skierowała kamerę w dół na aleję. Potem przerwała nagrywanie i zapisała plik.

Następnie otworzyła mejla do wszystkich dużych stacji telewizyjnych, który przygotowała parę dni wcześniej.

W polu Temat było napisane: „Pilna wiadomość: groźba samobójstwa w Charité!”

Pod spodem jeszcze dopisała: „Natychmiast opublikujcie to wideo, inaczej zrzućę moją córkę (12 l.) i sama skoczę z dachu szpitala!”

Marie dołączyła do mejla plik wideo i kliknęła „Wyślij”.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, Avenue de Choisy**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.33**

Franco szedł ulicą, trzymając dziwkę za szyję zapaśniczym chwytem, a drugą ręką przykładając jej do szyi nóż. Była od niego wyższa o piętnaście centymetrów, tak że musiał ją mocno przygiąć do ziemi. Szła chwiejnie przy nim, jej ręce zwisały bezwładnie i spływała z nich krew. W knajpach po lewej i prawej stronie ulicy pełno było wytrzeszczających gały gapiów, a ze wszystkich okolicznych okien i drzwi przyglądali się im Azjaci z szeroko otwartymi skośnymi oczami.

*Zdrajcy, pomyślał, sami zasrani zdrajcy.*

Ale nie potrzebował nikogo. Zawsze radził sobie sam.

Jego plan był bardzo prosty. Będzie szedł prosto przed siebie, aż zostawi miasto daleko za plecami. Dopóki przyciskał nóż do szyi tej dziwki, nikt nie odważy się go zaatakować. Miasto musi się gdzieś skończyć, a dalej zacznie się las.

*W lesie jest najlepiej, pomyślał Franco.*

W lesie zawsze czuł się dobrze. Tylko on sam. *Jak okiem sięgnąć, nikogo, kto z ciebie szydzi, bije cię, więzi.*

W wyobraźni widział już, jak miasto się w końcu otwiera. Jak daje wolność jemu i dziwce. Domy przestają być jak więzienne mury wznoszące się do nieba, tylko robią się niskie i otoczone ogrodami jak w Ifranie. A na końcu ostatniej wąskiej już uliczki kusząca mroczna masa, las.

Ale na razie wciąż znajdował się w środku miasta. Dziwka rzeziła pod uciskiem jego ramienia. *Jest dobrze, pomyślał, to znaczy, że jeszcze żyje.* Nawet jeśli wydawała się ledwo przytomna. A może celowo robi się taka ciężka? Był silny jak niedźwiedź, ale nawet jemu zaczęła cierpnąć ręka. Potykała się przy każdym kroku i na długich odcinkach musiał wlec ją jak wór śmieci.

– Kurwa – wysapał – używaj swoich pieprzonych nóg!

Odpowiedziała charkotem. A tłum wokół nich gęstniał coraz bardziej, zapanował ścisk jak na bazarze w Rabacie.

– Wypieprzać, ale już! – wydarł się Franco. – Spadać stąd albo ukatrupię tę zdzirę. Zrozumiano?

Niechętnie się rozstąpili. Pomiedzy Azjatami zauważył wysokich jasnoskórych mężczyzn. Wszyscy w rekreacyjnych ubraniach, ale jego nie tak łatwo zmylić.

*Zasranych gliniarzy wyczuję na sto metrów. Ten wysoki facet wcześniej na podwórzu też był jednym z nich. Pieprzony oberglina, albo coś w tym rodzaju.*

Policjanci po cywilnemu odpychali tłum do tyłu.

*I dobrze, w końcu się nauczyli utrzymywać porządek. Droga wolna dla Franco i jego pieprzonej zdziry.*

Dobrze zbudowany mężczyzna z rozczochranymi siwymi włosami i siwym wąsem zastąpił mu drogę. Jego koszula pod smokingową marynarką była przezroczyta od potu.

– Nazywam się Mercier – powiedział. – *Capitaine* Victor Mercier, z prefektury policji w Paryżu. Franco Moussadet, niech się pan podda, nie ma pan najmniejszej szansy. Ulica jest zablokowana. Niech pan wypuści kobietę. To policjantka. Nie ma pan żadnych szans! – powtórzył i założył ręce na piersi.

– Spadaj, głupi gliniarzu! – wysyczał Franco. – Z drogi, albo odetnę twojej dziwce cycki! Ciach, ciach! Dotarło?

*No, proszę, poskutkowało. Stary dziad odsunął się na bok.*

*Uważaj, żebyś nie dostał zawału, zaszary dziadku. „Niech się pan podda!”, czy on na serio myślał, że go zatrzyma? Ten facet zwyczajnie działa mi na nerwy, pomyślał Franco.*

Tymczasem mocno zbudowani gliniarze po cywilnemu utworzyli luźny krąg wokół niego i dziwki.

– Moussadet, niech pan się podda!

*Znów zaczyna się to głupie pieprzenie. Dziadek capitaine, tym razem przez megafon z drugiego rzędu.*

– Nie ma pan żadnych szans!

Krąg zacieśniał się coraz bardziej. Teraz zapaliły się jeszcze reflektory, jak podczas nagrywania filmu.

*Chcę mnie okrążyć. Ale nie z Franco takie numery!*

Był doskonałym komandosem. Nawet jeśli nie chcieli go w marokańskim wojsku ani w Legii Cudzoziemskiej. I nawet jeśli ten zaszary major znieważył go wtedy przed zgromadzonym oddziałem. Nigdy się nie poddawał, nawet jeśli naprzeciw niego stało stu ludzi.

*Tak jak tu.*

Franco wykonał błyskawiczny wypad w lewo. I już przepychał się przez lukę w ich zaszarym kręgu. Przed sobą miał nieduży lokal. I Ching, Twoja Chińska Wyrocznia. *No to przepowiedzcie mi coś, skośnookie dupki.*

– Niech pan wypuści kobietę! Niech się pan podda!

*Zamknij mordę, smokingowy dziadku.*

Franco ciągnął dziwkę za sobą. Drzwi lokalu były szeroko otwarte. W środku dziesięciu, piętnastu Azjatów, sami mężczyźni, wszyscy sztywni ze strachu.

– Spierdalać mi stąd! – krzyknął Franco. – Wszyscy z drogi. Bo poucinam wam kutasy!

Wszyscy wyfrunęli na zewnątrz szybciej niż nocne zjawy. W knajpie nie było już ani jednego człowieka.

*Parszywa buda, pomyślał Franco. Wzdłuż i wszerz przepierzenia w malowane smoki. Dość trudne do ogarnięcia.*

*Ale pieprzyć to. Dopóki mam zakładniczkę, żaden nie odważy się wejść do środka.*

Franco opadł na krzesło stojące z przodu lokalu i wciągnął dziwkę na kolana.

– Na początek się tutaj rozgościmy, *chérie* – oznajmił.

W drzwiach wejściowych pojawił się *capitaine* ze zmierzwioną srebrną grzywą.

– Niech pan się podda! – zaczął od nowa.

– Dość już tego pieprzenia! – krzyknął Franco. – Czy chcesz, żebym się naprawdę wkurzył, dziadku? Jak myślisz, co zrobię z tym twoim pieprzonym króliczkiem, ty cioto bez jaj! Moim ostrym jak nóż kutasem rozoram jej dupsko! Jeszcze jakieś pytania?

*Capitaine* wyglądał, jakby za chwilę miał paść martwy na ziemię.

– Niech pan się uspokoi, *monsieur* – powiedział dokładnie takim samym głosem psychiatry, jak wtedy doktor Boulemain w Rabacie. – Możemy o wszystkim porozmawiać.

– To ja mam się uspokoić?! – krzyknął Franco. – Ja jestem całkiem spokojny! To przez was cała ta nerwowa i burdel! Zrób jeszcze jeden krok, a utnę tej małej pierwszy cycek. Jasne?

Mercier uniósł ręce do połowy w górę, pokazując Franco mokre od potu dłonie.

– Zrobimy wszystko, czego pan zażąda, *monsieur*!

– Poważnie? – Franco uśmiechnął się.



*Nareszcie jakaś dobra wiadomość.*

Kręcił nożem esy-floresy po cyckach dziwki. Jej jędrna dupa uciskała mu kutasa, który też był w coraz lepszym humorze.

– Wszystko, czego zażądam? – upewnił się.

– Niech pan powie, czego pan żąda za uwolnienie zakładniczki – powiedział Mercier. – Uczynimy wszystko, co w naszej mocy, aby spełnić pańskie żądania.

Całą ulicę za dziadkowanym kapitanem wypełniali gapie i gliniarze. Wszyscy zeszywniali ze strachu.

*Strachu przede mną. Ale odjazd.*

Również pierwszy gliniarz, który wcześniej zbladł jak ściana na podwórzu, pętał się tam na zewnątrz. Ale w jaskrawym świetle reflektorów wyglądał nie tyle na przestraszonego, co na wściekłego.

Franco przycisnął czubek noża do podbrzusza dziwki.

– Brzmi całkiem nieźle, dziadku – powiedział. – Załatw mi pięć milionów euro. I porsche, ale zatankowane pod sam korek. I to zaraz! – znów zaczął krzyczeć. – Chyba że chcesz, abym pokroił tę zdzirę na kawałki?

Mercier wzdrygnął się. Ponownie uniósł obie dłonie w uspokajającym geście.

– Zrobimy, co tylko można – zapewnił. – Ale pięć milionów, monsieur? Na to potrzeba czasu! Do ósmej rano nie damy rady!

Franco zagotował się z wściekłości, chwycił jeden cycek dziwki i przyłożył nóż.

– Dwie godziny! – krzyknął. – Ani sekundy dłużej! Jasne? Albo za dwie godziny będzie tu bryka i szmal, albo posiekam twoją zasraną gliniarę na drobne kawałki!

Dziewka na jego kolanach odzyskała przytomność i próbowała wstać. Franco objął ją ręką za szyję i ścisnął.

– Zostań tu, skarbie. Twój szef pobiegnie teraz do najbliższego bankomatu. A zanim wróci, zdążymy się tu nieźle zabawić! No już, wypad stąd, zasrany podglądaczu! – krzyknął do Merciera i jednym cięciem rozpruł jej T-shirt od góry do dołu.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, Avenue de Choisy**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.47**

**M**asz mi się trzymać od tego wszystkiego z daleka, Fred! – powiedział Mercier. – Psiakrew, narobiłeś już dość szkód.

*Kto z nas wolał pójść na przyjęcie, zamiast łapać mordercę?* – pomyślał Abel.

– A jak wygląda twój plan, Victor? – zapytał całkiem spokojnym głosem.

– Bardzo prosto – powiedział Mercier. – Przypuszczamy szturm na lokal! Oddział specjalny tylko czeka na rozkaz rozpoczęcia akcji.

W ciągu kilku minut urządzili prowizoryczny punkt dowodzenia w wietnamskiej restauracji naprzeciwko lokalu I Ching. Ze ścian spoglądały groźnie ziejące ogniem smoki, a powietrze przesycił zapach wywaru rybnego. Abel i Mercier siedzieli przy stole, skąd mieli widok na wejście.

– Lokal wypełniają miejsca siedzące zgrupowane wokół niewielkich stolików, wszystkie oddzielone od siebie parawanami – Mercier mówił dalej jak nakręcony. – Prawdziwy labirynt. Ale to lepiej dla nas. Ze swojego krzesła Moussadet nie może widzieć tylnego wyjścia. Wydaje się, że do tej pory nawet nie przyszło mu do głowy, że tam, z tyłu, w ogóle mogą być jakieś drzwi.

Wyglądał na człowieka, który tak bardzo poczuwa się do winy, że Abel prawie mu współczuł. On sam też przerażony, ponieważ Lilou znajdowała się w szponach tego całkowicie nieobliczalnego psychopaty. Nieskończenie jej współczuł, ale nie miał wyrzutów sumienia.

Odgłosy walki i jęki ofiary w hotelu nie dały im wyboru. Również ze względu na Lilly i Larsa nie mógł dłużej czekać. *Czasem musisz zaryzykować wszystko, żeby uratować życie niewinnej osoby. Nawet jeśli nie wiesz z góry, czy rezultat jest wart ryzyka,* pomyślał Abel.

Tym razem zjawili się za późno i morderca dopadł Lilou. Ale, psiakrew, to nie była wina Abła. Gdyby Mercier nie wolał zatańczyć z żoną i przez to nie opóźnił akcji, byliby na miejscu na czas i w pełnym składzie.

Ale nie było najmniejszego sensu zaprzętać sobie teraz tym głowy. A co dopiero brać się z tego powodu za łby, kiedy tam, po drugiej stronie ulicy, Lilou była w rękach tego drania.

– Moi ludzie wejdą od tyłu, w tym czasie ja odwrócę jego uwagę od frontu – powiedział Mercier. – Dysponuję najlepszą elitarną jednostką policji w całej Francji. Zanim zdąży powiedzieć słowo, będzie leżał rozplaszczony na podłodze jak karaluch.

– To zbyt niebezpieczne – zaoponował Abel. – Ten łajdak jest po czubki palców zaprogramowany na zabijanie. Nawet z kulą w głowie zarżnie zakładniczkę na zasadzie czystego odruchu.

– Pod warunkiem że będzie akurat trzymał nóż przy jej szyi – obstawał przy swoim Mercier. – Albo przy innej części ciała, gdzie ostatnim pchnięciem mógłby śmiertelnie zranić Lilou.

Rzucił niepewne spojrzenie na drugą stronę ulicy. Przez drzwi było widać tylko nieforemną sylwetkę w półmroku małego lokalu. Morderca i jego zakładniczka, jakby stopieni ze sobą.

*Nie da się obezwładnić Moussadeta, nie narażając życia Lilou, pomyślał Abel.*

– A jak zamierzasz spowodować, żeby odłożył nóż? – zapytał.

– Odwracając jego uwagę. Tylko jeszcze dokładnie nie wiem jak.

*Genialny plan, pomyślał Abel.*

Zawibrował jego blackberry. Wyjął aparat z kieszeni. Wiadomość od Lisy:

„Natychmiast otwórz ten link! RTL nadaje live z dachu szpitala!”

Abel poczuł nagły ucisk w żołądku. Kliknął w link. Na wyświetlaczu rozgrywał się koszmarny scenariusz.

Marie Lindweg na dachu szpitala dziecięcego Charité. Obok niej Lilly na szpitalnym łóżku, śpiąca lub będąca w śpiączce, za jej głową groźnie spiętrzona podtrzymująca życie aparatura.

„...żeby ojciec jej córki został niezwłocznie przywieziony do szpitala – mówiła właśnie wyraźnie podniecona reporterka. – W przeciwnym razie grozi, że zrzuci córkę z dachu szpitala, a potem sama za nią skoczy”.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, Avenue de Choisy**  
**Niedziela 12 lipca godz. 0.58**

Serce Abła waliło jak po pięćdziesięciometrowym sprincie.

– Co się stało? – zapytał Mercier, patrząc zdziwionym wzrokiem na komórkę Abła.

Kamera obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni na ulicę przed szpitalem. Trzy wozy straży pożarnej, jeden właśnie wysuwał drabinę. Kilka karetok pogotowia. Pół tuzina radiowozów. Strażacy rozkładali przed kliniką nadmuchiwane poduszki.

– Była żona Moewiga, który niewinny odbywa karę więzienia za pięć morderstw popełnionych przez Moussadeta. Chce zrzucić córkę z dachu i sama za nią skoczyć, jeśli Moewig nie zostanie natychmiast przywieziony do szpitala – wyjaśnił Abel, wkładając smartfon z powrotem do kieszeni spodni. – Masz rację, Victor, musimy zaryzykować. Moussadet musi jeszcze tej nocy przyznać się do zamordowania Pietrowej.

Mercier popatrzył na niego jeszcze bardziej zbity z tropu.

– Tak nagle przyznajesz mi rację? – Wydawało się, że już całkiem opuściło go wcześniejsze zdecydowanie. – A jak mam odwrócić jego uwagę? Na to też masz odpowiedź?

– Myślę nad tym – powiedział Abel i wstał.

Mercier również podniósł się ociężale.

– Na wypadek dokładnie takiej sytuacji uzyskałem instrukcje od Timo Jankowskiego, profiler z Federalnej Policji Kryminalnej – kontynuował Abel.

Co prawda była to duża przesada, ale mniej więcej się zgadzało.

– Musisz wejść w umysł sprawcy – zacytował Jankowskiego. – Jeśli uda ci się myśleć i czuć tak jak on, będziesz krok przed nim. Krok, który może być decydujący.

Na twarzy Merciera walczyły ze sobą nadzieja i sceptycyzm.

– A więc myślisz, że potrafisz doprowadzić do tego, żeby Moussadet odłożył nóż?

– Mój francuski nie jest na to wystarczająco subtelny – powiedział Abel. – Ale razem nam się uda, Victor. Musi się udać! Inaczej do rana będziemy mieli kolejne cztery trupy, dwa tutaj i dwa w Berlinie.

**Paryż**  
**Dzielnica chińska, lokal I Ching**  
**Niedziela 12 lipca godz. 1.08**

Gdzie walizka z forszą? – krzyknął Moussadet. – Gdzie macie porsche? Może w swoich dupach, wy dupki?

Roześmiał się szczekliwym głosem. Najwidoczniej bawiła go ta infantylna gra słów. Wyglądało na to, że czuje się coraz bardziej pewny siebie i rozkoszuje się swoją nowo zdobytą przewagą nad silniejszym przeciwnikiem.

– Pracujemy nad tym – powiedział Mercier. – Pieniądze będziemy mieli za godzinę. A porsche jest właśnie sprawdzane i tankowane.

Chociaż Lilou siedziała mu na kolanach bezwładnie jak worek, Moussadet musiał odchylić się w bok, żeby widzieć Merciera i Abła. Rzeczywiście nie grzeszył wzrostem. Za to jego ramiona były dwa razy szersze od tułowia Lilou.

*Szaleniec do kwadratu*, przeszło Ablowi przez głowę.

Lilou Maran wydawała się całkowicie nieprzytomna. W jej prawym ramieniu wciąż tkwił nóż, czubek ostrza wystawał z drugiej strony. Wokół rany utworzył się czerwony krwiak. Ramię było mocno spuchnięte.

Jej lewa ręka wyglądała jeszcze gorzej. Staw łokciowy był złamany, z ciała pokrytego zakrzepłą krwią wystawały kości jak przesadnie duże bierki do gry. Lilou musiała cierpieć potworny ból.

Moussadet luźno obejmował lewą ręką jej biodra. Prawą ręką przyciskał czubek rzeźnickiego nóża do boku szyi Lilou.

– To spadajcie i przyjdźcie znów, kiedy będziecie mieli szmal i brykę. No, już, spieprzajcie stąd!

– Jest pan zafascynowany Azją – powiedział cicho Abel do Merciera. – Przetłumacz to – dodał jeszcze ciszej.

Mercier zmarszczył czoło, a Abel zachęcił go ruchem głowy.

Moussadet też gapił się, nic nie rozumiejąc, kiedy Mercier zaczął tłumaczyć.

– Doskonale to rozumiem, Azja to wspaniały kontynent – mówił dalej Abel. – I oczywiście oburza pana, jak Francja lekceważąco traktuje Azjatów. Podczas wojny w Indochinach Francuzi zabili ponad sto tysięcy Azjatów. Co prawda dzisiaj Azjaci mogą prowadzić w Paryżu lokale i sklepy, ale Francuzi wciąż traktują ich jak ludzi drugiej kategorii.

Mercier tłumaczył, a Moussadet wyglądał na coraz bardziej zadumanego. Dziwnie nieruchomymi oczami przypatrywał się na zmianę Mercierowi i Ablowi, którzy stali obok siebie przy drzwiach lokalu.

– Dlatego pisał pan na ciałach zamordowanych kobiet „Respectez Asia” – powiedział Abel. – Bo sam pan tego doświadczył. Bo przez całe życie traktowano pana tak obraźliwie i z takim lekceważeniem, jakby pan był Azjata! Jak ja pana dobrze rozumiem!

Abel najwidoczniej nacisnął właściwy guzik.

– Skośnooki – mruknął Moussadet, jeszcze zanim Mercier skończył tłumaczyć. – „Nie potrzebujemy tu żadnych Azjatów!” – powiedział do mnie ten zasrany major, przed całym oddziałem! Wszyscy się ze mnie śmiali!

Jeszcze bardziej odchylił się w bok.

– Czy tak wygląda zasrany skośnooki? – krzyknął.

Wzburzony wymachiwał prawą ręką w powietrzu. Jego oczy się zacisnęły i zmieniły w szparki, za którymi było widać tylko biel gałek ocznych.

– Interwencja – szepnął Mercier do mikrofonu zestawu słuchawkowego.

Część lokalu za parawanami nagle ożyła. Czterech funkcjonariuszy oddziału specjalnego wyskoczyło z kryjówek. Jeden rzucił się na Moussadeta i zepchnął go na bok z krzesła, jednocześnie łapiąc za prawy nadgarstek i z całej siły uderzając nim o kamienną podłogę. Nóż z brzękiem sunął po podłodze. Jeszcze kiedy Moussadet padał na bok, drugi policjant jednym kopnięciem wywichnął mu lewy staw barkowy. Moussadet zawył, jego chwyt wokół talii Lilou zwiotczał. Kolejny policjant wbił kolano w plecy Franco, który leżał już brzuchem na ziemi. W tym czasie czwarty złapał osuwającą się Lilou Maran w ramiona.

Moussadet darł się, jakby go przypiekano na rożnie. Szarpał rękami i kopał. Na zmianę przeklinał i usiłował ugryźć swoich przeciwników.

– Odgryzę ci jaja! – szalał Moussadet. – Rozszarpie twój mózg na kawałki! Odgryzę waszym kobietom cycki! Obedrę ci skórę z dupy aż do kości, ty śmierdząca cioto!

Mercier dał znak w stronę ulicy. Przybiegli dwaj sanitariusze. Położyli Lilou na noszach, przykryli kocem izotermicznym i ostrożnie przypięli pasami. Następnie wrócili biegiem do ambulansu.

Kajdanki zamknęły się z kliknięciem na nadgarstkach Moussadeta. Od razu przestał wrzeszczeć i kopać dookoła siebie.

Leżał całkiem spokojnie z głową przekreconą przez ramię i gapił się nieruchomymi oczami na Merciera i Abła.

*Oczy rekina, pomyślał Abel.*

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Niedziela 12 lipca godz. 2.40**

**M**ożemy udowodnić, że drugiego lipca w Berlinie zamordowałeś i obrabowałeś Irinę Pietrową – powiedział Mercier. – A więc kawa na łąwę!

Przesłuchanie Moussadeta trwało już ponad godzinę. Ale Marokańczyk ciągle tylko wygadywał jakieś bzdury.

– Merdlin? Nie znam żadnego Merdlina – zaczął znowu. – Nigdy tam nie byłem. Nie znam też żadnej Isabelli Juppida. – Stroił miny jak Jack Nicholson w *Lśnieniu*.

Dziesięć minut temu otrzymali wiadomość z kliniki urazowej: Lilou Maran doznała znacznych uszkodzeń ciała i była w szoku, ale żadne z obrażeń nie zagrażało jej życiu. Poza raną ciętą ramienia i otwartym złamaniem z przemieszczeniem stawu łokciowego odniosła liczne rany kłute i cięte na szyi oraz tułowiu. Podano jej dużą dawkę środków uspokajających i co najmniej przez następne dwanaście godzin będzie twardo spała.

Abel nie mógł nawet o tym pomarzyć.

Aż się palił, żeby zadzwonić do Marie Lindweg i zakomunikować jej zbawienną wiadomość. Ale dopóki Moussadet nie przyzna się wiarygodnie do zamordowania Iriny Pietrowej, rozmowa z Marie nie miała sensu.

A ona nadal była z Lilly na dachu szpitala. Jeśli Abel nie będzie mógł udokumentować przyznania się do winy Moussadeta, Marie na pewno nie przerwie swojej rozpaczliwej akcji. A nawet gdyby Moussadet przyznał się jeszcze tej nocy, dużo czasu jeszcze minie, zanim niemiecki wymiar sprawiedliwości uwolni Larsa Moewiga.

*Wszystko po kolei*, upomniał Abel sam siebie. Złapali już „chorego na wściekłą szakala”, teraz trzeba zmusić go do mówienia.

– Zamordowałeś w Berlinie madame Irinę Pietrową – powtórzył po raz kolejny Mercier – a następnie poleciałeś do Londynu. Tam pozbawiłeś życia Emily Goldsmith. Na obu ofiarach znajduje się ten sam podpis: twój, ty śmieciu! Wdzierałeś się za ofiarami do ich mieszkań, dusiłeś stare kobiety i smarowałeś na ich ciałach swoje chore hasło. „Respectez Asia”. W obu przypadkach pod paznokciami ofiar znaleziono twoje DNA, więc przyznaj się wreszcie!

Znajdowali się w tym samym pomieszczeniu, w którym kilka godzin wcześniej przesłuchiwali Sidkiego Moussadeta. Mercier rozgrywał starą jak świat grę w „dobrego i złego policjanta”, przy czym Ablowi przypadła rola dobrego, pozornie pełnego zrozumienia śledczego. Ale Franco był osobnikiem zupełnie innego kalibru niż jego kuzyn Sidki.

Mercier kazał zdjąć mu kajdanki. Jego staw barkowy został nastawiony i zabandażowany. Mercier przezornie nakazał, żeby w pokoju przesłuchań cały czas przebywali dwaj potężnie zbudowani funkcjonariusze mobilnego oddziału specjalnego z odpowiednim doświadczeniem w walce wręcz.

– Merdlin, Clowndon, co jeszcze? – zapytał Moussadet tonem, jakby był głęboko urażony. – Nie znam tych pieprzonych dziur. I nie znam również żadnej Elli Goldshit. Ile razy mam to jeszcze powtarzać?

Mrugnął do Abła.

*Tak nigdy go nie złamiemy*, pomyślał Abel.

Ale Mercier w swojej przepoconej smokingowej koszuli uparcie brnął dalej. Pewnie rzeczywiście była to najlepsza metoda, aby zmiękczyć Marokańczyka. W każdym razie w tym momencie Abel nie miał niczego lepszego w zanadrzu.

– W Bari zamordowałeś i okradłeś Teresę Lamberti – przejął inicjatywę. – Napisałeś na jej ciele hasło i tego samego dnia poleciałeś dalej. Do Orly.

Franco Moussadet wzdrygnął się i schował głowę w ramionach. Do tej pory był znudzony i demonstracyjnie rozwalał się na krześle. Ale nagle zaczął wyglądać jak zbity pies.

Mercier i Abel wymienili spojrzenia.

– Orly – powtórzył Abel.

Jedyne słowo, które wydawało się budzić w Moussadecie strach. Przez wspomnienia, jakie w sobie kryło.

Marokańczyk jeszcze głębiej schował głowę w ramionach. Jednocześnie zacisnął olbrzymie dłonie. Nagle jego ciało napięło się do granic wytrzymałości. Twarz mu skamieniała. Wpatrywał się w Abła z czujnym, niemal bojaźliwym wyrazem twarzy.

– W Orly zamordowałeś Eloïse Leforêt – powiedział Abel. – I drugą kobietę, której obecność prawdopodobnie cię zaskoczyła.

Zaczął przewracać kartki w skoroszybie, który leżał przed nim na stole.

– Druga ofiara nazywała się...

Udawał, że szuka nazwiska, cały czas mając Moussadeta na oku. Marokańczyk wpatrywał się w niego groźnie i jednocześnie niemal błagalnie. Pochylił się tak bardzo, że jego tułów prawie leżał na wytartym laminowanym blacie stołu.

– Uważaj, co mówisz! – warknął. – Jeśli skłamiesz, przegryzę ci gardło.

– Jak Johnny’emu Changowi? – zapytał jakby mimochodem Abel i dalej kartkował skoroszyt. – Czy Chang wypowiedział nazwisko, które ci się nie spodobało?

Moussadet przytaknął niemal niezauważalnie i dalej wpatrywał się w Abła. Dygotał teraz na całym ciele. Jego twarz świeciła się od potu. Jego pięści jakby same z siebie zaczęły bębnić w blat stołu.

– Ale to nie była jego wina – powiedział Abel. – Chang tylko wymienił nazwisko, które usłyszał w telewizji albo w radiu.

Moussadet zazgrzytał zębami. Było słychać, jak pod stołem uderza kolanem o kolano. W tempie staccato tupał stopami w linoleum.

– Powiedz nazwisko! – wyrzucił z siebie. – Ale nie fałszywe, bo zagryzę cię na śmierć!

Znów patrzył czujnie na Abła, który dalej udawał, że szuka nazwiska w aktach.

*Gdyby dygotał tak jak teraz, nie mógłby nic napisać na ciałach swoich ofiar*, pomyślał Abel. *Jest jak bomba na chwilę przed eksplozją.*

– Aha, już mam to nazwisko, taaa... – powiedział i przenikliwie popatrzył na Moussadeta. – Druga ofiara nazywa się Mansura Farès.

Oczy Moussadeta zwęziły się do rozmiaru szparek. Jak wystrzelony w katapulty poderwał się z krzesła i skoczył nad stołem. Jego dłonie zacisnęły się na szyi Abła i przewróciły go razem z krzesłem w tył.

*Chory na wściekliznę szakal*, pomyślał Abel.

Rozpaczliwie szarpał nadgarstki Moussadeta. Marokańczyk miał dłonie jak ze stali. Jego oczy były teraz wąskimi szparkami, twarz wykrzywiała śmiertelna nienawiść. Abel wyprężył się, dysząc. Krew szumiała mu w uszach. Z całej siły próbował wyrwać się trzymającemu go za gardło Moussadetowi, ale sam nie mógł nic wskórać.



Obaj policjancie obeszli stół i rzucili się na Moussadeta. Wspólnymi siłami udało im się ściągnąć go z Abła. Ponownie założyli mu kajdanki i odholowali na jego stronę stołu.

W tym czasie Abel dochodził do siebie. Dysząc, łapał powietrze. Szyja piekła go, jakby połknął ogień. Postawił swoje krzesło i osunął się na nie.

– Siedź na dupie i ani drgnij, zrozumiano? – powiedział jeden z policjantów do Moussadeta.

– Zrób mi tę przyjemność i wstań – powiedział groźnym szeptem drugi – a do końca życia będziesz w stanie jeść tylko zupy.

Wiadomość o tym, co Moussadet zrobił cenionej przez wszystkich Lilou Maran, lotem błyskawicy rozeszła się po prefekturze, toteż policjanci nie byli w nastroju do żartów.

Posadzili Marokańczyka na krzesło. Żył na czole Moussadeta i jego szyi nabrzmiały, odznaczając się jak grube wiązki kabli. Wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć z nienawiści i wściekłości.

– Właśnie tak mordowałeś stare kobiety. Dusił je mocnymi jak imadło łapskami – powiedział Mercier. – Mansurę Farès też.

Wyjął ze skoroszytu kolorową fotografię w formacie A4 i trzymał w górze. Przedstawiała zwłoki Mansury Farès na krótko przed zabraniem z miejsca zbrodni. Zmarła leżała na plecach w dużym pokoju mieszkania Eloïse Leforêt. Broszki oraz inne ozdoby zostały już usunięte, tak że jej twarz była dobrze widoczna.

– Mansura Farès jest krewną twojej matki – powiedział Mercier. – Zamordowałeś ją i dopiero potem zorientowałeś się, że to twoja ciotka. Dlatego przykryłeś jej twarz, bo nie chciałeś przyjąć do wiadomości, że pozbawiłeś życia kogoś z własnej rodziny.

Podniósł kolejną fotografię: zbliżenie groteskowo ozdobionej twarzy Mansury Farès.

– Pewnie tego żałowałeś? Wolałbyś, żeby to się nie stało, kiedy zobaczyłeś, kogo właśnie zabiłeś. Tak było, tak czy nie?

Moussadet wpatrywał się w fotografię. Znow zaczął dygotać, ale wydawało się, że teraz już nie z napięcia, lecz bardziej z osłabienia.

– Jeśli nie jesteś bezdennie głupi, przyznaj się do zamordowania ciotki – kontynuował Mercier. – Za taki tragiczny w skutkach czyn, popełniony przez pomyłkę, przysięgli dadzą ci mnóstwo punktów bonusowych.

Moussadet pochylił się do przodu i wziął od Merciera zdjęcie nieudekorowanej Mansury Farès. Z delikatnością, jakiej Abel nigdy by się po nim nie spodziewał, położył je przed sobą na stole i wygładził.

– Ciotka Mansura – wyszeptał. – Przynajmniej nie mama.

Abel i Mercier popatrzyli na siebie.

– Była podobna do twojej matki? – zapytał *capitaine*.

Moussadet przytaknął i przełknął ślinę.

*Teraz już jest nasz, pomyślał Abel.*

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Niedziela 12 lipca godz. 5.53**

Krótko przed szóstą Abel i Mercier siedzieli w biurze kapitana i pili czarną kawę. Trzy godziny przesłuchiwali Moussadeta. W końcu, kiedy zobaczył zdjęcia ciotki Mansury, kompletnie się załamał.

Do biura wszedł młody policjant z podkrążonymi oczami. Położył na stole dwa wydruki protokołu przesłuchania, które on i jego koleżanka w ekspresowym tempie spisali z nagrania.

– Dwadzieścia dwie strony – powiedział. – Kawał roboty.

– Wielkie dzięki, Jean-Jacques! Zapraszam wszystkich na grilla – powiedział Mercier. – Całą ekipę dziś po południu w moim ogrodzie. Zostało jeszcze dość steków, szampana i mouse au chocolat.

Młody policjant od razu się ożywił.

– Świetny pomysł, *mon capitaine!*

Nawet strzelił obcasami, zanim zamknął za sobą drzwi.

– Oczywiście ty też wpadnij, Fred – dodał Mercier.

Abel wydał z siebie nieokreślone mruknięcie. Właściwie planował najpóźniej po południu wrócić do Berlina.

Sięgnął po jeden z wydruków i przeleciał wzrokiem najbardziej niewiarygodne w swojej karierze przyznanie się do winy. *Nieprawdopodobne, ale mam nadzieję, że nie niewiarygodne*, pomyślał.

Moussadet wpatrywał się w fotografię ciotki Mansury jak zahipnotyzowany i głosem lamentującego dziecka przyznał się do wszystkiego. Do zamordowania Iriny Pietrowej w Berlinie i Emily Goldsmith w Londynie. Do zamordowania Teresy Lamberti w Bari, Eloïse Leforêt i z płaczem, zachrypniętym od łez głosem również do zabicia swojej ciotki Mansury w Orly.

– Co za idiota ze mnie! – krzyczał, z całej siły waląc się pięścią w czoło. – Nasir powiedział kiedyś, że ciotka Mansura ma przyjaciółkę z młodości, tę przekłętą Eloïse Leforêt w Orly!

*Dlatego pojechał tam, jak zaprogramowany*, przeszło Ablowi przez głowę. Więc nie był to głupi przypadek, że na ostatnią ofiarę swojej serii morderstw wybrał właśnie madame Leforêt. Ale już fakt, że akurat tego dnia jego ciotka Mansura odwiedziła swoją szkolną koleżankę, okazał się jednym z tych szalonych przypadków, które ciągle zdarzają się w prawdziwym życiu.

Jego wyznania zawierały szczegóły, które mógł znać wyłącznie sprawca. W Berlinie napisał swoje hasło na nodze ofiary, w Londynie na plecach, w Bari na brzuchu. Na koniec bez widocznych emocji przyznał, że zamordował Johnny’ego Changa w Nouveau Asia. Niejako na dodatek przyznał się do wyjątkowo okrutnej zbrodni, mianowicie do zamordowania młodej kobiety w lasach pod Marsylią.

– Jak nazywała się ta dziewczyna? – zapytał Mercier.

Wzruszenie ramion.

– Kiedy to było?

Bezradne kręcenie głową. Najwyraźniej w jego świecie czas pozostawał czymś nieokreślonym.

– Może trzy lata temu? – próbował odgadnąć. – Albo siedem?

Natomiast miejsce akcji przypomniał sobie z widoczną dumą.

– Zawsze mówiłem na to „zamek Śpiącej Królowy”. Zamieszkały tylko przez szczury. Oraz przeze mnie i tę małą zdzirę.

Wspomnienie przerażających szczegółów zbrodni rozjaśniło na chwilę jego twarz. Według jego opisu chodziło o ruiny zbiornika retencyjnego do przechwytywania fal morskich, których kilka znajdowało się w parku narodowym pod Marsylią. Moussadet zaciągnął młodą kobietę do podziemnych ruin i tam przez wiele dni męczył na śmierć swoimi nożami.

– Przekażemy te informacje naszym kolegom z Marsylii – powiedział Mercier, czytający równocześnie swoją kopię protokołu przesłuchania. – Modus operandi jest identyczny jak w przypadku pierwszego zabójstwa, które popełnił w Maroku i przez które wylądował w zakładzie dla psychicznie chorych.

Abel przytaknął. *Moussadet wciąż miał w głowie wszystkie przerażające szczegóły. W swoim osobistym kinie. Film, który mógł na okrągło puszczać w swojej wyobraźni.*

– Ale Nasir był wtedy na mnie zły – zeznawał dalej Moussadet. Znów przyjął biadolący ton głosu i tępo wpatrywał się w fotografię martwej ciotki. – Wściekał się, jak nie wiem co, a wszystko tylko z powodu kilku bryzgów krwi w jego głupim samochodzie. Darł się na mnie, żebym nie wkładał tego swojego pieprzonego kutasa tym sukoni, bo od razu mi wtedy odbija. Ale co miałem zrobić? Od czasu do czasu muszę ukatrupić jakąś cipę, bo aż mnie skręca. No więc przerzuciłem się na te stare raszple i przez spory czas wszystko było jak trzeba. No nie?

Abel przytakiwał zachęcająco. Gdyby była taka potrzeba, był gotów nawet połaskotać go za uszami, żeby tylko kontynuował swoją spowiedź.

– Dlaczego akurat Irina Pietrowa w Berlinie? – zapytał.

Odpowiedź Moussadeta zdumiała go nawet teraz, kiedy czytał protokół przesłuchania.

– Bo bilet do pieprzonego Amsterdamu był za drogi! Po prostu nie miałem tyle szmalu! Poleciałem więc do Berlina, wyszedłem z lotniska i kręciłem się po okolicy, aż natknąłem się na tę starą miotłę.

– A dlaczego wybrałeś najpierw Amsterdam?

– Przecież to logiczne! Bo tam nawet gliny jarają jointy!

– Co to za brednie! – zaprotestował Mercier. – Twój brat handluje tu w mieście wszystkimi rodzajami dragów, a ty chcesz lecieć do Holandii, żeby zajarać jointa?

– Holandia? – Moussadet szeroko otworzył oczy.

– Amsterdam to stolica Holandii, ty kretynie!

Abel rzucił kapitanowi ostrzegawcze spojrzenie. Miało ono oznaczać: *Nie prowokuj go, przecież i tak już mówi.*

Mercier w pierwszej chwili wysunął buntowniczo podbródek, ale zaraz potem skinął aprobowująco.

– Okej, dlaczego nie palisz fai tutaj, w Paryżu?

– Właśnie ty o to pytasz? Przecież weszliście u nas w całej dzielnicy tylko dlatego, że wsadziłem nóż w szyję tej tłustej zdzirze na Montmartrze! A przecież była to czysta obrona konieczna, bo ta krowa chciała walnąć mnie w jaja swoim pieprzonym kolanem!

Tym razem to Mercier szeroko otworzył oczy.

*Najwidoczniej jeszcze jeden zamek, do którego niespodziewanie dostał pasujący klucz, wywnioskował Abel.*

– A dlaczego poleciałeś z Berlina do Londynu?

– Przecież tam jest ta pieprzona królowa babcia i góry złota, no nie? W każdym razie tak myślałem. Złoto leży na ulicy i takie tam bzdety. Ale Londyn też jest tylko zasyfioną brudną dziurą. Jedyne, co leży tam na ulicy, to tony gówna i śmieci. W całym porąbanym mieście same śmieci i zdrajcy. Więc poleciałem dalej.

Wszystko, czego chcieli dowiedzieć się od Moussadeta, wypływało z niego jak z dziurawej beczki.

Raz mówił podniesionym tonem, raz krzycząc, potem znów cicho, jakby słuchał swojego wewnętrznego głosu. Od czasu do czasu śmiał się szczekliwie albo skomlał jak szakal.

I ciągle wyglądał, gapił się i głaskał ogromnymi łapskami fotografię ciotki Mansury. A raz nawet ją pocałował.

Abel niejedno już widział, ale w ciągu tych kilku nocnych godzin spędzonych w pokoju przesłuchań kilka razy dostał gęsiej skórki.

– Na pieprzonym okienku biletowym na lotnisku było napisane „Bari” – mówił dalej Moussadet. – „Bari to chyba w Azji, tak?”, zapytałem dziwkę od biletów. Głupio się uśmiechnęła i przytaknęła. Więc jestem w samolocie, a potem wysiadam w Bari i znów wielkie gównno. Od kiedy tak wygląda Azja? Wszystko oszustwo i zdrada!

Abel prawie się zakrztusił, kiedy Moussadet wspominał ten przystanek na trasie swojego szaleństwa. *Ja też to błędnie zrozumiałem, z powodu złej jakości połączenia telefonicznego z Lisą, przebiegło mu przez głowę. Więc signora Lamberti musiała zginąć tylko dlatego, że Moussadet pomylił Bari z Bali! I dlatego, że dziewczyna sprzedająca bilety myślała, że Franco stroi sobie żarty.*

Ale humor nie był przewidziany w ponurym wszechświecie Moussadeta.

– Po Bari byłem wykończony i miałem wszystkiego dosyć – skreślił wreszcie w ostatnią prostą. – Czas do domu, do swoich, powiedziałem sobie. Często dają mi w kość, ale przecież są moją rodziną. Kapujesz?

Wpatrywał się w Abła z groźną miną.

– Bez dwóch zdań – powiedział Abel i Moussadet znów się odprężył. W każdym razie, o ile w jego przypadku można było mówić o odprężeniu.

– Wtedy w Orly powiedziałem sobie: cholera, tak, jeszcze jedna stara zdzira, a potem do domu. Nie miałem już forszy, ponieważ ten pieprzony bilet znów był bardzo drogi. Ale w jakiś sposób katrupienie starych bab mnie całkowicie relaksowało. Praktycznie w ogóle się nie broniły. Tylko trochę podrygiwały pode mną. To mnie podniecało, ale nie rozwścieczało. Kapujesz?

– Absolutnie – zapewnił go Abel. – Jednak na Orly wylądowałeś już siódmego lipca. A madame Laforêt i swoją ciotkę zamordowałaś jedenastego. Co robiłeś w międzyczasie?

Moussadet popatrzył na niego i znów zaczął opowiadać dziwne rzeczy.

– Byłem gdzieś w lesie – to najbardziej precyzyjna wypowiedź, którą uzyskali od niego na ten temat. Potem zamilkł tak nagle, jak wcześniej wybuchnął potokiem słów.

Wszyscy byli na skraju wyczerpania albo nawet już za nim. Zarówno morderca, jak i jego prześladowcy, którzy w końcu go schwytali. Ostatecznie Moussadet przyznał się do ośmiu zabójstw, które można mu było do tej pory przypisać.

Chociaż bez wątplenia był psychopata, jego umysł zachował liczne szczegóły, których nie mógł znać nikt oprócz sprawcy.

Motywy jego zbrodni miały sens wyłącznie w jego obłąkanym świecie. Ale jego rzeczywiste ofiary były ludźmi, a nie wytworami szaleństwa.

*Bez wątplenia pojawią się kolejne trupy, które będą nosiły sygnaturę „Miles & More killera”, pomyślał Abel. Na przykład w jakimś lesie w okolicach Orly.*

– Zejdę teraz na dół, odczytam mu zeznanie i dam do podpisania – powiedział Mercier i wstał z krzesła.

Abel zaniepokojony podniósł wzrok znad lektury.

– Nie martw się, Fred – dodał Mercier. – Załatwię go w białych rękawiczkach. W razie czego nawet coś mu zaśpiewam, żeby tylko podpisał.

Abel wstał razem z Mercierem i podał mu rękę.

– Dziękuję, Victor. Dzisiejsza noc była wyboistą drogą, ale prawie jesteśmy u celu.

Mercier przyciągnął Abła do siebie i objął go.

– Byliśmy dobrym zespołem – powiedział. – Lilou, ty i ja.

Abel mimowolnie wstrzymał oddech. Ostrożnie odsunął się od Merciera.

– Zanim rozpoczniesz drugą część swojego przyjęcia – powiedział – dobrze by było, gdybyś wzięła prysznic.

– Ach, ci Niemcy! – westchnął szeroko uśmiechnięty Mercier, wychodząc z biura. – Zawsze muszą pouczać innych!

Abel słuchał już tylko jednym uchem. Miał natomiast nadzieję, że dotrze w Berlinie do kogoś, kto nie będzie go pouczać, tylko go posłucha.

Wyjął z kieszeni smartfon i przewinął listę kontaktów do litery M.

**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Niedziela 12 lipca godz. 6.31**

„Matka sprawia wrażenie, jakby nie do końca wiedziała, co się z nią dzieje”, mówiła do kamery reporterka RTL. „Wygląda na to, że jej córeczka jest już nieprzytomna. Rozpacзлиwa, beznadziejna sytuacja. Państwo w telewizorach w domu prawdopodobnie tego nie widzicie, ale w powietrzu tutaj czuje się ogromne napięcie. Jest wpół do siódmej rano, mimo to w naszej stacji linie telefoniczne są rozgrzane do czerwoności. Tysiące ludzi z całego świata dzwonią do nas, aby wyrazić swoje współczucie oraz oburzenie bezduszością władz. W miejscu, gdzie rozgrywa się ten rodzinny dramat, zgromadziły się setki mieszkańców Berlina. Dramat, który z każdą minutą coraz bardziej przeradza się w polityczny i sądowy skandal”.

Kamera obróciła się na aleję przed kliniką. Teren bezpośrednio przed szpitalem był ogrodzony taśmą oraz metalowymi barierkami.

Ulica po obu stronach zamkniętej strefy była czarna od ludzi.

„Lilly umiera i chce powiedzieć swojemu tacie: Do zobaczenia w niebie”, mówiła dalej reporterka.

Najwyraźniej stała na dachu budynku obok szpitala, jej długie jasne włosy targał poranny wietrzyk. Chociaż usilnie starała się wyglądać na zatroskaną i przejętą, sprawiała wrażenie beztroskiej i niemal wesołej.

„Czy ostatnia prośba w życiu Lilly zostanie spełniona, nawet jeśli tata Lilly rzeczywiście jest mordercą? Czy jej mama Marie spełni swoją straszną groźbę? Zostańcie państwo z nami. Wracamy za chwilę – na żywo z Charité, o śmiertelnym dramacie nad dachami Berlina”.

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Niedziela 12 lipca godz. 6.33**

Tu Markwitz. Dobrze, że pan dzwoni, doktorze.

Abel był tak zdziwiony, że na chwilę odjęło mu mowę.

– Nadkomisarz Markwitz we własnej osobie? – upewnił się. – W niedzielny poranek, o wpół do siódmej? Właściwie dzwonię tylko po to, żeby zostawić panu wiadomość na sekretarce.

– Halo, kto mówi? – krzyknął Markwitz. – Czy to pan, doktorze Abel? Ma pan taki zniekształcony głos.

– Zduszony bardziej oddaje istotę rzeczy – odparł Abel.

Bolała go szyja. Chrząknął, jego głos wciąż brzmiał ochryple.

– W każdym razie to ja we własnej osobie siedzę przy własnym biurku – potwierdził nadkomisarz. – Chociaż na szczęście wyrosłem już z wieku, kiedy musiałem pełnić weekendowe dyżury. Ale gdyby miał pan praktykanta, który o piątej rano włącza RTL i potem budzi pana telefonem...

*Tekin Okyar*, pomyślał Abel i mimowolnie polepszył mu się nastrój. Ujrzał przed sobą twarz gorliwego praktykanta z krzaczastymi brwiami nad ogromnym nosem.

– Kolega Mercier przysłał mi w nocy mejla – mówił dalej Markwitz. – Jeśli mój zardzewiały szkolny francuski mnie nie myli, ujął z pana pomocą mężczyznę, który może mieć na sumieniu naszą Irinę Pietrową z Tegel. Poprosił mnie, żebym jak najszybciej przyjechał do Paryża, aby udzielić pomocy prawnej w śledztwie. Z powodu zaostrzenia sytuacji w Charité zdecydowałem, że polecę jeszcze dzisiaj. Nieważne, że jest niedziela.

– To, co dzieje się tam, w szpitalu, jest potworne – powiedział Abel. – Jestem tu, w Paryżu, w prefekturze policji i zrobiliśmy poważny krok naprzód. Z całą pewnością mamy mordercę Iriny Pietrowej! Jest to Marokańczyk, Franco Moussadet, w nocy przyznał się do wszystkiego. Wyślę panu mejlem protokół przesłuchania. Po francusku, ale prokurator doktor Siebener z pewnością znajdzie u siebie kogoś, kto potrafi to przeczytać i przetłumaczyć. Zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza? Jednoznacznie dowodzi niewinności Moewiga. Musi zostać niezwłocznie zwolniony z aresztu, nawet jeśli skazano go za pobicie strażnika. Przecież sam pan powiedział, że Siebener jest rozsądnym człowiekiem. W tych okolicznościach...

– Pozwoli pan, że mu przerwę, doktorze – wpadł mu w słowo Markwitz. Sprawiał wrażenie lekko poirytowanego, ale szybko się opanował. – A więc znaleźliście mordercę Iriny Pietrowej? Co prawda nie należy to do pana podstawowych obowiązków jako lekarza sądowego, ale moje gratulacje! Zresztą pańskie wnioski doskonale pasują do śledztwa, które przeprowadziłem w międzyczasie. Myliłem się, miał pan lepszego nosa. Ale to przyda się...

– O czym pan mówi, Markwitz? – przerwał mu z kolei Abel. – Przecież nie o to chodzi. Proszę mi obiecać, że zrobi pan wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nakłonić Siebenera, żeby zwolniono Moewiga. Areszt aresztem, jeśli to konieczne, może kazać przywieźć go pod strażą do szpitala, a oficjalne

zwolnienie załatwi się za kilka dni. Tylko musi natychmiast podjąć jakieś działania, żeby w Charité nie doszło do tragedii. Niech pan mi to obieca, Markwitz! Potem zawsze może pan tu przyjechać, żeby zadowolić biurokrację. Warunki konieczne do uwolnienia Moewiga leżą na stole, teraz chodzi tylko o to, żeby przyspieszyć biurokratyczne procedury! Halo? Jest pan tam jeszcze?

– Tak, jeszcze jestem – powiedział Markwitz.

Abel ponownie chrząknął i potarł bolącą szyję. Wahanie Markwita, jego uniki, powściągliwy ton, to wszystko niedobrze wróżyło. Abel poczuł ucisk w żołądku, czego powodem był jeszcze dodatkowo fakt, że od południa poprzedniego dnia nie miał nic w ustach.

*Proszę, tylko bez kolejnych komplikacji, pomyślał. Nie mamy na to czasu! A ja nie mam już siły.*



**Berlin, Keithstraße**  
**Wydział Zabójstw Krajowego Urzędu Kryminalnego**  
**Niedziela 12 lipca godz. 6.39**

Chwileczkę, doktorze – powiedział Markwitz. – Zaraz wrócimy do rozmowy.

Położył słuchawkę na biurku przed sobą, bo do biura wpadł właśnie Tekin Okyar i wypełnił całe pomieszczenie swoją rozedrganą energią.

– Widział pan to w telewizji? – zapytał praktykant. – Musimy natychmiast jechać do szpitala, szefie!

– Proszę bardzo, a co chcesz tam zdziałać? – zapytał Markwitz.

– Nie mam pojęcia. Wspiąć się po ścianie, złapać matkę w sieć. Czy ja wiem co? Ale przecież musimy coś zrobić!

– Usiądź tam z tyłu i nie ruszaj się z miejsca – zarządził nadkomisarz.

Począł, aż Tekin Okyar zniknie w tylnej części biura, następnie ponownie podniósł słuchawkę.

– Już jestem z powrotem – powiedział. – Musiałem tylko szybko ustawić tu kogoś do pionu.

– Nawet się domyślam kogo – burknął Abel. – A teraz proszę, porozmawiajmy otwarcie – ciągnął dalej. – Przecież czuję wyraźnie, że coś jest nie tak.

– „Nie tak” to jeszcze za słabo powiedziane – odrzekł Markwitz. – Bardzo mi przykro, ale muszę pana powiadomić, że sprawę morderstwa Iriny Pietrowej przejął krajowy prokurator generalny doktor Rubin.

Abel poczuł się tak, jakby w pełnym pędzie zderzył się ze ścianą.

– Rubin? – powtórzył jak ogłuszony. – Jest pan pewny?

– Na sto procent.

– Ale dlaczego? Przecież pan i prokuratura wychodziliście z założenia, że chodzi o zwykłe przestępstwo, więc jest to chyba sprawa o kilka numerów za mała jak na prokuratora krajowego!

Markwitz odkaslnął.

– Prawdopodobnie Rubin wywęszył, że w tę sprawę zaangażował się pan, doktorze. I po starej przyjaźni... rozumie pan. Oczywiście jest to tylko moje prywatne zdanie. I w żadnym wypadku nie nadaje się do zacytowania.

– Dziękuję, Markwitz. Doceniam pańską szczerłość – powiedział Abel. – Mimo to proszę spróbować. Proszę uświadomić Rubinowi, że to od niego zależy, czy Marie Lindweg spełni swoją groźbę.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział Markwitz. – Niech pan przyśle mi protokół, wtedy natychmiast przekażę go do prokuratury, jeszcze zanim pojadę na lotnisko. A jeśli chodzi o moje ostatnie ustalenia, zaraz dostanie pan wiadomość mejlem. Będziemy w kontakcie, doktorze.

Pożegnali się. Abel położył smartfon na stole konferencyjnym u Merciera. Wciąż czuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek.

*Prokurator generalny Rubin, pomyślał. Nadęty, pozbawiony serca karierowicz. Teraz już tylko Lisa może uratować sytuację.*

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Niedziela 12 lipca godz. 6.47**

Rozmowa telefoniczna Abła z Lisą przebiegała początkowo co najmniej tak samo frustrująco, jak z Markwitzem. Nie robiła mu żadnych wyrzutów, że przedwczoraj zostawił siostrę samą z pogrzebem matki. I nie wytykała mu również, że od prawie tygodnia nie był w domu, wysłał jej tylko kilka krótkich SMS-ów, a teraz, w niedzielę, wyrwał ją ze snu z samego rana.

Mimo to zareagowała z wyraźną powściągliwością, kiedy jej zakomunikował:

– Morderca Iriny Pietrowej został złapany i przyznał się do winy. Nie tylko zresztą do tego czynu, ale do jeszcze siedmiu innych zabójstw!

– To doskonała wiadomość. Moje gratulacje, Fred – powiedziała Lisa.

Jej słowa niemal zginęły w niespodziewanie narastającym gwarze głosów. Widocznie włączyła telewizor. Abel sądził, że w tle rozpoznaje głos młodej reporterki RTL.

– Dziękuję – powiedział. – Ale brakuje jeszcze jednego elementu puzzli. Żeby w Charité nie doszło do katastrofy, Lars Moewig musi zostać natychmiast wypuszczony na wolność.

Lisa westchnęła w słyszalny sposób.

– I jak chcesz tego dokonać? – zapytała.

– Dobre pytanie. – Abel wyjaśnił jej w krótkich słowach zagmatwaną sytuację.

– Na pewno łatwiej byłoby się dogadać z prokuratorem Siebenerem – powiedział – ale znasz Rubina. Jest podręcznikowym przykładem biurokraty. Poza tym nienawidzi mnie od czasu sprawy „wrywacza serc” i wolałby dać sobie uciąć palec niż wyświadczyć mi przysługę.

– Jestem dokładnie tego samego zdania, Fred – powiedziała Lisa. – I zanim zadasz mi pytanie: ja też nie potrafię zmusić Rubina, żeby zrobił coś dla Moewiga.

– Ale pracujesz w Prokuraturze Federalnej! – powiedział z wyrzutem Abel. – On podlega szczeblowi krajowemu. Ty pracujesz na szczeblu federalnym, na pewno możesz pociągnąć za jakiś sznurek!

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała Lisa.

W jej głosie mieszały się teraz zdecydowanie i współczucie.

– Rubin jako prokurator generalny Kraju Związkowego Berlin w żaden sposób nie jest zobowiązany do stosowania się do poleceń czy wskazówek Prokuratury Federalnej, z wyjątkiem przypadków, które dotyczą bezpieczeństwa i porządku Republiki Federalnej Niemiec. Czyli na przykład ataków terrorystycznych albo przestępczości zorganizowanej. Wtedy my wkraczamy do gry. Przecież nie muszę ci tego mówić. Czy jakiś więzień osadzony w areszcie śledczym, który okazał się niewinny, zostanie zwolniony natychmiast, czy za osiem dni, rozpatruje miejscowy sędzia, wydający nakaz aresztowania na wniosek miejscowej prokuratury. A w tej sprawie będzie to trwało nawet znacznie dłużej, ponieważ będzie on musiał najpierw uporządkować francuskie akta dochodzenia, przetłumaczyć je i zweryfikować. Naprawdę jest mi bardzo przykro, Fred.

Gwar głosów telewizora przybrał na sile, a potem nagle zamilkł.

– Czyli nie możesz nic zrobić? – zapytał Abel.

– Ależ oczywiście, że mogę – powiedziała Lisa. – Mogę zadzwonić do Rubina i użyć swojego uroku osobistego. W razie potrzeby umówię się z nim na śniadanie. Wiesz, że potrafię być bardzo przekonująca.

– O tak, wiem – powiedział Abel i odżyła w nim nadzieja.

– Jeśli Rubin nie wie, kto jest moim partnerem życiowym – dodała Lisa – mamy sporą szansę.

Abel westchnął.

– W takim razie możesz od razu o tym zapomnieć. Rubin jest osobą, która zbiera dossier na wszystko i na każdego. Zgodnie z jego mottem: człowiek nigdy nie wie, kiedy może potrzebować tych informacji.

Jeszcze kiedy Abel to mówił, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Czy mimo to nie powinnam spróbować? – zapytała Lisa.

– Daj sobie spokój – odpowiedział Abel. – Na pewno odrzuciłby twoją prośbę, bo na sto procent wie, że jesteśmy parą. Nie powinniśmy dawać mu tej satysfakcji. Ale mimo wszystko dziękuję ci, Liso, że byłabyś gotowa zrobić to dla Larsa.

Czule się pożegnali.

Właściwie po tej rozmowie Abel powinien być jeszcze bardziej zniechęcony niż po telefonie do Markwita. Ale było wręcz odwrotnie.

*Zobaczmy, co pan powie na moje skromne dossier, panie obermanipulatorze.*

Chętny do walki Abel otworzył elektroniczną skrzynkę pocztową, aby odszukać mejle, które prokurator krajowy Rubin rozsyłał dwa lata temu podczas śledztwa w sprawie serii morderstw popełnianych przez „wirywacza serc”. Te mejle nie były skierowane bezpośrednio do Abla ani do Jankowskiego, ale przekazali je im życzliwi adresaci.

Według oficjalnej wersji Rubina, osobiście „ustalił skład zespołu Abel–Jankowski i pod każdym względem ich wspierał”. W związku z tym to dzięki jego inicjatywie ustalono tożsamość sprawcy. Jednak ta wersja stała w niejkiej sprzeczności ze służbowymi instrukcjami, którymi Rubin zasypywał w tamtym czasie Grupę Specjalną „Wirywacz Serc”.

Abel zachował te mejle w swojej skrzynce pocztowej bez konkretnego powodu. Nie pamiętał już też szczegółów bezsensownych insynuacji i złośliwych poleceń, za sprawą których prokurator krajowy przy każdej okazji rzucał im kłody pod nogi.

Szukanie zebranych gdzieś złośliwości Rubina poszło w odstawkę, kiedy Abel ponownie natknął się na dziwny francuskojęzyczny mejl od niejakiego Noaha Borela. Tym razem ciekawość zwyciężyła.

**Basse-Terre, Gwadelupa**  
**Piątek 10 lipca godz. 1.34**

Od: Noah.Borel@guadeloupe.net  
 Temat: Rezultatem jesteśmy my!

Zastanawiamy się już od nie wiadomo kiedy (no dobra, gdzieś od 15 min), jak powinniśmy się do Ciebie/Pana zwracać. Ale zanim z 15 min znów zrobi się 15 lat, zaczniemy po prostu od Top 3 możliwych sposobów zwracania się (w kolejności alfabetycznej):

Cher Père! J Hi Dad! J Hallo Fred Abel! J

Uwaga: Proszę nie odrzucać L ani nie kasować! L

Nazywamy się Manon i Noah Borel. Jesteśmy bliźniętami, mamy 15 lat. I jesteśmy Twoimi/Pańskimi dziećmi.

Naszą matką jest Claire Borel i mamy wielką nadzieję, że ją wciąż pamiętasz (że Pan ją wciąż...?).

Jesteśmy rezultatem, jak mówi mama, czegoś, co było dla niej „czymś o wiele więcej niż tylko gorącym romanssem”. Czy dla Ciebie również, Cher Père?

Chcemy Cię poznać. Ale tylko jeśli Ty chcesz nas zobaczyć. Jeśli powiesz non/neyn (?), nie będziemy Cię więcej niepokoić. Słowo honoru! Ale jeśli chcesz się z nami spotkać, to najszybciej, jak możesz. Umieramy bowiem z nieciepliwości (ja=Noah) i tęsknoty (ja=Manon).

Mieszkamy na Gwadelupie. To bardzo daleko od Ciebie L. Mama prawdopodobnie domyśla się, że chcemy do Ciebie napisać (trudno utrzymać przed nią cokolwiek w tajemnicy). Ale nie wie, że chcemy się z Tobą spotkać. W każdym razie tak nam się wydaje.

Całe nasze życie spędziliśmy tu, na Gwadelupie. Europę znamy tylko z tego, co opowiadała nam mama. A ona też właściwie zna tam u was tylko Paryż.

Bardzo Cię kochała. Ale bała się i dlatego po kryjomu uciekła. Bała się, ponieważ była czarna (a właściwie jest, chociaż nie, właściwie jest ciemnobrązowa), a Ty jesteś biały. (My jesteśmy bardziej taka kawa z mlekiem). Ponieważ Ty miałeś przed sobą tak dokładnie wytyczoną drogę (od zawsze wierciliśmy jej dziurę brzuchu, aż nam o tym opowiedziała), podczas gdy ona ciągle szukała. Nie była pewna. Nie wiedziała, czy pasowalibyście do siebie, na stałe albo w każdym razie na dłużej niż na kilka dni.

Hanofer (?), już samo to słowo wywoływało w niej strach. „Jest takie niemieckie, tak uporządkowane, takie zwyczajne”, powiedziała. „A ja byłam wtedy dokładnie taka sama, jak dzisiaj”.

Mama wciąż szuka, Dad. Mówi, że z szukania uczyniła sztukę. W każdym razie tu na wyspie jest dość znaną artystką. Uważamy, że to nie fair, żeby w przypadku mamy szukanie było sztuką. Bo jak my nie możemy znaleźć podręcznika (ja=Noah) albo kolczyków (ja=Manon), to to nie jest sztuka, tylko bałaganiarstwo.

Ale to prawda, zarówno w jej przypadku, jak i w naszym sztuka to chaos. Gdybyś zobaczył nasze pokoje, przede wszystkim mój (=Noah), na pewno nie chciałbyś się z nami spotkać.

Dlatego zdecydowaliśmy się wysłać Ci tylko nasze zdjęcia.

Jeśli chcesz wiedzieć, jak wyglądamy, kliknij tutaj (=Manon) i tutaj (=Noah).

Jeśli chcesz wiedzieć, jak wygląda dzisiaj mama, kliknij tutaj (=Claire).

A jeśli chcesz, żebyśmy odwiedzili Cię w Niemczech, po prostu napisz Qui albo Ya (?) i kliknij „Wyślij”.

Wygooglowaliśmy Cię, Dad. Jesteś słynnym łowcą przestępców i rozcinaczem (?) ciał. Jesteśmy z Ciebie bardzo dumni. I cieszymy się, że mieszkasz w Berlinie.

Wygooglowaliśmy również Berlin. Wydaje nam się, że mama nie bałaby się i nie uciekłaby potajemnie, gdybyś już wtedy mieszkał w Berlinie. Berlin jest kolorowy, głośny i nieuporządkowany, prawie jak Gwadelupa.

Stop: tu jeszcze jedna ważna informacja: mama od pięciu lat ma stałego przyjaciela, Pierre’a! Wcześniej też miała stałych przyjaciół, ale Pierre jest bardziej stały niż ci poprzedni.

Dyskutowaliśmy o tym i wydaje nam się, że nie chcesz zobaczyć jego zdjęcia. Ale on ma w mieście galerię i jest bardzo miły.

Ale nie jest naszym Père/Dad/Fred. L

Prosimy, napisz Qui/Ya!

Ściskamy Cię i całujemy

Twoje dzieci Manon i Noah

**Paryż**  
**Rue Bonaparte, prefektura policji**  
**Niedziela 12 lipca godz. 7.13**

**P**rokurator krajowy doktor Rubin.

Oliver Rubin miał idealny głos do mów oskarżycielskich i konferencji prasowych. Głęboki i budzący zaufanie, w którym pobrzmiwała samoświadomość autorytetu, czym onieśmiał oskarżonych, oczarowywał przysięgłych i zmieniał wytrawnych dziennikarzy w swoich wyznawców.

Tylko na Ablu ociekający miodem bas Rubina nie robił wrażenia.

– Doktor Abel, Wydział Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” – odpowiedział. – Dobrze, że mimo wczesnej pory odbiera pan służbową komórkę.

– Abel? – powtórzył prokurator. Jego głos nabrał lodowatych tonów. – Gdybym tylko domyślił się, że to pan, nacisnąłbym „Odrzuć”.

– Odrzucenie nic panu teraz nie pomoże. Gdyby pan nie odebrał, wysłałbym do pańskiego domu patrol.

Postanowił od razu przystąpić do ataku. Musiał rozbić skorupę jego opanowania, bo tylko wtedy miał szansę. Niespodziewany mejl od Manon i Noaha dodał mu wiary, że sobie poradzi.

*Jestem ojcem. Mam bliźnięta z Claire Borel.*

W duchu cały czas czuł, jakby unosił się na skrzydłach. Jednak w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało mu to mieć się na baczności przed Rubinem.

– Czemu więc zawdzięczam ten honor? – W głosie prokuratora krajowego dało się wyczuć nutę zaniepokojenia. – Co pan ma takiego pilnego?

– Dajmy już spokój tym głupotom – powiedział Abel. – Pan wie, po co dzwonię, i ja wiem, że pan to wie. Przejdźmy więc do rzeczy.

– Musi mi pan wybaczyć, ale nie pamiętam wszystkich szczegółów. Pan zajmuje się dwiema, trzema sprawami, ja natomiast...

– Rodzinny dramat, który właśnie rozgrywa się w Charité. Czy teraz coś panu świta? Sprawa Iriny Pietrowej. Prokurator Siebener wsadził Moewiga do aresztu śledczego. Potrafię dowieść, że Moewig jest niewinny. Prawdziwy morderca Iriny Pietrowej został zatrzymany wczoraj w nocy w Paryżu.

– Lepiej niech pan się za bardzo nie napina – odgryzł się Rubin. – Markwitz mówił mi, że Moewig jest pańskim starym kumplem. Ale zgodnie z analizą DNA mimo wszystko jest naszym sprawcą.

– Ma tylko ten sam haplotyp. Są setki mężczyzn z tą genetyczną cechą. Czy nadkomisarz Markwitz wysłał panu wyniki swojego śledztwa? Zgodnie z nim morderca i Moewig rzeczywiście są ze sobą w bardzo odległy sposób spokrewnieni. Ale Moewig nie ma nic wspólnego z zabójstwem Iriny Pietrowej.

Krótko podsumował raport Markwita, który przejrzał jeszcze przed telefonem do Rubina. Nawet jeśli nie miał złudzeń, że uda mu się przekonać Rubina rzeczowymi argumentami. Osobnicy tacy jak on reagują wyłącznie na presję.

Sprawa Iriny Pietrowej nie dawała spokoju również Markwitzowi. Dlatego razem z Okyarem

przeanalizowali genealogię rodu Larsa Moewiga. Okazało się, że jego rodzina ma swój początek w bawarskiej wiosce w górach i sięga końca drugiej wojny światowej.

I to wskutek gwałtu.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym przez Bawarię ciągnęły oddziały aliantów – referował Abel, chociaż Rubin tylko prychał znudzony. – Pewien francuski żołnierz pochodzący z Afryki Północnej zgwałcił miejscową kobietę. Była to babka Larsa Moewiga. Była zamężna i miała już dwoje ślubnych dzieci z Niemcem. Kiedy na świat przyszedł ciemnoskóry chłopiec, rodzina ją napiętnowała. Na początku lat pięćdziesiątych przenieśli się do Berlina, ponieważ w anonimowym dużym mieście mogli żyć spokojnie. Gwałt na babce Larsa Moewiga zawsze stanowił rodzinną tajemnicę. Ciemnoskórym potomkom jak Lars mówiono, że wiele pokoleń temu ich przodkowie przybyli z Afryki. Dlatego w ich rodzinach co jakiś czas przychodzą na świat czarne dzieci, chociaż wszyscy są Niemcami.

– Na Boga, niech pan już przestanie – nie wytrzymał Rubin. – Mamy niedzielny poranek, jeszcze nie jadłem śniadania, a...

– ...a Marie Lindweg zaraz rzuci się ze swoim dzieckiem z dachu – dokończył Abel. – Ale pan temu zapobiegnie, Rubin. Lars Moewig nie zna tej makabrycznej rodzinnej historii właśnie dlatego, że zawsze traktowali ją jako tajemnicę. W przeciwnym razie powiedziała by o tym Markwitzowi, ponieważ działałoby to na jego korzyść, a wtedy nawet najbardziej uparty prokurator zrozumiałaby, że musi być inny podejrzany, który chodzi po okolicy z identycznym haplotypem.

– Zaraz się rozpłaczę. I tą poruszającą historią o zhańbionej babci chce mi pan udowodnić, że Moewig jest niewinny? Przecież nie ma alibi na czas popełnienia przestępstwa. Przeciwnie, kiedy przebywał w Londynie, w ten sam sposób została zamordowana druga stara kobieta. Przez człowieka, który ją śledził i wtargnął za nią do jej mieszkania. Niech pan wreszcie zrozumie, że pański nieskazitelny przyjaciel jest sprawcą morderstw na tle rabunkowym.

– Prawdziwy sprawca przyznał się do winy i złożył szczegółowe zeznania. Nazywa się Franco Moussadet i pochodzi z Maroka. Prawdopodobnie Moewig i Moussadet mają wspólnego przodka, francuskiego żołnierza.

– To się dopiero okaże – powiedział Rubin. – Kiedy Francuzi przekażą nam za pośrednictwem Europolu akta śledztwa, wszystko spokojnie sprawdzimy.

Zrobił przerwę. Mówił teraz bardziej przez zęby i miał wyraźnie przyspieszony oddech.

– A więc ujął pan przestępcę, Abel. Jest z pana prawdziwie zdolna bestia. Dokonuje pan sekcji w Berlinie i lata po świecie jako prywatny detektyw. A co na to pańscy przełożeni? Wiedzą, czym się pan dodatkowo para w weekendy? Ale moje gratulacje za aresztowanie!

Były to już trzecie gratulacje, które Abel odebrał tego ranka. Ale szczerze pogratulowała mu tylko Lisa. W głosie Markwitza dała się słyszeć nuta sceptycyzmu, a głos Rubina wręcz pulsował zawiścią i sarkazmem.

– Kiedy pomyślę, ile pana musiały kosztować te słowa, to z kolei mnie łzy niemal same napływają do oczu, panie prokuratorze – powiedział Abel. – Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy trzymali się sprawdzonego podziału obowiązków? My, zawodowcy, tacy jak Jankowski i ja, dbamy o należyłą jakość rezultatów dochodzenia, a pan oficjalnie stroi się cudze piórka.

– Co mają znaczyć te insynuacje? – oburzył się Rubin. – Niech pan nie zapomina, z kim pan rozmawia, Abel!

W jego głosie wyczuwało się zaniepokojenie, nawet jeśli próbował ukryć panikę za autorytarnym pozerstwem.

– Dobrze pan wie, dlaczego wspominałem o Timo Jankowskim – spokojnie odbił piłeczkę Abel. – Leży przede mną szczegółowa dokumentacja służbowych poleceń, które rozsyłał pan podczas śledztwa w sprawie „wirywacza serc”. Wynika z nich jednoznacznie, że poważnie utrudniał pan pracę Jankowskiemu i mnie i obu nas osobiście zniesławiał. Co oczywiście nie przeszkodziło panu przypisać sobie naszego

sukcesu.

Przerwał i nasłuchiwał oddechu Rubina zdradzającego ekstremalne zdenerwowanie. Biedak był na skraju hiperwentylacji.

– Byłoby mi przykro – ciągnął Abel – gdyby te materiały omyłkowo dostały się w ręce... powiedzmy reporterów RTL. Pański przełożony siłą rzeczy musiałby nakazać zbadanie tej sprawy. Jak powiadają, wcale nie ma pan samych przyjaciół w swoim wydziale i pięto wyżej. Właściwie w ogóle nie ma pan przyjaciół. I jest tylko kwestią czasu, kiedy będzie pan musiał skapitulować pod naciskiem opinii publicznej. Czy już się pan kiedyś zastanawiał, co pan zrobi, jeśli utraci prawo do emerytury?

Przez co najmniej dziesięć sekund Rubin nic nie mówił. Bez wątpienia starał się ocenić, czy Abel blefuje, czy naprawdę ma coś w ręku.

– Czego pan właściwie ode mnie chce? – powiedział w końcu. – Jeśli idzie o sprawę Iriny Pietrowej, to zajmuje się nią prokurator Siebener. Poprosiłem go tylko o przekazanie na weekend akt do wglądu.

Abel czekał.

– Jeśli uzyskał pan nową wiedzę w sprawie Iriny Pietrowej, proszę zwrócić się do kolegi Siebenera – mówił dalej Rubin.

Wyglądało na to, że jego zwyczajowa arogancja wróciła z powrotem do lampy jak dzinn.

– Do nikogo się nie zwrócę – powiedział Abel – co najwyżej do mediów. Pan natomiast niezwłocznie wyda polecenie przywiezienia Moewiga do jego córki. Zadba pan, żeby rodzice i dziewczynka mieli do dyspozycji pokój, w którym nikt im nie będzie przeszkadzał. Żadnych kamer i policji! Jeśli najpóźniej za godzinę Moewig nie pojawi się w szpitalu jako wolny człowiek, w pańskiej karierze nastąpi gwałtowny zwrot, panie prokuratorze!

Rubin wydał dźwięk podobny do chrząknięcia, co Abel zinterpretował jako zgodę.

I bez słowa zakończył rozmowę.



**Berlin-Wedding**  
**Szpital Dziecięcy Charité**  
**Niedziela 12 lipca godz. 8.11**

Kiedy Lilly doszła do siebie, leżała w szpitalnym łóżku, ale stało ono w pomieszczeniu, którego nie znała. Było o wiele większe niż pokój na intensywnej terapii, stały tam ławki przy ścianach i regał wypełniony świecami i książkami, które wyglądały jakoś dziwnie uroczyście. W głowie miała rozmyte obrazy i dźwięki: ona i matka w środku nocy na tarasie na dachu. Matka wprost odchodziła od zmysłów. Z dołu z ulicy dobiegał hałas, jakby zgromadzonego tłumu, któremu towarzyszyło wycie policyjnych i strażackich syren.

*Co za bzdury mi się ciągle śnią, pomyślała Lilly.*

Czuła się bardzo lekko. Już wcześniej we śnie próbowała uspokoić matkę.

*Nie denerwuj się, mamo. Proszę cię, nie płacz. Wszystko będzie dobrze.*

Ale we śnie nie mogła już mówić i kiedy teraz próbowała, też jej się nie udawało.

Brakowało jej powietrza. Czuła się taka słaba, ale już się nie bała. Była lekka jak piórko.

*Jak anioł, pomyślała i uśmiechnęła się.*

Już parę razy opuściła swoje ciało i unosiła się pod sufitem. Patrzyła z góry na dyszącą Lilly i myślała: biedna dziewczynka, niedługo będzie już po wszystkim.

Teraz też była bardziej w powietrzu nad łóżkiem niż w swoim ciele. Coraz bardziej i bardziej sama stawała się powietrzem. Taka lekka, taka wolna.

Na lekcji religii nauczycielka opowiadała, że wszyscy mają duszę i są nieśmiertelni. Lilly myślała wtedy: *co za bzdura.*

A teraz wiedziała już, że to nie bzdura. I od tej pory wszystko było już łatwe.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł tata. Śmiał się i błyszczały mu oczy. Lilly postarała się jak najszybciej do końca wśliznąć się z powrotem w swoje ciało.

Tata usiadł obok niej na łóżku i bardzo delikatnie ją objął. Pochylił się nad nią i szeptał jej do ucha:

– Lilly, moja mała dziewczynka. To ja, tata. Słyszysz mnie? Poznajesz mnie? Jesteś tu ze mną?

Płakał, łzy kapały na twarz Lilly. Były jak ciepły letni deszcz.

– Kocham cię, zawsze będę cię kochał – szeptał. – Leć tam wcześniej, zorientuj się co i jak, a za jakiś czas mama i ja do ciebie dołączymy. Wtedy będziesz mogła nam wszystko pokazać w nowym świecie.

*Dobrze, tato, pomyślała Lilly, tak zrobimy. Będę na was czekać.* Widziała po jego uśmiechu, że ją usłyszał.

Teraz również mama podeszła do łóżka. Usiadła po drugiej stronie i oboje mocno trzymali ją za ręce. Patrzyli na nią z miłością i uśmiechali się przez łzy.

Lilly odwzajemniła uśmiech. Chętnie zostałyby jeszcze z nimi, ale była lekka jak piórko. Wypłynęła ze swojego ciała i uniosła się pod sufit.

– Już nie oddycha – powiedziała Marie.

– Wiesz, tak się zastanawiałem... – powiedział Lars. – Śmierć nie istnieje.

– Spójrz – powiedziała Marie. – Lilly się uśmiecha.

Ale Lilly już tego nie słyszała, unosiła się wysoko nad Berlinem.

# Epilog

**Lenthe**  
**Ulica przed domem rodziców Freda i Marlene Ablów**  
**Poniedziałek 13 lipca godz. 22.37**

Marlene zaprosiła go na kolację na ósmą, ale się spóźnił.

„Cały Fred”, powie pewnie jego siostra. Mógł mieć tylko nadzieję, że znów nie przywita go wyrzutami. W końcu przyszedł tu, żeby się z nią pogodzić.

Pilna sprawa zatrzymała go w Berlinie, kiedy już jedną nogą stał w drzwiach biura. Obdukcja odciętej męskiej głowy, którą wędkarze wyłowili z jeziora Halensee w środku Berlina. Abel liczył, że zajmie mu to najwyżej dwie godziny, ale ponieważ na głowie były liczne i różnorodne obrażenia, obdukcja przedłużyła się ostatecznie do pięciu i pół godziny. Do tej pory nie było żadnej wskazówki dotyczącej tożsamości denata. Mimo szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej nurkowie nie znaleźli jeszcze reszty ciała, co w tym momencie było Ablowi na rękę.

Przy obdukcji asystował mu niezmordowany jak zwykle doktor Murau. Tylko jego cytat z Baudelaire’a na koniec procedury zasugerował, że on też ma już na dzisiaj dosyć:

*W mistyczny zmierzch, przez róże i błękity senne, / Niby łkanie przeciągłe, żegnaniem brzemienne, / Zamienimy jedynej błyskawicy lśnienie...*<sup>[B]</sup>

Na niebie nad Lenthe nie było już nawet śladu wieczornej zorzy, kiedy Abel zatrzymał się na poboczu.

Dom jego rodziców stał na końcu małej wioski, która również w dzień sprawiała senne wrażenie. Teraz, w nocy, wszystko wyglądało na opustoszałe. Żaluzje na parterach domów opuszczone, okna za nimi czarne.

Marlena spędziła tu całe swoje dotychczasowe życie. Trudno to zrozumieć, ale przynajmniej częściowo była to jej własna decyzja.

*Nie może zrzucić na mnie odpowiedzialności za wszystko, co straciła w życiu,* powiedział sobie Abel.

Jak za każdym razem, kiedy przyjeżdżał tu z wizytą, zaparkował na nieutwardzonej bocznej drodze po przeciwnej stronie ulicy. Dom stał zaraz za zakrętem. Chociaż był tu mały ruch, przed bramą do ich ogrodu ciągle zdarzały się wypadki.

Abel nieraz proponował, żeby wykorzystać część ogrodu na parking dla toyoty Marlene i przynajmniej jednego samochodu gości. Ale Marlene była namiętną ogrodniczką i za każdym razem odrzucała jego propozycję.

*Jej sprawa,* myślał Abel.

Był pokojowo usposobiony i nie zamierzał kłócić się z Marlene ani z powodu miejsca do parkowania, ani pogrzebu ich matki. W gruncie rzeczy był nawet wdzięczny siostrze. Swoimi zarzutami zmusiła go, żeby samokrytycznie ocenił, czy właściwie ustawił zwrotnice w swoim życiu.

*Rezultat nie budził wątpliwości, tak.*

Poszukiwanie Moussadeta jeszcze bardziej uświadomiło mu, że całym sercem i duszą kocha swoją

pracę. Będąc lekarzem sądowym w Wydziale Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” wykonywał zawód, który dzień w dzień sprawiał mu frajdę. Mógł tutaj ratować życie przez to, że pomagał przerywać zbrodniczą działalność takich indywidualiów jak Franco Moussadet. Natomiast w medycznych badaniach naukowych na pewno nie osiągnąłby niczego znaczącego, a to dlatego, że nie potrafiłby zaangażować się w nie całym sercem.

Tylko jeśli człowiek bez reszty poświęci się jakiejś sprawie, może wznieść się ponad przeciętność i osiągnąć coś nadzwyczajnego. Abel nie miał co do tego wątpliwości i dlatego był w zgodzie sam ze sobą.

Ciągle uważał niemal za cud, że w jego życie nagle wkroczyli Noah i Manon. Od czasu do czasu bolało go bowiem, że nie ma dzieci i nigdy nie doświadczy radości bycia ojcem. A teraz w ciągu jednej nocy został ojcem piętnastoletnich bliźniąt.

O tym też chciał opowiedzieć siostrze. *Mam syna i córkę, powie. A ty niespodziewanie masz bratanka i bratanicę. Śmierć zabrała nam matkę, ale życie podarowało nam te dzieci. Czy to nie cudowne, ciociu Marlene?*

Jeszcze na lotnisku Orly odpowiedział obojgu. Był to długi mejl, ale w pierwszym i ostatnim wierszu napisał dużymi i pogrubionymi literami J OUI/JA! J. Zanim Abel wrócił do Berlina, odwiedził Lilou Maran w szpitalu. Miała zabandażowane ręce i zagipsowany łokieć, ale czuła się dobrze. Po krótkim wahaniu Abel opowiedział jej o bliźniakach. I Claire Borel, dla której znajomość z nim była czymś więcej „niż tylko gorącym romanssem”.

Lilou uśmiechnęła się porozumiewawczo. Na pożegnanie przywołała go do siebie, kiwając dwoma palcami, coraz bliżej i bliżej, aż ich wargi przelotnie się zetknęły.

Ale o tym nie miał zamiaru mówić Marlene.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Było tak ciemno, jak może tylko być na wsi, na dodatek kiedy niebo jest pokryte gęstymi chmurami. Dosłownie nie widziało się nic na wyciągnięcie ręki.

Kiedy z bukietem róż i butelką brunello przechodził przez ulicę, odezwała się jego intuicja.

*Coś tu nie gra.*

Ale Abel nie potraktował tego poważnie. Wciąż był nakręcony pościgiem przez pół Europy za seryjnym mordercą. A przede wszystkim scenami walki na Avenue de Choisy. Z doświadczenia wiedział, że jego system alarmowy będzie potrzebował kilku dni, zanim wróci na normalny poziom.

*Wypijemy na zgodę po kieliszku brunello*, pomyślał Abel. Wtedy z piskiem opon zatrzymał się obok niego czarny mikrobus.

Wyskoczyli z niego dwaj mężczyźni, obaj uzbrojeni w kije bejsbolowe. Abel gwałtownie się odwrócił i chciał biec z powrotem do swojego samochodu. Ale odcięli mu drogę, zepchnęli w stronę mikrobusa i w następnej chwili otrzymał potworny cios w głowę.

Krzyknął i upadł twarzą na nieutwardzoną gliniastą nawierzchnię. Kolejne uderzenie, jeszcze silniejsze od pierwszego, trafiło go potężnie z góry w tył głowy. Abel usłyszał, jak pęka mu czaszka. Poczł, jak na chwilę stanęło mu serce, a potem znów ruszyło nierównomiernie. Był zamroczony, ale cały czas świadomy. Zaniepokojony zauważył, że co prawda serce znów bije regularnie, ale o wiele za szybko.

Drzwi domu się otworzyły. Do ogrodu wpadło światło. Klapiące kroki, potem Marlene, krzycząca z przerażenia:

– Rany boskie, Fred?

Obaj napastnicy rozmawiali ze sobą w jakimś wschodnioeuropejskim języku. Ich głosy były spokojne i pewne siebie, i nagle Abel już wiedział, kim są.

*Przysłali ich z Naddniestrza*, pomyślał.

W ubiegłym roku badał tam na zlecenie pewnego oligarchy szczątki dwóch mężczyzn. Byli to biznesmeni, których uprowadzono i których przez kilka lat uważano za zaginionych, zanim metalowy kontener z ich ciałami nie został znaleziony na terenie opuszczonej firmy. To, co stwierdził w swojej

ekspertyzie dotyczącej tożsamości i gwałtownej przyczyny śmierci, najwyraźniej nie spodobało się komuś w pseudopaństwie z rosyjskiej łaski.

Umysł Abła pracował ociężale.

*Teraz wszystko nabiera sensu. Anonimowe telefony. Grudy błota, które wlatywały przez hotelowe okno w Heathrow, pomyślał. Niewyraźna postać przed moim pensjonatem w Bari. Śledzili mnie przez pół Europy. Pewnie żeby mnie zastraszyć i zmusić do zmiany ekspertyzy. Albo żeby nie zeznawał przed sądem jako biegły. Ale jeśli tak, to się...*

– Dzwonię na policję! – zawołała Marlene.

Napastnicy spokojnie wsiedli do samochodu i odjechali.

Abel powoli ukląkł, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i nie dał rady wstać. Usiadł i obmacywał głowę. Kiedy spojrzął na wewnętrzne powierzchnie dłoni, zobaczył na nich krew. Grube krople krwi wyraźnie odznaczyły się na ramionach jego jasnoszarej marynarki. Mimowolnie przypominały mu odciski bardzo małych kocich łap i ocenił, że krew kapie mu z uszu.

Wiedział, że ma złamaną podstawę czaszki. I wiedział też, co to oznacza. Jego życie wisiało teraz na włosku. Liczyła się każda sekunda. Zbyt często miał przed sobą tego rodzaju przypadki na stole sekcyjnym. Znał treść policyjnych akt dotyczących tych przypadków. Jeśli człowiek bardzo szybko nie otrzyma pomocy medycznej, jeśli lekarz pogotowia jeszcze na miejscu zdarzenia natychmiast nie zrobi czegoś, aby zapobiec obrzękowi mózgu, jeśli w jak najkrótszym czasie dzięki operacji neurochirurgicznej nie zapobiegnie się wzrostowi ciśnienia wewnątrzczaszkowego, jego pień mózgu wskutek coraz bardziej narastającego obrzęku mózgu w czaszce zostanie przesunięty w kierunku środkowego kanału rdzenia kręgowego i tam ściśnięty – a tego nie da się pogodzić z życiem. Ogarnęła go panika. Jeśli nie uzyska w porę pomocy, umrze tu w błocie na ulicy przed domem rodziców. Ale nie przeżyłby również w zwykłym szpitalu, który nie ma oddziału neurochirurgii. Przez dwa albo trzy dni leżałby w śpiączce. Ani na chwilę nie odzyskałby przytomności, wobec czego przeprowadzono by diagnostykę śmierci mózgowej, uznano by go za zmarłego i odłączono całą aparaturę.

Zauważył, że opuszczają go siły.

– Marlene! – zawołał słabym głosem. – Podejź tu szybko!

Widział tylko rozmyty cień, który się nad nim pochylał.

– Teraz mnie dobrze posłuchaj, proszę. Jeśli nie...

Kręciło mu się w głowie i z trudem oddychał.

– Jeśli szybko nie otrzymam właściwej pomocy, umrę. Rób dokładnie to, co ci teraz powiem – mówił tak dobitnie, jak jeszcze mógł. – Musisz wezwać pogotowie. Natychmiast. Mam pękniętą podstawę czaszki. Powiedz im to przez telefon. Muszą przysłać helikopter. Muszą zabrać mnie...

Czuł, że opuszczają go zmysły. Ale musiał jeszcze wytrzymać, jeszcze nie powiedział wszystkiego!

– ...do kliniki neurochirurgicznej – mówił dalej. – Trzeba jeszcze tu, na miejscu, rozpocząć profilaktykę obrzęku mózgu. Profilaktyka obrzęku mózgu – powtórzył mozolnie. – Zrozumiałaś wszystko?

– Tak, Fred, tak. – Marlene płakała.

– Już niedługo – wyszeptał słabo Abel – stracę przytomność. Zrób wszystko, jak ci powiedziałem, inaczej...

Ciemność.

# Podziękowania

## Oparte na prawdziwym zdarzeniu

*Mam nadzieję, że zanim dotarliście do tych stron, bez tchu przemierzaliście wraz z Fredem Ablem wzdłuż i wszerz Europę w pogoni za „Miles & More Killerem”, a nie zajrzeliście od razu odruchowo na koniec książki, aby zobaczyć, kto odbiera podziękowania, a kto nie jest wart nawet wzmianki (podobno wielu czytelników ma ten zwyczaj...).*

*Pomysł napisania tego thrillera zaczerpnąłem z licznych prawdziwych zdarzeń i moich własnych przeżyć. Opowiedziana tu historia jest w większości autentyczna – została zainspirowana prawdziwym przypadkiem kryminalnym i dalszymi ubocznymi wątkami akcji, w których uczestniczyłem jako lekarz sądowy w różnej formie w ciągu ostatnich lat.*

*Od razu na początku chciałbym wyjaśnić dwie rzeczy: po pierwsze, nie, nie mam w Gwadelupie żadnych nieślubnych dzieci. Po drugie: tak, „Miles & More Killer” istniał naprawdę. Dla uproszczenia nazwijmy go jego własnymi inicjałami A.L. Przebywa już od kilku lat w zamkniętym zakładzie leczniczym gdzieś we Francji i nigdy nie zazna wolności – chyba że Francuzi wpadną na pomysł ogłoszenia powszechnej amnestii, która obejmie również psychopatycznych seryjnych morderców. Ale chwilowo jest to raczej nieprawdopodobne.*

*Chociaż policja udowodniła A.L. „tylko” przestępstwa popełnione w Paryżu, Berlinie i Londynie, jest bardzo prawdopodobne, że mordował on też w kolejnych europejskich miastach, zawsze w pobliżu lotniska. Tamtych morderstw nie powiązano po prostu z jego osobą i dlatego nikt mu ich nie udowodnił. W każdym razie jestem pewien, że A.L. pozostawił ślady krwi w wielu innych miejscach Europy, niż tylko te znane. Jego modus operandi, aby wybierać na zasadzie absolutnej dowolności kolejne miasto gdzieś na kontynencie europejskim – miejsce, które jeszcze parę minut wcześniej dla niego nie istniało – jest niezrównany, jeśli idzie o zacieranie śladów. Z żadną z europejskich metropolii, do których latał i w których następnie popełniał morderstwa, A.L. nigdy nic nie wiązało.*

*Seryjny morderca, który w krótkim odstępie czasu wielokrotnie atakuje w miastach odległych od siebie o tysiące kilometrów, jest trudny do ujęcia nawet przy zastosowaniu najnowszych policyjnych metod ścigania, zwłaszcza jeśli w działaniu posługuje się tą specyficzną metodą polowania. Chodzi o metodę przypominającą działania żarłacza białego, jak to profiler Timo Jankowski tłumaczy w naszej powieści Fredowi Ablowi: wychodząc z jednego punktu (w przypadku naszego kilera jest to za każdym razem lotnisko), porusza się on koncentrycznie, zataczając coraz większe kręgi, aby wyszukać swoją ofiarę, podążyć za nią, a następnie zabić. I wreszcie powraca do punktu wyjścia, do miejsca, gdzie rozpoczął polowanie, aby stamtąd zniknąć raz na zawsze.*

*Co się tyczy prawdziwego kilera A.L., zarówno prowadzący dochodzenie, jak i technika kryminalna, a także medycyna sądowa, mieli olbrzymie trudności, aby trafić na przydatny ślad. Było całkiem prawdopodobne, że morderca nigdy nie zostanie ujęty – i wtedy, być może, podczas najbliższej podróży Państwa samolotem do dowolnego europejskiego kraju będzie siedział w rzędzie za Panią/Panem albo nawet obok.*

W roku 2007 nasza grupa robocza z oddziału Medycyny Sądowej w Berlinie prezentowała na międzynarodowym kongresie DNA pracę zatytułowaną *Badania przesiewowe markerami typu STR na chromosomie Y – Studium przypadku, której tematem było medyczno-sądowe tło przypadku. W naszym naukowym przyczynku do wykładu brzmiało to dosłownie:*

*W popełnionym w Berlinie morderstwie z lutego 2004 jako jedyny istotny ślad zabezpieczono Y-chromosomalne DNA pod paznokciami 83-letniej ofiary płci żeńskiej. Ustalony na tej podstawie haplotyp wykazuje tak wyraźną częstość występowania w afrykańskich i afroamerykańskich populacjach ( $10^{-3}$  w afrykańskich wobec  $10^{-5}$  w europejskich populacjach wg danych z bazy YHRD), że zdecydowano się umieścić te dane w ekspertyzie. Osoba z badania przesiewowego ( $n = 480$ ), która pod względem wszystkich 12 markerów wykazywała zgodność z zabezpieczonym śladem, została wykluczona dopiero po analizie 9 dalszych zestawów markerów Y-STR (1 konstelacja wykluczająca na 21 układów).*

*Pod koniec 2006 r. ujawniono we Francji osobę pochodzenia afrykańskiego, która popełniła przestępstwa w dwóch kolejnych krajach unijnych i przyznała się też do popełnienia przestępstwa w Berlinie. Na podstawie próbki śliny stwierdzono zgodność haplotypów Y-STR we wszystkich 21 układach markerów. Przypadek ten idealnie pokazuje, jakie są szanse, wyzwania i komplikacje przy analizie Y-STR w praktyce medyczno-sądowej i prawniczej.*

*Osoba z grona objętych badaniem przesiewowym, u której na ogółem 480 podejrzanych stwierdzono zgodność pod względem wszystkich 12 markerów z materiałem dowodowym zabezpieczonym na miejscu przestępstwa i dopiero później została wykluczona na podstawie bardziej szczegółowych badań DNA, nazywa się w naszej powieści Lars Moewig i jest starym kumplem Abła z czasów ich wspólnej służby w Bundeswehrze.*

*To, że prawdziwy morderca mimo wszystko odpowiedział jednak po latach przed sądem za swoje czyny, jest dziełem przypadku. Kiedy w szpitalu psychiatrycznym na oddziale zamkniętym, dokąd skierowano go z powodu próby zabójstwa kobiety na Montmartrze, zaatakował pielęgniarza i omal go nie zabił, podczas przesłuchania niespodziewanie coś w nim pękło i wylał z siebie prawdziwe morze informacji, opisując zdumionym funkcjonariuszom kryminalnym ze wszystkimi szczegółami swoje czyny i miejsca przestępstwa, rozrzucone po całej Europie.*

*Serdeczne podziękowania za cenne informacje policyjne dotyczące tła przestępstw należą się przede wszystkim Stelle Ingo Kenelowi, długoletniemu naczelnemu komisarzowi w berlińskim wydziale zabójstw, a także znakomitemu kryminologowi i śledczemu. To on kierował śledztwem w sprawie prawdziwego „Miles & More Killera” w Berlinie. Profesor dr Lutz Rower niech będzie łaskaw przyjąć moje gorące podziękowanie za badania nad haplotypem Y-STR i za fachową ekspertyzę, nie tylko w tej sprawie.*

*Fred Abel istnieje naprawdę. Widuję go – przynajmniej w miesiącach letnich – mniej więcej raz na tydzień. Mieszka i pracuje w Berlinie. Nie ma on jednak nic wspólnego z medycyną sądową. Użyczył tylko na potrzeby tej książki wspaniałomyślnie swego nader pasującego nazwiska.*

*Kiedy od roku 1986 do 1988 byłem zwiadowcą w kompanii zwiadowczej 100 w Brunszwiku, rzeczywiście miałem kolegę, którego córka w wieku dwunastu lat, dokładnie w czasie, kiedy obaj spotkaliśmy się po raz pierwszy po dwudziestu latach, zmarła na białaczkę. Bardzo to przeżyłem, kiedy tak bardzo się po tym załamał i nikt nie mógł mu pomóc ani złagodzić jego bólu.*

*Również Biagio Solarino istnieje naprawdę. Biagio jest aktywnym włoskim lekarzem sądowym na uniwersytecie w Bari. I moim bardzo dobrym przyjacielem. Ale w rzeczywistości nie ma nic wspólnego z reinkarnacją, wędrówką duszy i wiarą w duchy, tylko stąpa twardo po ziemi. Uzgodniliśmy, że na potrzeby książki uczynię z niego łowcę duchów.*

W kręgach berlińskiej medycyny sądowej nie istnieje żaden doktor Alfons Murau mówiący z akcentem austriackim, ale za to jak najbardziej prawdziwe są codzienne poranne narady o 7.30, podczas których – jak to jest przedstawione w powieści – krótko referuje się wszystkie przypadki obdukcji z poprzedniego i bieżącego dnia i w razie potrzeby szczegółowo dyskutuje w gronie kolegów. Uczymy się przy tym prawie każdego dnia czegoś nowego na temat ludzkich losów, skłonności i tragedii.

Wszystkie referowane podczas porannych narad i później badane w sali sekcyjnej przypadki wyglądały dokładnie tak, jak zostały przedstawione w książce. W medycynie sądowej nie ma nic, czego nie ma. I dlatego właśnie ten zawód jest tak nieprawdopodobnie fascynujący.

Sebastianowi Fitzkowi dziękuję za umożliwienie wglądu w pracę rzeczywiście wielkiego pisarza. Podczas wspólnej pracy nad powieścią *Odcięci* nie tylko pokazałeś mi, jak budować napięcie w książce. Bez *Odciętych* nie byłoby też *Smaku śmierci*.

Mojemu agentowi literackiemu Romanowi Hocke z AVA International serdecznie dziękuję za jego dalekowzroczność i wyczucie w zawieraniu umów. Wielkie dzięki również Karolinie Graehl i Reginie Weisbrodt, obu naszym paniom redaktorkom.

Jeśli ma się po swojej stronie wydawcę takiego jak Hans-Peter Übleis (bardzo lubi, kiedy zamiast „wydawca” mówię o nim „udawca”), człowiek jest już wygrany jako autor. Dziękuję! Również wielkie dzięki dla Steffena Haselbacha, szefa działu beletrystyki w wydawnictwie Droemer Knauer, za jego wiarę w ten projekt. Helmut Henkensiefken, który jest autorem okładki, wpadł na pomysł, aby irchową ściereczkę do okien przyozdobić ścięciem sekcyjnym i wykorzystać jako ilustrację na okładce. Dzięki, Helmut! Genialny pomysł! Podziękowania również dla Jany Hoffmann za drobną pracę krawiecką.

A jeśli jeszcze do tego wydawnictwo ma tak silny zespół – Bernhard Fetsch z Teresą Schenkel, Katharine Eder i Jochen Kunstmann (marketing), Iris Haas i Birgit Henning (dystrybucja), Katharine Ilmen i Patricia Kessler (prasa), Christina Schneider i Sabine Hartl (impresje promocyjne), a także Sibylle Dietzel (produkcja) i Barbara Stelker (asystentka) – wówczas nie tylko sprawia przyjemność sama książka i wszystko, co jest z nią związane, ale ma się również przyjemność obcowania ze wspaniałymi i kompetentnymi ludźmi. W związku z tym chciałbym szczególnie wyróżnić Teresę Schenkel, która aż tryska energią i kreatywnością. Dziękuję za wspaniałe pomysły dotyczące marketingu, promocji i organizacji zbytu!

Dziękuję również Erikowi Neumannowi za organizację promocji *Smaku śmierci*. Marcusowi Behrendtowi, EMBE Illustration, dziękuję za wspaniałe ilustracje do tej promocji oraz za motion comic. Christianowi Meyerowi i Brianowi Bartzowi z C&M Sicherheitsdienst dziękuję za wspólne podróże. Z Wami podróż zawsze jest atrakcyjna, dzięki za to! Dziękuję też mojemu adwokatowi Eckertowi Bröckerowi, który przy okazji tej książki nie występował wprawdzie w roli adwokata, ale doradził mi, aby najlepszych krawców męskich w Londynie nie szukać w żadnym razie na Carnaby Street. Mojej żonie Anji dziękuję za nieustające wsparcie.

Last but not least dziękuję mojemu współautorowi, doktorowi Andreasowi Gößlingowi, za już od dobrych paru lat wspaniałe przebiegającą współpracę. Cieszę się z czekających nas wspólnych projektów! Mamy bowiem jeszcze niejedno przed sobą.

Mam nadzieję, drogie Czytelniczki i drodzy Czytelnicy, że dochowacie wierności Fredowi Ablowi. A to dlatego, że już wkrótce będzie ciąg dalszy, jakkolwiek w drugiej części trylogii o Ablu nie wyjaśni się jeszcze, czy Fred Abel przeżyje ciężki uraz czaszkowo-mózgowy, a jeśli tak, to jak odbije się on na jego psychice i zdrowiu. Następna historia o Fredzie Ablu rozgrywa się bowiem rok przed jego pościgiem za „Miles & More Killerem”. Los rzuci Abla, który będzie musiał dokonać identyfikacji zwłok, do byłego Związku Radzieckiego, gdzie będzie miał do czynienia z dwoma potwornie uszkodzonymi ciałami, które ukryto w metalowym kontenerze z niegaszonym wapnem, aby



*uniemożliwić identyfikację.*

*Ciała są w stanie niemal całkowitego rozkładu...*

MICHAEL TSOKOS

# Podziękowania

## Miotanie się w klatce thrillera

*Od trzydziestu lat piszę książki, szczególnie chętnie powieści. Od kryminałów przez powieści historyczne i thrillery, dla czytelników dorosłych i młodych, pod własnym nazwiskiem, ze współautorami i jako ghostwriter, wypróbowałem liczne gatunki i warianty. Uważałem więc, że już nic nie może mnie zaskoczyć – ale ten wspólny projekt powieści był również dla mnie czymś nowym. Wywołujące napięcie wyzwanie, ponieważ w przypadku thrillerów true crime liczy się oczywiście w całkiem szczególny sposób dokładność w szczegółach z dziedziny medyczno-prawniczej i kryminalistycznej. A z drugiej strony chodzi o to, żeby wierność faktom nie odbiła się ujemnie na napięciu i wiarygodności psychologicznej. „Nic nie jest tak okrutne jak rzeczywistość” – tu przyznaję rację Sebastianowi Fitzkowi – jednak historie, które pisze życie, nie zawsze są z góry kompatybilne z regułami gry obowiązującymi w thrillerach ani z oczekiwaniami czytelnika.*

*Moją mocną stroną jako autora powieści, jak często słyszę, są – niekiedy być może trochę niepohamowana – wyobrażenia oraz duże wyczucie dramaturgii i suspensu. Istotne dla naszego thrillera mocne strony Michaela Tsokosa to – obok jego wielkiego doświadczenia i wiedzy lekarza sądowego – jego bezbłędny zmysł realizmu i silne powinowactwo z gatunkiem kryminału i thrillera. Tak więc właśnie dzięki owym mocnym stronom każdego z nas optymalnie się uzupełnialiśmy, pracując wspólnie nad historią opowiedzianą w Smaku śmierci.*

*Co popchnęło rzeczywistego mordercę, aby od morderstw seksualnych popełnianych na młodych kobietach przejść do morderstw popełnianych na starszych, przypuszczalnie na zawsze pozostanie tajemnicą. A.L. jest psychopatą, a więc trudno u niego o refleksję nad powodem własnego działania, a surowy materiał zawarty w protokołach policyjnych i opinie lekarzy medycyny sądowej z różnych krajów europejskich w żadnym razie nie składają się na spójny i użyteczny dramaturgicznie psychogram. Dlatego w tym wypadku trzeba było z fragmentów przestępstw i zeznań A.L., jak również z poszczególnych wyników śledztw dopiero wykreować postać psychopatycznego seryjnego mordercy Franco Moussadeta.*

*Moje podziękowania kieruję do Michaela Tsokosa za jak zwykle ciekawą i produktywną współpracę; do Romana Hocke, który zaproponował nam tę współpracę; do wszystkich, którzy w wydawnictwie Droemer Knauer uczestniczyli w projekcie, za ich zaangażowanie i zaufanie, szczególnie Carolin Graehl; i wreszcie, a może przede wszystkim do mojej żony Anne, która tak jak ja kocha wszystkie nasze książki, nawet nie próbując ich zliczyć.*

*Występujący w powieści Smak śmierci lekarze medycyny sądowej i funkcjonariusze, kryminalni, śledczy i prokuratorzy nie tylko w Berlinie i Bari, ale również w Londynie czy w Paryżu są wraz ze swoimi cechami i dziwactwami bardzo bliscy rzeczywistości; każdorazowe podobieństwa są więc najczęściej również zamierzone (oprócz Biagio Solarino istnieje też naprawę brytyjski lekarz medycyny sądowej o nazwisku Milroy). Informację, że Michael Tsokos nie ma byłej kochanki, a zatem również nieślubnych dzieci w Gwadelupie, zaczerpnąłem z ulgą z jego podziękowań; to zawsze*

*uspokaja, kiedy człowiek się upewni, że wyobraźnia pozostaje w swojej klatce. Sprawdzoną klatką jest też gatunek taki jak kryminał, ulubiony przez autorów i czytelników, jednak podczas gdy wielu autorów kryminałów i thrillerów w swoich klatkach pokazuje sztucznych pluszowych przestępców i wymyślone dowody zbrodni, my prezentujemy prawdziwego psychopatę i jego autentyczne okrutne czyny, wszystko prawdziwe i rzeczywiste aż do mroźących krew w żyłach szczegółów. Przyjrzyjcie się Państwo, jak ludzki drapieżnik rzuca się od środka na pręty klatki – ale jednocześnie możecie być spokojni, bo klatka jest naprawdę solidnie zbudowana.*

ANDREAS GÖBLING

# Przypisy

<sup>[1]</sup> *Pieśń o żniwiarzu*, przeł. Robert Stiller (przyp. tłum.). <sup>[2]</sup> *Pieśń o żniwiarzu*, przeł. Robert Stiller. <sup>[3]</sup> Charles Baudelaire *Śmierć kochanków*, przeł. Bronisława Ostrowska (przyp. tłum.).

# Table of Contents

<a href="#">Tytułowa</a>
<a href="#">Redakcyjna</a>
<a href="#">Prolog</a>
<a href="#">1</a>
<a href="#">2</a>
<a href="#">3</a>
<a href="#">4</a>
<a href="#">5</a>
<a href="#">6</a>
<a href="#">7</a>
<a href="#">8</a>
<a href="#">9</a>
<a href="#">10</a>
<a href="#">11</a>
<a href="#">12</a>
<a href="#">13</a>
<a href="#">14</a>
<a href="#">15</a>
<a href="#">16</a>
<a href="#">17</a>
<a href="#">18</a>
<a href="#">19</a>
<a href="#">20</a>
<a href="#">21</a>
<a href="#">22</a>
<a href="#">23</a>
<a href="#">24</a>
<a href="#">25</a>
<a href="#">26</a>
<a href="#">27</a>
<a href="#">28</a>
<a href="#">29</a>
<a href="#">30</a>
<a href="#">31</a>
<a href="#">32</a>
<a href="#">33</a>
<a href="#">34</a>
<a href="#">35</a>
<a href="#">36</a>
<a href="#">37</a>
<a href="#">38</a>
<a href="#">39</a>
<a href="#">40</a>
<a href="#">41</a>

[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[48](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)  
[57](#)  
[58](#)  
[59](#)  
[60](#)  
[61](#)  
[62](#)  
[63](#)  
[64](#)  
[65](#)  
[66](#)  
[67](#)  
[68](#)  
[69](#)  
[70](#)  
[71](#)  
[72](#)  
[73](#)  
[74](#)  
[75](#)  
[76](#)  
[77](#)  
[78](#)  
[79](#)  
[80](#)  
[81](#)  
[82](#)  
[83](#)  
[84](#)  
[85](#)  
[86](#)  
[87](#)  
[88](#)

[89](#)  
[90](#)  
[91](#)  
[92](#)  
[93](#)  
[94](#)  
[95](#)  
[96](#)  
[97](#)  
[98](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania Oparte na prawdziwym zdarzeniu](#)

[Podziękowania Miotanie się w klatce thrillera](#)

[Przypisy](#)